

Obcy - Przebudzenie

Crispin A.C.

Książka IV z Obcy



calibre 0.9.43

A. C. Crispin

OBCY

PRZEBUDZENIE

Przełożył Robert P. Lipski

Tytuł oryginału

ALIEN: RESURRECTION

PROLOG

To obcy!

Vincent Distephano drgnął mimo woli i odskoczył. Jak do cholery to coś zdołało dostać się tutaj, do rufowej kapsuły dowodzenia? Znieruchomiał, wpatrując się ze zdumieniem w dziwną istotę.

Jej oczy wydawały się olbrzymie, nieproporcjonalne w porównaniu z resztą wydłużonej, zniekształconej głowy. Wąskie, eliptyczne tęczówki zdawały się zakrzywiać wokół źrenic – widomy znak pozaziemskiego, obcego pochodzenia Stwór zamrugał, jego przezroczyste powieki poruszyły się tak gwałtownie, że Vinnie nie był w stanie stwierdzić, czy mrugnięcie zaczęło się u góry, u dołu, czy może nawet po bokach. Prawdę mówiąc powieki były w ruchu kompletnie niewidoczne. Obcy zamrugał raz jeszcze, szybko dwa razy, trzy razy, poczym odwrócił głowę.

Czy zdawał sobie sprawę z jego obecności?

O cholera!

Szczęki stwora rozchyliły się groźnie, pomiędzy cienkimi wargami rozciągnęły się grube nitki śliny, ściekającej wolno po niebezpiecznie ostrych, spiczastych kłach. Tyle ich było! Wargi zwarły się ponownie, z gwałtownym, ale cichym warkotem i stwór ruszył wolno do przodu.

Vinnie zmusił się do pozostania w bezruchu, podczas gdy szczęki stwora otworzyły się wolno i zamknęły, ociekając gęstą, lepką śliną.

Jeżeli jeden z tych stworów dostał się tu, na dół, pomyślał, to może ich być więcej. Może nawet cały cholerny rój. Skąd one się w ogóle wzięły? Jak dostały się na pokład? Jakie to ma znaczenie? Ten stwór był z nim tu i teraz, i tylko to się liczyło. Obcy podszedł bliżej i zatrzymał się, jego ruchy były szybkie, owadzie, ogon kołysał się jak sensor. Czy stwór go w ogóle widział? Czy wiedział o jego obecności, w kapsule dowodzenia? Czy wielkie oczy były funkcjonalnymi narządami wzroku, czy może istoty tego gatunku wyczuwały pożywienie oraz swoje ofiary dzięki światłu bądź wrażeniom niedostępnym człowiekowi? A może miały bardziej wyczulone receptory ruchu i węchu aniżeli wzrok? Cudaczna, wydłużona głowa obcego przekręcała się z boku na bok, jakby istota usiłowała zbadać całe otoczenie. Mnóstwo mrugających światełek i wielobarwne ekrany konsoli dowodzenia z pewnością ją rozpraszały. Może ruch konsoli sprawi, że nie wyczuje Vinni'ego. Szczerze na to liczył. Przełknął ślinę.

I właśnie wtedy zamigotał jeden z ekranów obserwacyjnych, obrazy zmieniały się tak szybko, że obcy z zainteresowaniem odwrócił głowę.

Na jednym z ekranów ukazało się nagle zapierające dech w piersiach zbliżenie Plutona, nad którego powierzchnią unosił się statek; jeden z małych gejzerów znajdujących się na planecie rzygnął w przestrzeń strugą płynnego azotu. Jasność lodowych pasm Plutona, mimo że upstrzonych tu i ówdzie ciemnoczerwonymi plamami, stanowiła uderzający kontrast z czernią kosmosu. Stwór pokręcił głową z boku na bok, obserwując aktywność planety. Moc gejzeru osiągnęła apogeum, bezgłośny słup płynnego azotu podniósł się na maksymalną wysokość. Obraz na ekranie nabrał ostrości, nastąpiło jeszcze większe zbliżenie. W odpowiedzi obcy zupełnie odwrócił się od Vinnie'ego i błyskawicznie, jak pająk, pomknął w stronę ekranu.

Teraz! Szybko! Póki nie patrzy! Rusz się!

Vinnie, dobrze wyszkolony żołnierz, któremu wpojono umiejętność natychmiastowego reagowania w nagłych sytuacjach, wyrzucił rękę do przodu, jego palec wskazujący wyprostował się, wyprężył i...

Pac!

Mam cię, sukinsynu!

Uniósł rękę, oglądając rozgniecione szczątki obcego owada przyklepione do czubka palca wskazującego. Ciekawe, co to było za cholerstwo. Pokręcił głową zdegustowany. Generał Perez wściekłby się, gdyby się dowiedział, że w nieskalanych, czystych aż do przesady wnętrzach jego statku *Auriga* znalazł się jakiś obcy robal. I to gdzie! W rufowej kapsule dowodzenia! Czy był tylko jeden taki owad, czy może szwendało się tu ich więcej?

Wystarczą tylko dwa, żeby pojawił się tysiąc. Do licha, czasami, w przypadku niektórych obcych gatunków wystarczył tylko jeden.

Wciąż przyglądając się rozgniecionemu insektowi, młody żołnierz dopił mleczny koktajl razem z grudkami na dnie. Stary wściekłby się równie mocno, gdyby wiedział, że podjadasz na służbie, chłopie. Vinnie uśmiechnął się. Taaa, generał Perez był służbistą, ale Vinnie spóźnił się na śniadanie i wiedział, że nie wytrzyma do obiadu, jeżeli nie weźmie czegoś na ząb. Siedzenie w kapsule dowodzenia było chyba najnudniejszą rzeczą na całym statku.

Gorsze mogło być tylko siedzenie w kapsule z pustym żołądkiem.

Zgniół miękki kubek i włożył do kieszeni, po czym wyjął słomkę i szturchnął nią resztki owada. Wciąż widział tę wydłużoną głowę i małe acz groźnie wyglądające zęby.

Błę! Aleś ty brzydki. No więc jak dostałeś się na pokład? Pewno razem z którymś z

„nieoficjalnych” ładunków generała z jakiejś zabitej deskami pogranicznej kolonii. Nie

żebym miał albo chciał to wiedzieć! Skoro jesteś żołnierzem pracującym w ściśle tajnej bazie orbitującej wokół środka grawitacji Plutona i Charona – w tej pieprzonej czarnej dziurze –

masz się o nic nie pytać i nic nie mówić.

Jedyne czego nauczył się Vinnie podczas rocznej, zdającej się nie mieć końca służby na pokładzie *Aurigi*, to że przydział do ściśle tajnej bazy może okazać się najbardziej nudnym, przeklętym doświadczeniem podczas służby wojskowej. Nic tu się nie działo, absolutnie nic! Nigdy. A to za sprawą generała Pereza stale urządzającego jakieś inspekcje i wymagającego aby wszystko błyszczało i było dopięte na ostatni guzik. Każdy element wyposażenia musiał być doskonały, nowiutki, wypolerowany i musiał działać z idealną precyzją. Nie wydarzyła się ani jedna awaria, która mogłaby zabić nudę.

Cóż, za trzy miesiące Vinnie'ego już tu nie będzie. A jeśli zakończy udanie swój pobyt w ściśle tajnej bazie, będzie mógł przebierać w propozycjach.

Na pewno wybiorę sobie coś z większym biglem. Jakieś miejsce gdzie nie będzie się zdychać z nudów. Może placówkę na Rigielu. Tam bywa gorąco. To miejsce dla prawdziwych facetów. Nie jak to nudne zadupie tutaj.

Raz jeszcze przyjrzał się insektowi, rozdzielając szczątki końcem słomki. Fakt, że *Auriga* przegrywała wojnę z owadami, był przynajmniej absurdalnie śmieszny.

Vinnie nie był przyzwyczajony do oglądania w kosmosie owadów. Naturalnie wojsko przywykło już, że wszędzie dokąd się udawało, zabierało ze sobą robactwo i przeróżne gryzonie, począwszy od szczurów i pcheł w ładowniach i pomieszczeniach do przechowywania prowiantu na pokładach starych, drewnianych okrętów, poprzez przewiezienie w skrzyniach z żywnością, bronią i towarami na wyspy południowego Pacyfiku brązowego węża drzewnego, co było przyczyną zagłady całych gatunków ptaków w wieku dwudziestym, po niemal zgubną w skutkach inwazję karaluchów z rzekomo sterylnych, zamykanych próżniowo pojemników z żywnością, które dostarczono do pierwszej marsjańskiej kolonii we wczesnym okresie podboju kosmosu. Na szczęście warunki panujące

w większości ładowni towarowych zdecydowanie nie sprzyjały małym szkodnikom, toteż w dzisiejszych czasach problem ten był niewielki.

Ale z *Aurigą* było inaczej. Wziąwszy pod uwagę komary, które uciekły z laboratorium po jednym z pierwszych eksperymentów i pojawiły się odtąd w najdziwniejszych miejscach, pająki, które pokazały się bezpośrednio po otrzymaniu przez Pereza jednej z jego „nieoficjalnych” przesyłek i od czasu do czasu obcego insekta jak ten, którego przed chwilą rozgniółł na miazgę, ten ogromny statek kosmiczny wydawał się jednym wielkim azylem dla wszelkiego rodzaju szkodników, insektów i robactwa. Zupełnie jakby niższe formy życia uparły się, aby udowodnić generałowi Perezowi, że niezależnie od tego jak wielką jest w armii szyszka i jak ważne są ściśle tajne operacje, które nadzorował tu, na obrzeżach Układu Słonecznego, mimo wszystko wciąż nie jest w stanie kontrolować Matki Natury. Vinnie uśmiechnął się.

Zbierając wciąż jeszcze ociekające posoką i śliną resztki owada do plastikowej słomki, Vinnie zastanawiał się, czy powinien donieść o tej „obserwacji”. Takie były zasady generała. Obecność nieproszonych gości na pokładzie jego nieskazitelnie czystego, doskonałego statku doprowadzała Starego do szaleństwa. Zawsze pragnął, żeby owady chwymano żywcem w celu „sklasyfikowania”, aby można było ustalić ich pochodzenie. Vinnie pomyślał o wiążącej się z tym papierkowej robocie, dochodzeniu i idiotycznym wręcz bałaganie z powodu jakiegoś robala.

Spojrzał na koniec słomki.

Pieprzyć to!

Kierując słomkę w stronę nienagannie czystego iluminatora kapsuły dowodzenia, dmuchnął z całej siły, wystrzeliwując z rurki resztki owada. Trafił prosto w iluminator.

Szczałki insekta rozbryznięły się po przezroczystej powierzchni, przywierając do niej jak

owad na szybie terenowego śmigacza.

Vinnie roześmiał się.

I to właśnie, synu, jest gwoździem tej nie kończącej się zmiany.

Przeniósł wzrok na konsolę dowodzenia i ekrany. Wszędzie panował spokój i cisza.

Nuda, że można zdechnąć. Ustała nawet erupcja gejzeru. Żołnierz westchnął, podrapał się po ogolonej niemal na łyso głowie i starał się nie patrzeć na zegar odmierzający sekundy dzielące go od końca zmiany.

Może pojawi się jakiś nowy robal, który pozwoli mu zabić nudę. Prawdę mówiąc nie mógł się już doczekać.

1.

Doktor Mason Wren szedł dziarsko korytarzami o neutralnych barwach w stronę głównego laboratorium. Generał Perez wezwał go w środku śniadania na specjalną odprawę i stracone na owo spotkanie dwadzieścia trzy minuty kompletnie zniweczył cały plan dnia naukowca. Na szczęście Wren mógł liczyć na swoją ekipę, która była zawsze punktualna i z pewnością rozpoczęła wszystkie poranne programy, sprawdziła rezultaty prac nocnej zmiany i będzie gotowa przekazać mu dane o obecnej fazie przebiegu eksperymentu. Maszerował szybko, sprawdzając z przyzwyczajenia pager, który nosił na piersi. Żadnych wiadomości. Ojciec – lub raczej sztuczny męski głos ogromnej, wyspecjalizowanej sieci komputerowej, która kontrolowała system podtrzymywania życia, funkcje badawcze i całą resztę najważniejszych urządzeń gigantycznej *Aurigi* – poinformowałby go, gdyby nadeszły jakieś wiadomości.

Brak wieści to dobre wieści.

Kiedy Perez go wezwał, Wren spodziewał się kłopotów, problemów z nowym projektem, ale nie oto chodziło. Stary chciał po prostu poznać pewne robocze szczegóły i nie wątpił, że

szef ekipy naukowców będzie dysponował najbardziej rzetelnymi informacjami. Minęły dwa tygodnie bez nagłych wezwań w środku nocy do laboratorium i Wren był zadowolony z szybkich postępów, do jakich ostatnio doszło. Może w końcu wyszli na prostą.

Szczupły, łysiejący naukowiec typowym dla siebie energicznym krokiem podszedł do drzwi, prawie nie zauważając po bokach dwóch trzymających straż żołnierzy pod bronią. Byli dlań jak powietrze, stanowili element wystroju wnętrza, jak meble czy nity w drzwiach pneumatycznych. Zdawał sobie sprawę, że żołnierze zmieniają się co cztery godziny, ale dla Wrena wszyscy wyglądali jednakowo, mieli kwadratowe szczęki, oczy patrzące gdzieś w dal, oliwkowej barwy pancerze bojowe i solidnie wyglądające karabiny; zawsze byli czujni, zawsze gotowi. Czarni, biali, brązowi, mężczyźni, kobiety – w oczach Wrena wszyscy wydawali się identyczni. Byli żołnierzami. Zupakami. Piechociarzami. On i jego personel byli zaś lekarzami. Naukowcami. Począwszy od najniższego rangą technika aż po niego samego, cały personel badawczy służył wyższym celom – szerzeniu wiedzy, rozwojowi ludzkości, poprawieniu warunków bytowych ludzi. Żołnierze istnieli po to, by zapewnić jemu i jego zespołowi warunki bezpieczeństwa niezbędne do osiągnięcia zamierzonego celu. Wszyscy oni byli wojskowymi, ale w pojęciu Wrena granica ważności obu grup była aż nadto wyraźna. Drzwi głównego laboratorium otworzyły się przed nim bezgłośnie. Kiedy minął dwóch żołnierzy, z pewnym rozbawieniem, niejako na marginesie zwrócił uwagę, że nie tylko wyglądali identycznie, ale i żuli gumę w tym samym rytmie. Jak roboty. Nie, nie jak roboty. Roboty były sporymi indywidualistami... kiedy jeszcze istniały.

Drzwi zamknęły się za nim równie bezgłośnie, jak się otworzyły, a żołnierze natychmiast poszli w zapomnienie. Tak jak się tego spodziewał, był tu cały jego zespół, wszyscy wykonujący swoje obowiązki, pochłonięci pracą w służbie nauki. To laboratorium było do tego idealnym miejscem. Każdy element wyposażenia był najwyższej jakości, każdy program,

każdy członek zespołu najlepszym z najlepszych. Wyniki świadczyły o ich wartości.

Wren podszedł do pierwszego stanowiska, spoglądając na niezliczone ekrany wmontowane w konsolę główną. Zlustrował szybko zmieniające się wzory danych, rejestrując w myślach zauważone oznaki postępu. Spojrzał w bok, na doktor Carlyn Williamson, a ta uśmiechnęła się do niego.

– Wciąż mamy fundusze, doktorze Wren – rzekła, wyraźnie zadowolona.

Odpowiedział z uśmiechem.

– Niezły sposób na rozpoczęcie nowego dnia, Carlyn.

Przeszedł do drugiego stanowiska i skinieniem głowy pozdrowił znajdujących się tam doktorów – Matta Kinlocha, Yoshiego Watanabe, Briana Claussa, Dana Sprague’a oraz ich wychowankę, Trish Fontaine. Kinley pokazał mu dwa uniesione w górę kciuki, co miało oznaczać, że seria testów, które rozpoczęli ubiegłej nocy, zakończyła się pomyślnie. Wren odpowiedział tym samym gestem i poszedł dalej. W myślach mimowolnie odnotował podobieństwo w ubiorze jego i zespołu – wszyscy mieli na sobie kombinezony lub wojskowe panterki, a na nich nieskazitelnie białe lekarskie kitle. Zastanawiał się, czy Perez ma takie same problemy z rozróżnieniem jego ludzi, jak on, Wren, z rozróżnieniem żołnierzy generała. Kiedy Wren zakończył obchód i stwierdził, że wszystko postępuje zgodnie z planem, co w jego mniemaniu wydawało się niemal zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Podszedł w końcu do inkubatora.

Doktor Gediman, młody, ciemnowłosy, gorliwy współpracownik czekał na niego z takim przejęciem, że Wren prawie spodziewał się, iż tamten zacznie lada moment przestępować z nogi na nogę. W gruncie rzeczy wcale mu się nie dziwił. Wszystko co ujrzał dziś rano, świadczyło, że realizacja planów postępuje nadspodziewanie dobrze. Jednak po tylu porażkach, których dotąd doświadczyli, Wren nie spieszył się z okazywaniem zadowolenia.

Wciąż mogło im się nie udać. Słabych punktów było zbyt wiele.

– Czekaleś na mnie – rzekł do współpracownika. – Doceniam to.

Gediman skinął głową.

– Miałem co robić. Czy jesteś gotów, żeby ją wreszcie zobaczyć?

Wren starał się nie okazywać niezadowolenia. Nie podobało mu się, że Gediman objawia skłonności do personalizacji okazu. Nie uznawał tego za przejaw profesjonalizmu. Jednakże Gediman był tak dobrym pracownikiem, tak twórczym i oddanym eksperymentowi, że Wren postanowił to przemilczeć.

– Naturalnie – odparł – obejrzymy nasz okaz.

Gediman wystukał właściwą sekwencję na konsoli, po czym obaj mężczyźni przez chwilę obserwowali strumień danych, pojawiających się na niewielkim ekranie nad inkubatorem. Wysoki metalowy walec wyregulował swoją temperaturę, kiedy lodowate opary zostały usunięte. Powoli mechaniczna zewnętrzna metalowa powłoka obróciła się i podniosła w górę, aż pod sufit, gdzie znieruchomiła. Metalowa obudowa otworzyła się automatycznie, ukazując znajdującą się pod nią mniejszą komorę kriogeniczną, mierzącą około metra długości i pół metra średnicy.

Wren przyjrzał się danym. Informacje o rozciągłości i postępach inkubacji, komponentach chemicznego czynnika wzrostu elektrycznej stymulacji komórek i tak dalej, przesuwały się na ekranie, stale uzupełniane o najświeższe dane.

– Oto i ona! – rzekł półgłosem Gediman.

Słyszając ten ton, Wren odwrócił się ku niemu. Oczy Gedimana były rozszerzone, wyraz twarzy pełen nadziei, jak u ojca, który po raz pierwszy widzi swego potomka. Wren ucieszył się. Pod wieloma względami to rzeczywiście było dziecko Gedimana. Wren, Gediman, Kinloch, Clauss, Williamson, wszyscy pracownicy laboratorium byli rodzicami okazu i Wren

nakłaniał ich, by czuli się jego właścicielami. Ten rodzaj dumy posiadacza zachęcał do większego wysiłku, bardziej twórczego myślenia, oddania sprawie, którego nie są w stanie zrekompensować żadne pieniądze. Wren musiał się uśmiechnąć.

– Spójrz na jej twarz! – rzekł Gediman z wciąż tą samą dumą, przesyconą niepokojem.

Wren patrzył, podczas gdy okaz wypłynął spod powłoki nieprzejrzystego żelu, która go otaczała, żywiła i zmuszała do dalszego rozwoju. Początkowo wydawał się nie ukształtowaną szarą bryłą. Skulony w klasycznej pozycji płodowej – już sam ten fakt jest cudem wśród osiągnięć naukowych – podpłynął bliżej żeby Wren mógł ujrzeć to, co Gediman dostrzegł wcześniej.

To była buzia dziecka, ślicznej, ludzkiej dziewczynki i Wren poczuł, że tak jak Gedimana ogarnia go nieprzeparłe podniecenie. Rysy twarzy rozwinęły się na tyle, że były rozpoznawalne, nie tylko jako rysy istoty ludzkiej, ale jako jednostki. Osoby. Wokół idealnie ukształtowanej główki unosiły się płynnie kosmyki delikatnych, cienkich brązowych włosów, nadając okazowi eterycznego wyglądu, niczym u baśniowej Małej Syrenki. Wren zamrugał, otrząsając się z zamyślenia. Wprawnym okiem zlustrował masę różnorodnych przewodów, kabli i czujników rejestrujących, przymocowanych do ciała okazu. Wszystkie były na swoim miejscu, realizując wyznaczone zadania, żywiąc okaz, stymulując go i nakłaniając do szybszego rozwoju, aniżeli przewidywała dlań natura.

Wren, nawiasem mówiąc, nie miał cierpliwości do natury – z uwagi na jej powolność, skłonność do omyłek i niespodzianek. A on nie lubił niespodzianek. Jego zadaniem było przewidywać posunięcia natury i kształtować je, dostosowując do własnych potrzeb. Mogło się wydawać, że w końcu tego dokonał. Uśmiechnął się, jego palce niemal pieszczotliwie musnęły ścianki inkubatora.

– Jest piękna, nieprawdaż? – spytał półgłosem Gediman.

Wren otworzył usta, zamknął je i tylko pokiwał głową.

Z całą pewnością rozwija się dużo lepiej, niż ośmielaliśmy się przypuszczać.

Kiedy okaz odplynał od szyby, przez chwilę wydawało mu się, że widzi, jak pod powiekami przesuwiają się rozwijające się gałki oczne. Zastanawiał się, czy obiekt potrafił odczuwać różnicę między światłem i mrokiem. Zastanawiał się, czy w ogóle odczuwa cokolwiek.

Nagle zrobiło się jasno; cofnęła się odruchowo. W świetle jesteś widoczna. W świetle trudniej się ukryć. Zwinęła się w kłębek. Ciepła wilgoć wkoło mówiła jej, że jest bezpieczna, ale światło obudziło w niej strach. W jej ożywającej świadomości pojawiły się i zniknęły chaotyczne senne obrazy – wizje.

Zimny komfort kriogenicznego snu.

Potrzeba chronienia własnego potomstwa.

Siła i obecność innych, takich jak ona.

Potęga jej gniewu.

Ciepło i bezpieczeństwo parnej wylęgarni.

Obrazy były bezsensowne i racjonalne zarazem. Rozpoznawała je na poziomie głębokiej podświadomości, nie były czymś, czego można się nauczyć. One były częścią niej. Częścią tego, kim była i czym była. A teraz stanowiły część tego, czym się stawała.

Pływała w galaretowatym, przyjemnym ciepełku, usiłując ukryć się przed światłem i odgłosami. Mruczące odległe dźwięki rozlegały się poza nią i w jej wnętrzu. Pojawiały się i zniknęły – dźwięki nie znaczące nic i oznaczające wszystko.

Znów usłyszała te dźwięki wewnątrz, jeden był znacznie silniejszy od innych. Zawsze go słuchała. I tak bardzo starała się go zapamiętać. Usłyszała szept...

„Mamusia zawsze mówiła, że tak naprawdę potworów wcale nie ma. Ale przecież one

istnieją.”

Gdyby tylko wiedziała, co to znaczy. Może, kiedyś...

Przez chwilę Wren pozwolił sobie na odrobinę nadziei i chwilę marzenia. Wybiegł myślami w przyszłość. W gazetach pojawią się artykuły. Publikacje. Książki. Nagrody. A to zaledwie początek.

Płód pływał, obracając się wewnątrz wypełnionego żelem inkubatora, a Wren musiał przyznać, że Gediman miał rację. Był piękny. Doskonały okaz...

Właśnie odwrócił się do niego plecami i wygięty w łuk kręgosłup uderzył w szybę. I wtedy Wren dostrzegł coś, czego wcześniej nie było.

– Zauważyłeś to? – zwrócił się rzeczowo do Gedimana, zachowując niewzruszony ton głosu.

– Co...? – wykrztusił Gediman, po czym przyjrzał się bacznie plecom okazu.

– O, tutaj. – Wren wskazał cztery wyrostki po obu stronach kręgosłupa. – Spójrz na te narośle. Cztery. Dokładnie tam, gdzie powinny się znajdować rogi grzbietowe.

Gediman na ich widok zmarszczył brwi.

– Sądysz, że to oznaka, iż pojawią się kolejne deformacje?

Wren pokręcił głową.

– Będziemy je starannie obserwować. Mogą być pierwszą oznaką uszkodzenia embrionu.

– Nie! – westchnął ciężko Gediman.

– Nie martwmy się zawczasu. Jeśli będziemy mieli szczęście, okaże się, iż to tylko szczałkowe narośle. Jeżeli tak, będzie można je usunąć.

Gediman wydawał się zmartwiony, jego wcześniejsza radość prysła.

Wren poklepał go po plecach.

– Ten okaz bije na głowę wszystkie, które wyhodowaliśmy dotychczas. Zaczynam

wierzyć, że teraz się uda. Ty też powinieneś pozwolić sobie na odrobinę nadziei względem niego.

Jego współpracownik uśmiechnął się raz jeszcze.

– Dotarliśmy do obecnego etapu i jak dotąd radzi sobie całkiem nieźle. Mam nadzieję, że się nie mylisz, doktorze.

Ja również, pomyślał Wren obserwując okaz. Miał nadzieję, że natura nie zdrwi z niego kolejny raz.

Miesiąc później Wren i Gediman ponownie stanęli przed inkubatorem. Ten pojemnik był dużo większy od pierwszego, mierzył prawie trzy metry długości i metr w obwodzie. Okaz wielkości dziecka, który pływał w pierwszym walcu niczym korek, wyrósł i rozkwitł do tego stopnia, że niemal w całości wypełniał obecny pojemnik.

W laboratorium panowała atmosfera radosnego oczekiwania. Wren mimo woli dostrzegwał, że jego pracownicy często zbliżali się do inkubatora, ot tak, aby zajrzeć do środka, zdumieni i poruszeni tym, czego byli świadkami.

Tak wiele z czegoś tak niewielkiego. Stare próbki krwi, fragmenty tkanek ze szpiku kostnego, śledziony i płynu mózgowo-rdzeniowego. Rozproszone, rozbite DNA.

Zainfekowane komórki. I oto co z tych marnych resztek powstało.

Odwrócił się. Sięgające ramion, kręcone brązowe włosy falowały wokół jego twarzy, od czasu do czasu przesłaniając jego atrakcyjne, rozpoznawalne ludzkie rysy. Dłoń zacisnęła się w pięść i rozluźniła. Oczy pod zamkniętymi powiekami przesuwwały się z boku na bok.

Śni? Jakie sny może mieć to coś? Czyje sny?

Wren spojrział na odczyty inkubatora. Pierwszy ekran ukazywał EKG okazu, rytm serca był regularny, sinusoidalna arytmia w normie. Dobrze bardzo dobrze.

Odwrócił się w stronę drugiego ekranu. Podczas gdy pierwszy był oznaczony specjalną

plakietką potwierdzającą, iż przedstawia odczyty dorosłego żeńskiego okazu, a sam napis, drukowanymi literami, brzmiał ŻYWICIEL, pod drugim ekranem widniała plakietka z napisem OBIEKT. Rytm tego serca był szybszy niż u żywiciela, wychylenia wykresu wręcz anormalne. Mimo to było równie silne jak u żywiciela. Było zdrowe.

Wren uśmiechnął się. Jeszcze raz spojrzął na twarz okazu – żywiciela. Była posępna.

Gdyby miał bardziej romantyczną naturę, jak Gediman, pomyślałby, że okaz wydaje się nieszczęśliwy.

Czyje masz sny? Swoje własne? A może twojego symbionta? Jakże chciałbym to wiedzieć...

Doktor Jonathan Gediman nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Doktor Wren pozwolił mu na prowadzenie operacji. Stojąc w chłodnym, sterylnym pomieszczeniu, w sterylnym kombinezonie, umyty i gotowy, manipulował przy chirurgicznym wzierniku i w końcu ustawił go we właściwej pozycji. Tuż przy nim stał równie jak on gotowy, ubrany, wyczekujący i niespokojny doktor Wren. Był z nimi również doktor Dan Sprague. Dan pogratulował im, kiedy Wren ogłosił nowinę, a jego szczere życzenia przeprowadzenia udanej operacji złagodziły nieco trawiące Gedimana niepokoje.

No, w każdym razie niektóre z nich.

Wziernik był nieskalibrowany i Gediman dotknął przyrządów kontrolnych. Urządzenie pozwoli mu automatycznie, w zależności od potrzeb regulować skalę widzenia, od niewielkich powiększeń aż do zbliżeń mikroskopowych, dzięki czemu miał możliwość obserwacji tkanek z poziomu komórkowego.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu usiłował uspokoić rozkołataną nerwy. Niemal podskoczył, kiedy Sprague nachylił się ku niemu i sterylną gazą otarł mu pot z czoła.

- Spokojnie, stary - dociął mu Dan.

- Pocisz się jak mysz.

Gediman pokiwał głową, myśląc równocześnie: Myszy się nie poca. Zamrugał i skoncentrował się. Gdyby tylko Wren nie stał tak blisko. Nawet bez wziernika Wren był w stanie wypatrzeć najdrobniejsze uchybienie, najmniejszą nawet omyłkę. Sprague zresztą też. Wyluzuj, Gediman, powiedział sam do siebie. To nie twoja pierwsza operacja! To prosty zabieg. Robiłeś podobne tysiąc razy.

Tak, ale nie tutaj. Nie na tym okazy.

Nie na Ripley.

Wren używał określenia „okaz”, ale Gediman przestał myśleć o niej w ten sposób, kiedy była jeszcze mikroskopijnym zbitkiem ośmiu idealnie ukształtowanych komórek.

Odwrócił głowę i pozwolił sobie spojrzeć na nią. Naprawdę. Bo za grubą, przezroczystą przegrodą zamkniętego pomieszczenia operacyjnego, oddzielającego ją od zespołu lekarzy, ona oddychała w normalnym, regularnym rytmie, pogrążona w anestozjologicznym uśpieniu. Wyglądała na rozluźnioną, gdy tak leżała na stole operacyjnym - jej oczy nie poruszały się, silna szczęka jakby trochę zwiotczała, wargi rozchyliły się nieco.

Gdyby nie liczne cewniki i przewody przyłączone do jej ciała pod przezroczystym, przypominającym całun przykryciem chirurgicznym, wyglądałaby jak Królewna Śnieżka czekająca na pocałunek księcia. Gediman oblizał wargi.

Wygląda normalnie. Ot wysoka, atrakcyjna młoda kobieta. Nawet oblepiający jej ciało owodniowy żel i siny odcień skóry nie są w stanie tego zmienić.

Był z niej tak bardzo dumny.

Tak wiele przeszła i tak wiele już osiągnęła. To będzie jej wielka chwila - jeżeli on nie spieprzy wszystkiego.

Podszedł do panelu kontrolnego, wsuwając po łokcie przyobleczone w rękawice ręce do

instrumentu chirurgicznego. Wren i Sprague obserwowali go z obu stron. Wokół zamkniętej sali chirurgicznej za ochronnymi szybami zebrała się reszta zespołu. Tutaj znajdowało się ukoronowanie ich zmudnych wysiłków.

Wsunął palce do czułego, przypominającego rękawice urządzenia sterującego, poczuł, jak zamyka się ono wokół jego dłoni i przedramienia, po czym delikatnie nimi poruszał, aby uzyskać pełny kontakt.

Ostrożnie uruchomił sterowanie, patrząc jak mechaniczne ramiona w komorze chirurgicznej ożywają w odpowiedzi.

- Jestem gotowy - rzucił spoglądając na odczyty. Wszystko wyglądało dobrze. Aktywność mózgu. Oddech. Rytm serca.

Przesunął laserową piłę na wysokość mostka.

- Pamiętaj - wyszeptał mu Wren wprost do ucha - rób to powoli, krok po kroku. Jestem tuż obok. - W ten sposób chciał dodać Gedimanowi otuchy, lecz efekt okazał się odwrotny.

Gediman uruchomił laser wiodąc go w linii prostej, aby nacięcie prowadziło ku dołowi.

Od połowy wysokości mostka do punktu powyżej wzgórka łonowego. Spojrzał na odczyty Ripley. Nie znajdowała się w głębokiej narkozie i chciał mieć pewność, że niczego nie poczuje.

- Mam to - rzekł półgłosem Sprague, ponownie ocierając mu czoło.

Do zadań Dana należała kontrola anestetyczna operowanej. Gediman ufał mu, ale...

Pierwsze nacięcie zostało wykonane. Manipulując zrobotyzowanymi kłami, przymocował je do brzegów rozcięcia, aby rozsunąć na boki warstwy tkanek. Potem znów włączył laser, by dokonać starannego cięcia pomiędzy mięśniami powięzi, dokładnie wzdłuż *Linia alba*. Teraz kolej na otrzewną. Poszło gładko. Krwawienie było minimalne, promień lasera natychmiastowo kauteryzował ranę. Nacięcie wyglądało dobrze.

- Wyśmienicie - szepnął Wren. - Świetnie, teraz ustaw pojemnik na miejscu. Ostrożnie...

Bądź gotów z płynem owodniowym...

Gediman wyprzedził go. Dał już znak, aby dostarczono mały inkubator z płynem owodniowym. Patrzył, jak pojemnik automatycznie przesuwa się i nieruchomieje obok rozciągniętego sztywno ciała Ripley, obok jej bioder i żeber. Chirurg poczuł, że napięcie w pomieszczeniu zaczęło narastać z chwilą, gdy niewielki inkubator bezgłośnie ją przesuwać się ku swemu przeznaczeniu, stanął, a potem jego pokrywa uniosła się powoli.

- Świetnie - powiedział Wren. - Doskonale. Jesteśmy gotowi.

Gediman zagryzł wargę. Jego prawa dłoń zacisnęła się w rękawicy kontrolnej.

W odpowiedzi na ten gest specjalnie wyścielany mechaniczny chwytak przesunął się na wyznaczoną pozycję i ostrożnie, węzowym ruchem wsunął w miejsce nacięcia, znikając w ciele Ripley. Gediman odwrócił się w stronę ekranów odczytu, by obserwować drogę chwytaka wewnątrz ciała pacjentki. Manipulował chwytakiem ostrożnie i z wprawą.

Kropelka potu spłynęła mu po czole, ściekając ku wizjerowi, ale Sprague był na miejscu, ocierając je gazą, usiłując zapanować nad silnym poceniem się chirurga, który mimo chłodu panującego wewnątrz pomieszczenia był mokry jak mysz.

Obserwował chwytak i przekazywane przez biosensory barwne obrazy wnętrza pacjentki.

Uśmiechnął się.

- Jest - mruknął zachwycony.

Nagroda. Cel ich wyętej pracy.

Delikatnie zacisnął chwytak, a Wren zgoła niepotrzebnie wyszeptał:

- Ostrożnie! Ostrożnie!

- Mam ją - zamruczał Gediman, powoli wysuwając chwytak z ciała Ripley.

Kiedy chwytak wyszedł z klatki piersiowej Ripley, wzrok wszystkich skupił się na

otworze.

W specjalnie wyścielanych szczypcach chwytaka znajdowała się niewielka okrwawiona istotka podobna do embriona, której wygląd zniekształcały warstewki krwi i tkanki łącznej jej matki.

- Odczyty są dobre - zwrócił się do niego Wren, lustrując bioskan pasożyta.

- Te także - potaknął Dan mając na myśli Ripley.

Gediman praktycznie nie zdawał sobie sprawy, że reszta załogi zbliżyła się do szyby, pragnąc lepiej się przyjrzeć. Nikt się nie odezwał. Wzrok wszystkich skupiony był na tym niewielkim istnieniu...

- Przecinam połączenia - oznajmił Gediman.

- Do dzieła - ponaglił Wren.

Chirurg przysunął do stworka urządzenia mające przeciąć i przyżec sześć przypominających pępowiny przewodów łączących larwę z żywicielką. Posługiwał się przecinakami szybko, wprawnie i zdecydowanie... Cztery, pięć, sześć! Larwa była wolna. Stwór nagle drgnął i rozwinął się na całą długość, jakby oddzielenie od matki było dlań znakiem, że już pora rozpocząć niezależne, własne życie. Pora oddychać. Pora zacząć rosnać. Pora zacząć się rozrastać.

Larwa skręcała całe ciało, wijąc się w uścisku chwytaka, zaczęła wymachiwać ogonem, a w końcu otworzyła maleńkie szczęki w bezgłośnym krzyku.

- Do licha! - zaklął Sprague na widok zaciekle szamoczącego się pasożyta.

- Ostrożnie! rozkazał rzeczowo Wren. - Nie wypuść jej. Włóż do pojemnika.

Gediman ledwie dostrzegalnie pokiwał głową. Wiedział, że istota nie ma prawa mu się wyrwać, mimo iż wiała się, walczyła i skręcała w uścisku chwytaka. Umieścił ją w zbiorniku owodniowym i wypuścił dopiero wtedy, gdy pokrywa była prawie opuszczona.

Uwolnił larwę i błyskawicznym ruchem usunął chwytak, pozostawiając małą istotę zamkniętą w szczelnie zapieczętowanym inkubatorze.

- Wspaniale! - wykrzyknął Wren. - Świetna robota, Gediman. - Ścisnął mu ramię w geście podziękowań.

Chirurg wypuścił długo wstrzymywany oddech, a Sprague ponownie otarł mu spoczone czoło. Gediman poczuł, że zaczyna się rozluźniać i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był spięty przez cały czas operacji.

- Dziękuję, doktorze Wren.

Wszyscy patrzyli, jak niewielki inkubator, z małą istotką wściekle szamoczącą się w środku, opuszcza salę chirurgiczną w ten sam sposób, jak został tu sprowadzony. Kinloch i Fontaine będą towarzyszyć mu w drodze do pomieszczenia rozrostowego i monitorować, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Gediman spojrzał na pomost obserwacyjny i ujrzał pozostałych członków zespołu; uśmiechali się do niego, a Kinloch wznosił w górę oba kciuki. Uśmiechnął się do nich w odpowiedzi. I w końcu ponownie przeniósł wzrok na Ripley.

Zdejmując wizjer z wahaniem spojrzał na Wrena.

- No i co? - Wskazał na wciąż śpiącą w swym pomieszczeniu Ripley.

- Z żywicielem? - zapytał Wren, nawet na nią nie patrząc.

Gediman zerknął na odczyty.

- EKG w normie. Wszystko z nią w porządku. Przerwał, jakby uświadomił sobie, że błaga o litość dla Ripley. Wren i tak uważał, że jego stosunek do tego okazu jest zgoła nieprofesjonalny. Musiał uważać na to, co mówi; Wren nie podjął ostatecznej decyzji co do jej losu. Gediman czekał w napięciu.

Wren zlustrował ekrany, po czym przez chwilę przyglądał się Ripley. W końcu mruknął:

- Zaszuj ją.

Gediman o mało nie zawołał głośno „dziękuję!”. Wiedział, że Wren jako szef ekipy naukowej jest władny wydać decyzję o jej zniszczeniu. Nie wiedzieć czemu Gediman czuł, że nie potrafiłby się z tym pogodzić. Taka strata! Zwłaszcza po tym, jak wiele dokonali i ile trudu ich to kosztowało.

- Dan - Wren zwrócił się do swego asystenta - podejdź tu, dobrze? Wydaje mi się, że Gediman ma już dość ekscytujących wydarzeń jak na jeden dzień.

Gediman uśmiechnął się i skinął na Dana.

- Jasne - potaknął Sprague. - Z przyjemnością.

Gediman jeszcze raz, automatycznie, spojrzął na odczyty. Anestezja, respiracja, rytm serca, wszystko wyglądało doskonale. Pozwolił, by Wren odsunął go na bok.

- Świetnie - rzekł Gediman pełnym ekscytacji głosem. - Poszło wyśmienicie, jak z resztą można się było spodziewać.

- Dużo lepiej, doktorze - powiedział z szacunkiem Wren. - Dużo, dużo lepiej.

Coś kazało się jej obudzić. Zignorowała ten impuls. Kiedy się obudzi, sny staną się rzeczywistością. Kiedy się obudzi znów będzie istnieć, a przecież w nieistnieniu zawierał się spokój. Żałowała, że błogość już wkrótce może dobiegnąć końca.

Coś kazało się jej obudzić. Stawiła temu opór. Powoli zarejestrowała słabe, niewyraźne odczucie czegoś poza nią. Coś się z nią działo. Coś jej odbierano.

Coś, co chciała, żeby zabrano? Nie mogła sobie przypomnieć. Mimo zimna, mimo jasności otworzyła oczy. Widziała wszystko, co rozgrywało się wokół niej, widziała to doskonale, ale tego nie pojmowała. Dziwna metalowo-plastykowa aparatura poruszała się wokół niej energicznie, zamykając ranę ziejącą w jej klatce piersiowej, podczas gdy inne urządzenie zbliżyło się, by zasklepić ranę. Rozpoznała to odczucie, ból, zbyt słaby jednak,

żeby nie mogła go zignorować. Rozglądała się wokół, aż zebrała potrzebne jej informacje. A potem zrozumiała. Ono zniknęło. Zabrali je. Jej młode. Jakaś jej część odczuła niewyobrażalną ulgę, inna część zapalała z wściekłości. Balansowała pomiędzy tymi odczuciami, nie rozumiała do końca żadnego z nich, doświadczając huśtawki emocjonalnej, gdy tak leżała w bezruchu, patrząc na chirurgiczne ramiona.

Dwa z tych mechanicznych ramion, skonstatowała, były w jakiś sposób połączone fizycznie z jedną z istot patrzących przez dziwną, przezroczystą skorupę, wewnątrz której była uwięziona. Istoty otaczały ją, patrzyły na nią sądząc zapewne, że jest bezbronna. Ramiona poruszały się i kołysały wykonując swoją pracę, realizując zadania, których nie pragnęła, o które nie prosiła ani których nie pojmowała.

Obserwowała istotę manipulującą ramionami, która z taką uwagą się jej przyglądała. Nie odczuwając gniewu ani ulgi sięgnęła błyskawicznie i chwyciła przedramię istoty ukrywającej się przed nią za przezroczystą skorupą jaja. Z pewną dozą zaciekawienia, używając tylko części swej siły, przekręciła je ot tak, by przekonać się, co się stanie.

To okazało się całkiem interesujące. Istota natychmiast przestała ją krzywdzić. To dobrze. Przekręciła jeszcze bardziej i rozległ się dziwny trzask, a potem poczuła, jak część istoty znajdująca się wewnątrz zaczyna się poddawać i pęka. Jeszcze ciekawsza była reakcja istot zgromadzonych na zewnątrz przezroczystej skorupy. Ta połączona z ramieniem jęła dziko wymachiwać wolną ręką i tłuc nią w powłokę jaja; jej usta otworzyły się szeroko, jakby miała zamiar ją ugryźć. Zabawne. Zastanawiała się, czy to wydawało jakieś dźwięki. Dziwna skorupa jaja, w którym leżała, nie przepuszczała żadnych dźwięków z zewnątrz - słyszała tylko własny oddech.

Zamrugnęła i znów przekręciła ramię. Kolejne gwałtowne ruchy. Coraz więcej istot biegało wokół tej, którą pochwyciła. Próbowaly ją odciągnąć, szarpały, otwierając i

zamykając swe małe, nieefektywne usta, wymachując ramionami. To było takie podniecające. Jedna z istot odepchnęła inne na bok i spojrzała na nią, leżącą wewnątrz jaja. Zmierzyła ją dzikim wzrokiem; małe oczy istoty rozszerzyły się do granic możliwości. Istota zaczęła uderzać w urządzenia po swojej stronie skorupy, manipulując czymś, czego ona nie widziała. Nagle poczuła, że jej powieki stają się ciężkie.

Bardzo tego żałowała. Nie chciała zasnąć. Chciała poobserwować te istoty i jeżeli to możliwe, nauczyć się od nich czegoś. Co więcej, chciała wydostać się stąd... Ale sen zmorzył ją, zanim zdążyła naprawdę się tym przejąć...

W ciągu kilku sekund nastroje w sali operacyjnej zmieniły się z radosnych w minorowe.

Zapanował chaos. Wren słyszał upiorny trzask i zgrzyt miażdżonych kości ręki Dana Sprague'a z odległości dziesięciu stóp, gdzie obaj z Gedimanem stali dyskutując o obcym embrionie. Krzyki Dana dotarły do najdalszych zakątków stacji.

W sterylnym pomieszczeniu zjawili się wszyscy znajdujący się w pobliżu członkowie zespołu, żołnierze i obserwatorzy, radośnie łamiąc wszystkie surowe prawa obowiązującego ich protokołu, którego mieli bezwzględnie przestrzegać. I żaden z nich nie był w stanie uwolnić Sprague'a z uchwytu żywicielki.

To było coś bezprecedensowego. Nieoczekiwanego. Ekscytującego! Wren przesunął się bliżej szyby, aby móc przyjrzeć się żywicielowi i ofierze oraz przejąć kontrolę nad sytuacją.

Wszyscy wykrzykiwali sprzeczne rozkazy, podczas gdy Dan wciąż krzyczał na całe gardło...

...A ona leżała, przykryta tak jak dotychczas, z na wpół zamkniętą raną klatki piersiowej i twarzą beznamiętną jak u sfinksa, podczas gdy z rozmysłem skręcała jedną ręką metalowe ramię.

Wren rzucił się do urządzeń kontrolnych i gorączkowo manipulował przy nich, radykalnie wzmacniając dawkę środka usypiającego.

Gediman był tuż przy nim, zaniepokojony o los swej ulubienicy.

- Niech jej pan nie zabija, doktorze Wren, proszę jej nie zabijać!

Żywicielka leniwie zamruwała powiekami, ale wciąż nie puszczała doktora Sprague'a. Jej oczy poruszyły się, zdawały wpatrywać się we Wrena. Patrzyła wprost na niego, w głąb niego, przeszły go wzrokiem na wskroś. Ciarki przeszły mu po plecach. A potem powieki żywicielki opadły powoli; w kilka sekund później jej uścisk zelżał.

Clauss i Watanabe w ciągu kilku sekund umieścili Dana na noszach, z wprawą badając jego pogruchotane ramię. W kilku miejscach ostre kawałki kości przebiły skórę i materiał sterylnego kombinezonu. Ramię było tak zmasakrowane, że dłoń skierowana była w zupełnie inną stronę, niż powinna. Z ramienia Dana buchała krew, zachlapując kombinezon i spływając na podłogę. W sterylnym pokoju, pomalowanym na bijący w oczy biały kolor i neutralne odcienie, czerwień krwi była tym bardziej rażąca.

Przynajmniej był sterylny, pomyślał z typowo lekarskim podejściem Wren. Powinniśmy uniknąć infekcji mimo pojawienia się tu tych wszystkich ludzi.

Z zadowoleniem stwierdził, że Watanabe przejął opiekę nad rannym. Zanim tutaj dotarł, był ortopedą.

Młody lekarz oderwał wzrok od wijącego się z bólu pacjenta.

- Doktorze Wren, chciałbym przenieść Dana do sali operacyjnej C i natychmiast przygotować do zabiegu.

- Rób swoje, Yoshi - zgodził się Wren. - Brian i Carlyn mogą ci asystować. Potrzebujesz jeszcze kogoś?

- Nie. Powinni mi wystarczyć - zapewnił Watanabe, po czym dał znak żołnierzom, by wynieśli nosze z sali. Za nimi z pomieszczenia wyszli również wszyscy inni z wyjątkiem Gedimana.

Gediman powrócił do urządzeń kontrolnych, wprawnie pomimo panującego wokół chaosu zasklepiając ranę na klatce piersiowej żywicielki. Wren musiał go za to pochwalić.

Gediman wydawał się jednak poruszony. Wren zastanawiał się, czy wstrząsający atak żywiciela nie okazał się dlań widowiskiem ponad siły.

- Nic ci nie jest? - zapytał Wren. W sali znów zapanowały cisza i spokój sterylnej atmosfery. O dramacie, jaki się tu wydarzył, mogły świadczyć jedynie ślady krwi na podłodze.

Gediman zdecydowanie pokiwał głową. Dokończył „zszywanie” i wycofał instrumenty. Żywicielka spała spokojnie, a sala chirurgiczna stała się na powrót ściśle strzeżonym pomieszczeniem pooperacyjnym.

- Czuję się świetnie - rzekł z naciskiem Gediman pomimo lekkiego drżenia głosu. - I... jestem panu wdzięczny, doktorze. Doceniam to, co pan zrobił... a raczej czego pan nie zrobił, że nie poddał jej pan eutanazji. Wydaje mi się, iż był to tylko nieszczęśliwy wypadek...

Wren skupił całą swoją uwagę na osobie protegowanego.

- Gediman, w tym, co się stało, nie ma nic nieszczęśliwego. Dan wydobrzeje. A my wiemy o naszym żywicielu coś, czego dotąd nie uwzględniliśmy... Coś, czego nie mogliśmy przewidzieć. W gruncie rzeczy dobrze się stało, że się tak stało.

Uśmiechnął się do Gedimana świadom, że ujawnia swe podniecenie wywołane niespodziewanym rozwojem wypadków i patrzył, jak jego pomocnik z wolna dochodzi do wniosku, że stosunek Wrena do żywicielki diametralnie się odmienił. Gediman uświadomił sobie, iż Wren nie traktuje już żywicielki jako ciężaru, lecz jako atut. Gediman długo argumentował przeciwko eksterminacji okazu, ale Wrena interesowały jedynie informacje, które mógł uzyskać od trupa podczas sekcji. Teraz natomiast Wren stał się jego sojusznikiem, co zadecydowało o ostatecznym losie żywicielki.

Gediman odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do Wrena.

- Wkrótce będziemy wiedzieć więcej - oznajmił Wren - zarówno o żywicielach jak i o obiekcie. To powinny być dla nas obu nader interesujące dni, nieprawdaż, Gediman?

Jego asystent uśmiechnął się.

- O tak, doktorze. Zapowiadają się doprawdy bardzo ciekawie.

2.

Kuliła się w mroku, usiłując stać się jak najmniejsza i badała jednocześnie otoczenie.

Przynajmniej była już na tyle świadoma, że mogła tego dokonać. Oświetlenie było minimalne, lecz tym się nie przejmowała. Widziała wszystko, co jej było potrzebne. Miejsce, w którym się znajdowała, było dostatecznie duże, by mogła w nim stanąć, przeciągnąć się, a nawet pochodzić w kółko, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. I nie zrobi, póki nie dowie się czegoś więcej. Oddychała powoli, cicho, zwinięta w kłębek. Zbierała informacje i rozmyślała.

W pomieszczeniu prócz niej nie było nikogo. Nie było tu wody, ubrań, mebli, niczego co mogłaby wykorzystać, żeby zrobić krzywdę sobie lub innym. Przykryta była cienkim białym prześcieradłem, pozostałością z sali operacyjnej.

W suficie nad jej pomieszczeniem widniał mały świetlik i nagle przesunął się przezeń mroczny cień, a ona mimowolnie znieruchomiała. Nie poruszała się, nawet nie oddychała, koncentrując się na osobie rzucającej cień. Po chwili ujrzała buty, ale pojawiły się przy świetliku tylko na moment. A więc była obserwowana. Dobrze wiedzieć.

Wiele minut potem, kiedy upewniła się, że obute stopy nie powrócą, zaczęła oszacowywać sytuację, w jakiej się znajdowała. Umysł wciąż miała lekko przyćmiony po długim śnie i środkach nasennych otrzymywanych na sali operacyjnej.

Operacja. Dlaczego miałam operację? Czy byłam chora? Odegnęła od siebie te myśli.

Przyprawiały ją o konsternację. Zaczeka i spróbuje się czegoś dowiedzieć.

Swędziała ją twarz. Dotknęła jej i lekko podrapała. Skóra, wciąż wilgotna i delikatna, zaczęła schodzić długimi, cienkimi płatami. Skóra pod nimi była bardziej sucha i twardsza. Zaczęła drapać się delikatnie, zdzierając przy tym długie pasma śliskiej skóry, które wyrzucała. To było przyjemne.

Równocześnie natrafiła na bliznę biegnącą przez całą długość klatki piersiowej. Powiodła palcami po gładkiej, doskonałej kresce. Była wrażliwa, ale nie za bardzo. Unosząc prześcieradło przyjrzała się ranie. Trochę ją to zaniepokoiło, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Gdy wodziła palcem po śladzie na piersi, nagle, nie wiedzieć czemu, zainteresowała się własną dłonią i wysunęła ją spod prześcieradła. W tej dłoni było coś dziwnego, coś nieznanego, nietypowego. Przyjrzała się smukłym delikatnym (pięciu!) palcom, aż w końcu jej wzrok zatrzymał się na paznokciach. Były długie, silne, wyjątkowo ostre. Wyglądały dziwnie, ale to były przecież jej paznokcie. Mimo to czuła się tak, jakby nigdy ich wcześniej nie widziała. Jakby do niej nie należały.

Zaniepokojona, nie wiedzieć czemu włożyła jeden z nich do ust i zaczęła żuć, usiłując go skrócić lub odgryźć. Okazał się za twardy, przynajmniej dla jej zębów.

Kiedy przygryzała paznokieć, dostrzegła po wewnętrznej stronie przedramienia, przy łokciu, jakąś ciemną plamę. Natychmiast zapomniała o paznokciach i wyciągnęła rękę, aby przyrzeć się temu czemuś uważniej. Na jej skórze widniał jakiś znak. Wyteżyła pamięć. To numer. Numer osiem.

Dotknęła go, po czym cofnęła dłoń. Co to mogło oznaczać? Instynkt podpowiadał jej, że nie było to jej imię, a numer był za krótki jak na kod identyfikacyjny.

Numer osiem.

Kiedy tak nań patrzyła, usiłując zrozumieć jego znaczenie, usłyszała ciche brzęczenie.

Mały latający żywy obiekt, który zaczął nagle krążyć nad jej głową, na chwilę przykuł jej uwagę. Przyglądała mu się zafascynowana. Wtem obiekt zniżył lot i przysiadł na jej przedramieniu, tuż obok tatuażu. Obserwowała go cierpliwie, z zaciekawieniem. Co to było?

Co mogło zrobić?

Ostrożnie uniosła rękę, aby móc się lepiej przyjrzeć. Mały organizm miał długie drobne odnóża, delikatne skrzydełka i długą ssawkę. I wtedy sobie przypomniała.

Komar!

Nieomal się uśmiechnęła; wspomnienie było takie wyraziste. To owad. Komar. Patrzyła, jak niczym tancerz balansuje na jej ramieniu.

Powoli zagłębił ssawkę w ciele jej ramienia, czyniąc to tak delikatnie, że nic nie poczuła.

To co się działo, zdumiało ją; patrzyła z posępną fascynacją małego dziecka. Owad zaczął ssać.

Moja krew! On pije moją krew!

W jej umyśle odnalazła się kolejna informacja dotycząca zachowań tych owadów, podczas gdy obserwowany organizm sycił się do woli jej krwią.

I nagle w ciągu paru sekund owad zaczął się zmieniać. Jego napęczniały odwłok skurczył się, przezroczyste skrzydełka zaczęły się zwijać, delikatne odnóża podwinęły się ku górze, jak gdyby organizm topił się od wewnątrz. Kilka chwil i pozostała zeń tylko wyschnięta na wiór czarna skorupka. Pusta, martwa powłoka.

Zamrugnęła, zaciekawiona przemianą, ale trwało to jedynie krótką chwilę. Dmuchnąwszy na przedramię pozbyła się truchełka owada i natychmiast wyrugowała go z pamięci. Unosząc wzrok ku świetlikowi oczekiwała na kolejne pojawienie się obutych stóp.

3.

Nazwisko? - zapytała płatniczka sprawdzając listę pasażerów.

- Purvis - odrzekł automatycznie mężczyzna. - Larry, numer karty identyfikacyjnej dwanaście, siedem, czterdzieści dziewięć. Podał jej swój chip.

Przyjęła go, wsunęła do ręcznego czytnika i zaczęła, aż na monitorze ukaże się informacja. Uśmiechnęła się i skinęła przyjaźnie głową.

- Tożsamość potwierdzona. Witamy na pokładzie, panie Purvis.

Niski, szczupły mężczyzna odpowiedział uśmiechem. „Panie Purvis”. Spodobało mu się. Korporacja Xarem miała opinię wyjątkowo prężnej organizacji z przyszłością i jak dotąd wszystko to potwierdzało. Płaniczka gestem skierowała go w stronę statku, aby zająć się stojącą za nim kobietą, toteż niezwłocznie pomaszerował przed siebie, wypatrując znaków prowadzących do komór kriogenicznych. Statek był mały, przeznaczony wyłącznie do transportu i nawet załoga, kiedy jednostka znajdzie się już na kursie i opuści System Słoneczny, zapadnie w hibernacyjny sen.

Purvis nie martwił się, czy lot będzie przebiegał w komfortowej atmosferze. Zgodnie z informacjami, dzięki którym wybrał się w tę podróż, wszystko czego mógł pragnąć, oczekiwało nań w rafinerii niklu na Xaremie. Nazwą korporacji ochrzczono całą cholerną planetę. Wcześniej, zanim rozpoczęto tam prace wydobywcze, była to jedynie pozycja na liście, jedna z wielu planet, opatrzona stosownym numerem. Kilka miesięcy drzemki i znajdzie się na miejscu. Nowa kariera. Nowy początek. Nieźle jak na faceta w średnim wieku.

Nie będzie tęsknić za życiem, które pozostawiał tu, na Księżycu. Przez dwa lata bez powodzenia usiłował ułożyć stosunki z żoną. Jego dzieci dorosły i odeszły na swoje, najwyższy czas, aby zająć się własnym życiem. I nie wyglądało na to, że wstępuje do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Warunki na Xaremie podobno były luksusowe.

Wtem ogarnęła go dojmująca tęsknota, ukłucie samotności. Potrząsnął głową. Pora

zostawić to za sobą. Przemóc to. Czas ruszać w drogę. Na pewno się uda. To był nowy początek. Nowa przyszłość.

Na Xaremie będzie mógł robić rzeczy, o których na Księżycu nie miał nawet co marzyć.

Ujrzy nowe cuda. Doświadczy nowych doznań. Może nawet znów się zakocha. Był dostatecznie młody... może nawet założy nową rodzinę.

Koncentrując się na tej optymistycznej myśli, wspiał się do komory kriogenicznej, na której widniało jego nazwisko. Stewardesa przechodziła wśród umieszczonych horyzontalnie komór hibernacyjnych sprawdzając przewody, poziom mieszanki usypiającej i odczyty komputera. Była piękna i dokładna. Purvisowi bardzo się spodobała.

Włożył swoje bagaże do przegrody w komorze i ułożył się na wygodnych poduszkach.

Łagodna muzyka odprężała, podczas gdy delikatny, kobiecy głos informował go o oczekującej nań nowej karierze na Xaremie. Uśmiechnął się zamykając oczy i czekał, aż ogarnie go przejmujący chłód kriogenicznego snu.

Największa przygoda jego życia właśnie się zaczynała.

Geidiman zakończył osłuchiwanie Ripley siedzącej w bezruchu na stole do badań. Odkąd wypuścili ją z pomieszczenia pooperacyjnego, była wzorową pacjentką. A ponieważ współpraca przebiegała bez zarzutu, Gediman odprawił uzbrojonego wartownika, który stale nad nią czuwał, by podczas badania Ripley mogła nacieszyć się choć odrobiną intymności.

Naturalnie po drugiej stronie wciąż czuwało dwu uzbrojonych żołnierzy.

Ale choć Ripley nie przejawiała oznak gwałtownego zachowania, jak poprzedniego dnia na sali operacyjnej, Dan Sprague, dochodzący do siebie w swojej kwaterze, nie skorzystał z zaproszenia do wzięcia udziału w porannym badaniu pacjentki. Reszta zespołu zareagowała w podobny sposób, gdy dowiedziała się, że Ripley ma zostać sprowadzona do ambulatorium, i przezornie trzymała się na dystans. No i dobrze. Każdy z nich miał do wypełnienia mnóstwo

innych obowiązków. A poza tym Gediman nie obawiał się jej. Był nią zafascynowany.

Cieszył się z każdej chwili, którą mógł spędzić z nią sam na sam, badając ją i odkrywając jej zdolności oraz możliwości

Jesteś niczym współczesny doktor Frankenstein, prawda, Gediman? A to twoja narieczona... Obchodząc Ripley stanął z tyłu za jej plecami i rozchylił poły rozciętej z tyłu szpitalnej koszuli, po czym obejrzał uważnie cztery ukośne blizny po obu stronach jej kręgosłupa. Blizny były zgrabne i czyste, pozostałość po zdeformowanych wypustkach grzbietowych, które jej ciało usilnie starało się wyhodować. Usunięcie ich było dziełem Wrena, który, należy to przyznać, zrobił doprawdy wyśmienitą robotę. Na szczęście wypustki te były tworamami szczątkowymi, całkowicie bezużytecznymi i usunięcie ich nie wpłynęło negatywnie na jej rozwój.

Stanął przed nią, wiedząc doskonale, że ani na chwilę nie przestała go obserwować, nawet kiedy znajdował się za jej plecami. Miał wrażenie, że była wiecznie czujna, w pełni gotowa... do czegoś. Pragnął ją uspokoić, sprawić, by przestała się przejmować, by się odprężyła.

- Ripley – rzekł cicho, tym samym tonem, którego używał w stosunku do dzieci podczas innego eksperymentu. – Pobiorę ci teraz krew. Poczujesz ukłucie, ale nie obawiaj się, nic ci nie grozi.

Patrzyła na niego, nie przejawiając najmniejszej nawet reakcji. Poruszał się wolno, aby mieć pewność, że w żaden sposób jej nie spłoszy. To bardziej przypominało pracę z dzikim zwierzęciem niż z dzieckiem. Poruszają się tylko jej oczy. Ciało jest nieruchome, spięte.

Niemal żałuję, że ona nie ma ogona, który mogłaby prężyć, zdradzając, w jakim jest nastroju.

Powoli przygotował i założył jej opaskę uciskową, po czym wziął specjalnie wykonaną strzykawkę i probówkę na krew. Sporządzono je według starych wzorców, ale przy użyciu

najnowocześniejszej, kosmicznej technologii. Ostrożnie wprowadził igłę, po czym nałożył na nią probówkę, zanim z ranki zdążyła wypłynąć choć jedna kropla krwi. Przezroczyste naczynie wypełniło się szybko ciemnoczerwonym, spienionym płynem. Ona nawet nie drgnęła, przyglądając się całej procedurze z tym samym obojętnym spokojem, jaki wykazywała od rana.

Gediman skończył, odłączył probówkę, wyjął igłę z rany na ręku Ripley i w tej samej chwili usłyszał głos Wrena.

- No i jak ma się dziś nasz Numer Osiem? – zapytał starszy naukowiec, spoglądając na wydruk komputerowy, gdzie znajdowały się wszystkie dane na jej temat.

Czy jakikolwiek żywy organizm został przebadany równie starannie? Gediman wątpił w to.

- Wydaję się, że jest w dobrym zdrowiu... – zapewnił Gediman, oznaczając probówkę i wstawiając do odpowiedniego stojaka.

- W jak dobrym? – zapytał Wren

Gediman mógł się jedynie uśmiechnąć.

- W doskonałym! Wyniki wręcz nie mieszczą się w naszych skalach!

Spojrzał na Ripley zastanawiając się, jak postrzegala Wrena, ale jej twarz i zachowanie nie zmieniało się ani na jotę, mimo iż obecnie skupiła całą uwagę na starszym naukowcu.

Patrzyła nań przez półprzymknięte, pozbawione wyrazu oczy.

Gediman ostrożnie, z szacunkiem rozchylił koszulę Ripley, zsuwając ją z przodu, poniżej piersi, aby pokazać Wrenowi to, co uważał za szczególnie istotne.

- Proszę spojrzeć na te blizny! Widzi pan jak się zmniejszają?

Wren patrzył przez chwilę. Jak na lekarza przystało, nie zwrócił uwagi na piękne, okrągłe, obnażone piersi, lecz na ślad po operacji, ciągnącą się między nimi bliznę. Z

niedowierzaniem w głosie zapytał:

- To ślad po...?

- Wczorajszej operacji – skończył niemal radosnym tonem Gediman

- Doskonale – mruknął Wren wyraźnie zadowolony. – Po prostu doskonale

Gediman jak dziecko potakiwał głową. Wiedział dobrze, że Wren nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie widział tak szybkiej regeneracji tkanek.

Wren postąpił krok w stronę nieruchomej kobiety, podczas gdy Gediman ponownie podciągnął Ripley koszulę, zawiązując troczki z tyłu na karku i przywracając jej skromność.

Wren uśmiechał się do Ripley, jakby ją uspokajał. Gediman domyślał się, że tamten nigdy dotąd nie miał okazji pracować z pacjentami, eksperymentalnymi czy nie.

- Świetnie, świetnie, świetnie – rzucił protekcyjnie Wren – wygląda na to, że będziemy dzięki tobie dumnymi...

Ripley zaatakowała, jej ręka wyprysnęła z szybkością węża i schwyciła doktora za gardło. Głos Wrena urwał się w pół słowa.

Zanim Gediman zdążył zorientować się, co zaszło, zeskoczyła ze stołu i wlokąc za sobą szamoczącego się lekarza na drugi koniec pokoju, pchnęła go brutalnie na ścianę. Twarz Wrena nabiegła czerwienią, nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Gediman patrzył z wytrzeszczonymi dziko oczyma na kobietę, która zachowując się przez całe badanie jak manekin wybuchnęła nagle gniewem. Zaciskając palce jednej ręki na szyi Wrena, prawie bez wysiłku podciągnęła naukowca w górę. Gediman zastygł w bezruchu, widząc jak Wren sinieje, usta wykrzywia mu upiorny grymas, a pięty nie sięgających już podłogi stóp bezsilnie kopią ścianę. Ripley zaczęła teraz dusić go oburącz, a choć naukowiec rozpaczliwie chwycił, szarpał i drapał jej nadgarstki, jego wysiłki nieodmiennie spełzały na niczym.

Oczy Ripley nie były już beznamiętnymi szparkami. Rozszerzyły się, w pełni świadome,

a w ich wnętrzu płonął gniew. Gediman zdumiał się słysząc, jak wypowiada pierwsze słowo.

- Dlaczego? – zwróciła się do lekarza, którego zabijała.

- O Boże...! – wyszeptał Gediman ogarnięty w równym stopniu paniką jak duszony Wren

Zrób coś! Wrzasnął głos w jego mózgu i naukowiec obrócił się na pięcie, szukając, usiłując

sobie przypomnieć... Alarm! Alarm! Trzasnął otwartą dłońią w czerwony guzik na

przeciwległej ścianie. Szamotanie Wrena słabło coraz bardziej. Zawyły syreny, zabłyśły

obracaające się światła, ale Ripley nawet tego nie zauważyła, lecz z rozmysłem, wolno

nieubłaganie wyduszała życie ze swej ofiary, skupiona na jednym celu. Drapieżca.

Pneumatyczne drzwi rozsunęły się, do pomieszczenia wpadli strażnicy. Jeden z nich, z

napisem DISTEPHANO na hełmie, podbiegł do kobiety i wymierzył w nią z karabinu.

- Puść go! - zawołał, składając się do strzału. - Puść go albo będę strzelał!

Z przyłożenia! Pomyślał Gediman przerażony, właduje jej ładunek pełnej mocy. Mógł by

jednym takim powalić szarżującego nosorożca. To ją zabije...! Patrzył raz na Ripley, raz na

posiniałego na twarzy Wrena.

Trzeba ją powstrzymać, ale...! Wren słabł i kopał coraz mniej energicznie.

- Powiedziałem: puść go! - ryknął Distephano pewnym, w pełni kontrolowanym głosem.

Drugi żołnierz, kobieta, która wbiegła do pomieszczenia, działała z nim w idealnej harmonii,

ustawiając się tak, by móc ochronić kolegę.

Ripley spojrzała przez ramię na uzbrojonego żołnierza i jego partnerkę, po czym wyraz

jej twarzy zmienił się, wróciła do stanu beznamiętnego, potulnego manekina. Przez pół

sekundy nikt się nie poruszał, podczas gdy palec Distephano, oparty na spuście broni,

naprężył się niemal niedostrzegalnie. I wtedy kobieta prawie obojętnie rozwarła palce, jak

gdyby Wren przestał ją interesować. Ciało z głuchym łoskotem wylądowało na podłodze.

Grediman spojrzał na starszego naukowca, pragnąc podejść do niego, służyć pierwszą

pomocą, upewnić się że nie zmiażdżyła mu tchawicy, lecz bał się poruszyć, bał się choćby drgnąć, bał się, że Ripley ponownie wpadnie w szal, albo że żołnierze poczęstują go ogniem.

Naraz Wren chrapnął i ze świstem nabrał powietrza do udręczonych płuc, a jego twarz zmieniła barwę z sinej na ciemnoczerwoną. Rozpaczliwie, z ulgą zaczerpnął tchu.

Distephano odważnie postąpił naprzód, popychając Ripley na środek pokoju.

- Na podłogę! Twarzą do dołu! Już! - rozkazał zimnym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Nawet nie drgnęła; dorównywała mu wzrostem i wpatrywała się zuchwale w jego oczy.

Żołnierz strzelił do niej. Ładunek elektryczny odrzucił Ripley do tyłu, na znajdujące się tam urządzenia i próbki.

- Nie! - wrzasnął Gediman wysokim, piskliwym, histerycznym głosem. Czy ten głupol ją zabił?

Żołnierze zbliżyli się do kobiety, która leżała bezładnie na brzuchu, z dziwnie powykręcانymi i bezsilnymi kończynami. Byli gotowi do oddania drugiego, tym razem zabójczego strzału.

Zanim Gediman zdążył cokolwiek zrobić, Wren podniósł się na klęczki i zamachał ręką do wojskowych. Jego głos, kiedy zawołał: "Nie, nie, nic mi nie jest! Cofnijcie się..." brzmiał ochryple i nienaturalnie.

Za późno! Chciał krzyknąć Gediman. Za późno, tyle pracy, a teraz ona nie żyje. Jest martwa albo w takim stopniu uszkodzona...

Ripley jęknęła, przetoczyła się powoli na plecy i dysząc jęła rozglądać się po pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy. W jakiś sposób odnalazła wzrokiem Gedimana i utkwiała w nim oczy. Zdumiony, odpowiedział spojrzeniem. Wciąż była sprawna! Jej umysł nadal działał! Po otrzymaniu tak silnego postrzału!

Spoglądała na Gedimana niepewnym wzrokiem, a z jej ust wypłynęło ciche:

- Dlaczego?

Gediman usłyszał to pytanie i poczuł, jak rodzi się w nim lęk. Co by się stało, gdyby się dowiedział?

Ukradkiem raz jeszcze sprawdziła pęta. Trzymały mocno i nieustępliwie. Rozluźniła się.

Mężczyzna siedzący na wprost niej i mówiący coś nawet tego nie zauważył. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co robiła, chociaż znajdowała się ledwie o jeden długi krok od niego.

Podobnie jak uzbrojony, czujny strażnik tuż przy niej. Jacy tępi są ci ludzie. Tępi, delikatni i powolni. Niemniej potrafili tworzyć skuteczne urządzenia, urządzenia dające im przewagę.

Mimo przyrodzonej tępoty, powolności i delikatności. Tak jak to urządzenie, które ją właśnie unieruchamiało. Było wygodne i mocniejsze, niż się wydawało. Zmuszona, by w nim usiąść, nie była się już w stanie podnieść. Nie mogła uwolnić rąk ani reszty ciała. Kiedy zamykali ją w tym czymś, mogli przenosić ją, gdzie chcieli i zrobić z nią, co się im żywnie podobało.

A ona mogła tylko siedzieć. Siedzieć i czekać. Była w tym dobra. Lepsza niż ci ludzie. A przynajmniej tak się wydawało.

Człowiek na wprost niej mówił. Mówił, mówił i mówił. Mówił tak długo, że z przyjemnością zmiażdżyłaby mu gardło, tylko po to, żeby go uciszyć. Starał się skłonić ją do mówienia, bo teraz wiedział już, że umie, może mówić. Próbował nakłonić ją rozpoznania prostych wizerunków i powtarzania ich nazw. Trwał oto blisko godzinę. Zanudził ją na śmierć.

Uniósł w górę obrazek budynku i wymówił jego nazwę, "D-O-M". Nie odpowiedziała, toteż przeliterował ją jeszcze raz z niezmożoną cierpliwością, łagodnym starannie modulowanym głosem. "D-O-M". Patrzyła na niego bez słowa, chcąc go zdenerwować. Przeliterował słowo po raz trzeci.

Na białym kombinezonie miał plaketkę z napisem KINLOCH. Na hełmie strażnika

widniało: VEHRENBURG. Napis nad urządzeniem otwierającym drzwi głosił: PRZED OTWARCIEM TYCH DRZWI NALEŻY WEZWAĆ WARTOWNIKA. Tenże napis widniał poniżej w sześciu innych językach, w tym także po arabsku i japońsku. Wiedziała, że tak jest, gdyż umiała czytać w tych językach. Nie pytała samej siebie, jakim cudem to potrafi, podobnie jak nie zastanawiała się, dlaczego umie oddychać, myśleć lub zabijać. Po prostu to robiła.

Kinloch pokazał jej kolejny obrazek: "O-K-R-E-T".

Zastanawiała się, czy ma kości równie kruche jak tamten mężczyzna za szybą, człowiek, który robił z nią coś za pomocą mechanicznych ramion. Owe myśli zajmowały ją jeszcze przez kilka chwil. Kiedy piąty raz powtórzył to samo słowo uznała że ma już dość. Ze znużeniem wymamrotała: "Okręt".

Mężczyzna wydawał się tak uradowany, że natychmiast tego pożałowała. Pokazał jej następny obrazek. Tym razem powtórzyła słowo natychmiast, byle tylko znów nie zaczął jej zanudzać: "Pies".

Wszystkie obrazki budziły w jej umyśle pewne skojarzenia, ale żaden nie ożywił wspomnień szczególniejszej natury. Były to rzeczy mające swoje nazwy, nazwy proste, nazwy, które znała. Ćwiczenie nie miało sensu; spojrzała na stos rysunków leżących przed Kinlochem i o mało nie jęknęła. Było ich tak wiele!

W laboratorium eksperymentalnym generał Martin Allahandro Carlos Perez stał sztywno, jakby kij połknął, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i wpatrywał się w ekran monitora, na którym prezentowano nagranie z sesji testów tej kobiety. Patrzył, choć nie był pewien, czy to aprobuje. Utrzymywanie przy życiu żywiciela po wyjęciu zeń obiektu nie było elementem oryginalnego planu. Nigdy nie brano tego pod uwagę. Kiedy dwaj naukowcy, Wren i Gediman, oraz żołnierze Distephano i Calabrese złożyli szczegółowe raporty o ataku

żywiciela na Wrena, Perez natychmiast ściągnął obu lekarzy do swojego biura "na dywanik".

Mimo iż wszyscy badacze należeli do personelu wojskowego, nie byli żołnierzami, jak on.

Pomimo przeszkolenia wciąż pozostali lekarzami. Nauka wymagała równie żelaznej dyscypliny jak służba wojskowa, ale od niepamiętnych czasów lekarze uważani byli najmniej typowych żołnierzy, wiecznie kwestionujących rozkazy i burzących ustalony ład. Ich pierwszym i nadrzędnym zadaniem było poszukiwanie wiedzy, podczas gdy zwykły żołnierz podlegał przede wszystkim swojemu dowódcy i jednostce, a jego bogami były dyscyplina oraz porządek. Nauka i system wojskowy często nie były w stanie iść ze sobą w parze, żywiciel zaś... ta kobieta... stanowił jawny tego dowód.

Otrzymała postrzał z przyłożenia, pełną moc ładunku, który ledwie ją oszołomił. Czymże ona jest, u diabła? I czego chcą od niej ci dwaj? Na co liczą?

Perez wiedział jedno. Pomysł z pozostawieniem jej na statku ani trochę nie przypadł mu do gustu. Absolutnie.

Dwaj naukowcy - którzy wciąż starali się udobruchać go, po tym jak zmuszono ich, by potwierdzili, że zachowali żywiciela przy życiu, bez oficjalnego powiadomienia go o swych zamiarach, a co dopiero zatwierdzenia tej decyzji - krążyli niespokojnie jak dwie ćmy szukające bezpiecznego miejsca do lądowania. Perez zasępił się, bo przypomniał sobie, że widział dwie ćmy w pomieszczeniach magazynowych. Nie potrafił pojąć, jak tym upierdliwym małym sukinsynom udało się przetrwać tak długo.

- To sprawa bezprecedensowa - wtrącił Wren, podczas gdy kobieta rutynowo rozpoznawała wizerunki na kartach.

- Całkowicie! - powtórzył jak papuga jego kompan, doktor Gediman. - Ona zachowuje się jak osobnik w pełni dorosły.

Dwaj naukowcy wymienili spojrzenia, wydawali się połączeni jakimś rodzajem więzi

telepatycznej.

Perez zmarszczył brwi.

- A jej wspomnienia? - Znow wymiana spojrzeń.

- Są pewne luki - rzekł w końcu Wren z wahaniem. - Zauważyliśmy również, w pewnym stopniu, istnienie dysonansu kognicyjnego.

Perez zastanawiał się, czy Wren naprawdę to wiedział, czy jedynie się domyślał. A może ona skutecznie zamydlała mu oczy. Już dwa razy zaskoczyła ich nieprzewidywalnymi, niespodziewanymi i bezpodstawnymi atakami przemocy - jeżeli atak drapieżnika można w ogóle określić mianem bezpodstawnego. Do czego jeszcze mogła być zdolna?

Perez był odpowiedzialny za wszystkie na tym statku, również za tych dwóch kretynów.

Czy mógł usprawiedliwić dalsze trzymanie na pokładzie tego... tej... Czym ona w ogóle jest, u kurwy nędzy? Czy miał dość odwagi, by nadal utrzymywać ją przy życiu i postawić na szali życie wszystkich innych, tylko że dzięki niej ci dwaj cholerni idioci mieli okazję pobawić się w doktora?

Wren był wyraźnie zaniepokojony brakiem entuzjazmu ze strony Pereza. Przetarł ekran monitora, za którym lekarz pokazywał żywicielce obrazek przedstawiający wielkiego pomarańczowego kota. Spojrzała nań, zawahała się, po czym odwróciła wzrok, marszcząc brwi, jakby szukała czegoś w pamięci.

To ciekawe, pomyślał Perez.

- Ona jest porąbana! - zawyrokował Gediman.

Wren spojrzał na niego z dezaprobatą. Perez wiedział, że Wren nie znosi tego typu nieprofesjonalnego, subiektywnego języka.

Perez z niejakim rozbawieniem obserwował, jak więzy przyjaźni między tymi dwoma zaczynają się rozluźniać.

Żadnej dyscypliny. Żadnej lojalności. Ani śladu skupienia. Jedynie ciekawość. Może to ona zabiła kota, na którego nie chciała patrzeć "żywicielka".

Zauważył autorytatywnie:

- Ona ma kłopoty z łączeniem faktów i zjawisk. To rodzaj autyzmu emocjonalnego.

Pewne reakcje...

Perez przestał go słuchać. Wren przypominał mu polityka... jego słownictwo mogło być rozbudowane i bogate, ale i tak mało było w nim treści. Perez wciąż przyglądał się kobiecie. Cały czas była tym, czym była. W każdym razie zewnątrz. Nie podobało mu się, że Wren próbował temu zaprzeczyć. Zlikwidują ją czy też nie, i jakkolwiek opiszą w naukowym żargonie, to nie wymaże jej osobowości ani woli przetrwania.

Naukowiec przebywający w pokoju razem z Ripley odłożył obrazek kota i wybrał kolejny. Był to jakby wykonany ręką dziecka wizerunek małej, jasnowłosej dziewczynki. Ciało skrępowanej pasami kobiety nagle zeszywniało. Wyraz znużenia prysł, oblicze zmieniło się, wypełniła je czujność i uwaga. Spojrzała na rysunek wyraźnie zaskoczona. I nagle jej czoło zmarszczyło się, a oczy złagodniały. Przez chwilę wydawało się, że się rozpłacze. Zmiana była zaskakująca i na chwilę ujawniła jej ukryte człowieczeństwo. Nawet naukowiec w pokoju przeżył wstrząs i usiadł bez słowa, rezygnując z próby nakłonienia jej do powtórzenia przeliterowanego przezeń słowa. Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało. Nie byli w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Rysunkowa postać dziecka zafalowała przed jej oczami, a jej ciało zeszywniało w pętach. Jej dziecko! Jej młode! Nie, nie jej... Tak, moje! Moje młode! Obrazek oznaczał jednocześnie wszystko i nic. W umyśle pojawił się potok zmieszanych chaotycznych scen i wspomnień, których nie potrafiła uporządkować.

Parujące ciepło gniazda. Siła i poczucie bezpieczeństwa, jakie dawali inni. Samotność

jednostki i nagła potrzeba odnalezienia...

Małe silne ramiona oplótły jej szyję, małe silne nogi chwyciły ją w pasie. Wokół panował chaos i to ona była tym chaosem. Wojownicy umierali i ginęli. Był pożar. Ogień.

"wiedziałam, że przyjdiesz."

Dojmujący ból straty... Przygniatającej, nieodwracalnej straty zalał jej umysł i całe ciało.

Oczy wypełniły się łzami, aż przestała cokolwiek widzieć. A potem opróżniły się odzyskując ostrość widzenia, by zaraz napełnić się znowu. To oznaczało wszystko... i nie znaczyło nic.

"Mamusiu! Mamusiu!"

Szukała więzi, połączenia z własnym gatunkiem. Poszukiwała siły i bezpieczeństwa, które daje gniazdo, lecz bezskutecznie. Zamiast tego czuła jedynie ból i miała poczucie rozdierającej straty. Była pusta. Wydrążona. Jak nigdy. Patrzyła na doktora trzymającego rysunek i pragnęła zadać mu to samo pytanie, które stawiała innym, pytanie, na które nie spodziewała się uzyskać od nich odpowiedzi.

Dlaczego? Dlaczego?

Któregoś dnia otrzymała odpowiedź. Jeśli nawet nie tu i teraz, to na pewno niedługo.

Echo głosu jej młodego odbijało się rykoszetem w mózgu, ona zaś postanowiła sobie, że za wszelką cenę uzyska odpowiedź. Wydrze im ją. Nieważne, że mieli broń i urządzenia, które ją unieruchamiały. Zrobi to siłą.

Na ekranie kobieta zamrugała energicznie i Perez poczuł, że mimo woli coś w nim drgnęło. Przypomina sobie dziecko, dziewczynkę, którą ocaliła. Jak to możliwe?

- Ale ma wspomnienia - zwrócił się do Wrena, z niejakim wahaniem nawiązując do jego naukowego wywodu. Spojrzał na lekarza:

- Dlaczego tak się dzieje?

Wren był równie zdumiony. Nie potrafił tego ukryć. Odwrócił wzrok od ekranu monitora

i zaczął zastanawiać się nad ewentualnym wyjaśnieniem.

- Cóż... to może być... pamięć zbiorcza. Przekazywana przez Obcych genetycznie z pokolenia na pokolenie. Coś w rodzaju wysoce rozwiniętej formy instynktu. Może jest to mechanizm przetrwania mający ich jednoczyć i podtrzymywać ciągłość gatunku niezależnie od cech osobowych przejmowanych za sprawą różnych żywicieli. - Wysilił się na lekki uśmiech.

- Niespodziewane dobrodziejstwo dryfu genetycznego.

Czy on sądzi, że jestem takim samym dupkiem jak on? Prezes patrzył na niego nie mrugając, niczym basior naprzeciwko swego rywala ze stada. Naukowiec spuścił wzrok.

Prezes prychnął:

- Dobrodziejstwo...?

Spojrzał po raz ostatni na wykrzywione bólem oblicze kobiety. Widziałem już dosyć!

Odwróciwszy się zgrabnie, na pięcie wyszedł z pokoju. Wymaszerował na korytarz, a za nim dwaj lekarze, wciąż pragnący go udobruchać, wciąż usiłujący go przekabacić.

- Chyba nie myśli pan o kasacji? - zapytał z niepokojem Gediman.

- Oczywiście, że myślę o kasacji! - wybuchnął Perez. Wyraz bólu i zawodu na twarzy Gedimana sprawił mu niekłamana przyjemność.

Wren natychmiast włączył się do rozmowy, usiłując odzyskać swój status szefa grupy naukowej.

- To praktycznie dla nas żaden problem. Żywiciel... Środek do...

Perez stanął i odwrócił się do Wrena, wkraczając w jego przestrzeń osobistą. Dwaj mężczyźni niemal się dotykali.

- Ellen Ripley umarła, usiłując wytępić ten gatunek i można ogólnie przyjąć, że jej się to udało. - Wbił palec wskazujący w mostek Wrena. - Nie mam ochoty oglądać jej, jak panowie

wkroczą do akcji. Zwłaszcza jeśli przyjmiemy, że jest obdarzona niespodziewanym dobrodziejstwem dryfu genetycznego!

Ku zdumieniu Pereza, Wren nawet nie drgnął, ale stał sztywno jak skamieniały.

- Nie dojdzie do tego.

Gediman, ten mały, uparty i denerwujący człowieczek, naturalnie musiał wtrącić się do rozmowy. Uśmiechając się wykrztusił:

- Gdyby doszło do walki, nie wiem, po której opowiedział bym się stronie.

Perez spiorunował go wzrokiem.

- Czy mam uważać pańskie słowa za pocieszające?

Naukowiec cofnął się o dwa kroki i przestał się uśmiechać.

Perez ruszył dalej w głąb korytarza. Dwaj naukowcy zostali nieco w tyle, gestykulując i mamrocząc do siebie nawzajem, wymieniając przy tym spojrzenia jak nastolatkwie planujący wypad do dziewczęcej sypialni.

Działo się tu tak wiele innych, ważnych rzeczy. Czy do reszty zapomnieli, co było ich celem? Co było zasadniczym powodem tej operacji?

Ochroń mnie Boże przed naukowcami! Nie potrafią sprawić, żeby na statku nie było insektów, ale umieją marnować masę czasu i pieniędzy na badania nad jednostką mogącą zagrozić całemu projektowi. W końcu zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Wstukując z pamięci kod odczekał chwilę, aż komputer przetrawi otrzymany numer, po czym przycisnął do siebie analizator oddechu. Wpuścił powietrze do rurki.

Urządzenie zbada charakterystyczne molekuly jego oddechu i wpuści go do środka, ale uniemożliwiłoby wstęp nawet upoważnionym, jeśliby wykryło, że znajdują się pod wpływem narkotyków lub alkoholu, czego nie mogłaby wykazać analiza siatkówki.

Wciąż czuł za sobą drażniącą obecność dwóch lekarzy. Chociaż jawnie okazywał

niezadowolone, tamci wydawali się wręcz rozbawieni, jakby wiedzieli, że koniec końców i tak się ugnie, choćby nawet miał przedłużać podjęcie decyzji z dnia na dzień. Potrząsnął lekko głową, podczas gdy drzwi rozsunęły się na boki, dając im dostęp do pomieszczenia obserwacyjnego. W małym pomieszczeniu było ciemno i niezwykle cicho. Mężczyźni również ucichli, jakby samo miejsce domagało się ciszy i spokoju. Po obu stronach szerokiego okna obserwacyjnego dwaj wartownicy stali na baczność z bronią w pogotowiu. Generał nie pozdrowił żołnierzy ani nie wydał komendy "spocznij". Dopóki pełnili wartę w tym miejscu, nie mogli być rozluźnieni.

Perez podszedł do szyby. Zajrzał w głąb sąsiedniego pomieszczenia, jeszcze mroczniejszego niż to, gdzie właśnie się znajdowali, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

- Krótko mówiąc - rzekł w końcu do dwóch lekarzy - jedno jej krzywe spojrzenie i karzę ją uspić. Jak dla mnie, Numer Osiem to zbędny produkt uboczny. - Powiedział to z nieskrywaną przykrością, wiedząc, że tamci uznają jego decyzję jako swoje zwycięstwo. Ale jeżeli nawet, to tylko dlatego, że go nie rozumieli, nie pojmowali toku jego rozumowania. Niezależnie od tego jak długo Ripley będzie żyć na pokładzie tego statku, wystarczy że przekroczy granicę, którą jej wyznaczył; nie pomoże żadna apelacja jej fan klubu. Zrobi, ba, zrobił wszystko, żeby ten projekt okazał się sukcesem. Nie pozwoli, by ta kobieta pokrzyżowała mu szyki.

Perez zmrużył lekko powieki, ujrawszy, że wśród cieni sąsiedniego pomieszczenia coś się poruszyło. Uśmiechnął się dyskretnie.

- Ta panienska, tutaj, to nasz kapitał. Nasze pieniądze. Och Ripley, gdybyś mogła zobaczyć teraz swoją małą dziewczynkę...

Cienie zafalowały, poruszyły się, skrzyły w ich stronę... bliżej szyby.

- Ile jeszcze czasu upłynie, zanim rozpoczniesz reprodukcję? - Perez zwrócił się do naukowców.

- Kilka dni - odparł Wren jeszcze ciszej niż generał. - Może mniej. Będziemy potrzebować ładunku...

- Jest już w drodze - rzekł pośpiesznie Perez, rozdrażniony, że doktor wspominał o tym przy wartownikach. Czy on nie miał za grosz rozumu? Nie pojmował, co znaczy określenie "ściśle tajne"?

Łypnął spod przymkniętych powiek w głąb mrocznego pomieszczenia, by ujrzeć cel całego ich wysiłku. Tam: oto ona. Jest! To moja dziewczynka!

Niczym upiorny cień, Regina horribilis... Królowa Obcych, przesunęła się przez krąg światła i mogli przez chwilę podziwiać jej majestat.

Ukradkiem raz jeszcze zbadała ograniczoną przestrzeń, ale ściany okazały się mocne, nie do sforsowania. To było całkiem obce środowisko, komora o trzech niezwykle gładkich i jednej przezroczystej ścianie, przez którą mogła wyglądać na zewnątrz. Widziała jednak tylko jeszcze jedną komorę, identyczną jak ta, w której się znajdowała. Po drugiej stronie przezroczystej ściany czuwało zawsze dwóch ludzi, dwóch ludzi z ich powodującymi ból urządzeniami. Nigdy nie wydawali żadnych dźwięków, nigdy się do niej nie odwracali, po prostu tam stali. W regularnych odstępach czasu zastępowało ich dwóch innych, a że tak bardzo do siebie podobni, nie potrafiła odróżnić ich od poprzedników. Przez ścianę nie czuła ich woni, choć pewne zapachy docierały do niej dzięki systemowi pompowania powietrza. Teraz po drugiej stronie przezroczystej ściany stało trzech innych ludzi, przyglądając się jej. Jakimś sposobem czuła, że właśnie oni byli za to odpowiedzialni, za to i za jej uwięzienie.

Ponownie sprawdziła wytrzymałość komory, ale ludzie obserwujący ją niczego nie

zauważyli, nie zdawali sobie sprawy z tego, co robiła, chociaż dzielił ją od nich tylko jeden krok. Podobnie rzecz miała się z dwoma stojącymi tyłem do niej strażnikami. Ci ludzie byli głupi. Głupi, powolni i delikatni. Niemniej potrafili tworzyć skuteczne urządzenia dające im przewagę, mimo ich tępoty, kruchości i powolności. Jak urządzenie, w którym znajdowała się teraz. Było wygodne i mocniejsze, niż się wydawało. Gdy raz wepchnięto ją do środka, nie była w stanie się wydostać. Tak unieruchomioną mogli przewozić gdzie tylko chcieli i robić z nią, co im się żywnie podobało.

Mogła jedynie czekać. Była w tym dobra. Podejrzewała, że lepsza od nich, tych ludzi. Jeden z ludzi rozmawiał z drugim. Wydawało się, że nie robią nic więcej, jak tylko stoją i rozmawiają. Nie rozumiała ich, ale nie musiała. Wiedziała, że mieli już wcześniej styczność z kolonią. Były zwycięstwa i były porażki. I znów nadejdzie czas zwycięstwa. Mogła poczekać. Była w tym dobra, nawet jeżeli teraz czuła się śmiertelnie znudzona.

Na ubraniu jednego z obserwatorów widniało nazwisko PEREZ. Dwaj inni nazywali się GEDIMAN i WREN. Napis nad mechanizmem otwierającym drzwi brzmiał: PRZED OTWARCIEM TYCH DRZWI NALEŻY WEZWAĆ WARTOWNIKA. Ten sam napis pojawiał się poniżej w sześciu różnych językach. Mogła je odczytać. Nie pytała samej siebie, jakim cudem to potrafi, podobnie jak nie zastanawiała się, dlaczego umie oddychać, myśleć lub zabijać. Po prostu to robiła.

Ludzie wciąż rozmawiali między sobą.

Zastanawiała się czy ich kości są równie kruche jak tego mężczyzny, który uwolnił ją od jej żywiciela. Zastanawiała się, czy ich krew byłaby równie ciepła jak krew żywiciela, czy smakowałyby tak słodko i buchała tak swobodnie, gdyby rozdarła ją na strzępy. Te myśli na chwilę uwolniły ją od nudy.

Wkrótce nadejdzie dla niej pora reprodukcji. To małe obce pomieszczenie będzie zbyt

małe, by pomieścić jej wspaniałe pokładelko, zbyt małe, by pomieścić ogrom jej miotu. Zbyt małe, zbyt chłodne, zbyt wrogie.

Tęskniła za parującym ciepłem gniazda, za poczuciem siły i bezpieczeństwa, jakie dawała obecność innych przedstawicieli gatunku i nieprzeparta potrzeba rozmnażania...

Wkrótce pojawią się wojownicy w dostatecznej ilości, by ją ochronić i zbudować idealne gniazdo. A ci ludzie, ci żałośni, delikatni ludzie staną się karmą dla jej młodych i żywicielami nowego miotu, tak właśnie będzie.

Ale były również wspomnienia. Pamiętała niespodziewany chaos. Krzyczących i umierających wojowników. I ogień. A także człowieka, stojącego twardo i trzymającego w ramionach swoje młode. Siejącego śmierć i zniszczenie wewnątrz gniazda.

Zamrugła zaskoczona, ponieważ w jej umyśle pojawił się nagle potok zmieszanych, chaotycznych scen, wspomnień, odczuć, których nie potrafiła uporządkować.

Dojmujący ból straty... rozdzierającej, nieodwracalnej straty zalał jej umysł i całe ciało.

To oznaczało wszystko... i nie znaczyło nic.

Szukała więzi, połączenia z jej własnym gatunkiem, poszukiwała siły i bezpieczeństwa, jakie daje gniazdo, lecz bezskutecznie. Zamiast tego czuła tylko ból i poczucie rozdzierającej straty. Była pusta. Wydrążona.

Ale nie zawsze taka była. Jej ciało wiedziało. Będzie inne gniazdo. Zawsze było inne gniazdo. Sama je zbuduje, ona i jej dzieci. Mimo ich broni, mimo ich komór ludzie padną ich ofiarą. Staną się dla niej pożywką, a ona spłodzi młode. Zajmie to miejsce. Weźmie je siłą. Zawsze tak było. I zawsze tak będzie.

Doskonałości naszej budowy dorównuje tylko nasza wojowniczość i wrogie nastawienie. Nawet ludzie podziwiają naszą czystość. Jesteśmy jedynymi istotami, których klarowności nie mącą wyrzuty sumienia, skrupuły czy iluzoryczna moralność.

Organizm doskonały...

4.

Gediman usiadł przy stole w mesie, naprzeciw Ripley, lecz o kilka krzeseł od niej. Chciał dać jej choć namiastkę złudnej prywatności. W tej sali stanowiącej połączenie mesy i kompleksu rekreacyjnego panowała cisza i tylko oni dwoje spożywali posiłek. Przy drzwiach stali wartownicy, lecz do takiego stopnia stanowili oni scenerię *Aurigi*, że Gediman prawie ich nie zauważył. Przypuszczał, że Ripley również.

Wciąż była unieruchomiona, choć w ostatnich dniach dano jej nieco swobody. Odkąd pokazano jej obrazek małej dziewczynki, stała się dziwnie pasywna i zamknięta w sobie. Nie stawiała oporu i nie przejawiała skłonności do przemocy. Wren sądził, że obrazek dziecka wyzwolił na tyle dużo ludzkich wspomnień, by przywróciły jej choć część dawnej osobowości. Wren powiedział, że była oficerem pokładowym. Wiedziała co to posłuszeństwo, umiała wykonywać rozkazy. Gediman zastanawiał się.

Poluzowano unieruchamiające ją pęta i mogła po raz pierwszy zjeść posiłek sama. Gediman odczuwał zadowolenie z tego powodu. Karmienie jej na siłę nie było przyjemne, a poza tym nie sądził, żeby dostarczali jej właściwych ilości substancji odżywczych.

Teraz jednak, gdy miała okazję jeść po raz pierwszy samodzielnie, wydawało się, że zupełnie tego nie docenia. Przełknęła trochę, po czym zaczęła bawić się jedzeniem, przesuwając je na talerzu. Był to typowy posiłek na statku kosmicznym - skompilowany, odwodniony i tyle razy przetworzony, że praktycznie nie przypominał normalnego jedzenia - ale ona i tak zdawała się w ogóle nie mieć apetytu. Gedimana martwiła jej depresja. Wren w ogóle się tym nie przejmował.

Gediman prawie skończył śniadanie, gdy zauważył, że zaczęła oglądać widelec i

najwyraźniej sztuciec zainteresował ją bardziej niż posiłek. Otarł usta.

- Widelec - rzekł z nadzieją w głosie. Tak bardzo pragnął nawiązać z nią kontakt, porozumieć się. Gdyby to mu się udało, mógłby dowiedzieć się, co dzieje się w jej umyśle, jedynym jej zakątku, którego nie mogli do końca przebadać. Co pamiętała? Co wiedziała? Gediman czuł, jak zżera go pragnienie poznania tych rewelacji.

Ripley przyglądała mu się z ukosa spod półprzymkniętych powiek. Nigdy nie patrzyła nikomu prosto w oczy. Powtórzyła słowo półgłosem, lecz niewłaściwie:

- Piździelec.

Zażenowany ale i zadowolony, że nikt tego nie usłyszał, powtórzył łagodnym tonem:

- Widelec.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Mogło się wydawać, że się uśmiechnęła, ale wrażenie w mgnieniu oka przyszło. Zaskoczyła go pytaniem.

- Jak...?

Mówienie sprawiało jej tyle wysiłku, że reszty pytania po prostu musiał się domyślić.

- Jak cię uzyskaliśmy? Ciężką pracą. Dzięki próbkom krwi i tkanek pobranym na Fiorianie 361; znajdowały się tam w ambulatorium w lodzie.

Jakże proste wyjaśnienie jakże skomplikowanego dzieła. To była praca nie mająca sobie równych. Próbek było sporo, komórek w bród, ale w DNA panował chaos. Dokonano zdumiewającego odkrycia, okazało się bowiem, że embrion Obcego, który znajdował się już w ciele Ripley, kiedy pobrano jej próbki krwi i tkanek, nie zakończył swej inwazji w klatce piersiowej. Jak wirus, embrion zaatakował żywe komórki ciała żywiciela co do jednej i przystosował je do potrzeb własnego rozrostu i rozwoju. Był to ogromny przełom w ewolucji adaptacyjnej. Sposób gwarantujący, że każdy bez wyjątku żywiciel dostarczy embrionowi tego, czego rozwijający się płód będzie potrzebować, nawet jeśli organizm żywiciela nie był

na to przygotowany.

To dzięki złączeniu kodu genetycznego Obcego z DNA Ripley zdołano wyhodować ją i embrion. To wszystko nie było łatwe. Próbowano wyizolować DNA aż do RNA, odtworzyć je i zmusić do działania... To była harówka, ciężka, frustrująca harówka, ciągnąca się całymi latami.

Ale teraz siedziała tu, jak zwykła śmiertelniczka, posilając się jak normalna kobieta.

I nawet teraz jej przerażające dziecko...

- Fiorina 361... - rzekła półgłosem Ripley, jakby smakowała to słowo, przystosowywała je do swoich ust.

- Fur...?

- Mówi ci to coś? - zapytał Gediman, naciskając. Gdyby tylko była w stanie z nim rozmawiać.

- Co pamiętasz?

Gediman zamrugnął zaskoczony. Czy "to"... Czy ona pyta o embrion, który z niej wyjęliśmy? Tak, chyba tak.

- Owszem, "to" rośnie. Bardzo szybko.

- To królowa - rzekła zdecydowanym tonem, odkładając widelec. Odsunęła talerz.

Była uśpiona. Skąd...?

- Skąd wiesz?

- To będzie się rozmnażać - powiedziała beznamiętnie. Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

- Wszyscy umrzecie. Wszyscy z tej... - spojrzała na widelec - ...pieprzonej korporacji umrą.

Wciąż wpatrywała się w widelec.

- Korporacji? - O czym ona mówi?

- Weyland-Yutani - wyjaśnił Wren.

Wszedł do mesy i wyłonił się zza pleców Ripley, ale Gediman, pochłonięty rozmową, nawet tego nie zauważył.

Wren wciąż miał na ustach protekcyjny uśmiech i wyglądał tak samo jak za każdym razem, gdy spotykał się z Ripley. To doprawdy niesamowite, pomyślał Gediman, zważywszy, że na szyi wciąż ma jeszcze ślady jej palców.

Główny naukowiec usiadł odważnie obok kobiety. Nie zamierzał dawać jej ani odrobiny przestrzeni osobistej. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że pragnie w nią wtargnąć, z zamiarem sprowokowania kolejnego wybuchu wściekłości. Gediman był niezadowolony, ale nic nie mógł na to poradzić.

Wren zdawał się w ogóle nie zwracać na nic uwagi.

Kiedy Ripley spojrzała nań z ukosa, Wren sięgnął po widelec i zaczął jeść z jej talerza, jak rodzic spożywający wspólny posiłek ze swym dzieckiem.

- Weyland-Yutani - wyjaśnił Wren Gedimanowi - to korporacja, dla której kiedyś pracowała Ripley. Konglomerat na rzecz rozwoju Ziemi, wykonywali zlecenia dla wojska.

Dawno temu, Gediman. Wpadli wiele dekad temu, wykupił ich Walmart. Takie są koleje wojny. Ponownie skupił uwagę na kobiecie i uśmiechnął się do niej półgębkiem.

- Przekonasz się, że od twoich czasów wiele się zmieniło. Gediman zauważył, że wyraz jej twarzy znów się zmienił. Prawie się uśmiechnęła.

- Wątpię - odparła.

Wren udał, że nie rozumiał znaczenia jej komentarza.

- My nie strzelamy w ciemno, mamy swój ściśle określony cel. To jednostka wojskowa Zjednoczonych Systemów, a nie statek należący do jakiejś chciwej korporacji.

Gdyby tylko zezwolono mu na prowadzenie takich badań jak te, byłby gotów pracować nawet dla "chciwej" korporacji, pomyślał Gediman, choć zatrzymał tę uwagę dla siebie.

Ripley wpatrywała się w talerz. Jej słowom brakowało życia.

- To bez różnicy. - Te słowa obudziły w niej jakieś wspomnienie, sprawiły, że zamyśliła się i sposepniała. I dodała: - Tak czy inaczej, umrzecie.

Wren splótł dłonie przed sobą na "lekarską" modłę.

- A co ty o tym myślisz?

Wzruszyła ramionami.

- To nie mój pogrzeb, tylko wasz.

Ta odpowiedź nie spodobała się Wrenowi. Zaczął okazywać zniecierpliwienie. Po raz pierwszy przestał mówić jak do dziecka, pedantycznym, modulowanym, uspokajającym tonem.

- Chciałbym, żebyś zrozumiała, co próbujemy tutaj robić. Potencjalne korzyści uzyskane dzięki tej rasie mogą być wręcz nieobliczalne. Nowe stopy, nowe szczepionki! Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widzieliśmy... - Przerwał, jakby uświadomił sobie, że zbyt się przed nią otworzył.

Gediman wyczuwał frustrację Wrena. Wiedział jednak, że Ripley nie zaaprobowałaaby ich planów. Te mogli docenić inni naukowcy - marzyciele. Ludzie tacy jak oni. Wren miał rację co do jednego - potencjał był nieograniczony. Całe dekady mogło trwać określenie budowy komórkowej tych stworzeń i sposobu, w jaki unikalny kod genetyczny - dzięki któremu w żyłach istot płynie nie krew lecz kwas, a tkanki okrywa silikonowy pancerz - może zostać zaadaptowany dla potrzeb innych form życia. Poznać, jak pasożytniczy symbiont genetycznie i chemicznie modyfikuje swego żywiciela, oznacza pchnąć osiągnięcia biochemii i biomechaniki o całe stulecie do przodu. Już samo wyhodowanie Ripley i jej obcego

potomka spowodowało przełom jeżeli chodzi o tkankę i możliwości klonowania.

Wren odzyskał protekcyjny ton głosu.

- Powinnaś być bardzo dumna.

Roześmiała się. Był to gorzki, nieprzyjemny dźwięk.

- Ależ jestem.

Wren starał się ją uspokoić.

- Poza tym samo zwierzę jest doprawdy niesamowite. Będą nieocenione, kiedy już się je oswoi.

Ripley spiorunowała go wzrokiem, był tak przeszywający, że Wren drgnął mimowolnie.

- To jest jak rak. Raka się nie oswaja. Nie można nauczyć go sztuczek.

Wren nie zripostował jej słów, czym mocno zdumiał Gedimana.

Ripley, ponownie zamyślona i zamknięta w sobie, zaczęła bawić się widelcem. Gediman oddałby wiele, by się dowiedzieć, nad czym rozmyślała. Z jej ust popłynęło tylko krótkie:

- I c h.

Distephano obserwował niewielką prywatną jednostkę na kursie zbliżonym do *Aurigi*.

Aż do teraz była to kolejna nudna wachta, zabijanie czasu w kapsule dowodzenia. Zanotował w dzienniku okrętowym pojawienie się małego statku i wysłał oficjalną notę do generała.

Zdarzenie nie było jednak równie ekscytujące jak wypadek z tą kobietą-klonem w laboratorium. Tylko jak często coś takiego mogło się zdarzyć?

Oficjalnie po sporządzeniu raportu nie powiedziano mu o tym wydarzeniu już nic, nieoficjalnie jednak dowiedział się, że ładunek, którym ją potraktował, wyszedł tej kobiecie na dobre. Wczoraj rzekomo zupełnie zdjęto jej urządzenia zabezpieczające. Miała nawet swój mały "spacerniak". A odkąd inni usłyszeli o jego błyskawicznej akcji, zaczęli naprawdę uważać. Pilnowanie kobiety-klona stało się najbardziej ekscytującym zajęciem na pokładzie.

Cóż za dziwna misja!

Niemal natychmiast otrzymał odpowiedź na swój raport.

- Zbliżający się statek ma zezwolenie generała Pereza na przybycie do stacji - powiedział Ojciec; męski głos komputera zabrzmiał osobliwie w niewielkim, przypominającym bąbel pomieszczeniu.

- Kod dostępu sześć- dziewięć- dziewięć- trzy. Systemy bezpieczeństwa w pogotowiu.

Ciekawe pomyślał Distephano.

Prywatne jednostki rzadko, jeżeli w ogóle dostarczały na *Aurige* ładunek bądź prowiant.

Ten statek chroniła klauzula najwyższego stopnia tajności. Aby dostarczyć tu żywność, musiało się mieć nie lada układy i specjalny status bezpieczeństwa. A jednak ten okręt, ten mały giez, ot tak sobie przybijał do ich stacji, hę?

Vinnie usłyszał automatyczny komunikat zbliżającej się jednostki, zawierający jej nazwę i numer identyfikacyjny. *Betty*, hę? Wystukał cyfry na klawiaturze komputera pokładowego.

- Kod identyfikacyjny zbliżającego się statku - odezwał się Ojciec, jest błędny. Taki numer nie istnieje. Musiała nastąpić pomyłka. Proszę o ponowne wprowadzenie numeru. Pomyłka, jeszcze jak, do cholery, pomyślał Vinnie z rozdrażnieniem. Ponownie wstukał kod, tym razem wolniej i uważniej.

- Na liście Zjednoczonych Systemów Militarnych nie ma takiego numeru - powiedział Ojciec. - Jeżeli wykluczyć błąd przy wprowadzaniu numeru, oznacza to, że nadlatujący statek nie jest zarejestrowany.

To niemożliwe, pomyślał Vinnie. Wysłał ponownie depeszę do generała, po czym skontaktował się z nadlatującym statkiem, domagając się kodu autoryzacyjnego przed wydaniem zezwolenia na dokowanie.

Nawet gdyby to byli... Nie, nie mieliby dość ikry, żeby przybijać do stacji wojskowej!

Vinnie spodziewał się, że autoryzacja Betty zostanie natychmiast cofnięta. To byłoby ciekawe samo w sobie. Albo jednostka oddali się w pośpiechu (skądinąd słusznie), albo jeżeli musiała dokować z powodu uszkodzeń lub niedyspozycji załogi, spokojnie poprosi o pomoc stosując kod ratunkowy. Gdyby Perez odrzucił...

Gdyby odrzucił tę prośbę – może musiałbym ich zestrzelić.

Distephano zamyślił się nad tą możliwością. Miał pod ręką dostatecznie dużą siłę ognia, by rozbić niewielki statek na atomy. Patrzył, jak okręt zaczyna się z wolna powiększać.

To co się stało zupełnie go zaskoczyło. W słuchawce usłyszał gniewny głos generała Pereza. Stary we własnej osobie!

- Wydałem tej jednostce zezwolenie na przybycie do stacji, żołnierzu – rzucił wściekle Perez. – W czym problem ?

Zdumienie wywołane głosem Pereza, zamiast automatycznej odpowiedzi, której udzielał jeden z jego podwładnych, kompletnie zbiło go z tropu. Distephano nagle zaczęło brakować słów.

- No bo... sir... chodzi o to... że... numery identyfikacyjne... ee... – Przełknął ślinę i wziął się w garść.

- Sir, nie ma żadnego problemu, sir. Procedura dokowania rozpoczęta, sir.

- Dopilnujcie, żeby wszystko poszło jak najlepiej – uciał Perez.

Vinnie spojrzał na nadciągający statek. To pirat, prawdziwy, pierdolony, stuprocentowo realny okręt piracki. Żadnych numerów rejestracyjnych. Zero oficjalnych wpisów. I przybywa na osobiste zaproszenie Pereza. To ci dopiero!

Z łobuzerskim uśmiechem Vinnie przypomniał sobie ostrzeżenie przełożonego, kiedy przyjmował tę służbę . „, Jak już się tam znajdziesz, chłopie, o nic nie pytaj. Nic nie mów. Nie chciałbym potem usłyszeć od nich, że źle cię wyszkoliłem.” Tak służba tutaj była dlań

początkiem czegoś większego i lepszego... zakładając, że nie wkurzy znowu Starego.

To się nie powtórzy. Bo dla mnie to odskocznia do lepszego świata.

Niewielki statek wciąż się zbliżał. Widział go teraz dokładnie. Nawet wyglądał jak okręt piracki, pomalowany od dziobu po rufę barwami kamuflażowymi, które ukryłyby go, gdyby przelatywał nisko nad terenem porośniętym gęstą roślinnością. Uniwersalny mały stateczek, niewątpliwie z przeznaczeniem do podróży kosmicznych, lecz jego boczne, kanciaste przedziały z łatwością można było przetransformować w aerodynamiczne skrzydła do lotów w atmosferze. Miał również stateczniki ogonowe, które nadałyby mu większej zwrotności w powietrzu. Statek był jednak stary, w wielu miejscach połatany wieloma źle dobranymi częściami, a do tego brudny i poobijany. Stanowił rażący kontrast z ogromną, mroczną *Aurigą*, przy której wyglądał niczym karzeł. Winnie zamrugał, przyglądając się jakiemuś graficznemu wizerunkowi zdobiącego kadłub pirata. Co u licha?

Wybuchnął śmiechem. Był pasjonatem II wojny światowej, toteż natychmiast zorientował się, że ma przed sobą tak lubianą przez wielu żołnierzy rysunkową *pin-up girl*. Poniżej nazwy statku umieszczono wizerunek krągłej, hojnie obdarzonej przez naturę kobiety w obcisłym skąnym kostiumie, sugestywnie dosiadającej kadłuba starej rakiety.

Tak, to ta Betty, z pewnością. Sprawy przedstawiały się coraz ciekawiej.

Na pokładzie *Betty* sprawy zawsze wyglądały ciekawie.

A przynajmniej dla kapitana jednostki, Franka Elgyna, chudego jak tyka, kościstego mężczyzny po czterdziestce, któremu ciemne oczy i orli nos nadawały jeszcze bardziej drapieżnego wyglądu. Zmienił lekko pozycję w fotelu drugiego pilota i oparł obutą stopę o konsolę sterowniczą. Jakiś żółtodziób, mający jeszcze mleko pod nosem, ofermą batalionowa, zażądała właśnie kodu identyfikacyjnego!

Odwrócił się w stronę sąsiedniego fotela i zaśmiał się. Jego pilot, Sabra Hillard, wysoka

silna kobieta, odpowiedziała uśmiechem i potrząsnęła głową. Miała przycięte na jeża włosy.

Jakby dla tego statku, tego rejsu i tego ładunku mogły istnieć jakiegokolwiek kody identyfikacyjne. Jasne.

Rozparł się wygodniej w fotelu. Sabra włączyła swoją ulubioną muzykę, kakofonia nowoczesnych dźwięków przeniknęła przez podłogę. Nie próbował jej ściszyć. Pilotka musiała się dostroić. Złapać rytm. Było to twardą regułą, jak prawie wszystko, co robili na pokładzie *Betty*. Zwrócił się do żołnierza przez interkom.

- Moja autoryzacja brzmi – pieprz się synu.

Siedząca przy nim Sabra prychnęła w głos. Elgyn zauważył, że grała w jakąś przestrzenną grę bitewną wideo, jednocześnie pilotując statek. Zdumiewające, ile rzeczy potrafiła robić na raz ta kobieta. Już na samą myśl o tym miał się na bacności. Wytrzymał jej wzrok i rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie. Odpowiedziała mu tym samym.

- A teraz otwórz ten cholerny luk- zwrócił się do żołnierza – albo generał Perez zrobi ci z tyłka marmoladę.

Najwyraźniej generał już mu to powiedział, bo automatyczny głos komputera *Aurigi* podał Hillard niezbędne koordynaty.

- Wprowadź nas na zejście trzy-zero – zwrócił się do Hillard. – Schodź po równoległej.

Nie odrywała wzroku od gry wideo.

- Zrobione kochanie.

Elgyn wstał z fotela, podczas gdy przed nimi rósł masyw stacji kosmicznej.

- Nie wyłączaj ciągu aż do sześciuset metrów. Niech się wystraszą.

Pogładził ją kciukiem po podbródku, ale zanim wyszedł, zdążyła jeszcze puścić do niego oko.

Zlustrował pozostałą część kokpitu, zebrany tam pomocniczy sprzęt, przestarzałe gry,

rozrzucone ubrania i całe masę najróżniejszych rzeczy pozostawionych przez resztę załogi.

Pośrodku tego zorganizowanego chaosu stał Christie. Ten masywnie zbudowany, acz przystojny ciemnoskóry mężczyzna sprawia, że każda przestrzeń, w której się znajduje wydaje się mała, pomyślał z podziwem Elgyn. Dobrze jest mieć go za plecami... naturalnie zakładając, że jest akurat po twojej stronie.

Christie był zajęty zakładaniem swojego uzbrojenia. Skomplikowana aparatura ze złożonym systemem mikrokrążków i przekładni miała tę samą barwę co jego skóra, a mechaniczny system operacyjny Christie opracował osobiście. Przymocowane do jego potężnych przedramion powyżej łokci urządzenia były kompletne niewidoczne i pozwalały mu nosić broń w miejscach, gdzie mało kto zechciałby w ogóle jej szukać.

Elgyn podszedł do mężczyzny.

- Wchodzimy. Pora nacieszyć się odrobiną gościnności generała.

- Świetnie – parsknął Christie. Wywrócił z pogardą swymi wymownymi, ciemnymi oczyma.

- Wojskowe życie!

Podchodząc bliżej, Elgyn pomógł Christie'emu zapiąć ostatni pasek urządzenia.

- To pomoże nam przetrwać, dopóki się stąd nie wydostaniemy. Oczywiście jeśli krajowcy są przyjaźnie nastawieni.

Christie wychwycił w jego słowach coś, czego Elgyn nie powiedział.

- Spodziewamy się kłopotów?

Elgyn wahał się o ułamek sekundy za długo.

- Ze strony Pereza? Wątpię, ale lepiej zachować czujność.

Christie nie pytał już o nic więcej ani nie pokusił się o dobry komentarz. Skinął tylko głową ozdobioną gęstymi jak lwia grzywa włosami, splecionymi w dredy i wszystko było już

jasne.

Maszynownia *Betty* połączona była z pomieszczeniem załadunkowym. Tam właśnie pracowali Annalee Call i John Vriess mający tchnąć nieco więcej życia w staroświecką kupę złomu zwaną żartobliwie stabilizatorem. Call wiedziała, że Vriess nie może już doczekać się dokowania.

Ostatnio gonili w piątkę, niektóre części ich sprzętu były zbyt stare, by dało się je na okrągło reperować. Robili co w ich mocy, ale Elgyn miał nadzieję, że Armia pozwoli im zabrać nieco części zapasowych, w charakterze premii za dobrze wykonaną pracę. Call i Vriess mieli nadzieję, że Elgyn się nie myli.

Call, szczupła kobieta o delikatnych rysach, stała obok kanciastego bloku maszynierii. Jej drobne, smukłe palce z łatwością radziły sobie z dostępem do mniejszych części kapryśnego urządzenia. Tymczasem Vriess krepny mężczyzna w średnim wieku, o rzednących piaskowoblond włosach, silnej szczęce i bulwiastym nosie leżał na wózku na podłodze. Spuściła wzrok i ujrzała, jak drugi mechanik wślizguje się pod urządzenie, aby zaatakować je od spodu.

Call lubiła pracować z Vriessem. Był pracowity, twórczy, pomysłowy i nie zasypiał gruszek w popiele. O niektórych członkach załogi nie mogłaby tego powiedzieć.

Leżący pod maszyną Vriess zaczął pogwizdywać jakąś melodyjkę, zasłyszana w ostatnim porcie, do którego zawinęli.

Uśmiechnęła się, wspominając ten wieczór. Był to jeszcze jeden powód, dla którego lubiła pracować z Vriessem. Zwykle bywał pogodny i swobodny.

Ona również zwykła pogwizdywać i tak pracowali przy łagodniej, nieco atonalnej muzyce.

Call niejako mimochodem uświadomiła sobie, że w pomieszczeniu znalazł się ktoś

trzeci. Pogwizdywała nadal, starając się nie zdradzać napięcia, nie ujawniać swoich uczuć. Gdyby nie zachowała należytej ostrożności, Vriess wyczułby jej zdenerwowanie. Nie chciała odrywać go od pracy. Gwizdała nieprzerwanie, pozwalając, by jakaś jej część skupiła się na mężczyźnie idącym po zawieszonym nad maszynownią metalowym pomoście.

To był Johner. Call nie знаła jego imienia ani nie wiedziała czy je miał. Zresztą nie obchodziło jej to. Nie przejęłaby się ani trochę, gdyby Johner umarł. Nienawidziła go. Nie znosiła tego, czym był i co robił. Bywały dni, kiedy jej podstawowym zajęciem na pokładzie *Betty* stawało się kamuflowanie jej prawdziwych odczuć, żeby Johner nie zorientował się, jak bardzo nim pogardza. Sprawiłoby mu to zbyt wielką satysfakcję, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Szczupła kobieta zebrała się w sobie – pojawienie się Johnera nie może wpłynąć na tok jej pracy. Zacząłby z niej drwić, gdyby przez nieuwagę upuściła mutrę albo otarła sobie kłykieć. Poza tym nie chciała, by Vriess dowiedział się o obecności Johnera. Może jeśli oboje go zignorują, pójdzie sobie.

Marne szanse, pomyślała Call, gdy wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna przeszedł ponad nimi. Uśmiechnął się do niej, jego znużone, błękitne jak lód oczy przypominały jej ślepia świni. Był bez wątpienia najbrzydszym mężczyzną, jakiego widziała, a postrzępiona, zygzakowata blizna na twarzy bynajmniej nie dodawała mu urody. Jednak to plugawość ducha czyniła go naprawdę odrażającym. Call wciąż go ignorowała. On zaś znowu się uśmiechnął, a blizna zmieniła ów uśmiech w upiorną parodię ludzkiego grymasu.

Call kątem oka zauważyła, jak wyjął scyzoryk, otworzył go i zaczął czyścić nim paznokcie. Odwróciła głowę, ponieważ nie chciała oglądać tego człowieka, jak robi sobie manicure, po czym skupiła się na pogwizdywaniu w rytmie nadawanym przez Vriessa.

Nie widziała, jak Johner zwiesił nóż ostrzem do dołu w powietrzu nad nogami Vriessa

ani jak go wypuścić.

Ujrzała dopiero, jak się wbija.

Krótkie ostrze zagłębiło się po rękojeść w mięsistych tkance lewego uda Vriessa. Call poczuła przyływ wściekłości, której nie była w stanie zignorować i wyprostowała się, pałając gniewem, z otwartymi szeroko ustami. Nie wiedziała, czy ma krzyczeć, kląć, czy rzucić czymś w sukinsyna.

Vriess leżący pod stabilizatorem wciąż pogwizdywał niczego nieświadom.

- Czemu jesteś taki porąbany? – szepnęła przez zęby do chichoczącego Johnera.

Teraz, kiedy przestała pogwizdywać, Vriess zorientował się, że coś się dzieje i wysunął się wraz z wózkiem spod maszyna. Dostrzegł Johnera na pomoście i spojrzał na Call, zaskoczony jej zdenerwowaniem.

- Ćwiczyłem trochę rzucanie do celu – rzekł Johner bez cienia wstydu. Wskazał na mężczyznę na wózku. – Vriess się nie skarży.

Call z zatroskaniem spojrzała na drugiego mechanika, po czym przeniosła wzrok na udo Vriessa. Ten, ujrawszy nóż wystający ze swojej nogi, zawołał: „O cholera!”

Jednym pchnięciem dźwigni sprawił, że tylna część wózka uniosła się do pionu. Następnie podniosło się siedzenie i zsunęło oparcie dla stop, tworząc mały, zgrabny samobieżny wózek inwalidzki, wykonany osobiście przez Vriessa. Sparaliżowany od pasa w dół zdolny mechanik w średnim wieku łypnął na mały scyzoryk wbity w jego pozbawioną czucia nogę.

- Johner, ty skurwysynu! – zaklął gniewnie Vriess i wkładając w ten ruch całą siłę swych potężnych ramion, cisnął weń kluczem nasadowym.

Johner zwinnie się uchylił i wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Och, dajże spokój! Przecież nawet nic nie poczułeś! – Johner uznał to za wyjątkowo zabawne i zachichotał jeszcze donośniej.

Vriess sprawiał teraz wrażenie zakłopotanego, co sprawiło Call w jeszcze większy gniew. Bez większych ceregieli wyjęła z tylnej kieszeni chustkę, schwyciła rękojeść noża, wyszarpnęła go i przyłożyła złożoną chustkę do broczącej krwią rany. Vriess przycisnął materiał nieco mocniej, czekając, aż krew przestanie płynąć. Żadne z nich nie odezwało się słowem, po prostu robili swoje.

Call spojrzała na kładkę i skurwiela, którego nie mogła nazwać mężczyzną.

- Jesteś wyjątkowym fiutem, wiesz o tym?

Czy Johner przejął się tym, jak go nazwała? Nacieszył się kosztem ich obojga, a co za tym idzie, wygrał.

Wciąż chichocząc wyciągnął rękę.

- A teraz oddaj mi nóż.

Call miała już zamknąć ostrze i odrzucić mu scyzoryk, gdy nagle zmieniła zamiar. Była zbyt wściekła, by pójść mu na rękę. Vriess nie spuszczał jej z oka. Dotknął jej łokcia.

- Call, zapomnij. On chleje zbyt wiele księżycówki.

Wiedziała, że Vriess nie obawiał się Johnera, mimo jego postury i przewagi. Martwił się raczej o nią. Pomimo prężnych mięśni była niska, drobna. A Johner, mówiąc, że zamierza zrobić komuś krzywdę, nie rzucał słów na wiatr. Uważał, że to zabawne. Tylko Call miała dosyć. Była już zmęczona uważaniem, by nie wejść temu wrednemu skurwielowi na odcisk. Jednym szybkim ruchem wbiła ostrze noża między dwa zespawane metalowe wsporniki i szarpnąwszy z całej siły, złamała je.

Twarz Johnera pociemniała z wściekłości. Wyciągnął palec w jej stronę.

- Nie prowokuj mnie, Annalee. Jesteś już z nami od jakiegoś czasu, więc wiesz, że nie należy ze mną zadzierać.

Call przyjęła zuchwałą postawę. Wielkość i ciężar to nie wszystko. Potrafiła o sobie

zadbać, a jeśli on chciał się o tym przekonać na własnej skórze, jego sprawa.

Przez chwilę wymieniali zuchwale spojrzenia, aż w końcu, ku jej zdumieniu, Johner pierwszy zamrugał powiekami. Wciąż czerwony na twarzy opuścił kładkę.

Call odgarnęła krótkie czarne włosy z niemal czarnych oczu i wciąż, nie posiadając się z wściekłości, zrobiła krótką gimnastykę szczęk. Radość ze współpracy z Vriessem prysła nieodwracalnie.

Aż do chwili, kiedy lekko poklepał ją po biodrze i rzekł:

- Naprawdę musimy zacząć zadawać się z ludźmi innego pokroju. Przydałoby się nam nieco inteligentniejsze towarzystwo.

Silne, wprawne dłonie Sabry Hillard podprowadziły małą *Betty* pod nadęte, gigantyczne podbrzusze *Aurigi*.

- Na co idą moje podatki – wymamrotała do siebie, po czym uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że przecież nigdy nie płaciła podatków.

W górze nad nią rozsunęły się masywne wrota doku ładowniczego. W słuchawkach rozległ się głos komputera pokładowego *Aurigi*:

- Rozpocząć manewr dokowania.

- Tak jest, Papciu – mruknęła, ustawiając jednostkę na pozycji. Ogromne elektromagnesy *Aurigi* wysunęły się, gdy Hillard zbliżyła mały stateczek do doku. Przy wtórze głośniego brzęku metalu magnesy *Aurigi* przywarły do kadłuba *Betty*, unieruchamiając ją i zabezpieczając jednocześnie.

Jak dziecko w foteliku, pomyślała Hillard. Czemu więc ta myśl tak mnie niepokoi? Skąd to uczucie?

Bądź co bądź byli jednak unieruchomieni.

- Procedura dokowania zakończona – rzekł Ojciec – Możecie wejść na pokład stacji.

Nawet komputer zdawał się im rozkazywać. Jego głos wydawał się władczy, nie znoszący sprzeciwu.

Usiłując zwalczyć rodzący się niepokój, Hillard włączyła guzik interkomu.

- Pójdźcie, moi drodzy! Kto ma zejść na brzeg, niechaj schodzi. Pamiętajcie. Generał powiedział, że na pokładzie *Aurigi* nie wolno nikomu nosić broni. Spotkamy się przy śluźce powietrznej.

Wyłączyła komunikator.

Dlaczego, przybijając do tak ogromnej stacji jak ta, zawsze miała wrażenie, że jest pożerana żywcem?

5.

Perez patrzył, jak jego żołnierze przygotowują się na przyjęcie załogi *Betty*, które nastąpi na umieszczonej wysoko w górze metalowej kładce. Krytycznym okiem ilustrował każdego z żołnierzy, wyczulony na najmniejszy objaw niedbałości bądź nieporządku. Żołnierze prezentowali się dobrze. Korytarz przed śluźką powietrzną był jak cała reszta statku – idealny. Dokładnie tak jak sobie tego życzył. I tak być powinno. Osobiście dobrał wszystkich żołnierzy, których miał na pokładzie *Aurigi*. Każdy z nich pragnął czegoś większego i lepszego, ciekawych zadań i większych prowizji. Służba pod Perezem gwarantowała im specjalnie względy po zakończeniu służby. Jak dotąd żaden nie zawiódł. Wiedział, że i teraz nic takiego się nie zdarzy. Zwłaszcza że on tutaj stoi i obserwuje ich.

Śluźka powietrzna obróciła się, a głos Ojca oznajmił:

- Cykl zakończony. Drzwi się otwierają.

Kiedy pneumatyczne odrzwia uniosły się z jękiem, żołnierze ujrzeli przed sobą załogę niewielkiego statku pirackiego.

Perez mimowolnie zastanawiał się, co mogli myśleć niektórzy z jego ludzi. Wszystko na

połkądzie *Aurigi* lśniło czystością, zgodnie z życzeniem Perez. Żołnierze poniżej byli identycznie ubrani i uzbrojeni. Płeć, wygląd czy rasa nie miały tu najmniejszego znaczenia. Byli drużyną podległą jednemu dowódcy.

Nie jak ta banda obdartusów, pomyślał drwiąco. Jedyne co mieli wspólnego, to to, że nie mieli ze sobą nic wspólnego. Różnili się wszystkim, ubiorem, fryzurą, postawą oraz chodem... lub toczeniem się, pomyślał Perez z niejakim rozbawieniem na widok jednego z członków załogi wyjeżdżającego ze śluz na wózku inwalidzkim. Pokiwał głową. Cóż za dziwaczna, eklektyczna grupa – Perez nie był w stanie wyobrazić sobie, jak Elgyn zdołał nakłonić ich do wypełnienia choćby najbardziej podstawowych rozkazów. Zachodził w głowę, jak przetrwali w kosmosie w tym zdezelowanym statku, gdzie dyscyplina i porządek były jedynymi rzeczami, które mogły utrzymać załogę przy życiu.

Załoga *Betty* weszła do ładowni, zbliżyła się do żołnierzy. Perez ponownie zlustrował przybyłą grupkę i zrewidował swoje zdanie. Dostrzegł ich czujne oczy i pełne napięcia postawy, zwrócił uwagę na szorstką, spracowaną skórę i ślady smaru wtopionego w ciało jak tatuaż. A więc mieli jednak coś wspólnego, skonstatował, każdy z tych ludzi naznaczony był dostrzegalną twardością nie wynikającą li tylko z brawury. Podobnie jak jego żołnierze, tak i ci ludzie byliby w stanie zabić, gdyby tylko chcieli. Nawet ta niewysoka dziewczyna w środku. Ciekawe, skąd pochodzi? Elgyn nie wspomniał, że zamustrował nowych członków do swojej załogi. Perez nie próbował dociekać, czy zdarzyło się jej kiedyś zabić. Odegnął od siebie te myśli. Byli piratami w pełnym tego słowa znaczeniu, ale Perez nie widział w tym nic chwalebne.

Przemytnicy, pomyślał ponuro. Przyznaj to, Martinie. Są tylko bandą morderców i złodziei. I to ty ich wynająłeś! Czemu wzdygasz się na myśl o zaproszeniu ich na pokład stacji? Zupełnie jakbyś miał jakiś wybór.

Niezwykła grupka zwolniła dotarłszy do miejsca, gdzie czekali żołnierze mający ich przeszukać. Zgodnie unosili ręce do góry, żeby ich obszukano. Potężny czarny mężczyzna idący na czele wznosił ramiona wysoko w górę; spod rozchylonej koszuli wyłaniała się szeroka muskularna pierś. Gdy jeden z żołnierzy obszukiwał go wprawnie, czarny z pewnym niedowierzaniem pokręcił głową. Załoga *Betty* zaczęła wymieniać między sobą komentarze.

Wtem zamigotał sensor na rękawicy któregoś z żołnierzy. Kobieta, u której włączył się sygnał, spojrzała na potężnego, szpetnego mężczyznę o twarzy przeoranej blizną i rzekła z naciskiem:

- Sir, na pokładzie stacji posiadanie broni jest zabronione.

Gdy zdumiony mężczyzna skrzywił się, Perez pomyślał: Bądź dla niej miły, przyjacielu.

Jest specjalistką w walce wręcz. Prawdopodobnie gdybyś z nią zadarł, rozwaliliby cię, a potem resztę tej parszywej załogi. A twój szpetny pysk nie powstrzymałby jej ani przez chwilę.

Człowiek z blizną posłusznie rozchylił kurtkę, wskazując kobiecie, co było przyczyną uruchomienia czujnika. Wielki srebrny termos.

- Księżycówka! – wyjaśnił. – Sam pędziłem. Jest dużo bardziej niebezpieczna od byle spluwy.

Załoga *Betty* wybuchnęła śmiechem.

Kobieta-żołnierz nie okazała nawet odrobiny emocji.

- Przepraszam, sir. Oczywiście może pan przejść dalej.

W tej samej chwili Elgyn dostrzegł wreszcie Pereza na platformie i podszedł w jego stronę.

- Co ty sobie myślisz... że mamy zamiar porwać ten statek? W szóstkę? – Jego załoga ponownie wybuchnęła śmiechem.

Perez odczekał, aż się uspokoją.

- Nie, raczej sędzę, że twoja łajdacka załoga spije się i przestrzeli poszycie kadłuba.

Jesteśmy w kosmosie, Elgyn... - Zaczekał sądząc, że może tym razem to jego żołnierze wybuchną śmiechem, ale wszyscy byli profesjonalistami i zachowali niewzruszoną powagę.

Przeszukanie dobiegło końca, po czym Perez zaprosił załogę *Betty* na pokład *Aurigi*.

Mężczyzna na wózku jechał jako ostatni. Zbliżył się do kobiety, która wykryła termos.

- Chce pani sprawdzić mój fotel? – zapytał słodko.

Twarz kobiety pozostała beznamiętna. Perez wiedział, że jest dostatecznie doświadczona, by wiedzieć, iż mężczyzna liczy na przeszukanie przez nią czegoś więcej niż tylko wózka inwalidzkiego.

Strażniczka leniwie uniosła rękę, wskazując na grupkę, która oddalała się powoli od kaleki. Z dwuznacznym uśmiechem potoczył się za nimi.

Perez również odszedł.

Piętnaście minut później, w jego prywatnej kwaterze, rozległ się brzęczyk sygnału przy drzwiach. Wiedział, kto go odwiedził i nakazał Ojcu otwarcie drzwi. W progu stał Elgyn i chwiejąc się, jedną ręką przytrzymał się framugi. Wmaszerował dziarsko do środka, skinął głową generałowi i podszedł do przygotowanego wcześniej przez Pereza stołu. Na jego blacie leżały ułożone równo stosiki spiętych w paczki tysiąc dolarowych banknotów. Było ich wiele. Tak wiele, że Perez wolał o nich nawet nie myśleć. Banknoty były używane i miały różne numery. Idealnie prostokątne, jasnozielone, oznaczone zamazanym wizerunkiem jakiegoś przywódcy kongresu z ostatniego stulecia. Perez mimowolnie pomyślał, że powinny być nie zielone, lecz jasnoczerwone. Jak kres. Krwawe pieniądze.

Elgyn usadowił się w fotelu ustawionym dlań przez Pereza, a generał zasiadł naprzeciw niego. Na twarzy Elgyna widniał wyraz zadowolenia. Uśmiechnął się pod nosem,

sprawdzając stosiki banknotów, zaglądając do paczek i zliczając banknoty w paczkach.

- Niełatwo było je zdobyć – skomentował niejako mimochodem Perez.

Elgyn uniósł brwi.

- Podobnie jak nasz ładunek. Zresztą chyba na biednego nie trafiło, co?

Uświadomiwszy sobie, że został źle rozumiany, Perez poprawił:

- Chodziło mi o banknoty. W obecnych czasach mało kto posiada gotówkę. – A co dopiero taką ilość.

Elgyn uśmiechnął się. W końcu zrozumiał.

- Jedynie ci, którzy nie chcą, żeby ich transakcje były rejestrowane. Ludzie balansujący na granicy! Jak ty na przykład.

Porównanie było bolesne. Powiedz raz jeszcze, Martinie, jak służysz swojemu krajowi?

Perez uniósł mały prostokątny przedmiot ze stołu i sięgnął po szklaneczkę.

- Drinka?

Elgyn skinął głową jak zadowolony i wdzięczny gość.

Perez zerwał opakowanie z małego plastikowego pojemnika i wrzucił do szklaneczki kostkę brązowego stężonego żelu.

Przesunąwszy szklaneczkę pod promieniem ręcznego lasera podał naczynie z rozpuszczonym już trunkiem Elgynowi. Następnie przygotował drugą dla siebie. To była dobra szkocka, jeśli nie najlepsza.

- Domyślam się, że cokolwiek tu szykujesz, nie zostało do końca zaaprobowane przez kongres – rzekł Elgyn wypijając łyk whisky.

Następnie uniósł szklaneczkę w górę jak do toastu.

Cieszę się, że ci smakuje, pomyślał z irytacją Perez.

Nie, ten projekt nie został zaaprobowany przez kongres ani przez jakąkolwiek oficjalną

agendę wojskową czy rządową.

Perezowi jednak nigdy nie brakowało funduszy i środków. Jednakże, gdy miał do czynienia z ludźmi takimi jak ten pirat, mimowolnie zastanawiał się nad sensem całego przedsięwzięcia. Oczywiście nie kwestionował go. Miał zadanie do wykonania, misję do wypełnienia i *carte blanche*, by dokonać tego na wszelkie możliwe sposoby. Musiał wierzyć, że przyszłe korzyści usuną w cień ofiary, które trzeba było ponieść, aby osiągnąć zamierzony cel.

Perez nie zaprzętał sobie głowy wydumanymi sugestiami Wrena o cudach z poletka biochemii i nowoczesnej medycyny. Myślał jedynie o istotach, które – zaopatrzone w elektroniczne implanty mające kontrolować ich zachowanie – zmieniają się w żołnierzy idealnych. Prawdę powiedziawszy Wren i Gediman donieśli mu niedawno, że poziom inteligencji Obcych wydaje się dużo wyższy, niż wskazywałoby na to skąpe dane historyczne.

Dla Pereza był to dodatkowy plus – sprytne zwierzęta łatwiej będzie wyszkolić.

Musiał wierzyć, że jeszcze za jego życia zakończy się bezsensowne marnowanie cennych, dobrze wyszkolonych ludzi. Zamiast tego ludzie będą wykorzystywani jedynie do „sprzątnia” po zakończeniu danego konfliktu, co by było idealnym rozwiązaniem dla istot umięjących myśleć, oszacowywać i dokonywać osądów.

W końcu stworzone zostaną inne formy Obcych, lepiej przystosowane do warunków bojowych i szkolone do ściśle oznaczonych zadań.

Będą oczyszczać miasta z plagi przestępczości, przygotowywać nowe planety pod kolonizację, eliminować niebezpieczne gatunki, rozpocznie się nowa era pokoju i produktywności...

Przerwał rozmyślenia, spojrzawszy na Elgyna. ten pirat na pewno by tego nie zrozumiał.

Kiedy prowadzili negocjacje w związku z kontraktem, Elgyn nie zapytał nawet, do czego

zostanie wykorzystany przywieziony przezeń ładunek. Interesowały go jedynie pieniądze. Te, które leżały właśnie na stole, pomiędzy nimi.

Perez i Elgyn, mimo iż byli ludźmi, należeli do dwóch całkiem różnych gatunków.

Perez zmienił temat.

- Gdzie złowiłeś tę nową rybkę ?

Elgyn zachichotał.

- Call? sama się nawinęła. szukała jakieś fuchy.

- Robi wrażenie - skomentował oschle Perez.

- Niezły towarek, co? – potaknął Elgyn. – I diabelnie dobra w posługiwaniu się kluczem nasadowym. Myślę, że Vriess mógłby powiedzieć coś więcej na jej temat. Ze smutkiem, ma się rozumieć.

Sięgnął po stosiki banknotów , leżące najbliżej niego , przejrzał je, przyłożył do nosa i zaciągnął się głęboko. Wyglądał jak kiper zachwycający się najwykwintniejszym gatunkiem wina lub jak palacz rozkoszujący się aromatem dojrzałego cygara.

- Nasza mała transakcja bardzo ja zaciekawiła. trudno jej się dziwić. Cała ta otoczka tajemnicy i w ogóle...

- To operacja wojskowa – uciał Perez.

Elgyn zdemaskował go w jednej chwili.

- Większość wojskowych laboratoriów badawczych nie musi działać potajemnie, w sekretnej bazie kosmicznej. I nie musi wynajmować prywatnych dostawców... Poza tym oni nie proszą o dostarczenie takiego ładunku jak ten, który wam przywieźliśmy.

Perez zdał sobie sprawę , że Elgyn ku czemuś zmierza.

O co mu chodziło? O premię? Będzie musiał wyłożyć karty na stół.

- Czego chcesz, Elgyn?

Chudy mężczyzna, rozluźniony i swobodny, rozsiadł się wygodnie na fotelu.

- Noclegu i wiktury przez kilka dni. Vriess potrzebuje trochę części zamiennych. Mam nadzieję, że nie będziemy wam przeszkadzać.

Perez ponownie zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił podstawowego błędu, zatrudniając Elgyna do tego projektu; poważnie zastanawiał się nad zlikwidowaniem całej załogi i zniszczeniem statku po dostarczeniu zamówionego towaru, niemniej stwierdził, iż reperkusje tego czynu mogłyby wywołać masę problemów, z którymi niekoniecznie dalby sobie radę. Może należało ponownie to przemyśleć. Najlepiej, żeby w tym czasie załoga i statek pozostawali na stacji.

- Oczywiście, że nie będziecie przeszkadzać. Tylko trzymajcie się z dala od obszarów zastrzeżonych. Nie wszczynajcie burd i mia casa es su casa.

Elgyn z wyrazem wdzięczności uniósł swoją szklaneczkę i dopił drinka.

- Ufam, rzecz jasna - dodał Perez – że nie będziesz wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Mężczyzna był rozpromieniony.

- Z tego właśnie słynę.

Tak, pomyślał Perez. To prawda. I właśnie dlatego cię wynająłem.

Na pokładzie *Betty*, w ładowni, Call wciągnęła rękawice i podeszła do Christie'ego.

Potężny mężczyzna spojrzał na nią obojętnie i zapytał:

- A co z Johnerem?

Wzruszyła ramionami.

- Znasz go. Już zaczął balować.

Christie pokręcił głową.

- Powinienem być się domyślić. Tak czy inaczej dzięki za pomoc.

Skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: Nie ma sprawy. Usłyszała brzęk otwieranej

śluzy powietrznej, a potem żeński głos komputera *Betty* oznajmił:

- Śluza powietrzna otwarta. Drzwi otwierają się. Opuszczam rampę.

Call i Christie zaczęli pchać zautomatyzowane ręczne wózki towarowe, na których znajdowały się pierwsze pojemnik „ładunku”. Kiedy olbrzymie drzwi otworzyły się na oścież, włączyli urządzenia kontrolne wózków i wprowadzili je na rampę prowadzącą z *Betty* na *Aurige*. Metalowo – plastikowo – szklane pojemniki, które pchali, miały blisko trzy metry wysokości i metr szerokości. W ładowni *Betty* znajdowało się ich dwadzieścia. Specjalny ładunek generała.

Wewnątrz kapsuł hibernacyjnych spali dorośli ludzie, kobiety lub mężczyźni.

Call nie chciała o tym myśleć. To nie należało do jej obowiązków. To był ładunek. Jej obowiązkiem było... dostarczyć go na miejsce. I tyle. Miała robotę i otrzyma za nią pieniądze. Bądź, co bądź po to właśnie zamustrowała się na statek.

Mimo to cichym głosem zapytała Christie’ego:

- Czy wiesz może, po co Perez ich tu ściągnął? – Wskazała na kapsuły.

Christie spojrział na nią z zaciekawieniem, jakby nagle przypomniał sobie, że jest nowa.

- Mogę z pełnym przekonaniem zapewnić cię, że Elgyn nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad planami generała. Interesują go wyłącznie pieniądze.

Skinęła głową i już miała się odwrócić, kiedy Christie niezwykle delikatnie ujął ją za ramię. Jego głos brzmiał równie łagodnie.

- Call... Elgyn nie przejmuje się tym i płaci nam, żebyśmy również nie zaprzęтали sobie nimi głowy. Jasne?

Zaskoczona jego braterską troską Call wysiliła się a uśmiech.

- W porządku. Zróbmy to.

Pchnęła wózek do przodu, po rampie w głąb *Aurigi*.

Dostarczamy tylko ładunek. Nie myśl o tym. Nie myśl o nich. O śpiących ludziach...

Idąc obok milczącego Christie'ego zeszła na pokład *Aurigi*, pchając pojemniki między milczącymi, stojącymi na baczność żołnierzami, dopóki nie zatrzymali się przed wielkimi drzwiami z napisem: STREFA ZAKAZANA.

Przed stali następni żołnierze. Na widok podchodzących Call i Christie'ego jeden z żołnierzy zastukał do drzwi. Te natychmiast się otworzyły. Call ujrzała wysokiego mężczyznę średniej budowy w lekarskim fartuchu zamiast wojskowego munduru. Człowiek ten w ogóle nie przypominał żołnierza. Na plakietce na jego piersi widniał napis: WREN.

Call i Christie podeszli do drzwi, ale nim przestąpili próg, drogę zastąpił im jeden z żołnierzy. Po chwili podeszli do nich inni, by przejąć od nich komory kriogeniczne. Christie spojrzał na nią i pokiwał głową, po czym oboje odstąpili od wózków. Żołnierze wtoczyli wózki do ściśle strzeżonego pomieszczenia, a Call i Christie wrócili na pokład *Betty* po następne.

Żołnierze nie wejdą na *Betty*, tak jak im nie wolno przekroczyć granicy zakazanej strefy.

Wracając na statek nie mogła się powstrzymać i obejrzała się przez ramię i chwilę przyglądała się żołnierzom wtaczającym wózki z komorami hibernacyjnymi za wielkie żelazne drzwi.

Dokąd ich zabierali? Czy obudzą śpiących, czy będą nadal trzymać ich w stanie hibernacji? Jak duża była ta strefa zakazana?

Zanim Call zdołała znaleźć odpowiedzi na te pytania, za żołnierzami zatrzasnęły się ogromne drzwi. Dziewczyna skierowała wzrok ku *Betty* i skupiła się na czekającym ją zadaniu. Miała przenieść dwudziestkę uspionych mężczyzn i kobiet na pokład ściśle tajnej wojskowej stacji badawczej. To była pestka.

Wreszcie, pomyślał z ulgą Wren, Gediman przestanie mu w końcu matynkować.

Prawdę powiedziawszy, gdy cała grupa naukowców zebrała się w pomieszczeniu obserwacyjnym, wszyscy bez wyjątku milczeli. No, bo niby co mieli mówić? Wszyscy przeczytali raporty, znali całą historię, lecz aż do teraz nie było żyjących świadków tego, co mieli zaraz zobaczyć. Nadeszła wiekopomna chwila. Zasługiwała ona na poszanowanie i milczenie, tak jak zasługiwali na szacunek ci ludzie w komorach, kobiety i mężczyźni, mający złożyć największą z możliwych ofiar na ołtarzu nauki.

Wren nachylił się do przodu, podczas gdy inni z tyłu za nim nieco się przysunęli, poprawiając ustawienie ekranów komputerowych. W ten sposób z każdego miejsca będą mogli wszystko dokładnie zobaczyć. Nagle uświadomił sobie, że wszyscy oddychając jednym i tym samym rytmem. Przełknął ślinę i zaczął manipulować przy urządzeniach kontrolnych. Na monitorach widzieli całe wnętrze przygotowanego starannie pomieszczenia. Dwadzieścia kapsuł hibernacyjnych stało na podwyższeniach, ustawionych w koło tak, że niemal stykały się podstawami. Wren wystukał komendę do komputera i wolno wszystkie kapsuły jedna po drugiej zaczęły się podnosić do pionu. Komory zostały mechanicznie unieruchomione w ściśle określonej pozycji. Wren podał kolejną komendę, zmieniając skład mieszanki kriogenicznej w kapsułach. Powoli. Bardzo powoli. Nie mógł teraz pozwolić na uszkodzenie okazów. Były zbyt cenne.

Po pewnym czasie, gdy skład mieszanki w odczytach wyglądał na właściwy, Wren za pomocą komputera rozkazał otwarcie kapsuł. Na monitorach widać było wyraźnie, że kilka osób zamkniętych w komorach zaczyna się już budzić. Widział jak trzepoczą im powieki, poruszają się wargi i drżą kończyny. Odczyty były dobre. Lokatorzy kapsuł przychodzili do siebie, budzili się w pełni sprawni i zdrowi. Idealne okazy.

Wren spojrzał z ukosa na Gedimana, który poruszył się nerwowo. Widział, że Gediman czuje się nieswojo. Wren przyjrzał się pozostałym. Carlyn zacierała ręce, jakby zmarzła.

Trish skrzyżował ramiona i wpatrywała się w ekrany nie mrugając powiekami, jakby nie chciała dopuścić, żeby docierało do niej cokolwiek, co dzieje się w tym pomieszczeniu.

Kinloch patrzył z otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć, że jest tutaj i ogląda to wszystko.

Spargue i Clauss rozmawiali o czymś półgębkiem, popatrując nerwowo w monitory. Clauss nerwowo pocierał szyję. Wren odwrócił od nich wzrok nie chciał, by cokolwiek go rozproszyło. Cóż, powinni być poruszeni. To był przełomowy moment. Chwila, którą mieli pamiętać już zawsze.

Nadeszła pora. Wren wystukał odpowiednią sekwencję, a z sufitu opuściło się wielkie, cylindryczne urządzenie. Wokół potężnego ramienia nośnego znajdowały się płytkie pojemniki. W każdym z nich umieszczono pokaźnych rozmiarów, obscenicznie organiczne jajo Obcego. Jeśli coś takiego można było w ogóle nazwać jajem. Było to przecież żywy organizm, pulsujący, wilgotny i przyczajony. Osadzał się mocno szerszym końcem w podłożu, węższy natomiast kończył się czterem zamykającymi się jak płatki kwiatów fałdami tworzącymi osobliwy otwór. Powłokę jaja przecinały grube nici żył. Wren i Gediman przez dłuższy czas debatował nad ich znaczeniem. Najwyraźniej stabilizowały one położenie jaja i w swoim właściwym środowisku pobierały z grunty substancje potrzebne larwie do życia. W ten sposób, z konieczności, mogły zagwarantować jej przetrwanie przez wiele lat.

Wren przerwał rozmyślenia, kiedy ramię nośne ustawiło kolejne pojemniki z jajami przed znajdującymi się w pomieszczeniu kapsułami hibernacyjnymi.

Jaja znieruchomiały, gdy ramię nośne przestało je przemieszczać. W kilka chwil od umieszczenia w pobliżu żywego organizmu jaja, dotąd w miarę statyczne, zaczęły zdradzać odznaki życia. Widzieli rozmyte kształty poruszające się w środku. Elastyczne ściany jaj zaczęły drżeć.

Zdalne urządzenia przekaźnikowe pozwalały im nie tylko widzieć, ale i słyszeć, co się

działo. Jaja wydawały dźwięki. Wilgotne, młsczące odgłosy. Dźwięki, jakie można usłyszeć na sali operacyjnej, gdy manipuluje się organami w jamie żywego ciała.

Wren uświadomił sobie, że wszyscy w pokoju zastygli w absolutnym bezruchu.

Nieświadomie uniósł rękę, by otrzeć rękawem pot perlący się na jego górnej wardze.

Powieki jednej ze śpiących osób zatrzepotały, po czym uniosły się. Szczupły,

ciemnowłosa mężczyzna zamrugał, wykazując typowe dla wszystkich osób wychodzących ze stanu hibernacji objawy otępienia, senności i suchości w ustach. Na jego kapsule widniało nazwisko PURVIS.

Jajo stojące przed jego komorą zadrżało i nagle się otworzyło, cztery fałdy na

wierzchołku rozłożyły się na boki jak wielkie, nieregularne usta. Wren pospiesznie

manipulował urządzeniami kontrolnymi, aby umieszczone na ruchomych wózkach kamery

ukazały widzom zawartość tajemnego wnętrza. Naturalnie, dokonali już wcześniej analizy tej

zawartości za pomocą urządzeń pomiarowych, jakie mieli do swojej dyspozycji. Zdołali

nawet nadać elementom stosowne nazwy, chociaż ich przeznaczenie pozostawało dla nich

wciąż li tylko w sferze spekulacji...

Jako następne otworzyło się jajo ustawione obok kapsuły sąsiadującej z kapsułą Purvisa.

Później jedno z tych, które znajdowały się na drugim końcu pomieszczenia. I następne, i

jeszcze jedno. Hibernatusy, wciąż nie do końca obudzone, mrugały leniwie powiekami i

rozglądały się wokoło zdezorientowane. Wiedzieli, że znaleźli się w innym miejscu niż to,

gdzie ułożyli się do snu, ale nie potrafiliby powiedzieć, gdzie są teraz i dlaczego. Poza ty

wciąż znajdowali się jeszcze pod wpływem środków usypiających, które pozwalały im

jedynie dziwić się i trzepotać powiekami.

W końcu otworzyło się ostatnie jajo. Wren wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy

wszyscy naukowcy uczynili to samo.

Wreszcie z jaja przed Purvisem wyłoniło się ostrośnie sześć par długich, pajęczych odnóży.

Purvis niemrawo zaczął otrząsać się z kriosnu. Hibernacja to zdumiewająca rzecz. W jednej sekundzie szykujesz się do snu zimowego. W następnej budzisz się x lat świetlnych później i dalej od miejsca, gdzie się uprzednio znajdowałeś. Poczul, że zaczyna robić mu się cieplej, a jego ciało, gdy środki usypiające przestały działać, z wolna się rozluźniło.

Był na tyle świadomy, że zaczął się zastanawiać nad czekającą go pracą. Rafineria xaremska znajdowała się nieco na uboczu, toteż musiano płacić tu znacznie więcej niż w innych przedsiębiorstwach tego typu. Słyszał też, że z tej samej przyczyny zadbano tu o większą wygodę pracowników. Oferta była ciekawa. Miał nadzieję, że warunki pracy okażą się tak dobre, jak przypuszczał. Miał już dość „luksusowych warunków pracy”, które okazywały się wnet skupiskiem baraków robotniczych nie oferujących nawet drobnej namiastki prywatności.

Poczul mrowie w stopach i zaczął się przeciągać. Dwa lata na Xaremie będą lepsze niż pięć lat w jakimś innym miejscu. Może nawet przedłuży kontrakt, jeżeli посадка przypadnie mu do gustu.

Hmm, dziwne to pomieszczenie pohibernacyjne. Nigdy dotąd nie spotkał się z sytuacją, że kapsuły były przenoszone. Zwykle po hibernacji dochodziłeś do siebie w tym samym pomieszczeniu, na pokładzie statku. Po przebudzeniu wstawiałeś, brałeś prysznic, odbierałeś swoje rzeczy...

Rozejrzał się. Zmieniono również ustawienie komór. Zamrugał energicznie, usiłując odzyskać ostrość widzenia i w końcu dostrzegł jajowaty kształt stojący tuż przed nim.

Co to ma być, do cholery?

Nie sądził, że na Xaremie istniały jakieś dziwne formy życia, zarówno roślinnego jak i

zwierzęcego. Czym wobec tego było to coś? A jeżeli nawet żyło na planecie, co robiło wewnątrz tego pomieszczenia?

Jajowate monstrum zachybotowało się nagle i zadrgało jak żywe. Jego powierzchnia była wilgotna, lśniąca, jakby pokryta jakimś śluzem. Purvis zdjęty odrazą próbował się cofnąć, ale nie miał dokąd. Górna pokrywa kapsuły była otwarta, odsłaniając jego głowę i część klatki piersiowej. Jego ramiona i reszta ciała wciąż były uwięzione w kapsule. Przełknął ślinę usiłując coś powiedzieć, zawołać stewardesę, kogoś, kto wypuściłby go z komory.

Zanim zdołał wykrztusić z siebie choć słowo, wierzchołek jajowatej rzeczy otworzył się. Purvis poczuł powracające mdłości, usłyszawszy, jak odwijające się fałdy wydają odrażający, mlaszczący odgłos.

Co tu się, kurwa, dzieje? Zlustrował pozostałe kapsuły i dopiero teraz, gdy odzyskał jasność myśli, uświadomił sobie, że przed każdą z komór umieszczony był jeden z tych dziwacznych, obłych przedmiotów. Dlaczego? Po co?

Nagle z otworu na wierzchołku zaczęło wylaniać się coś długiego i owadziopodobnego. Smukłe, palcopodobne przydatki macały ostrożnie powierzchnię jajowatego tworu w końcu pojawił się również korpus, z którego wyrastały pajęczce odnóża. Stworzenie wyglądało jak upiorne połączenie skorpiona i morskiego kraba.

Co to ma być? Jakiś robal? Purvis nie znosił robali, wszystkich bez wyjątku, niezależnie od rozmiarów. Między innymi dlatego podjął pracę w kosmosie. W przestrzeni prawie nigdy nie spotykało się insektów! A jeżeli to był robal, to musiał być chyba matką wszystkich obrzydliwych insektów. Stał na długich, cienkich odnóżach, balansując jak tancerka.

Widział już dość. Ogarnięty paniką Purvis raz po raz próbował manipulować urządzeniami kontrolującymi kapsuły, usiłując się z niej uwolnić i znaleźć możliwie jak najdalej od tego monstrum. Urządzenia mimo jego wysiłków nie reagowały. Rozejrzył się

dziko wokół. Większość hibernatusów nie była tak przytomna jak on, nie wiedziała, co się dzieje.

Stwór nieznacznie zmienił położenie, balansując lekko na sprężystych odnóżach.

Purvisowi oczy niemal wychodziły z orbit, usta rozwarły się szeroko, gdy ogarnięty paniką zaczerpnął powietrza, żeby wezwać pomocy.

Zaczął właśnie krzyczeć, kiedy istota wyprysnęła ku niemu, tak szybko, że jego oczy ledwie zdążyły to zarejestrować. Coś gumowatego, zimnego i mokrego uderzyło go po twarzy i w tej samej chwili coś jakby wielka dłoń zacisnęła się na jego głowie. Długi, cienki bicz owinał się wokół jego gardła, dławiąc go. Dopiero teraz uświadomił sobie, co to jest.

Upiorny robał, to coś przywarło do jego twarzy. Purvis stracił nad sobą kontrolę i spróbował jeszcze raz wrzasnąć histerycznie, ale nie zdążył wydobyć z siebie nawet jednego dźwięku. Kiedy otworzył usta wypełniło je coś włóknistego, cielesnego, lepkiego i oślizłego.

Owo coś miało obrzydliwy smak i żołądek podszedł mu do gardła. Purvis rozpaczliwie usiłował oddychać, mimo czegoś, co stwór wpychał mu do ust, do gardła i jeszcze dalej, w głąb tchawicy i przełyku. Dziko potrząsając głową wciąż jeszcze walczył, ciągle próbował krzyczeć, a jednocześnie usiłował oderwać istotę przywierającą mu do twarzy. Dłonie i ramiona wciąż pozostawały uwięzione wewnątrz komory kriogenicznej, toteż próbował uderzać głową o jej boki, lecz bezskutecznie. Szarpał się i miotał, konwulsyjnie kopał nogami, lecz koniec końców nic to nie dało. Przerażony jak nigdy dotąd w całym swoim życiu, Purvis poddał się bez reszty dławiącemu lękowi i pustce bezradności

Nic nie widział, nie słyszał ani nie czuł, z wyjątkiem obcego organizmu gwałcącego mu twarz. I nagle gliniasty chłód stwora dosięgnął, jak się zdawało, całego układu krwionośnego, przed oczyma zatańczyły mu różnobarwne mroczki. Szamotanie stało się powolniejsze, bardziej niezdarne. Zapłakał. Umierał. Boże, umierał! Był powoli zabijany przez potwornego,

obcego robala. Zachlipał, gdy zimno spowilo go od stóp do głów, mroząc krew w żyłach i paralizując ciało. Gdyby tylko mógł przestać odczuwać...

Wreszcie jego życzenie spełniło się i paralizujący chłód ogarnął umysł Purvisa równie głęboko jak hibernacyjny sen. Gdy to nastąpiło, jeszcze przez chwilę miał wrażenie, że stwór na jego twarzy nieco mocniej ścisnął mu czaszkę, a przypominający bicz ciężki ogon zadzierzgnął się ciaśniej dokoła szyi. Potem obaj zapadli w sen, przy czym jedno z nich spało spokojniej niż drugie. Purvis zaczął śnić upiorne koszmary, ale żaden z nich nie miał związku z Xaremem.

W pomieszczeniu obserwacyjnym Wren usłyszał, jak Carlyn głośno wymiotuje. Byli przy niej Spargue i Kinloch, podtrzymując ją i usiłując jej pomóc. Wren uświadomił sobie, że kobieta płacze. W którymś momencie Clauss w pośpiechu wyszedł z pokoju.

Gediman stał tuż obok niego, pogrążony w myślach i milczący. Po drugiej stronie stała Trish Fontaine z rękoma splecionymi na piersiach; drobna kobieta emanowała bezgłośnym gniewem. Wren zamrugał spoglądając na nią ze zdziwieniem.

- Powiedziałeś, że nie będą zdawać sobie sprawy, co się z nimi dzieje – rzekła oskarżycielskim tonem. – Powiedziałeś, że nic nie poczują.

Wren wziął głęboki oddech i pozbierał myśli. Potrzebował tych ludzi. Nie mógł pozwolić sobie na utratę ich lojalności i zaufania.

- Widziałaś ich odczyty. Wciąż byli na czterdziestu procentach. Mieli w żyłach dość mieszanki usypiającej, żeby byś na wpół przytomni. Jeżeli cokolwiek czuli lub odbierali, z pewnością było to dla nich jak sen. Czytałaś akta. Po zapłodnieniu nie będą niczego pamiętać.

A my podczas kresu inkubacji będziemy musieli zapewne utrzymywać ich w stanie półuśpiania. Przed erupcją embrionów możemy znieczulić ich rdzenie kręgowy. To będzie bezbolesna operacja, dokładnie tak, jak powiedziałem.

Łypnęła na niego z niedowierzaniem, po czym demonstracyjnie odwróciła się od niego plecami i podeszła do Carlyn.

Wren, skonsternowany, odwrócił się do Gedimana, ale jego współpracownik nie odrywał wzroku od monitorów. Wren gniewnie zwrócił się do całej grupy.

- Posłuchajcie, oto stoi przed wami nowa dziedzina nauki, surowa i niezbadana dotąd, a wy macie okazję oglądać to jako pierwsi.

Spojrzeli na niego z wyraźną odrazą.

- Tak, to prawda, nie jest to ani przyjemne ani miłe dla oka, niemniej to wciąż nauka.

Czy zdajecie sobie sprawę, że w dwudziestym wieku podczas prac nad Projektem Manhattan, kiedy naukowcy trudzili się przy budowie bomby atomowej, niektórzy z nich wierzyli, że wybuch pierwszej bomby może spowodować zapalenie wodoru w atmosferze? Gdyby tak się stało, pożoga ogarnęłaby świat i doprowadziła do zagłady ludzkości. Mimo tych obaw próbna eksplozja została jednak przeprowadzona. Mając do czynienia z nauką, należy ryzykować, jeżeli chcemy dokonywać jakichkolwiek odkryć.

Pozostali patrzyli na niego posępnie, po czym znowu się odwrócili.

Wren z irytacją spojrział na Gedimana, zastanawiając się, gdzie podziała się jego gładkość wypowiedzi, zwłaszcza teraz, kiedy była tak bardzo potrzebna.

- Nie pojmuję, o co im chodzi. Przecież czytali literaturę. Wiedzą, na co się pisali.

Gediman nie mógł oderwać wzroku od masywnej szyby. Wszystkie hibernatusy przestały się już szamotać i leżały nieruchomo w stanie przypominającym śpiączkę. Zgodnie z odczytami czujników implantacja już się rozpoczęła. Dwadzieścia twarzościsków przywierało do dwudziestu głów, ich pęcherze tlenowe hojnie pompowały powietrze do płuc ludzi, podtrzymując ich przy życiu.

W końcu Gediman odezwał się. Głos miał cichy, ochryply.

- Czytanie o tym to jedno. Ujrzenie tego na własne oczy... to zupełnie co innego.

Przełknął ślinę i jakby od niechcenia dotknął palcami szyi.

Kiedy Wren odwrócił się ponownie w stronę ekranów, z trudem pohamował się, żeby nie powtórzyć tego gestu.

6.

Call i Christie dołączyli do pozostałych, którzy mieli właśnie wejść do mesy. Vriess uśmiechnął się do kobiety ze swego wózka.

- Skończyliście?

Call skinęła głową.

- Rozładunek zakończony – rzekł Christie – transport odebrany i podpisany. Zakładam, że nasz wspaniały szef jest wciąż z *El General*?

- Kto, Elgyn? – spytała Hillard. – Chyba tak. – Zwróciła się do Vriessa: - byłeś już „na zakupach”?

- Na pusty żołądek? – spytał kaleka. – Chyba żartujesz. Sprawdzę, co mają, kiedy już się najem w tutejszej czterogwiazdkowej restauracji. Wszystko po kolei.

Cała gromadka zachichotała, przechodząc przez otwarte drzwi. Pomieszczenie jest ogromne, pomyślała Call, zwłaszcza w porównaniu z przyciasnymi kajutami na *Betty*. W razie potrzeby w mesie mogli spożywać posiłek wszyscy żołnierze znajdujący się na *Auridze*.

Wnętrze urządzono jednak w taki sposób, by można było uprawiać tutaj ulubione sporty na ścianie zawieszono kosz, gruszkę i worek bokserski, opodal stał również atlas kulturystyczny.

Przyszli jak na kolację zbyt późno, jedyną osobą w mesie okazała się kobieta dla rozrywki zliczająca rzuty do kosza. Była wysoka, szczupła, o sięgających do ramion falujących, brązowych włosach. Call przypuszczała, że należała do kontyngentu armii albo była jajogłowa, która w ten sposób zabijała wolny czas.

Pozostali rozglądali się po pomieszczeniu. Wtem Johner zauważył dziwną kobietę i wymamrotał:

- Och, och.

Call poczuła, że jej mięśnie naprężają się mimowolnie.

Johner uśmiechnął się i rzekł:

- Miałeś rację, Vriess, wszystko po kolei. – Podeszedł do kobiety, a reszta grupki przystanęła w stosownej odległości.

Call nie była pewna, czy stało się to za sprawą dynamiki grupy, czy ważenia nieuchronnych kłopotów. Wątpiła, by ktokolwiek na pokładzie *Aurigi* mógł być łatwym celem dla groteskowego Johnera. Johner dziarsko stanął za plecami kobiety. Położywszy jej dłonie na ramionach zapytał tonem, który jego mniemaniu mógł uchodzić za uwodzicielski:

- Co byś powiedziała na małe bara - bara?

Call zastanawiała się, jak daleko zdoła posunąć się Johner w wyrażaniu czegoś, co zapewne określał mianem „podrywu”. Trudno jej było uwierzyć, że mógłby mieć za darmo choćby jedną kobietę.

Nieznajoma lekko odwróciła głowę, dając do zrozumienia, że go usłyszała. Wyraz jej twarzy nie był szczególnie zachęcający. Ponownie się odwróciła i ignorując go zajęła się dryblingiem.

- Co powiedziałaś? – naciskał Johner pocierając nosem jej włosy i wdychając jej zapach.

Call usłyszała bardzo wyraźnie. „Odsuń się ode mnie!”

Ostrzeżenie było stanowcze, lecz zawierało w sobie nutę znużenia i rezygnacji.

- Niby dlaczego? – spytał nieśmiało Johner.

- Bo pożałujesz. – odparła. W jej głosie nie było nawet cienia nieśmiałości.

Johner przywarł do niej, ocierając się o jej pośladki. Call poczuła narastające

obrzydzenie. Muskając długą szyję kobiety mamrotał: „Bo co, zrobisz mi krzywdę? To mogłoby mi się nawet spodobać.” Bezbarwne oczka zwęziły się, krzywy uśmiech wyglądał upiornie, ale właściwie cały Johner prezentował się paskudnie.

Kobieta odwróciła głowę. Parodia uśmiechu, jaką go potraktowała, była równie nieatrakcyjna.

Call uświadomiła sobie nagle, że reszta grupki nie podeszła do stolików, lecz czekała z niecierpliwością, wyraźnie spodziewać się rozróby. Widać jeśli chodziło o Johnera, takie sytuacje nie należały do rzadkości. Call poczuła, że mimo woli wychyla się do przodu, jakby chciała pośpieszyć z pomocą nieznajomej. Wiedziała, że nie wpadłaby przez to najlepiej w oczach załogi, ale...

Vriess przytrzymał ją delikatnie. Spojrzała na niego i dostrzegła, że nieznacznie pokręcił głową.

- Nie mieszajmy się, Call – usłyszała jego ostrzeżenie.

Odwróciła się na powrót w stronę Johnera i kobiety, zastanawiając się, czy gdyby zawołała, żeby zasiadł z nimi do kolacji, przestałby interesować się tą...

Kobieta zaatakowała bez ostrzeżenia, wybuchła jak granat, wbijając łokieć w brzuch Johnera. Potem z półobrotu trzasnęła go jeszcze na dokładkę pięścią w twarz. Call z oszołomieniem uświadomiła sobie, że nieznajoma przez cały ten czas drugą ręką mechanicznie odbijała piłkę. Wielkolud na moment jakby zawisł w powietrzu, a potem rąbnął z impetem o śliską podłogę i poszorował po niej.

Załoga *Betty* była zdumiona, nie tyle atakiem na Johnera, lecz miażdżącą siłą, z jaką go przeprowadzono. Call zamrugała, podczas gdy Johner sunął po podłodze, póki nie zatrzymał się na podstawie sprężynowej gruszki bokserskiej, która, potrącona, przewróciła się na niego. Zanim Call zdążyła uświadomić sobie, co zaszło, Hillard z okrzykiem wściekłości rzuciła

się na nieznajomą. Kobieta znów wykonała zgrabny unik i z łatwością odepchnęła od siebie napastniczkę. Call aż otworzył usta ze zdziwienia; pilotka była twardą wojowniczką, ale tamta odepchnęła ją od siebie jak niezdolne dziecko. Hillard, której impet zadziałał przeciwko niej samej, rąbnęła z hukiem o pokład. Jakby po namyśle kobieta rzuciła piłką, trafiając Hillard w żołądek. To uderzenie wydusiło z niej powietrze i na moment zamroczyło. Christie, którego przesadnie wyrzeźbione węzły mięśni napięły się gwałtownie pod skórą, schwycił jedną z gruszek bokserskich i z całej siły zamachnął się, mierząc jej ciężą podstawą w głowę kobiety. Call wydała cichy okrzyk, kiedy nieznajoma przyjęła uderzenie płaską stroną obciążonej podstawy urządzenia prosto w twarz, jak bokser i nawet się nie skrzywiła.

Wyraz twarzy kobiety pozostał nie zmieniony, tylko z nosa pociekła jej strużka krwi. Christie był równie zaskoczony i powtórzył atak, tym razem z większą siłą niż poprzednio. I znów nieznajoma przyjęła cios bez mrugnięcia okiem. Christie ryknął przeraźliwie, robiąc zamach swoją bronią po raz trzeci. Tym razem dłoń kobiety wyprysnęła do przodu, chwytając za stojak i unieruchamiając gruszkę w pół ciosu. Prawie bez wysiłku nieznajoma wyrwała przedmiot z rąk Christie'go... (Z rąk Christie'go! pomyślała Call z przerażeniem) i odrzuciła go od siebie.

A potem skoczyła na niego jak dzikie zwierzę. Jedną ręką chwyciła go za włosy, drugą za podbródek, podczas gdy mężczyzna na próżno próbował się od niej uwolnić. Zaczął drapać ją paznokciami, okładać pięściami, jak mógł, starał się odepchnąć ją od siebie, czując, że nieznajoma lada moment zgruchocze mu szczękę.

Widok był przerażający.

Call już miała rzucić się na pomoc Christie'emu, ale Vriess powstrzymał ją.

- Nie mieszaj się! – rozkazał.

Zawahała się, ale usłuchała jego polecenia.

Wtem Johner poderwał się z podłogi. Podbiegł do dwóch walczących postaci i walnął potężną pięścią w odsłoniętą nerkę kobiety.

Nieznajoma odwróciła głowę, a na jej twarzy zamiast bólu pojawił się grymas wściekłości. Jakby z wahaniem puściła Christie'ego, olbrzym opadł bezwładnie jak szmaciana lalka. Niespodziewanie kobieta również runęła na podłogę, a jej dłoń wystrzeliła do przodu. Szybkim, w pełni skoordynowanym ruchem zacisnęła palce na kroczu Johnera, z tą samą miażdżącą siłą, z jaką gruchotała wcześniej szczękę Christie'ego. Johner wrzasnął agonialnym, piskliwym głosem. Gdy osunął się na kolana, nieznajoma wbiła mu pięść w brzuch, niemal zginając go w pół.

Naraz pośród tego piekła wijących się ciał, krzyków i jęków rannych rozległ się donośny i stanowczy męski głos:

- Ripley!

Na ten dźwięk Call odwróciła się i ujrzała czterech żołnierzy z dobytą bronią wymierzoną na w nich, nie, nie w nich – w kobietę. Towarzyszyło im dwóch mężczyzn w białych kitlach. Jednego z nich rozpoznała. To on odbierał dostawę ładunku. Na piersi białego fartucha nosił plaketkę z napisem WREN. Nieco za nim stał mężczyzna z plaketką z nazwiskiem GEDIMAN. Gediman wydawał się poruszony do żywego, lecz WREN pozostawał spokojny i opanowany. Nietrudno było zorientować się, kto tu rządzi. Kobieta, do której zwracał się Wren, wolno uniosła głowę, a na jej twarzy malował się nieobecny, beznamiętny wyraz, jakby wcale nie wytarła przed chwilą podłogi największymi twardzielami z drużyny mieniającej się najtwardszą spośród twardych.

Call odwróciła się, by spojrzeć na kobietę. Co on powiedział Ripley? Zamrugła oszołomiona. R i p l e y ?

Wszystko zamarło. Załoga *Betty* zaczęła się wycofywać. Christie podniósł się niezdarnie, składając ręce za plecami, jakby nic się nie stało, choć Call wiedziała, że udaje. Hillard zdołała podnieść się o własnych siłach. Ripley jednak wciąż jedną ręką przytrzymywała Johnera, jakby nie chciała puścić ofiary teraz, gdy już ją powaliła.

- Nie róbmy scen – rzekł półgłosem Wren, jakby zwracał się do dziecka. Jakby scena się nie rozegrała i do tego scena naprawdę przerażająca. Jakby nie było czterech żołnierzy mierzących do jednej kobiety. Jakby mógł mieć nad nią jakąś kontrolę.

Wtem ku zdziwieniu wszystkich Ripley puściła swoją ofiarę i cofnęła się. Stała z boku, samotne, opuszczona. Skinęła głową w stronę Johnera i jakby mimochodem rzuciła:

- On... cuchnie.

A Wren, jak gdyby to było uzasadnione wyjaśnienie całego zdarzenia, pokiwał głową.

Johner zdołał w końcu odzyskać głos.

- Kim ty jesteś, do kurwy nędzy? – Prawie płakał z bólu.

Ripley odwróciła się do niego, zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem, po czym przyjrzała się spod półprzymkniętych powiek wszystkim obecnym. Nie mówiąc słowa, otarła kropelkę krwi spływającą po jej górnej wardze i strzepnęła palcami. Nie znaczyło to dla niej więcej niż oni wszyscy razem wzięci. Załoga *Betty*, żołnierze, ich broń, Wren, Gediman...

Call patrzyła, jak krew spada na podłogę. I po wszystkim. Sprawa zakończona.

Następnie, jakby znudzona całym zajściem, Ripley podniosła z podłogi porzuconą piłkę i prawie z drugiego końca sali wykonała wyrzut do kosza. Celny. A potem obróciła się na pięcie i wyszła.

Wren dał znak żołnierzom, żeby opuścili broń.

- Ma w sobie coś z drapieżnika, czyż nie? – zwrócił się do Gedimana.

On ją za to podziwia, uświadomiła sobie Call.

Gediman był wciąż podenerwowany. Zachichotał głupkowato, po czym wymamrotał:

- Coś takiego.. ten facet cuchnie.

Dwaj naukowcy i żołnierze wyszli z mesy pozostawiając załogę *Betty* samym sobie. Call podprowadziła Christie'go do ławeczki, a Hillard zajęła się Johnerem. Wiedziała, że żadne z nich nie będzie teraz myśleć o jedzeniu.

Ni stąd ni zowąd spojrzała w stronę drzwi, którymi wyszła Ripley. I nie mogła nie dostrzec kropelki krwi na podłodze, tam gdzie strzepnęła ją Ripley.

Ponad szkarłatnym punkcikiem unosiła się smużka dymu. A podłoga pod nim pokryła się bąblami i zaczęła się topić.

Gdy na *Auridze* zapadła noc, załogi obu statków jęły oddawać się najróżniejszym rozrywkom... naturalnie w granicach bezpieczeństwa. W zaciszu swojej kajuty Hillard rozciągnęła się nago na koi, a jej usta wykrzywił błogi uśmiech. Wzdychając cichutko z rozkoszy poddała się ogarniającym ją doznaniam. Całe jej ciało po zdarzeniu w mesie pulsowało tęnym bólem, co potrafiła jednak wykorzystać. Zasłużyła na to. Zamierzała radować się każdą chwilą i nie stracić niczego.

Uśmiechnęła się przez ramię do mężczyzny, który był sprawcą tych dogłębnych, intymnych rozkoszy.

Elgyn odpowiedział uśmiechem, wciąż masując zmęczone, obolałe stopy kochanki.

A w swojej kwaterze generał Perez skrupulatnie – osobiście – woskował buty. Czynił to według regulaminu; metodycznie topił wosk ręcznym laserem, rozprowadzał warstewkę substancji na skórze butów, a następnie polerował wosk ręcznie do lustrzanego połysku. To było jak ćwiczenie zen, rozluźniające umysł i pochłaniające umysł. On natomiast miał czas, żeby zastanowić się nad przyszłością swego eksperymentu.

W pomieszczeniach magazynowych statku *Vriess* przejechał wąskim przesmykiem

zastawionym z obu stron skrzyniami i pojemnikami skrzętnie oznaczonych części zapasowych, tysięcy, może milionów części. Był jak w raju dla mechaników. I wszystko tu było nowe, nowe, nowe! Doskonałe, istne dzieła sztuki, najlepszy towar. Tylko taki zadawała generała Pereza. Vries trzymał już całe naręczce kabli, obwodów drukowanych i komponentów. Zatrzymał się przy diodach, ruszył dalej i zawrócił. Sięgnąwszy po pudło, już miał odjechać, gdy wtem zmienił zdanie. Rozglądając się wokoło jak winowajca, wziął jeszcze jedno.

W salonie, apartamencie z kilku połączonych kubików, Christie, Call i Johner spoczywali przed ekranem wideo, a termos z „księżycówką” Johnera wędrował z rąk do rąk. Po dzisiejszej rozróbie żadne z nich nie było zbyt rozmowne. Call zdumiała się, że żaden z mężczyzn, ani Hillard, nie ma jej za złe, że nie wtrąciła się do awantury, ale bądź co bądź była nowa i niewielkiego wzrostu. Vriess też się nie włączył, a tylko głupiec uznałby go za bezradnego. Johner, Christie i Hillard oraz Vriess i Elgyn już od dawna tworzyli zgrany zespół. Vriess raczej o tym nie mówił, ale napomknął raz, że byli ongiś najemnikami... dawno temu, zanim Vriessa sparaliżowało.

Na ekranie, jakiś facet w stanie nieważkości korzystał z atlasu podczas gdy komentator bredził bez końca, że nie sposób żyć w stanie obniżonej grawitacji i zachować zdrowie, jeśli nie używa się regularnie tego sprzętu. Jego monolog regularnie przerywały reklamy i wstawki reagującej przesadnie widowni. Call uznała, że facet jest kretynem i nawet sto lat wyciskania żelaza nie zdoła mu dodać nowych komórek.

Johner nie odrywając wzroku od kranu podał jej termos. Wzięła go i wlała kolejną porcję zabójczej berbeluchy do szklaneczki.

Każdy relaksował się na swój sposób.

W strefie zakazanej Gediman pochłonięty był pracą. Był sam. Wszedł do pomieszczenia

obserwacyjnego, skąd mógł swobodnie kontrolować postępy w rozwoju pierwszych Obcych. Nie pozwalał sobie na myślenie o śpiących w komorach hibernacyjnych, ani o twarzościskach przywierających do ich czaszek. Był naukowcem z misją, a jego zdaniem, tu i teraz, było obserwowanie rozwoju Obcych, którzy już się narodzili. Szkoda, że nie dysponują większą ilością informacji historycznych. Gediman uważał, że to prawdziwa tragedia, iż nie mogli wrócić na planetę LV – 426, gdzie po raz pierwszy Obcy zostali odkryci przez załogę transportowca *Nostramo*. Ileż musiało się tam znajdować cennych informacji! Ale opuszczony statek z przedziwnym ładunkiem tysięcy jaj został zniszczony podczas eksplozji reaktora atomowego uszkodzonego procesora atmosferycznego i nie zostało po nim nic prócz pyłu radioaktywnego i krateru wielkości dziewiętnastu megahektarów. LV – 426 nigdy już nie będzie nadawać się do zamieszkania.

Ripley uniknęła zagłady LV 426, opuszczając planetę wraz z kilkoma innymi, lecz trafiła na Fiorinę 361, kiedy jej statek uległ awarii. Pojawił się tam pojedynczy wojownik Obcych oczekujący na Królową, którą nosiła w sobie nieświadoma tego faktu Ripley. Wojownik został zniszczony, a Ripley popełniła samobójstwo, aby mieć pewność, że tkwiąca w niej Królowa nie wydostanie się na zewnątrz. To mógł być kres kontaktów z Obcymi, wszystkie bowiem próby podjęte zarówno przez wojskowych naukowców, jak i prywatne korporacje w celu odkrycia macierzystej planety tych istot spełzły na niczym, mimo iż przeszukano w tym celu setki istniejących planet. Tajemnica niemal doskonałych organizmów przepadła w atomowej pożodze na LV-426 aż do momentu odkrycia zachowanych próbek krwi i tkanek Ripley, pobranych na Fiorinie.

To było dwadzieścia pięć lat temu. Oryginalne próbki zawierały niewiele informacji i dwukrotnie o mało nie zostały zniszczone. Dziesięć lat temu jednak Mason Wren, naukowiec wojskowy, dostrzegł tkwiący w nich potencjał i zdołał jakoś przekonać pewne grube ryby w

Biurze Badań nad Nowymi Rodzajami Broni, że warto by wydać trochę grosza na eksperymenty. Od tej pory to był jego projekt. Reszta załogi uwierzyła w wizję Wrena dopiero w dwóch ostatnich latach. Wtedy właśnie przeniesiono ich na *Aurige*. Wtedy też zaczęli dostawać wszystko, czego potrzebowali do kontynuowania badań. Wtedy też sklonowane komórki z próbek przestały umierać i zaczęły się rozrastać. Tak dotarli aż tutaj. Oto był namacalny wynik ich wieloletnich trudów. A tak wiele było jeszcze do zgłębienia. Tyle jeszcze mogli się nauczyć. Cierpliwie obserwował monitory, odczyty elektroniczne i same okazy.

Gediman nie mógł podobnie jak reszta zespołu nadziwić się szybkości, z jaką niektóre embriony wyprysnęły z ciał nieszczęsnych żywicieli, oraz ich niewiarygodnie prędkiemu rozwojowi. Wren nie był pewien, czy sprawiały to ich poczynania, czy była to cecha naturalna u tej odmiany. Poprzednie raporty nie wносиły wiele na ten temat, a próbka była zbyt mała, by wykazywać pewne normy lub trendy. Oczywiście wciąż czekali na większość embrionów...

Kontynuował obserwację, manipulując komorą obserwacyjną i zatrzymał się dopiero, gdy doszedł do wybranej klatki. Posługując się urządzeniami sterującymi, przesunął kamerę aż pod szerokie okno obserwacyjne klatki.

Wewnątrz tkwiło dwóch prawie dojrzałych Obcych, którzy zdawali się hibernować. Leżeli zwinięci w kłębek na podłodze w absolutnym bezruchu. Sporządził notatki, sprawdził czas. Wtem do szyby podszedł trzeci Obcy, który niespodziewanie wyłonił się z ciemności. Gediman drgnął mimowolnie, nieświadom obecności istoty, póki ta nie raczyła się pojawić. Stała przed nim mroczna, masywna, złowroga i kompletnie obca. Dziwaczna, wydłużona głowa, ogromny ogon, sześciopalczaste dłonie, czarny egzozkielet pokryty silikonem, monstrialne kolce grzbietowe. Bestia znieruchomiała.

Obserwujesz mnie, co? zastanawiał się naukowiec. To było dziwne uczucie być obserwowanym przez tak wielkiego drapieżcę, a w dodatku pozbawionego oczu.

Ale ty i tak doskonale mnie widzisz, prawda? Specjalne ośrodki czuciowe w tej twojej wydłużonej głowie odbierają ciepło, dźwięki, zapachy i ruch. Zmysły obejmujące trzysta sześćdziesiąt stopni mogą odebrać z otoczenia o wiele więcej niż ludzkie. Zdumiewająca z ciebie istota.

Znów ujrzał komorę hibernacyjną mężczyzny nazwiskiem Purvis. Widział mrozącą krew w żyłach zgrozę malującą się na jego twarzy na widok otwierającego się przed nim jaja. Widział atak twarzościska i rozpaczliwą szamotaninę Purvisa...

Zamrugał, usiłując uwolnić się od tych wspomnień. Purvis wciąż nosił w sobie embriona. Najwidoczniej facet miał niski poziom hormonów, który spowodował zwolnienie rozwoju jego embriona. Zapomnij o nim. To tylko dlatego, że zapamiętałeś jego nazwisko. Pewne ofiary są niezbędne. Stało się, a to dopiero początek.

Obcy przyglądał mu się ostrożnie, niemal niedostrzegalnie podchodząc do szyby.

Gediman również nachylił się w stronę przezroczystej tafli. Wargi Obcego rozchyliły się, ukazując obecne pod nimi zębiska o barwie chromu. Otwierając potężne szczęki stwór wysunął powoli swój długi, sztywny język, jakby prezentował go przed naukowcem. Język zakończony był drugą parą zębów i na całej długości ociekał przezroczystym, lepkim śluzem. Gediman zapomniał o Purvisie, o twarzościskach i wpatrywał się jak urzeczony w coś, czego nikt dotąd nie oglądał, nie przyplacając obserwacji życiem. Uśmiechnął się.

- Czy to wydłużony *externus lingua*... czy też cieszysz się, że mnie widzisz? -

wymamrotał. - Mimowolnie oparł dłoń o szybę, aby się podeprzeć i przytknął nos do wykonanej na specjalne zamówienie, twardej jak stal szyby z plastyku, który nadal nazywali „szkłem”. Oparł o nią czoło i policzek jak dziecko pragnące lepiej się czemuś przyjrzeć.

Bez ostrzeżenia język Obcego wyprysnął niczym biczyk i trafił w szybę tuż obok jego oka.

Gediman odskoczył do tyłu, serce zabiło mu żywiej, dłonie nagle spotniały. Nie odrywając wzroku od stwora podszedł do konsoly.

- Czas na pierwszą lekcję, szczeniaku - zawyrokował, po czym oparł dłoń na czerwonym, specjalnie zabezpieczonym guziku.

W okamgnieniu Obcego zalały strugi płynnego azotu, zmieniające się natychmiast w kłęby azotowej pary. Potwór zawył jak opętany odskakując na środek klatki i potykając się o śpiących towarzyszy pobudził ich i wystraszył. Po chwili wszystkie stwory w klatce miały się, ogarnięte dziką paniką. Gediman zwolnił przycisk.

Wojownik, który został skarcony, odwrócił wielki łeb w stronę Gedimana, jego zakończony kolcem jak u skorpiona ogon chłostał dziko na prawo i lewo. Dwa pozostałe cofnęły się, skulone, nie wiedząc, co się właściwie wydarzyło.

Pierwszy Obcy znów podszedł do szyby, ale Gediman sięgnął ręką w stronę czerwonego guzika i zatrzymał nad nim dłoń. Potwór zastygł w bezruchu. Gediman również. Obcy z pewnej odległości wymierzył weń groźnie swój język, ale nie próbował zbliżyć się bardziej. Gediman z aprobatą pokiwał głową.

- Szybko się uczymy, co? - To rzekłszy, zadowolony sięgnął po swoje notatki.

Wielki wojownik drżał w tym małym, dziwnym miejscu, pałając wściekłością. Ta mała, krucha ofiara zraniła mnie, poparzyła! Smagnął wściekle ogonem, patrząc, jak ofiara manipuluje urządzeniami, których funkcji wojownik mógł się tylko domyślać. Wojownik patrzył na groźny czerwony przycisk w zasięgu małej istoty. Odczytał słowa SYSTEM ZABEZPIECZAJĄCY przy guziku i UWAGA! TRYSKACZE AZOTOWE! Obserwował drobną istotę z nazwiskiem GEDIMAN na klapie... jak sprawiała, że na obsługiwanym przez nią urządzeniu pojawiają się słowa. Ofiara emanowała satysfakcją, dumą, spełnieniem, jakby

w pełni poznawała jego prawdziwą funkcję.

To nie miało dla wojownika znaczenia. Dla niego ofiara miała tylko jedną funkcję, identyczną jak w wypadku innych gatunków. Smagnął ogonem, wysuwając groźnie język. Powietrze ze świstem wypływało przez jego kolce grzbietowe. Nie znosił tego obcego otoczenia, tęskniąc za parującym ciepłem wylęgarni, siłą i bezpieczeństwem, jakie dawała bliskość istot tego samego gatunku. Nawet mimo obecności dwóch innych cierpiał na dojmującą samotność. Nadeszła pora, żeby wybudować gniazdo. Wylęgarnię. Pora, by dołączyć do innych wojowników i służyć Królowej. Po to właśnie żył.

Obserwował ofiarę, ucząc się o niej prawie wszystkiego, czego wojownik mógł kiedykolwiek potrzebować.

Nie czuł jej jeszcze, ale wychwytywał woń innych, ich zapach przesycił rozrzedzone powietrze. Byli ciepłokrwistymi istotami oddychającymi tlenem. Widział przez szybę ich oddech. Widział barwę ich krwi przez ścianki bladych żył, analizował jej skład chemiczny. Potrafił oszacować wagę, masę mięśniową i zdolność do stawiania oporu. Znał ich słabe i silne strony. Widział barwę ich emocji, czy były gorące, czy zimne, czy odczuwali ból, czy strach. Widział, że ta istota lęka się wojownika, ale nie dość mocno. Zwłaszcza teraz, gdy - jak udowodniła - może wojownika zranić. „Gediman” emanował barwą dumy, spełnienia. Będę pamiętać tę barwę, kiedy przyjdę po ciebie.

A przyjdę na pewno.

Ciało Gedimana zostanie użyte jako budulec wylęgarni. Gdy się już tam znajdzie, wojownik zadecyduje, czy „Gediman” posłuży Królowej jako pożywienie, czy stanie się żywicielem jej młodych, czy karmą dla nich. Zadecyduje o tym, czy Gediman powinien żywić młode i być ich pierwszym posiłkiem.

A skoro mnie zraniłeś i cieszy cię to, zrobię tak, by możliwie jak najdłużej zachować cię

przy życiu.

Wojownik będzie patrzył, jak kruszeje дума Gedimana, a wraz z nią wszelkie inne emocje, póki nie zostanie nic prócz strachu, wszechogarniającego lęku, jakiego Gediman nigdy wcześniej nie doświadczył. Strach był niezbędny dla żywiciela, był imperatywem. Czynił organizm podatnym i wrażliwym, otwierał ścieżki dla młodych, pozwalał im się zakotwiczyć, rosnąć, zmieniać żywiciela tak, by zaspokajał ich potrzeby. Strach był czynnikiem niezbędnym. A kiedy młode opuszczały łono, ostatnia eksplozja bólu i strachu zmiękczała ciało żywiciela, żeby mogły pożywić się jego mięsem.

Wielki wojownik chlasnął ogonem, przekazując myśli, plany i odczucia swoim braciom i Królowej. Do Królowej matki przesłał swą miłość i aprobatę. To stanie się niedługo, wojownik dopilnuje tego. A ten mały człowiek, ten Gediman będzie pierwszym. Pierwszym łonem. Pierwszą karmą, i pożyje na tyle długo, by być świadkiem tego wszystkiego. Tego również dopilnuje wojownik.

Królowa przyjęła z zadowoleniem przekaz.

Call po powrocie do kajuty miała serdecznie dosyć wideo i alkoholu. Do licha, noce na *Betty* były zwykle ciekawsze niż ta. Próbowwała wstać, ale straciła równowagę. Dwaj mężczyźni zachichotali rubasznie.

- O rany, Johner - poskarżyła się, drapiąc się w głowę. - Coś ty dodał do tego gówna?

Kwas akumulatorowy? - Wbiła wzrok w pustą szklankę, jakby usiłowała dociec, jak do tego doszło.

- Odrobinę, dla odpowiedniego zabarwienia - odrzekł broniąc się Johner, po czym on i Christie przyklepali nawzajem dłonie.

- Może już wystarczy - uznała i zwlókłszy się z fotela, ruszyła chwiejnie przed siebie.

Usiłowała pogwizdywać tę samą melodyjkę, co wcześniej z Vriessem, ale okropnie

falszowała.

Po wyjściu z kajuty Call skręciła za róg. Znalazłszy się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku, wyprostowała się, idealnie trzeźwa. Rozejrzawszy się wokoło, upewniła się, że jest sama, po czym ruszyła w głąb korytarza. Opracowaną wcześniej trasą dotarła do strefy oznakowanej jako ZAKAZANA.

Wiedziała, że od tego miejsca każde drzwi będą solidną przeszkodą. Sięgając do kieszeni wyjęła pęk spekluczy. Na kółku przymocowanych było tuzin mikrosprajowych kapsułek w większości jej własnego pomysłu.

Zerkając przez ramię i wyęzając słuch, używając wszystkich posiadanych zmysłów, Call upewniała się, że wciąż jest sama i że nikt jej nie obserwuje, podczas gdy ona forsuje kolejne zamki. Niektóre z nich wymagały wprowadzenia kodu oraz właściwej kombinacji wyziewów wpuszczonej do ośrodków analizy oddechów. Niektórym z nich wystarczyła tylko odrobina środka z właściwej kapsułki. Żaden nie był w stanie jej zatrzymać. W końcu otworzyły się przed nią bezgłośnie ostatnie drzwi. Po krótkim wahaniu weszła do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. Wciąż brak alarmu. Najwyraźniej nie obserwowali już mieszkańca tej celi tak bacznie jak kiedyś.

Pokój był mały, mroczny i przez chwilę Call pomyślała, że wybrała niewłaściwy, w którym nikt nie zamieszkiwał. Nic tu nie było, ani umywalki, ani kranu z wodą, toalety, niczego. Widziała jedynie ostro zarysowane cienie i kontrastujące z nimi jasne obszary dzielące niewielką przestrzeń celi na poszczególne sektory. W końcu jej oczy przywykły do półmroku i zdołała dostrzec podeszwę trampka wyłaniającego się z najgłębszych cieni. Spojrzała ponownie. Noga kogoś, kto nosił ów trampek, zniknęła w mroku. Samotny mieszkaniec tej celi leżał wśród cieni, zwinięty w kłębek, kompletnie niewidoczny dla wszystkich, którzy mogliby obserwować go z góry.

Call bezgłośnie zbliżyła się do postaci, po czym przykucnęła i bezszelestnie weszła w najgłębszą ciemność, gdzie kryła się śpiąca. Z trudem dostrzegła ciemny kształt, zwinięty jak w pozycji płodowej, mimo iż znalazła się tak blisko niego. Bezgłośnie wczołgała się w ciemny kąt, ponownie zadowolona ze swych niewielkich bądź co bądź rozmiarów. Ciemność pochłonęła ją zupełnie. Teraz obie były ukryte. Ledwie się ukryła, gdy w górze przesunął się cień.

To strażnik w trakcie obchodu, jego stopy minęły kratę wmontowaną w sufit. Call wstrzymała oddech.

W końcu sobie poszedł. Call ponownie skupiła uwagę na śpiącej kobiecie, czekając, aż ta zda sobie sprawę z jej obecności w celi, ale ona nie obudziła się, brązowe włosy przesłaniały jej twarz, pierś wznosiła się w regularnym, spokojnym oddechu. Człowiek. Kobieta splótła ręce na brzuchu, jakby coś do niego tuliła albo jakby cierpiała. Nawet we śnie jej silne, atrakcyjne rysy były napięte, przepełnione niepokojem. Zupełnie jakby trapiły ją koszmary.

Przyszłaś tu wykonać swoją robotę, pomyślała Call tłumiąc w sobie litość i żal. Tylko dlatego, że wyglądała jak... Bezgłośnie zabójczyni Call wyciągnęła prawą dłoń i wsunął się w nią ukryty sztylet. Jedno dotknięcie przycisku i długie ostrze bezdźwięcznie wysunęło się z rękojeści. Srebrzysta broń miała prawie stopę długości i ostry szpic. Call zawsze uważała, że broń dalekiego zasięgu jest przeznaczona dla tchórzy. Lubiła działać cicho i z bliska.

Nachyliła się i uniosła dłoń do ciosu.

Przestań się na nią gapić. Rób, co masz do zrobienia. Przełknęła ślinę. Jedno pchnięcie i przebije jej serce. Czysto. Sprawnie. Szybko. Ripley nawet się nie zorientuje. To było najlepsze, co mogła jej zaoferować.

Nagle kobieta poruszyła się we śnie. Call znieruchomiała. Głowa kobiety odchyliła się do tyłu, odsłaniając gardło. Sznurowana poła brązowej obcisłej bluzy rozchyliła się przy

piersiach i na brzuchu. Nawet w cieniu widać było bladość jej skóry.

Call przesunęła dłoń ze sztyletem i nieco bardziej rozchyliła sznurowany gorset.

Zmrużyła powieki, dostrzegając bliznę. Bliznę?

Blizna!

Nie!

- No i? - rozległ się cichy, beznamiętny głos kobiety. Call drgnęła i cofnęła się odruchowo. Była tak zaskoczona, że o mało nie upuściła noża.

- Zabijesz mnie czy jak? - spytała obojętnym tonem Ripley.

Call mocno zwarła szczęki.

- To nie miałoby już sensu, prawda?

Jeden szybki ruch nadgarstka i sztylet na powrót zniknął w rękawie, równie dyskretnie, jak się pojawił.

- Już to wyjęli. Chryste... czy to tu jest? Na pokładzie? - Poczowała chłód w dołku, usiłując pogodzić się z myślą, że się spóźniła.

Za późno!

Ripley uśmiechnęła się posępnie.

- Chodzi ci o moje dziecko?

Call pokręciła głową, niemal nie zdając sobie sprawy z osobliwości tej sytuacji.

Rozmawiała z tą kobietą!

- Nie rozumiem. Skoro to wyjęli, dlaczego utrzymują cię przy życiu?

Lekkie wzruszenie ramion.

- Są ciekawi. Jestem ich najnowszym osiągnięciem.

Call usiłowała opanować falę bezsilnej wściekłości, która ją ogarnęła. Nie spodziewała się, że przybędzie za późno. W końcu uspokoiła się. Spojrzała znacząco na kobietę

znajdującą się wraz z nią wśród najgłębszych cieni tego pokoju. Bezgłośnie strzepnęła ręką, by nóż znowu znalazł się w jej dłoni, wysunęła ostrze i pokazała je Ripley.

Łagodnym tonem Call zaproponowała jej podarunek.

- Jeżeli chcesz, mogę to wszystko przerwać. Ten ból... ten koszmar... To wszystko, co mogę ci zaoferować.

Zasługujesz na coś lepszego.

Wyraz twarzy Ripley stał się bardziej czytelny, a Call dostrzegła w nim piętno niewypowiedzianego, rozdzierającego smutku. Nie odpowiedziawszy otworzyła dłoń i przyłożyła ją wnętrzem do czubka noża.

- Skąd wiesz, że pozwoliłabym ci na to? - wyszeptała.

To rzekłszy Ripley napała dłonią. Nóż przebił dłoń na wylot. Zatrzymała rękę dopiero wtedy, gdy z drugiej strony wyłoniło się około czterech cali ostrej, srebrzystej stali.

Oczy Call rozszerzyły się, rozdziawiła usta. Wyglądała tak samo jak w mesie.

- Kim jesteś? - rzuciła patrząc na przebitą dłoń Ripley, cienką strużkę wypływającej z rany krwi i kompletny brak reakcji ze strony kobiety.

Odpowiedziała beznamiętnie:

- Porucznik Ellen Ripley. Numer pięć- jeden- pięć- sześć- jeden- siedem- zero.

Call tylko pokręciła głową.

- Ellen Ripley zmarła ponad dwieście lat temu.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas zaskoczenia. Uwolniła dłoń od noża i lekko się skrzywiła, jakby poczuła niemiłe ukłucie.

- Co o tym wiesz? - Usiłowała nadać pytaniu beznamiętny ton, ale w jej głosie wyraźnie wyczuwało się nutę zaciekawienia.

- Czytałam Morse'a - odparła oschle Call. - Czytałam wszystkie zakazane historie. Ellen

Ripley oddała życie, by ochronić nas przed bestią. Nie jesteś Ellen Ripley.

Kobieta nazwiskiem Ripley odwróciła wzrok, jakby wpatrując się w coś, co tylko ona mogła dostrzec.

- Nie jestem nią? Wobec tego czym jestem?

Dobre pytanie. Call patrzyła z przerażeniem, jak ostrze noża skwierczy i dymi, topiąc się na jej oczach, aż pozostał zeń tylko ostro zakończony ułomek.

To była odpowiedź dla Ripley. Pokazała jej stal.

- Jesteś dziełem eksperymentu, klonem. Wyhodowali cię w pieprzonym laboratorium, żeby robić na tobie testy.

Znowu ten czarny humor.

- Ale tylko Bóg potrafi stworzyć drzewo.

Call poczuła nagłą potrzebę nawiązania kontaktu z tą... podróbką, tym cieniem Ripley.

- A teraz wyjęli z ciebie bestię?

Znów smutek. Głęboki. Dojmujący. Głębokości jej bólu Call mogła się tylko domyślać.

- Nie całkiem.

Call nie zrozumiała.

- Że co?

Ripley spojrzała na nią, nawiązując kontakt wzrokowy. Jej spojrzenie przeszło Call na wskroś, przepaliło, jak krew Ripley rozpuściła jej nóż. Kobieta wyszeptała:

- To jest w mojej głowie. Za moimi oczami. - Po raz pierwszy wydawała się ludzka, słaba, ułomna.

- A więc pomóż mi! Jeżeli jest w tobie choć odrobina człowieczeństwa, pomóż mi powstrzymać ich, zanim to coś wydostanie się na wolność.

- Za późno - odparła kobieta z bezgraniczną rozpaczą w głosie.

Przez chwilę Call opacznie ją zroszciała.

Za późno dla mnie? Nagle z przerażeniem uświadciała sobie, że tkwi w ciemności, może zaledwie o kilka cali od tego... tego... - Call nie wiedziała, jak ją nazwać - od tego drapieźnika, który zapewne uśmierciłby ją jedną ręką, zanim zdołałaby stawić mu czoło. Nóż byłby bezużyteczny...

Kiedy Ripley uniosła dłoń w stronę Call, młodsza kobieta drgnęła. Ripley znieruchomiła na chwilę, po czym kontynuowała ruch. Poglądziła Call, odgarniając kosmyk jej włosów. Był to delikatny, prawie zmysłowy gest. Matka mogłaby tak dotykać swego dziecka z czułością, z pietyzmem, z miłością.

- Pogodziłam się z tą myślą - mruknęła Ripley, a Call uświadciała sobie, że tamta mówi o potworze, którego urodziła. O jego istnieniu. O tym, że sprowadzi on nową plagę.

- To nieuniknione.

Call zebrała się w sobie. Jej oblicze stężało.

- Nie, dopóki ja tu jestem. - Starła się nie myśleć, jak absurdalnie musiały zabrzmieć jej słowa. Nie znosiła siebie, swojej budowy, miękkiego, śpiewnego głosu, niskiego wzrostu. Nie pierwszy raz żałowała, że nie jest zbudowana jak Christie.

- Nie wydestaniesz się stąd żywa - powiedziała ze smutkiem Ripley, jakby pouczała krnąbrne dziecko.

Słyszając wahanie w jej głosie, Call rzekła z naciskiem:

- Nic mnie to nie obchodzi!

- Serio? - Ripley z rozbawieniem uniosła brwi.

Błyskawicznie jej ręka wyprysnęła naprzód i chwyciła Call za gardło, odcinając dopływ powietrza. Call niezdarnie zamachnęła się ułomkiem noża, lecz zawadziła nim o ścianę.

Ruchy utrudniała również narastająca w jej wnętrzu panika.

Ripley odtrąciła jej rękę i nachyliła się nad dziewczyną. Call musiała zwalczyć w sobie panikę, usiłowała zachować jasność umysłu. Oczy drapieżnika rozbłyły tuż przy jej twarzy.

Ripley z bezgranicznym smutkiem rzekła:

- Mogę to skończyć.

Call usłyszała, jak z jej ust dobywa się cichy jęk i wiedziała, że na jej twarzy musiała malować się trwoga. Wzrokiem błagała o litość.

Równie szybko, jak ją pochwycono, Call została nagle uwolniona. Ripley odsunęła się od niej. Potem znów zwinęła się w kłębek, oparta plecami o ścianę i ukryta najlepiej, jak to możliwe, wśród najgłębszych cieni.

Co robisz? Dlaczego się ukrywasz? Czego mogliby jeszcze od ciebie chcieć? Nic dziwnego, że w pokoju nie ma żadnych mebli. Gdyby dali jej łóżko, bez wątpienia wpełzłaby pod nie i na dobre znikła im z oczu. Czy wpełznięcie w kąt daje ci namiastkę spokoju i bezpieczeństwa? Czy to jakieś ukryte wspomnienie z dzieciństwa sprzed setek lat?

- Idź - rozkazała Ripley obojętnym głosem - wynoś się stąd. Szukają cię.

Call spiesznie odsunęła się od niej, jakby obawiała się, że tamta może zmienić zdanie, wiedziała, że to, czy wyjdzie z tego pomieszczenia, czy umrze w nim, zależało teraz tylko od kaprysu istoty zwanej Ripley. Wyszła ze strefy cieni, nie bacząc, czy zostanie dostrzeżona przez strażnika i rozpaczliwie łapiąc powietrze, jak krab chyłkiem zaczęła wycofywać się ku drzwiom.

Cel jej bytności tutaj, cała jej misja poszła w zapomnienie. Call była teraz pochłonięta sprawą przetrwania, gorączkowego utrzymania się przy życiu. Nie mogła uwierzyć, że tak silny jest ów instynkt, który skłonił ją do ucieczki. Zaczęła manipulować przy drzwiach, odnalazła mechanizm i sforsowała go.

Wybiegła z celi, w panicznej ucieczce zapominając o nakazach ostrożności. Dwa kroki

za progiem celi coś zimnego i metalicznego dotknęło jej szyi, lecz zanim zdążyła się odwrócić i zareagować, otrzymała postrzał, ładunek paralizujący poparzył skórę porażając nerwy i przemknął po kręgosłupie do każdego zakątka jej ciała... Krzyknęła, a potem upadła i wszystko szerniało.

Wren patrzył z satysfakcją, jak drobna, ciemnowłosa kobieta osuwa się na podłogę. Gdy dwaj żołnierze ujęli ją pod ręce i podnieśli, pomyślał: Za kogo ty się u licha uważasz, że próbujesz bruździć w ściśle tajnym projekcie wojskowym? Sądziłaś, ci się uda? Był tak wściekły, że cieszyła go obecność żołnierzy, dzięki którym musiał zachować obojętną, zawodową postawę. Kiedy Call w oszołomieniu pokręciła głową i zaczęła odzyskiwać świadomość, Wren warknął:

- Mam wrażenie, że już wkrótce zrozumiesz, że to nie był dobry pomysł. - Zwrócił się do żołnierzy: - Gdzie jej kolesie?

- O ile nam wiadomo, sir, znajdują się w swoich kajutach.

- Ogłóście alarm - rozkazał Wren. - Macie ich wszystkich zgarnąć. Natychmiast!

Ripley zwinęła się wśród cieni w kłębek i wbiła wzrok w ciemność, usiłując nie dopuścić, by słowa owej dziewczyny ją poruszyły. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona... Ale nie odważyła się zasnąć.

„Nie chcę spać”, powiedział w jej głowie cichy, piskliwy głosik, „mam straszne koszmary.”

Kto to powiedział? Ripley nie pamiętała, lecz wspomnienie zraniło ją bardzo. Nie mogła zasnąć... Wydawało się jej, że we śnie mają do niej dostęp. Wówczas jej umysł był niestrzeżony i wydobywał je na powierzchnię. Wszystkie te potwory, prawdziwe potwory, poruszające się, oddychające, syczące... snujące plany, czekające...

Zadrzała.

Były organizmem doskonałym, mającym jeden tylko cel.

A ta kobieta, ta drobna, młoda kobieta nie potrafiła zrozumieć...

„Doskonałości jego budowy dorównuje tylko jego wrogość i zaciętość.” Ripley nie potrafiła przypomnieć sobie, kto to do niej powiedział i kiedy, ale i tak pamięć wróciła. To przepełniło ją druzgocącym smutkiem, a myśli o oddaniu tej idealistycznej młodej kobiety i jej determinacji przygnębiały ją jeszcze bardziej. Ripley bowiem w oczach tamtej zdołała dojrzeć cień samej siebie z przeszłości. To czym była. Czym uczyniły ją los i kosmiczny pech. A czym los uczynił mnie teraz? zastanawiała się obojętnie. Nie wiedziała, czy uczynił ją Ellen Ripley, jak z uporem powtarzał jej ogarnięty chaosem umysł, czy może raczej dziwolągiem, odmieńcem, groteskowym jak... jak...

Wolę określenie „sztuczny człowiek”.

Zamrugnęła, patrząc na gojącą się szybko ranę na dłoni. Mały ślad to było wszystko, co pozostało po przebicciu jej ręki nożem.

W tej chwili jej powieki opadły, ciało rozluźniło się i nie wiadomo kiedy usnęła. A to, co było tam, czekało na nią... za jej oczami...

Tęsknota za parującym ciepłem gniazda- wylegarni, bezpieczeństwem i siłą, jaką daje bliskość takich jak ona sama. Dojmująca samotność. Tylko we śnie mogła się z nimi złączyć, radować się z nimi. Nadeszła pora by zbudować gniazdo, by połączyć się z innymi wojownikami i służyć Królowej. Po to właśnie żyła.

Wojownik smagnął ogonem, przekazując wszystko co myślał, planował i czuł, swojej Królowej. A Królowa przesłała mu w odpowiedzi miłość i aprobatę.

To stanie się już wkrótce. Królowa dopilnuje wszystkiego. A wojownik zmieni zamiary w czyny. Ta powłoka zaś, ludzkie naczynie zwane Ripley, stanie się matką ich wszystkich.

Pierwszym łonem. Pierwszym wojownikiem. I przeżyje, by poznać to wszystko. By dzielić z

nimi chwałę. Królowa tego dopilnuje, Ripley była bowiem podstawą ula. Założycielką gniazda. Przodkinią Noworodka. Ripley drgnęła bezradnie przez sen, wydając ciche dźwięki protestu i bólu. Królowa dzieląca z nią sny wyraziła swą aprobatę.

7.

Christie miał właśnie powiedzieć Johnerowi, że ma już dość zarówno jego okropnej berbeluchy jak i towarzystwa, a poza tym zamierza się zdrzemnąć, kiedy drzwi do jego kajuty otwarły się na oścież. Obaj w okamgnieniu poderwali się na nogi, gdy do pomieszczenia wpadło czterech żołnierzy. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, mieli przed sobą lufy czterech karabinów gotowych do strzału. Dwaj załoganci *Betty* wymienili szybkie spojrzenia. Johner instynktownie ścisnął mocniej swój termos.

- W czym problem? - spytał Christie, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Ręce miał zwieszane wzdłuż boków, trzymając je z dala od ciała. Nie chciał, żeby ktokolwiek zrozumiał go opacznie.

- Panowie - rzekł uprzejmie, ale stanowczo jeden z żołnierzy. - Pójdziecie z nami.

Natychmiast.

Chyba tak, pomyślał Christie, potakując lekko głową do Johnera.

- Panowie - powtórzył żołnierz. - Natychmiast.

Christie spojrzał na niego. Na hełmie miał napisane: DISTEPHANO.

- Jasne. Idziemy. Nie stawiamy oporu, co nie, Johner?

Ostrożnie, ostentacyjnie Christie złączył ręce za plecami.

- Pewnie, że tak - mruknął Johner.

Weszli do mesy. Wszystkie światła były zapalone. W kilka minut potem Elgyn i Hillard zostali wprowadzeni do pomieszczenia przez innych żołnierzy, Elgyn wciąż poprawiał odzienie, widać było, że ubierał się w pośpiechu. Spojrzał na Christie'ego, nawiązując kontakt

wzrokowy. Podobnie jak Hillard. Żadne z nich się nie odezwało.

Nagle do mesy wepchnięto Call. Powłóczyła nogami i potykała się, wyraźnie oszołomiona, pocierając szyję. Żołnierzom, którzy przyprowadzili Call, towarzyszył ten doktorek, Wren, i łypał na małą techniczkę. Był wściekły.

Oszołomili ją, uświadomił sobie Christie. W co mogła się wpakować ta mała? I gdzie u diabła jest Vriess?

Elgyn skończył poprawianie swego stroju. Spojrzał na Wrena.

- Co się tu, kurwa, dzieje?

- Wygląda, że chcą nas wyrolować, szefie - powiedział głośno Christie.

Chciał, żeby Elgyn usłyszał, jak czysty i dźwięczny jest jego głos. Wprawdzie on i Johner pili od kilku godzin, ale obaj byli w stanie funkcjonować, mając w żyłach dawkę promili, która większość ludzi z miejsca wysłałaby na tamten świat. Wiedział, że Elgyn będzie się martwił, czy zdołają stawić czoło nowej sytuacji. Christie starał się nie przejmować brakiem Vriessa. Czyżby przetrzymywali go gdzieś jako zabezpieczenie?

Wren rozejrzał się po pokoju, po czym zwrócił się do Elgyna:

- Gdzie ten ostatni? Ten na wózku?

Skoro on tego nie wie, to znaczy, że Vriess musi tu gdzieś krążyć, uznał z niejaką ulgą Christie.

Stojący obok Johner warknął do Distephano:

- Zabierz łapy! - Jego głos wydawał się niewyraźny, bełkotliwy.

Christie zastanawiał się, czy Johner nie jest zbyt pijany, by móc normalnie funkcjonować.

- Doktorze - powiedział z rozważą Elgyn - niech mi pan powie, co się dzieje?

To, co powiedział Wren, zdawało się nie mieć sensu.

- To pan mi powie, dla kogo teraz pracujecie, albo zanim nadejdzie świt, wykrzyczy to na całe gardło.

Że co? pomyślał Christie. Od kiedy tutaj przybyliśmy, pracujemy tylko dla ciebie, pieprzony draniu. Poza tym pracujemy tylko dla siebie. Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Elgynowi.

Nagle Call postąpiła naprzód z posępną miną.

- Wren, oni nie mają z tym nic wspólnego.

A więc chodzi o Call? Co u licha jedna drobna dziewczyna mogła narozrabiać na tej cholernie wielkiej wojskowej stacji?

Hillard spojrzała na Call:

- Z czym niby nie mamy nic wspólnego?

Elgyn uspokajającym gestem uniósł w górę obie dłonie.

- Proszę wszystkich o spokój! Wyjaśnijmy sobie wszystko. Nie trzeba się tak od razu zaperzać...

Christie znieruchomiał, usłyszawszy podane przez Elgyna hasło. Wciąż trzymając ręce za plecami, naprężył mięśnie i zgiął ręce w łokciach. Dwa pistolety bezgłośnie wysunęły się z jego rękawów i wsunęły do rąk. Ostrożnie zacisnął wielkie łapska wokół znajomych, przyjaznych kolb.

- Wiecie, jaka jest kara za działalność terrorystyczną? - kontynuował Wren.

Johner wymamrotał do Christie'ego:

- Terrorystyczną?

O cholera, zmartwił się Christie, może Johner faktycznie za dużo wypił. Jeśli odpuści... zareaguje zbyt wolno... to siedzimy po uszy w gównie.

W końcu Elgyn zaczął pokazywać pazury.

- Wśród mojej załogi nie ma żadnych pierdolonych terrorystów.

Skierował swój gniew przeciwko jedynej osobie, która zdawała się wiedzieć, co się dzieje.

- Call, o co właściwie chodzi?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Wren.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteście w to zamieszani, czy nie, sprowadziliście na pokład stacji wojskowej sabotażystkę i, przynajmniej w moim mniemaniu, wam również, tak jak jej, należy się czapa. Słyszysz mnie pan?

Elgyn wyprostował się i spojrzał tamtemu w oczy.

- Słyszę. - Przesunął wzrok z Wrena na jednego ze swoich ludzi.

- Christie.

Mężczyzna nawet nie drgnął, stał sztywno, jakby kij połknął, jak posąg. Ale usłyszał.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, czy choćby drgnąć, Christie wyciągnął broń trzymaną za plecami. Obracając się jak wieżyczka okrętu bojowego, zaczął strzelać. Gwałtowność ruchów zdawała się przeczyć celności, a jednak Christie kolejnymi strzałami trafił w serce czterech żołnierzy jednego po drugim. Ani jedna kula nie drasnęła żadnego z członków załogi *Betty*, aczkolwiek stali przecież tuż obok rażonych bezlitośnie wojskowych.

Potężne pociski trafiające żołnierzy z tak bliskiej odległości odrzuciły ich na dobre sześć stóp w tył.

Ich klatki piersiowe eksplodowały, krew, tkanki i odłamki kości bryzgały ściany, podłogę, stoły, krzesła i innych wojskowych. Ciało zległy w końcu na podłodze, ale nim to nastąpiło, kolejni żołnierze otrząsnęli się już z zaskoczenia.

Jeden z nich, stojący obok Christie'ego, obrócił się na pięcie i skierował swoją broń w czarnego olbrzyma.

Christie nawet nie odwrócił się w jego stronę, tylko patrząc kątem oka, skierował pistolet w bok i machinalnie ściągnął spust. Żołnierz odfrunął w tył martwy, zanim jego palec zdążył zacisnąć się na cynglu.

Kolejny żołnierz, przy drzwiach, ryknął przeciągle i z okrzykiem bojowym na ustach rzucił się przed siebie, strzelając na oślep.

Christie zszedł z linii ognia, ale pociski zrykoszetowały niebezpiecznie blisko nieco wolniej reagującego Johnera. Johner wyglądał niemal komicznie, tańcząc w miejscu i cudem unikając gradu kul nacierającego żołnierza, a jednocześnie mocując się z pokrywką metalowego termosu. I nagle Johner został trafiony tam, gdzie zabolalo go najbardziej, w pojemnik z ukochaną księżycówką. Kula z głośnym wizgiem trafiła w nakrętkę pojemnika. Johner wydawał się szczerze zdumiony widząc, że kula dokonała tego, co jemu się nie udało. Pokrywka odpadła, a ukryty wewnątrz rewolwer spadł wprost do czekającej już, podstawionej dłoni Johnera. Ledwo zdołał wymierzyć - na lufie broni wciąż wisiała nakrętka termosu - gdy żołnierz wystrzelił ponownie. Johner ściągnął spust i metalowa nakrętka eksplodowała, zmieciona impetem kuli.

Podobnie jak żołnierz, który trafiony wrzasnął głośno i rzucony na plecy poszorował po podłodze, jak wcześniej Johner. Tyle tylko, że Johner przeżył swój ślizg.

Martwy żołnierz zatrzymał się, gdy jego hełm zderzył się ze stopą Elgyna.

I wtedy Christie usłyszał złowrogi szcęk, uświadamiając sobie jednocześnie, że ktoś niepostrzeżenie znalazł się za jego plecami.

- Stój! - rozległ się donośny męski głos tuż obok jego głowy.

Christie obejrzał się przez ramię. Dostrzegł tylko gładkie wnętrze lufy imponującego rozmiaru wojskowej broni wycelowanej w jego głowę.

- Rzućcie broń - rozkazał żołnierz, zwracając się do niego i do Johnera - albo rozwalę mu

leb.

Wszyscy zamarli. Christie widział, że Johner skrzywił się, przez co wyglądał jeszcze szpetniej niż zwykle. Strzaskane resztki termosu dymiły. Musiały też na pewno parzyć dłonie Johnera.

Nie mogę rzucić mojej broni, chłopcze. To niemożliwe, pomyślał Christie, wolniej niż kiedykolwiek unosząc dłonie w górę. Rozcapierzył palce, aby wszyscy widzieli wyraźnie urządzenie przytrzymujące broń na wysokości jego dłoni. Nie opracował jak dotąd sposobów na szybkie pozbycie się broni w sytuacji takiej jak ta. Może dlatego, że nie sądził, iż kiedykolwiek znajdzie się w podobnej sytuacji.

Bliskość tak potężnej broni tuż przy dłoniach Christie'ego mocno zdeprymowała żołnierza. Najwyraźniej zupełnie się tego nie spodziewał. Christie zauważył strużkę potu ściekającego po twarzy tamtego. I jego lekkie drżenie. Musiał być bardzo ostrożny. Wszyscy oni musieli być bardzo ostrożni. Jeden fałszywy ruch mógł okazać się dlań ostatnim.

Christie spokojnie skierował wzrok ku górze, przyglądając się sufitowi. Niemal niedostrzegalnie wymierzył lufę jednego ze swych pistoletów we wzmocnioną krawędź stropu. Przesuwał broń ukradkiem, bardzo powoli, mierząc... celując...

I wypalił, a potem usłyszał jękliwy wizg, gdy kula zrykoszetowała i w ułamku sekundy trafiła w hełm wojskowego. Żołnierz padł jak ścięty, zgrabna dziura w czubku jego hełmu jeszcze dymiła.

Został tylko jeden żołnierz i doktorek. Wren i Distephano. Christie uśmiechnął się opuszczając ręce i wymierzył w nich z obu luf.

Kiedy padł pierwszy strzał, w sali obserwacyjnej Obcych zawyły alarmy i zabłyśły światła ostrzegawcze. Gediman i jego asystentka Carlyn Williamson odwrócili się do ekranów. Na jednym z monitorów widać było mesę. Gdy patrzyli z pełną oszołomienia

fascynacją, doskonale modulowany głos Ojca ostrzegł:

- Uwaga. Alarm. Uwaga. Alarm. W mesie nastąpił zbrojny atak na członków załogi stacji.

Komputer powtarzał tę informację raz po raz, a na ekranie grupka szturmowa z Betty w kilka sekund uporała się z półtuzinem doskonale wyszkolonych, uzbrojonych żołnierzy. Było po wszystkim, zanim jeszcze Gediman zdołał otrząsnąć się z zaskoczenia. Oszołomiony patrzył, jak wielki czarny mężczyzna przykładą rewolwer do skroni Wrena.

- Cholera! - syknął Gediman, czując się kompletnie bezradny.

Carlyn wykrztusiła nazwisko szefa, odruchowo chwytając Gedimana za rękaw. Oboje wiedzieli jednak, że nic, absolutnie nic nie mogą zrobić. Mogli tylko patrzeć na to, co rozgrywa się na ekranie.

I co teraz, kurwa, mamy robić? zastanawiał się Elgyn, gdy wydarzenia zwolniły tempo.

Christie przyciągnął doktorka do siebie, a broń przytknięta do głowy Wrena miała zapewnić im pełną współpracę. Jak u licha mamy wydostać się z tej stacji cało? Zabierając Wrena jako zakładnika? Lada moment zaroi się tu od wojska.

Johner, który w końcu zdołał wziąć się w garść, rozbroił ostatniego pozostałego przy życiu żołnierza. Elgyn patrzył, jak Johner, przeczytawszy widniejące na hełmie nazwisko wojskowego, wykorzystuje je, aby zwrócić jego uwagę.

- Dobra, Distephano, a teraz spokojnie i bez numerów... - Johner cofnął dłoń z odebrany tamtemu pistoletem. Gdy ostatni żyjący żołnierz został rozbrojony, Call ożywiła się.

- Skończę to - warknęła.

Co ona chce skończyć? zastanawiał się Elgyn, wciąż nie mając pojęcia, co wywołało tę awanturę. Ale Call wiedziała. Kapitan chwycił ją za ciemne, krótkie włosy i pociągnął silnie

do tyłu. Zrobił to tak energicznie, że o mało nie wywinęła koziołka w powietrzu.

- Nigdzie nie pójdziesz, Call! - rzucił gniewnie.

Wojownik obserwował zmieniające się barwy dwójki ludzi stojących plecami do niego i jego braci. Kolejny wojownik stał obok niego, a z tyłu klatki siedział samotnie trzeci...

Najmniejszy spośród nich. Drugi wojownik krążył nerwowo, pierwszy zaś czekał i obserwował w bezruchu. Patrzył na czerwony guzik.

Ludzie byli zdenerwowani, poruszeni, zmartwieni. Ich barwy pałały, a cokolwiek było przyczyną tej konsternacji, wciąż jeszcze trwało. Słysząc było dziwne dźwięki, głosy, donośny, pozbawiony sensu hałas, błyskały światła. To było ciekawe, lecz nie mogło odwieść wojownika od zasadniczego celu.

Musiał być jakiś sposób, żeby wykorzystać niespodziewane kłopoty ludzi na ich korzyść.

Matka przesłała mu wiadomość. Wspomnienie.

Nie wiem, który gatunek jest gorszy... Oni przynajmniej nie oszukują się na okrągło. To nie było jego wspomnienie i nie wiedział, co właściwie miało oznaczać. Ale na pewno coś znaczyło. I czegoś mógł się dzięki niemu nauczyć. Zamyślił się...

Pierwszy wojownik odwrócił się w stronę brata i przekazał mu informację. Tamten odebrał ją. Przystanął. Wspólnie spojrzeli w kierunku trzeciego. Mniejszy zrozumiał, co zamierzają i pojął sens całego przedsięwzięcia. Nawet na nie przystał. A jednak, obarczony brzemieniem indywidualności, jął nerwowo wycofywać się w kierunku ściany klatki. Dwaj więksi wojownicy ponownie odwrócili się w stronę ludzi, obserwując ich i sprawdzając, czy żaden nie zainteresował się czerwonym przyciskiem. Ogarnięci paniką ludzie zupełnie o nich zapomnieli. Dźwięki, głosy i obrazy na płycie urządzenia. Wszystkie te czynniki odwracały ich uwagę od wojowników. Należeli do istot wyższego rzędu, ale można było ich przy-

sposobić. To jeden z czynników, który czynił ich tak dobrymi żywicielami.

Musieli działać szybko.

Dwaj wojownicy rzucili się na trzeciego, który, chociaż rozumiał ich potrzeby, na moment skoncentrował się tylko na sobie. Ogarnięty przerażeniem obnażył kły i zasyczał na braci. To nie miało znaczenia.

Obaj uderzyli jednocześnie. Mniejszy wojownik zaczął wyć i skrzeczeć, gdy dwa większe rzuciły się na niego z całej siły, używając chłoszczących dziko ogonów dla zachowania równowagi. Zaczęły tłuc nim o ściany i szybę niewielkiego pomieszczenia.

Umierający Obcy zawył głośno, uderzając na oślep, w zacieklej obronie, gdy kły jego braci wgryzły się w jego czaszkę, a potężne ramiona oddzielały od korpusu kończyny, ogon i głowę.

Krew ранego wojownika buchnęła z czaszki, podczas gdy zęby drugiego przebiły w końcu gruby egzozkielet. Pierwszy stwór oderwał swemu mniejszemu bratu jedną rękę, a tryskająca zeń krew rozbryznęła się na wszystkie strony, zachlapując szybę, ściany i podłogę.

Pierwszy wojownik poczuł swąd, gdy zaczął się topić materiał, z jakiego wykonano ich klatkę, usłyszał syk i bulgotanie wyżeranego przez kwas tworzywa. Zdychający Obcy wył dalej, oddając swe życie za Królową i za ul, choć uczynił to z pewnym wahaniem. W końcu rozległ się ostatni, tryumfalny wrzask, po którym nastąpiły przedśmiertelne konwulsje.

Dwa ocalałe stwory rozdarły pierś swego brata, zerwały mu z pleców wyrostki grzbietowe, pogruchotały kości.

Krew ofiary zbryzgała je od stóp do głów, ale były na nią uodpornione. Podłoga klatki jednak topiła się, pokrywały ją bąble, stawała się coraz bardziej miękka, rozpływała się, rozpuszczana żrącą krwią Obcego. Wojownicy rozdierali i masakrowali swego brata, dopóki nie została zeń jedynie krwawa miazga.

Pierwszy z Obcych poczuł, że Królowa przyjęła ofiarę swego syna ze smutkiem i z dumą.

Pośród zawodzenia syren alarmowych i migotania czerwonych lampek głos Ojca zmienił treść podawanej informacji. Powtórzył nową trzykrotnie, zanim dotarła ona do Gedimana i jego asystentki.

- Nastąpiło poważne uszkodzenie klatki dla okazów specjalnych numer zero, zero, jeden. Nastąpiło poważne uszkodzenie klatki dla okazów specjalnych numer zero, zero, jeden. Nastąpiło poważne uszkodzenie klatki dla okazów specjalnych...

- Uszkodzenie klatki? - Gediman zapomniał o buncie w mesie i odwrócił się w stronę szyby

Nagle usłyszał dochodzące z wnętrza przeraźliwe wrzaski, choć wśród głębokich cieni szaleńcza szamotanina Obcych była prawie niewidoczna. Wielki ogon uderzył w okno obserwacyjne z taką siłą, że aż zadrżało. A potem jakiś płyn bryznął na szkło... I szklana ściana klatki zaczęła się topić.

Dwie z tych istot rozdzierają na strzępy trzecią! Co u licha...?

- Doktorze Gediman! - zawołała Carlyn wskazując szybę. - Doktorze!

Ten nie odpowiedziawszy podbiegł do okna. W klatce działo się coś strasznego i nagle wszystko zamarło. Widział rozrzucone dokoła strzępy czegoś, co było niegdyś żywą istotą.

Na podłodze leżała drgająca, buchająca kwasem masa. Nagle dwa pozostałe stworzenia odwróciły się, aby na niego spojrzeć. Miał wrażenie, że się uśmiechają!

Strzępy i kawałki rozsypane po podłodze zaczęły tonąć w śluzowatych, dymiących kałużach.

Oczy Gedimana nie mogły otworzyć się szerzej. Przerazony rzucił się w stronę guzika tryskaczy azotu, wbił go z całej siły i przytrzymał. Spoglądając na szybę widział opary azotu

rozprzestrzeniające się wewnątrz klatki, ale nie usłyszał wrzasków dwóch wojowników. W ogóle nie usłyszał żadnych wrzasków. A gaz, który wypełnił wnętrze klatki, uniemożliwił mu dostrzeżenie czegokolwiek. Zwolnił przycisk, czekając, aż opary azotu rozwieją się, aby mógł zobaczyć...

- O Boże, niech pan patrzy, doktorze! - wykrzyknęła Carlyn.

Gdy mgiełka przeredziła się, Gediman zdołał dostrzec jedynie długi, giętki ogon znikający w czeluści otworu w podłodze klatki.

Z krzykiem obudziła się z koszmarów.

Obudź się. Bądź cicho. Mamy kłopoty.

Nie, to tylko wspomnienie.

Znieruchomiała, nasłuchując i obserwując w ciemnościach.

Wyczuwając.

Nie, to nie tylko wspomnienie, nie tylko zły sen, coś się stało. Naprawdę.

Gediman patrzył, jak otwierają się drzwi klatki. To niemożliwe. To nie mogło się stać.

Ucieły! Ucieły! Jego jedyna sensowna myśl brzmiała: Wren mnie zabije. Moje studia, kariera naukowa, wszystko przepadło.

Wszedł do klatki, wciąż nie mogąc pojąć, jak to się stało, że znajdujące się tu stworzenia zniknęły. Szedł wolno, ostrożnie, przestępując dymiące wciąż kałuże i te miejsca na podłodze, które pokryte bąblami nadal się topiły. Smród palonego plastiku dusił w gardle.

Pośrodku pokoju w podłodze ziała wielka dziura o dymiących, skwierczących głośno brzegach.

To niemożliwe. Dokąd mogły uciec? Co teraz zrobią? Pochylił się nad otworem, starając się nie wdepnąć w żrącą breję i spojrzał w dół. Ciemność. Nieprzenikniony mrok. Nic nie widział. Może były tam na dole, uwiązane w plątaninie rur, kabli i przewodów, i zdołają je

schwytać... Gdyby tylko mógł zobaczyć...

Ukląkł, wbijając wzrok w ciemność. Z tyłu za nim Carlyn szepnęła:

- O Boże, doktorze Gediman, niech pan będzie ostrożny! Było gorzej, niż przypuszczał.

Zobaczył światło. Krew Obcego przeżarła się przez dwa poziomy.

- Chryste, Carlyn - powiedział. - One mogą być wszędzie.

Wtem coś czarnego i smukłego wyłoniło się spod krawędzi wypalonego otworu.

Gediman, spoglądając pionowo w dół, nie zauważał tego czegoś przez pół sekundy. O pół sekundy za późno.

Jego umysł zarejestrował w okamgnieniu - sześć palców, długie szpony, nieludzka dłoń...

Odrzucił głowę do tyłu, ale było już za późno. Wielka łapa zacisnęła się na jego twarzy, schwyciła ją i ścisnęła. Krzyknął, ale jego krzyk został zduszony przez przyobleczoną w silikonową skórę dłoń Obcego. Zgroza owładnęła nim bez reszty.

Nie obchodziło go, że nikt nie może go usłyszeć. Musiał krzyczeć. I krzyczał. Raz po raz. Bez końca.

Z niewyobrażalną dlań siłą potężny wojownik Obcych wciągnął go w panującą pod pokładem ciemność, jednym płynnym, pełnym gracji ruchem. A potem pod podłogą Obcy ujął go mocno, ramiona i ogon oplótły Gedimana jak kończyny stęsknionej kochanki i przyciągnęły bliżej, trzymając z całej siły, aby nie runął w dół. Następnie bestia odsunęła łapę od jego ust, przyglądając się Gedimanowi z zaciekawieniem, naukowiec zaś, nabrawszy powietrza do płuc, wydał z siebie przeraźliwy wrzask absolutnej, niepohamowanej zgrozy. W ciemnościach wydawało się, że stwór się uśmiecha, ale tak jak u kota z Cheshire Gediman widział tylko jego wyszczerzone drwiąco srebrzyste zębiska. Uśmiechające się do niego. Szczerczące się. Gediman znów zaczął krzyczeć.

Carlyn patrzyła osłupiała, jak doktor Gediman nagle, w niewyjaśniony sposób zniknął w otworze w podłodze. Nie, to nie tak. Wiedziała, co się stało. Na Boga, wiedziała doskonale.

Z wytrzeszczonymi oczami, otwartymi ustami i drżącym ze strachu podbródkiem Carlyn wycofała się z klatki i uderzyła dłonią w panel kontrolny, z guzikiem zamykającym drzwi.

Wydostały się! Uciekły!

Ojciec wciąż bełkotał o uszkodzeniu struktury stacji i zagrożeniu bezpieczeństwa.

Terroryści zajęli mesę, a teraz... Pobieгла, ogarnięta paniką, żeby znaleźć kogoś, żeby spro-
wadzić pomoc. Ale wiedziała, że tu, o rzut kamieniem od Plutona, nikt i nic nie mogło jej
pomóc. Zostali nabici w zabójczą butelkę, wewnątrz której czaił się najokrutniejszy z dżinów.

Call jeszcze nigdy nie była tak sfrustrowana. Spojrzała na Elgyna. Musiała jakoś go
przekonać, nie miała innego wyboru. Widziała, że Elgyn waha się, jest o krok od uwierzenia
jej i zapomnienia o niezbyt korzystnej sytuacji, w jakiej się przez nią znaleźli.

- On prowadzi nielegalne eksperymenty - niemal wykrzyknęła do kapitana Betty. -

Hoduje...

Johner, wciąż mający w czubie, nie pozwolił jej dokończyć. - Ona jest pieprzoną
wtyczką! Szpiegiem! Rozwalmy sukę!

Przekrzykując go, wskazała na Wrena.

- Posłuchaj mnie! On hoduje na tej stacji Obcych. Obce istoty Bardziej niż
niebezpieczne. Jeżeli się wydostaną, plaga robaków z Lacerty będzie przy tym wyglądać jak
pieprzona potańcówka!

Elgyn najwyraźniej rozważał jej słowa, wodził wzrokiem od Call do Wrena i z
powrotem.

Naraz Christie wyszeptał: „Słuchajcie” i wszyscy, łącznie z Wrenem i Distephano,
zamarli, nasłuchując.

Dochodziły z oddali, ale usłyszeli je. Krzyki. Przeróżliwe wrzaski. Zamarli w bezruchu, uświadomiwszy sobie co to oznacza. Liczne głosy. Odgłosy palby. Piskliwy, przeraźliwy skowyt...

Wren odwrócił się wolno w stronę źródła dźwięku. Nagle rozległ się głos komputera pokładowego.

- Uwaga, alarm. Nastąpiło poważne uszkodzenie klatki dla okazów specjalnych numer zero, zero, jeden. Uszkodzenie jest tak poważne, że nastąpił wyłom w ścianach pomieszczenia. Znajdujące się w klatce okazy wydostały się na wolność. Cały personel musi niezwłocznie opuścić Aurigę. Ogłaszam natychmiastową ewakuację personelu stacji. Powtarzam. Ogłaszam natychmiastową ewakuację personelu stacji.

- Nie! - krzyknął Wren.

Personel badawczy ruszył z pomocą w chwili, gdy Ojciec ogłosił komunikat po raz pierwszy. Nikt nie mógł uwierzyć, że Obcy faktycznie uciekli. Przecież to niemożliwe, prawda? Jak to się mogło stać?

Doktor Brian Clauss znajdował się najbliżej pomieszczenia dla okazów, kiedy wybuchła strzelanina i rozległy się przeraźliwe wrzaski. Bez zastanowienia, napędzany przyływem adrenaliny, pobiegł w tamtą stronę. Po drodze ściągnął lekarski kitel. Miał pod nim mundur i pancerz bojowy, taki sam jak inni żołnierze ze stacji.

Po wejściu do sektora powoli, ostrożnie ruszył wzdłuż szyny, po której przesuwała się kabina obserwacyjna. Nagle zastygł w bezruchu, spoglądając ze zgrozą na leżących przed nim pięciu martwych żołnierzy. Czy rzeczywiście nie żyli? Najbliżej niego leżała młoda kobieta w randze sierżanta. Przykucnął, by dotknąć jej szyi. Pod nadal ciepłą skórą wyczuł puls, serce biło równo i mocno. Czy byli sparaliżowani? Nieważne. Nie mogła mu powiedzieć, co tu się stało.

Brian podniósł się i ruszył ostrożnie dalej, bacznie przyglądając się wszystkim.

Odruchowo sięgnął ręką, podniósł broń kobiety i sprawdził zawartość magazynka.

Ostrożności nigdy za wiele... Lepiej się zabezpieczyć.

Wren z pewnością zabroni żołnierzom strzelać, aby zabić... będzie chciał je tylko ogłuszyć Obcych i ponownie wtrącić do klatek. Współpracował z nim dość długo, aby móc przewidzieć, jak postąpi. Kiedy jednak Clauss przyjrzał się unieszkodliwionym żołnierzom i uszkodzonej, pustej klatce, z pewnym zadowoleniem zacisnął dłoń na kolbie broni. Pieprzyć Wrena, postanowił. Celem badań było uczenie się na błędach. Przykląkł przy kolejnych leżących żołnierzach i pomyślał: Uhm-hm. Ja się nie dam. Nie skończę jak oni. Niech no tylko pokaże się któraś z tych kreatur i zobaczymy, kto skończy w pozycji horyzontalnej. Odbezpieczył broń i był gotów do tańca. Nagle ucieszył się, że przed przybyciem na tę stację zmuszono go do odbycia przeszkolenia wojskowego.

Zobaczymy, jak spodoba się paskudnym skurwielom łykanie potężnych pocisków, które tkwią w magazynku tej spluwy.

Bezgłośnie sunął wzdłuż rzędu zniszczonych klatek, z szacunkiem przestępując powalonych żołnierzy.

Wszystkie klatki były roztrzaskane, kompletnie zniszczone, nawet te puste! I dokonano tego z trudną do wyobrażenia brutalnością. Zupełnie jakby te istoty nienawidziły wszystkiego, co kojarzyło im się z uwięzieniem. Ale przecież to absurd. Te istoty... to zwyczajne zwierzęta... choć czy aby na pewno?

Stał przed pierwszą klatką. Najwyraźniej wszystko tu się zaczęło. Zajrzał do środka i spostrzegł ogromną, wytopioną dziurę w podłodze. Jak to się stało? Jak mogło do tego dojść? Światło było słabe, ale wydawało mu się, że w przepastnym otworze coś się poruszyło. Czy jeden z nich wciąż się tam ukrywał?

Clauss wymierzył, ale nie był w stanie dojrzeć celu. Nasłuchiwał. Nic. Ostrożnie, powoli wszedł przez strzaskane okno do wnętrza klatki. Zmrużył lekko powieki i stojąc przy szybie zerknął w stronę otworu.

Tam. Czy to było to? Jakies poruszenie? Jak falujący ogon?

Brian wytężył wzrok, układając się do strzału. Nie czuł się już jak badacz. Czuł się jak żołnierz. Z jakąż rozkoszą zabiłby jednego z tych skurwieli, zwłaszcza po tym, co zrobili z żołnierzami na zewnątrz i po tym, jak - wedle słów Carlyn potraktowali Gedimana.

Wojownik znajdujący się w pomieszczeniu obserwacyjnym zaczekał, aż człowiek wejdzie do starej klatki, aż ofiara znieruchomieje przyglądając się drugiemu z Obcych, który przywabił go falującym koniuszkiem ogona.

Jacyż ci ludzie byli naiwni, prymitywni. Odczekał, aż badacz uniesie broń do twarzy.

Wojownik czekał.

A potem jego sztywny, długi język smagnał w dół i uderzył w znieawidzony czerwony guzik. Strugi płynnego azotu spowiły ofiarę od stóp do głów, przesiąknęły przez ubranie, zbryzgały jej twarz, skąpały całą w kłębach białych oparów, ziejąc przeraźliwym zimnem. Człowiek rażony azotowym prysznicem jął dotykać dłońmi kostniejącej, płonącej z zimna twarzy i jego ręce natychmiast przywarły do okrutnie zmarzniętego ciała. Ofiara wyła, aż płuca jej zamarły i przestały pobierać powietrze w przeraźliwej agonii. Człowiek zaczął zataczać się od ściany do ściany W pewnej chwili uderzył o coś ręką, w której trzymał broń, i kończyzna odłamała się w łokciu jak lodowy sopel. Ofiara znów obróciła się na pięcie, uderzając w ścianę drugim bokiem, roztrzaskując przedramię, ale dłoń wciąż pozostała przymarznięta do twarzy W końcu człowiek runął na ziemię, jego nogi i kręgosłup popękały wskutek impetu upadku, skóra pękła, a ciało, kruche teraz jak szkło, rozprysło się w drobny mak.

Wojownik obserwował wszystko, widział, co się stało, nawet poprzez opary azotu.

Zwolnił przycisk, kiedy człowiek legł nieruchomo, pogruchotany, potrzaskany, rozsypany po całej podłodze klatki. Ofiara przyda się jako pokarm, wojownik wróci po nią później, kiedy ciało nie będzie już tak zimne.

Hałas dotarł w końcu do celi Ripley. W ciemności jej oczy otworzyły się. Sprężyła całe ciało, jak zawsze po przebudzeniu i nasłuchiwała wszystkimi zmysłami.

Powoli wyłoniła się spośród cieni i przeszła na środek pokoju. Słyszała ich, krzyki ludzi, odgłosy strzałów. Słyszała chaos. Był taki znajomy.

I słyszała także wojowników, uwolnionych, wydających triumfalnie okrzyki zwycięstwa nad ofiarami, które do niedawna trzymały ich w niewoli, nad ludźmi, którzy staną się teraz żywicielami. Słyszała również, aczkolwiek słabo, Królową, czuła jej radość, miłość wobec poddanych, aprobatę dla ich odwagi.

Wszystkimi zmysłami przysłuchiwała się ludziom i Obcym. Już to kiedyś słyszała...

Ellen Ripley nie potrafiła temu zaradzić. Kucając pośrodku celi, zaczęła się śmiać. W śmiechu tym nie było ani krzty radości, brzmiała w nim natomiast nuta hysterii.

Wtem coś wielkiego uderzyło w drzwi jej celi. Poderwała się i już się nie śmiała. Coś uderzyło ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. Drzwi wygięły się lekko do wewnątrz. Uderzono znowu, głośno i mocno.

Jej przerażające dzieci. Przybyły po nią.

8.

Mógł nadejść taki czas, kiedy Perez zacznie domagać się wyjaśnienia, co zdarzyło się na pokładzie jego statku i kto konkretnie zawalił sprawę, ale był dobrym dowódcą i wiedział, że nie jest po temu właściwa pora. Skoro Ojciec uznał, że zagrożenie dla załogi jest na tyle poważne, iż nakazał ewakuację stacji, to tak właśnie będzie. Nie wszystko przepadło. Mogli

kontrolować Aurigę z kapsuł ratunkowych i sprowadzić stację do wybranego doku, podczas gdy monstra będą uwięzione w jej wnętrzu. Uwięzione bez ofiar. A potem bez pośpiechu wymyślą sposób, by zamknąć je w nowych klatkach. Te plany musiały jednak poczekać. Na razie był odpowiedzialny za ratowanie swoich żołnierzy.

Jego świetnie wyszkoleni, osobiście przezeń dobrani żołnierze działali z idealną precyzją i synchronizacją. Znajdująca się najbliżej kapsuła miała już włączone silniki i żołnierze zajmowali miejsca w jej wnętrzu. Perez dowodził nimi wprawnie, szybko, bez wysiłku, nie marnując cennego czasu. Jeden po drugim żołnierze zsuwali się po słupie do kapsuły ratunkowej, gdzie zajmowali kolejno miejsca i przypinali się pasami. Ojciec kontynuował ewakuację, odliczając każdego żołnierza, który znalazł się wewnątrz kapsuły. Jeszcze tylko jeden...

Olsen jak zwykle się spóźnił. Gdyby nie to, że był tak dobrym technikiem...

- Weź dupę w troki, chłopie, i ładuj się do środka! warknął Perez do ociągającego się żołnierza.

Olsen pobiegł, wybił się, chwycił się słupa i ześlizgnął pod opadającą już nad nim pokrywą luku do kapsuły.

Wtem kątem oka Perez dostrzegł jakiś poruszający się kształt i uniósł wzrok.

W tej samej chwili czarny, ogromny pająk czy cień ześlizgnął się z niewiarygodną szybkością po ścianie doku, przeskoczył na słup i gładko jak oliwa przemknął pod zamykającą się pokrywą luku.

- Sir! - zawołał pokazując ręką żołnierz obsługujący urządzenia kontrolne służby doku.

O Boże. Generał stał jak wrośnięty w pokład i patrzył ze zgrozą na olbrzymiego wojownika Obcych wdzierającego się do kapsuły ratunkowej.

- Otworzyć właz! Wypuścić ich!

Żołnierz wypełnił polecenie, uderzając otwartą dłonią w przycisk na konsolocie.

Kiedy kłapa otworzyła się, usłyszeli dochodzące z wnętrza kapsuły krzyki i wrzaski, zarówno ludzkie, jak i nieludzkie. Ci ludzie są przypięci pasami! Bezbronni!

Perez widział krew... ludzką krew... rozbryzgującą się o bulaje kapsuły. Wrzaski przybrały na sile.

Perez odwrócił się, zerwał granat z upręży na piersi uzbrojonego, stojącego za nim, osłupiałego ze zgrozy żołnierza i wyrwał zawleczkę.

W tej samej chwili Olsen jak oparzony wyskoczył z luku; na jego twarzy widniał grymas przerażającej zgrozy. Złapał się relingu, a potem słupa, walcząc o wydostanie się na zewnątrz. Wielkie, ciemne łapy schwyliły go za nogi, ściągając w dół, do piekła.

- Zamknąć właz! - rozkazał Perez. - Ale... sir - zaprotestował żołnierz.

- Zamknijcie właz! - powtórzył Perez.

Żołnierz wahał się przez ułamek sekundy, po czym wykonał rozkaz. Gdy kłapa włazu zaczęła się opuszczać, generał cisnął okrągły granat tak, by potoczył się po podłodze.

- Uruchomić blokady włazu - rzekł Perez.

Tym razem żołnierz nie oponował. Granat niemal w ostatniej chwili wturlał się przez zamykający się szybko właz śluzy powietrznej. Gdy właz i śluza zamknęły się nastąpiła błoga cisza... ale Perez wciąż słyszał przenikliwe wrzaski jego ludzi zamkniętych w kapsule. W myślach będzie je słyszał już zawsze.

Odepchnąwszy stojącego mu na drodze żołnierza podszedł do konsoloty i wystrzelił kapsułę ratunkową. Poczuł, jak kapsuła zakołysała się i targnęła, wypryskując z impetem w przestrzeń kosmiczną.

Odwrócił się w stronę najbliższego bulaju, obserwując oddalający się stateczek.

Po chwili znalazł się poza dokiem i Aurigą. Wszystkie bulaje kapsuły były teraz skąpane

w czerwieni, ale wciąż widzieli szamoczące się wewnątrz cienie ukryte za zasłoną krwi.

Perez wcisnął ponuro guzik zdalnego detonatora granatu. On i żołnierze patrzyli, jak stateczek eksploduje w ciszy kosmosu.

Perez zamknął oczy, aby chwilą ciszy uczcić pamięć poległych żołnierzy.

- Kapsuła ratunkowa numer jeden została zniszczona rzekł Ojciec, a jego głos brzmiał wręcz rażąco spokojnie. Kapsuła numer dwa uległa z nieznanых przyczyn uszkodzeniu.

Alarm dla stacji trwa. Cały personel bazy ma niezwłocznie opuścić Aurigę.

- Nie! - ryknął wściekle Wren. Nawet tu, w mesie usłyszeli i poczuli eksplozję, która zniszczyła kapsułę. Słyszeli strzały, wybuchy i krzyki... tak ludzi jak i innych istot.

Było coraz gorzej! Jak to możliwe? Im dłużej Ojciec mówił o koszmarze rozgrywającym się na stacji, tym silniejszy był gniew Wrena.

Odwrócił się do Call, kobiety, która to wszystko zapoczątkowała.

- Coś ty zrobiła?

- Ja? - odparowała.

- W porządku - rzucił Elgyn, który zdumiewająco szybko zebrał się w sobie. - Dość już tego. Pora się zmywać. Wszyscy na Betty

Hillard spojrzała na niego z z troskaniem.

- Aby się tam dostać, musielibyśmy przejść przez całą stację! Kto wie, co czyha po drodze?

Distephano postąpił naprzód i odezwał się do Wrena. On również był niezwykle spokojny.

- Musimy iść, sir.

Iść? pomyślał z niedowierzaniem Wren. Przecież tu jest cała moja praca! Nigdzie nie idę!

Zanim jednak zdążył powiedzieć cokolwiek, Distephano rzekł do Elgyna:

- Puść go. I żadnych rozrób.

Czy Distephano układał się z tym terrorystą? Już on mnie popamięta!

Elgyn zdecydowanie pokręcił głową.

- Dostaniesz go z powrotem, ale dopiero wtedy, gdy się stąd wydostaniemy. Nie wcześniej.

Potężny czarnoskóry mężczyzna pchnął Wrena naprzód tak silnie, że o mało go nie przewrócił. Zorientował się, że załoga Betty wciąż trzyma na muszce jego i Distephano. To absurd! Zgroza! Musi dostać się do laboratorium...

- A co z Vriessem? - spytała zmartwiona Hillard. Szpetny facet, zwany Johnem, warknął:

- Pieprzyć Vriessa!

I nagle Wren zrozumiał, co się stało. Pojął, że tych ludzi nie obchodzi on, jego praca ani to wszystko, co sobą reprezentuje. Bo niby jak, skoro nie troszczyli się nawet o jednego ze swoich? I zdał sobie sprawę, że jego życie znajduje się w ich rękach.

Spojrzał na Distephano, świadom, że ten żołnierz był jego jedynym potencjalnym sprzymierzeńcem i postanowił, że dopóki nie przejmie kontroli nad sytuacją, będzie z tymi ludźmi współpracował. Może we właściwym momencie...

A potem wszyscy zwartą grupą opuścili mesę i rozpoczęli mozolny marsz na drugi koniec stacji.

John Vriess skończył właśnie pakować potrzebne im części zapasowe do schowków i skrytek fotela, kiedy zaczęło się dziać coś dziwnego.

Usłyszał jakieś dźwięki, przypominające stłumione eksplozje. A potem krzyki. Później komputer ogłosił ewakuację, podczas gdy Vriess rozpaczliwie usiłował ustalić, co się u licha

dzieje. Cicho, ostrożnie zaczął toczyć swój wózek w stronę Betty. Wątpił, żeby Elgyn odleciał bez niego, ale wiedział, że Johner nie zechce na niego czekać. Nawet gdyby miał przy sobie kilka kompletów niezbędnych zapasowych części.

Jechał wzdłuż dziwnie cichego i pustego korytarza, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Co u licha mogło się stać na pokładzie tego wielkiego statku, że spowodowało tak szybko tak poważne uszkodzenia, iż komputer nakazywał załodze natychmiastową ewakuację?

Uszkodzenie rdzenia?

Był w połowie korytarza, kiedy usłyszał jakiś dźwięk. Dobiegał z góry. Vriess wznosił wzrok w stronę ażurowego stropu. Wydawało mu się, że dostrzega w górze jakieś poruszenie, a kratownice uginają się jakby pod wpływem olbrzymiego ciężaru. Słyszał też dziwne szuranie, a raczej szelest.

Szczury? Na pokładzie wojskowej stacji, takiej jak ta? Fakt, w ładowni machnięciem ręki przegnał zabłąkanego komara i mocno go to zaskoczyło, ale...

Znów to usłyszał. Cokolwiek to było, poruszało się. Zbliżało się. Vriess odniósł wrażenie, że czymkolwiek to było, było olbrzymie. Przybliżało się szybko i cicho. Było tuż nad nim...

Vriess sięgnął ręką wzdłuż ścianki wózka, jadąc wolno, acz płynnie, bez zbędnego wysiłku. Spod oparcia na rękę wyjął coś, co przypominało ozdobną rurkę, ale było w rzeczywistości częścią broni. Sięgnął pod drugi podłokietnik i wyjął bliźniaczy element. Z tyłu za nim ukryty był mechanizm spustowy. Cała broń była sprytnie zakamuflowana jako części wózka. Trzema szybkimi ruchami złożył broń i przeładował. Następnie powolnym swobodnym ruchem skierował broń w górę.

I wypalił.

Odgłos wystrzału zabrzmiał w tej ogromnej przestrzeni wyjątkowo donośnie. Coś co znajdowało się na kratownicy dzielącej pokłady, zaskrzeczało piskliwie, nieludzko. Vriess słyszał, jak się wycofuje, a więc tylko je zranił. Czymkolwiek to było, Vriess usiłował śledzić wzrokiem przemieszczanie się istoty, która zwinnie jak pająk oddalała się po kracie sufitu. Zaaferowany nie spostrzegł kropli krwi Obcego zwisającej z sufitu dokładnie nad jego nogą. Skapnęła na jego udo prawie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj wbił się scyzoryk Johnera. Potem skapnęła druga kropla. I trzecia.

Vriess nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie poczuł smrodu dymiącego ciała i materiału, a spuściwszy wzrok ujrzał, że fragment jego nogi zaczyna się rozpływać. Zdezorientowany i przerażony zaczął uderzać otwartą dłońią w roztopiające się udo. Kropelki substancji rozpuszczającej tkanki przywarły do jego palca, parząc jak jasna cholera. Machnął ręką i o mało nie włożył palców do ust. Zmitygował się w ostatniej chwili. Tłumiąc w sobie ból, z trudem zachowywał milczenie i spokój. Nie chciał, żeby jęk bólu zwabił doń to coś, co kryło się nad kratą przykrywającą korytarz!

Nagle paląca kropla żrącego kwasu plasnęła mu na ucho, a ból, jaki poczuł, był tak rozdzierający, że aby nie wrzasnąć na całe gardło, musiał do krwi przygryźć dolną wargę. I wtedy to wróciło - usłyszał je - to samo, a może całkiem inne?

To było agresywne, nie tylko szurało i drapało w kratownicę sufitu, ale usiłowało ją również sforsować. Nagle udało mu się odłamać kawałek i wsunęło głowę przez powstałą w ten sposób szparę. Głowę? Nie, łeb. Spłaszczony, wydłużony, koszmarny łeb, bez oczu, uszu, włosów, tylko sama czaszka i...

Zęby! Wielkie, stalowe kły, setki kłów w olbrzymiej paszczęce, rozdziawionej i syczącej na niego! Wtem paszcza otworzyła się szerzej i coś wysunęło się spomiędzy tych zębisk... coś... Jeszcze więcej zębów!

Vriess w końcu nie wytrzymał i wrzasnął histerycznie. Jego palec zacisnął się i ściągnął spust. Strzelał raz po raz. Stwór z wielkimi zębiskami wyszczerzył się i odpowiedział rykiem, a potem rozpadł się na milion kawałków, które niczym kwaśny deszcz posypały się na głowę ogarniętego walecznym szalem Vriessa.

Drzwi do celi wygięły się pod wpływem uderzeń usiłujących je sforsować istot. Nie mogły wytrzymać długo.

Ripley rozejrzała się po celi, usiłując znaleźć coś, cokolwiek co mogłoby jej pomóc.

Spojrzała w górę, uświadomiwszy sobie, że już od dłuższego czasu nie widziała strażnika.

Słyszała zduszony głos komputera ogłaszającego ewakuację.

Pomysł wydawał się trafny, ale jak...?

Przypomniała sobie coś...

Spróbuj rozbić szybę. Szybko!

Nie było szyby, którą mogłaby rozbić.

Odcięty zasilanie. Jak mogły odciąć zasilanie? To zwierzęta!

Lustrowała wzrokiem wewnątrz celi, znalazła kable obłożone metalem i dotarła wzdłuż nich do metalowej skrzynki wpuszczonej w ścianę.

Odłącz zasilanie!

Trzasnęła w skrzynkę najsilniej jak tylko mogła, równie mocno jak Obcy dobijali się do jej drzwi, usiłując wedrzeć się do środka. Rąbnęła jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Metal poddał się, zaczął wyginać się do wewnątrz. Uderzyła jeszcze silniej, od czasu do czasu zerkając w stronę forsowanych drzwi.

Wreszcie zdołała wsunąć palce w głąb małego pęknięcia w metalu. Pociągnęła, szarpiąc i wyginając, aż metal ustąpił i zdołała usunąć osłonę obnażając znajdujące się pod nią obwody elektryczne.

Prawie się przebiły...

Uderzając krawędzią dłoni o ostre brzegi rozerwanego metalu, mocno się zadrasnęła.

Ściskając zranioną dłoń, spryskała wypływającą z niej krwią obwody i kable, które niemal natychmiast zaczęły się topić.

Buchnął snop iskier, tak wielki, że mimowolnie odskoczyła w tył. Gdy zgasło światło, w celi zrobiło się ciemno, ale Ripley wymknęła się z celi.

W doku kapsuł ratunkowych zapanował chaos. Perez nie mógł w to uwierzyć. Jego żołnierze, jego doborowa grupa wpadła w panikę, zapominając o swoich powinnościach i regułach postępowania w sytuacjach awaryjnych.

Był wściekły. Nie, tego nie sposób wybaczyć. Musieli pojąć, że tylko przywracając porządek mogli wydostać się stąd z życiem i pożyć dostatecznie długo, by uratować misję.

Wokół niego ogarnięci paniką żołnierze gnali na łeb, na szyję w stronę trzeciej kapsuły.

Jeśli spróbują wejść do środka wszyscy, kapsuła nie wystartuje. Perez wciąż miał przed oczami obraz tamtego stateczku z szalejącym wewnątrz obcym monstrem.

Generał zatrzymał przebiegającego obok kaprała. Rąbnął nim w szybę bulaju, po czym ryknął mu prosto w twarz:

- Wyznaczcie drużynę, trzeba sprawdzić, może ktoś jeszcze żyje.

Mężczyzna bliski hysterii, odkrzyknął z emfazą:

- Pierdolę, nie! Pierdolę, nie! Ciebie też pierdolę!

Perez bez namysłu trzasnął go pięścią w twarz, odrzucając go w tył. Kaprał rąbnął ciężko o pokład. Spojrzał na Pereza, jego twarz wyglądała jak upiorna maska, potem zaś, czym kompletnie generała zaskoczył, sięgnął po pistolet i wycelował weń.

Odbezpieczył broń.

Perez nie mógł w to uwierzyć: kaprał, żołnierz zawodowy wymierzył broń w swego

przełożonego? Nagle Perez uświadomił sobie, że twarz tamtego jest biała jak płótno, a całym ciałem wstrząsają silne dreszcze.

Generał poczuł to. Obecność. Odwrócił się z niedowierzaniem i wtedy spostrzegł to samo. Tuż za sobą. Gigantycznego Obcego, z wyciągniętymi szeroko łapami, jakby chciał go objąć. Rozwarte szczęki, wysunięty język, dwa rzędy zębów, jedne wewnątrz drugich...

Odwrócił się ponownie w stronę kaprała, na jego obliczu pojawił się żaloszny grymas, ręce wyciągnęły się w błagalnym geście. Próbował postąpić naprzód, odwrócić się, ale odniósł wrażenie, że jego nogi są przyklejone do podłogi. Nie zdołał stłumić cisnącego się na usta krzyku.

- Niiieeeee!

Jego głos wyrwał kaprała z osłupienia. Żołnierz odciągnął kurek rewolweru i wypalił.

Perez nieomal spostrzegł kulę wylatującą z lufy pistoletu, mknącą w jego stronę i śmigającą w wirowym locie tuż obok jego ucha, obok niej, obok i ... przelatującą dalej... by trafić w czaszkę Obcego, rozrywając ją na strzępy i rozbryzgując dookoła fragmenty egzoszkieletu oraz strugi krwi.

Kiedy tylko Obcy runął, pokład za nim zaczął się topić, podobnie jak ściany i sufit...

I szyba wielkiego, panoramicznego bulaju, na której wylądowały strzępy czaszki i krople żrącej krwi Obcego.

Chaos w całym pomieszczeniu ustał w jednej chwili, kiedy wszyscy uświadomili sobie, co się stało.

Jakby na potwierdzenie najgorszych obaw dał się słyszeć głos Ojca.

- Uwaga, alarm. Uwaga, alarm. Możliwość uszkodzenia kadłuba.

- Żołnierze wokół Pereza zastygli w bezruchu.

- Uruchomić procedurę awaryjnej regulacji ciśnienia. Ewakuować zagrożony odcinek –

rozkazał Ojciec.- Ewakuować ten sektor.

- Słyszycie!- Ryknął Perez do swoich ludzi. – Wynoście się stąd!

Ale dokąd mieli uciec? Kapsuła numer trzy była już pełna.

- Po prostu zabierajcie się stąd! Jazda do kapsuły numer cztery! Już! Już! – kipiał Perez.

Nie wiedział czy kapsuła numer cztery jest nadal sprawna i czy droga do niej jest wolna. Czy zdołają tam dotrzeć?

Żołnierze znów poddali się panice i rzucili do ucieczki.

Muszę jakoś załatać to uszkodzenie! Pomyślał rozpaczliwie Perez. Odwrócił się i sięgnął po jeden z awaryjnych zestawów uszczelniających umieszczonych przy każdym z bulajów. Apteczka pierwszej pomocy znajdowała się tam na wypadek tak niespotykanego zdarzenia, jak uderzenie w szybę niewielkiego meteorytu. Mimo, że spędził w kosmosie tyle lat, Perez nigdy nie był świadkiem użycia takiego zestawu, choć co roku używano go na ćwiczeniach.

Zbliżywszy się do jaskrawo oznaczonej skrzynki, aż zamrugał powiekami z wrażenia.

Zestaw został całkowicie zniszczony rozbryźniętą krwią Obcego. Spojrzał na szybę. Na całej powierzchni widniały ślady żrącej posoki, rozpuszczającej i przeżerającej się przez grube szkło. Zrobi się dziura wielkości pięści, albo i większa. Zestawy uszczelniające miały zabezpieczać otwory wielkości łebka od szpilki... z takim dużym na pewno nie da sobie rady!

Wokoło panował ogłuszający hałas i chaos, Perez prawie nie słyszał własnych myśli.

Wciąż nie otrząsnął się z szoku wywołanego utratą kapsuły numer jeden... i bliskim spotkaniem z jedną z tych istot... Do tej pory od Obcych zawsze oddzielała go pancerna szyba. Taka jak ta... która właśnie się topiła...

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś płaskiego, co mógłby przyłożyć do otworu. Nic.

- Generale, niech się pan stamtąd odsunie!- zawołał kaprali w tej samej chwili kwas przeżarł się przez szybę w miejscu największego uszkodzenia, łącząc wewnątrz doku z panującą na zewnątrz niemal doskonałą próżnią i lodowatym chłodem kosmosu.

- Generale ! – zawołał kapral.

Perez usłyszał go dopiero teraz. I równocześnie doszedł go przeraźliwy świst próżni wysysającej w kosmos każdą, najdrobniejszą nawet cząstkę powietrza. Perez odwrócił się, ssąca siła próżni przyciągnęła go w stronę bulaju. Próbował się odwrócić, odsunąć powoli od okna, ale próżnia bezlitośnie przyciągała z powrotem, w kierunku otworu. A otwór rozrastał się poszerzany żrącą krwią Obcego.

Perez ujrzał jak kapral i pozostali żołnierze zaczynają być ściągani ku bulajowi.

Walczyli zaciekle, stawiając opór ssącej sile, która z minuty na minutę narastała, w miarę jak otwór powiększał się do rozmiarów pięści, a powietrze wysysane było z pomieszczenia coraz szybciej.

Perez widział jak jego ludzie próbują rozpaczliwie czegoś się chwycić, rur, ścian, barierek, czegokolwiek. Widział jak czepiają się tych lichych zabezpieczeń, podczas gdy wiatr wokół nich wzmagał się i przybierał na sile...

- Generale! Niech pan się mnie chwyci! – zawołał kapral, z trudem artykułując słowa, gdyż silny wiatr zapierał mu dech.

Perez wyciągnął rękę, poruszył się z wielkim wysiłkiem i spróbował dosięgnąć podawanej mu dłoni. Dziura osiągnęła jednak wielkość melona i w końcu nie był już w stanie dłużej się opierać. Został brutalnie szarpnięty w tył, z hukiem uderzając w szybę i naraz jego potężne ciało zablokowało otwór.

Z początku czuł tylko nieodparte potężne ssanie, ale zaraz potem pojawiło się palące, lodowato-mroźne zimno. Skóra na jego plecach i nerkach stwardniała, a potem pękła w

gwałtownej eksplozji wyrzucanych na zewnątrz tkanek i krwi. Wrzasnął ochryplym, piskliwym, łamiącym się głosem, krzywiąc się z bólu, kiedy krew, organy i wnętrzności zostały wysane na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną, niemal natychmiast zamarzając, choć wciąż jeszcze połączone były z jego ciałem.

Był martwy, ale jego mózg jeszcze sobie tego nie uświadomił. W desperackiej walce o przetrwanie z całej siły przyłożył dłonie do szyby, próbując się od niej odepchnąć. Jednak i w tym miejscu szyba była naruszona, a pierwsza dziura z każdą chwilą się powiększała. Gdy rozpaczliwie próbował się uwolnić, otwór powiększył się jeszcze bardziej, docierając aż do mniejszego, uszkodzonego miejsca i połączył się z nim. Ręka generała natychmiast została wessana w przestrzeń, zamarzając i niemal jednocześnie odłamując się na wysokości łokcia. Generał wybałuszył oczy ze zgrozy, ból był bardziej dojmujący niż wszystko co mógł sobie wyobrazić. Spojrzał bezwiednie na kaprala. Nie był w stanie mówić, nie mógł nawet krzyczeć, ale kapral z pewnością zrozumie, o co mu chodzi. Czy którykolwiek z jego ludzi mógłby patrzeć, jak umiera w tak okrutnych męczarniach i nie pomóc mu?

Zabij mnie! Na miłość boską, człowieku, zabij mnie!

- Do cholery, kapralu – zawołał jeden z żołnierzy. – Niech pan go zastrzeli.

Kapral zamrugał, był o krok od całkowitego rozstroju nerwowego patrząc jak generał, jego pieprzony generał – na Boga! – był wolno, przeraźliwie wolno wysysany w przestrzeń kosmiczną. Kapral wciąż trzymał w ręku pistolet i wciąż mierzył nim w cierpiącego generała.

Gdy tak patrzyli ze zgrozą i przerażeniem, jedna z nóg generała została gwałtownie wciągnięta do jego ciała, zniknęła wewnątrz jego torsu, podczas gdy potężne kości i mięśnie wyssała próżnia kosmosu.

- Proszę, sir – błagał żołnierz. – Proszę, niech pan zastrzeli generała, proszę.

Kapral zamrugał, uniósł brwi, a ręka trzęsła mu się tak, że nie był w stanie wycelować, dostrzec czegokolwiek czy myśleć. Słyszał jedynie przeraźliwy wrzask generała.

- Nie! – zawołał inny żołnierz, chwytając kaprała za rękę i kierując jego broń ku dołowi.

Bulaj jest za bardzo uszkodzony. Z tej odległości kula przeszyje mu czaszkę na wylot, a jej impet, gdy uderzy w szybę, roztrzaska szkło w drobny mak. I wtedy wszyscy umrzemy!

- Ma rację – stwierdził roztrzęsiony kapral. – Całe panoramiczne okno diabli wezmą. A przecież tu jest jeszcze dziesięciu żywych żołnierzy...

Druga noga generała została wciągnięta do wnętrza jego ciała tak szybko, że kapral uświadomił sobie, iż niezależnie od tego co zrobią, szyba już długo nie wytrzyma. Zmusił się do odwrócenia wzroku i jakimś cudem odzyskał głos.

- Ewakuacja! Ale już! Jazda! W te pędy do kapsuły numer cztery! Sprężyć się, szybko!

Większość żołnierzy wypełniła polecenie, z wyjątkiem kilku, którzy nie mogli oderwać wzroku od koszmarnego widoku masakrowanego, topniejącego generała. Druga ręka została również wciągnięta, zaraz po tym jak głowa pogrążyła się w ciele.

Boże, powiedz mi, że on już nie żyje. On przecież nie może żyć!

Kapral prosił Boga żeby tak było i w tym momencie generał odszukał go wzrokiem jak najbardziej żywych oczu. Nie miał już płuc i przeraźliwe wrzaski w końcu umilkły, lecz jego usta nadal się poruszały i kapral wiedział, że Perez patrzy na niego i błaga bezgłośnie:

Pomóż mi, pomóż!

I nagle przy wtórze potwornego szumu i świstu otwór został zacopowany przez ubranie generała, wraz z jego rzeczami osobistymi, które przywarły do krawędzi otworu, mimo tego, że ciało generała było wciąż wysysane w przestrzeń.

Kapral widział palce jednej ręki poruszające się nadal w pobliżu oka generała, dostrzegł jego jedno ucho.

Muszę się stąd wydostać, muszę się stąd wydostać... Ale te oczy, te cholerne oczy wciąż żyły i kapral miał wrażenie, że go zahipnotyzowały. Nagle głowa generała drgnęła mocno i w końcu kapral uświadomił sobie, że potylicą Pereza eksplodowała na zewnątrz i jego mózg rozpląnął się w próżni.

Bogu dzięki, nareszcie nie żyje! Kapralowi łzy napłynęły do oczu, o mało nie osunął się na kolana i nie zawołał w głos. Nie było jednak na to czasu. Znow rozległy się odgłosy ssania i skóra twarzy Pereza została zdarta i wyszana na zewnątrz przez oczodoły. Jeden z oczodołów został zatkany tamponem ze skóry, drugi natomiast był otwarty i przez niego odbywało się wysysanie.

Nagle mężczyźni stojący za kapralem znaleźli się w tunelu powietrznym, gdy próżnia pociągnęła ich bezlitośnie w kierunku upiornych szczątków generała.

Myśl, że mogli być wyszani na zewnątrz przez czaszkę generała, była zbyt przeraźliwa aby można ją w ogóle rozważyć.

W pewnej chwili kapral do końca się załamał i zaczął wrzeszczeć wymachując rękami jak opętany.

Dwaj żołnierze pochwycili go, zanim runął w kierunku okna, i przytrzymali przy poręczy pod ścianą.

Kapral wciąż wymachiwał rękami i w dalszym ciągu krzyczał ogarnięty dojmującą zgrozą kiedy nagle pęd powietrza zdarł mu z nadgarstka zegarek. Czasomierz jak kula pomknął w kierunku szyby.

- Okno ! – zawył jak szalony, przekonany, że uderzenie zegarka w szybę wystarczy, by do reszty zniszczyć naruszony bulaj. A wtedy wszyscy oni zostaną wyszani na zewnątrz.

- Okno!- zegarek jednak nie uderzył w szybę, lecz w czaszkę generała i przywarł do ziejącego pustego oczodołu zagłębiając się w nim i klinując go na dobre. Zatykając otwór.

Wszystko ustało, szum powietrza, wrzaski, dosłownie wszystko. Żołnierze przewracali się na pokład. Nastąpiła cisza. Kapral spojrzał na odrażające szczątki generała zatykające otwór... jego noga, okrwawiona czaszka uśmiechała się upiornie, brejowata masa mózgu skapywała z jednego oczodołu, a w drugim tykał odmierzający idealnie czas zegarek.

- I co teraz ,sir ? – spytał znużonym głosem jeden z żołnierzy.

Zamrugnął powiekami, wziął się w garść. Podniósł się, poprawił bluzę munduru. Był, bądź co bądź, żołnierzem zawodowym. Należał do doborowej grupy wojskowych wybranej przez samego Pereza.

- Spieprzamy z tego pokładu. Musimy zamknąć za sobą włazy- rzekł łamiącym głosem-
A potem... potem...

Nagle przypomniał sobie rozkazy generała

- Potem... wybierzemy drużynę i sprawdzimy czy ktoś ocalał.

Żołnierze spojrzeli na niego z osłupieniem.

A on rozplakał się.

Żołnierze wzięli go pod ramiona i wyprowadzili z pokładu kapsuły ratunkowych.

Christie szedł na szpicy, Elgyn osłaniał tyły.

Jak za starych dobrych czasów, pomyślał kapitan *BETTY*, ale wspomnienia nie należały do przyjemnych. Szli gęsiego, żołnierz i doktorzek mieli przed i za sobą załogę *BETTY*. Szli szybko. Mieli całkiem niezły czas. Elgyn był trochę zaniepokojony widokiem pustych korytarzy *AURUGI*.

Gdzie u licha podzieli się wszyscy żołnierze, ich przełożeni i naukowcy? To miejsce przypominało pieprzony ul, gdzie wobec tego zniknęły wszystkie pszczoły? Dezorientację i niepokój pogłębiał rozlegający się bez przerwy głos komputera ogłaszający ewakuację i gdyby tylko wiedział, skąd pochodzi, Elgyn rozwaliłby każdy głośnik w drobny mak.

To ponownie mu przypomniało, że w mesie popełnili błąd, nie zabierając więcej amunicji i broni od zabitych żołnierzy. Broni i amunicji nigdy za wiele. Nieprawdaż? Idący przed nim członkowie załogi minęli kolejną pogrążoną w półmroku odnogę korytarza. Kiedy Frank zbliżył się do niej coś przykuło jego uwagę. Spojrzał ponownie. Na podłodze leżała broń wojskowa, karabinek sporego kalibru. Jakim cudem...? Co się dzieje, u licha?

Co mogło sprawić, że żołnierz ot tak porzucił swojego gnata? Elgyn niespecjalnie się tym przejął, miał przynajmniej szansę naprawić błąd popełniony w mesie.

Znalezione należy do znalazcy.

Rozejrzawszy się ostrożnie, podniósł broń, by stwierdzić, że kilka stóp dalej leży drugi karabin. To już bardziej niezwykle. To niesłychane.

Zarzucając pierwszy karabin na ramię, podkradł się ostrożnie i podniósł drugi karabin.

Ten przyklepiony był do pokładu jakąś odrażającą gumowatą substancją. Kiedy Elgyn podniósł broń, galaretowata substancja rozciągnęła się jak śluz długimi, lepкими pasmami.

Ohyda.

Ale spluwa powinna działać. Co się do cholery porobiło z tym oświetleniem?

Z tyłu dobiegł głos Hillard.

- Elgyn?

- Idę – odkrzyknął, zaczął się odwracać i ...

Ujrzał trzeci karabin leżący na podłodze parę metrów dalej, na skraju dziury w pokładzie, wyglądającej jakby podłoga w tym miejscu zwyczajnie się stopiła. Czy to wynik eksplozji granatu?

Coś, jakiś szósty zmysł, nakazało mu stanąć. Przypomniał sobie jak w dzieciństwie dziadek nauczył go zastawiać pułapki na wiewiórki, układając ścieżkę z kawałków

herbatnika posmarowanych masłem orzechowym, prowadzących do pudełka – klatki.

- Elgyn !– zawołała ponownie Hillard.

Zostaw to. Masz już dwa karabiny. Zostaw trzeci i wynoś się ...

Dwie wielkie czarne łapy przebiły twardą podłogę z nieludzką szybkością, zaciskając się na kostkach Elgyna i pociągając go gwałtownie w głąb powstałego otworu. Blachy pokładu wygięły się i runęły wraz z nim w dół.

Elgyn próbował się czegoś uchwycić, wydostać się z otworu, ale te wielkie, silne łapy wciąż trzymały go za nogi . Zdobyte karabiny wylądowały na podłodze, zbyt daleko jednak, by mógł ich dosięgnąć, a jeden z metalicznym brzękiem wpadł do otworu w pokładzie, ziejącego o pół metra od niego.

Elgyn zaczął rozpaczliwie wierzgać nogami, usiłując uwolnić się od trzymających go, drapiących i ściągających w dół szponiastych łap. Czuł je na swoich łydkach, kolanach, udach.

Czymkolwiek było to, co go pochwyciło, zaczęło piąć się po jego ciele ku górze.

Krzyknął przeraźliwie, kopiąc i podciągając się na krawędziach otworu, walcząc o uwolnienie się z dziury, walcząc o swoje życie.

Cała dolna połowa jego ciała znalazła się w potrzasku, gdy potężne, niewiarygodnie silne ramiona objęły go w pasie i przytrzymały.

Co to jest? Co to jest do cholery?

Coś niesamowicie silnego i ostrego jak brzytwa albo wielka włócznia przebiło klatkę piersiową Elgyna z zapierającą dech w piersiach gwałtownością. Kapitan statku pirackiego czuł jak owo coś przenika w głąb jego ciała, centymetr po centymetrze, przebijając się przez żebra, płuca, serce, dopóki nie wydostało się z drugiej strony, pozostawiając w jego ciele wielką, ziejącą dziurę. Elgyn nie mógł już oddychać, jego serce przestało bić, umierał, ale

wciąż jeszcze szamotał się w uścisku swego zabójcy.

Co to jest? Co mnie zabija, u licha? I dlaczego?

Ostatnim obrazem jaki zarejestrowała gasnąca świadomość Elgyna było coś wielkiego, czarnego i odrażającego, wyłaniającego się z otworu w podłodze i trzymającego w srebrnych zębach jego czerwone okrwawione serce.

9.

Christie był już w połowie korytarza, kiedy uświadomił sobie, że nie ma z nim pozostałych. Wrócił pędem i odnalazł ich, zebranych przy wejściu do bocznego korytarza.

- Co się dzieje u diabła? Nie mamy czasu !

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy tylko patrzyli w głąb ciemnego korytarza.

Hillard wołała:

- Elgyn! Elgyn!

Christie przepchnął się przed nich i zdążył ujrzeć, jak ciemna postać kapitana zostaje wciągnięta pod podłogę.

- Cholera!

Pobiegł w głąb korytarza widząc, że inni robią dokładnie to samo. Elgyn był widoczny od ramion wzwyż. Jego twarz była maską bólu i przerażenia.

-Wyciągnijcie go! – krzyczała Hillard. – Wyciągnijcie go, do diabła!

Johner i Distephano natychmiast rzucili się naprzód, chwytając Elgyna pod ramiona i wywlekając z otworu. Christie patrzył jak urzeczony na wielką dziurę ziejącą w klatce piersiowej kapitana. Elgyn nie żył. Nie żył? Został przebity na wylot. Christie widział przez dziurę w jego ciele to, co znajdowało się za nim.

Wszyscy patrzyli przerażeni. Nawet Wren pobladł, jego skóra zwilgotniała od potu.

Hillard nie poruszyła się, patrzyła tylko na swego martwego kochanka, zwiotczącego w ich

ramionach.

Głośny łaskot sprawił, że wszyscy jak na komendę spojrzeli w głąb przejścia. Podłoga między nimi a głównym korytarzem eksplodowała kaskadą pogruchotanych szczątków, a u wylotu dziury ukazała się postać z piekła rodem. Wielkie potężne monstrum. Christie mgliście przypomniał sobie jak Call mówiła o naukowym projekcie Wrena związanym z hodowlą jakichś istot, o...

Jeżeli się wydostaną, w porównaniu z nimi plaga robaków z Lancerty będzie wyglądać jak potańcówka.

O tak, pomyślał Christie, miałaś rację, i to jeszcze jak.

Stwór otworzył paszczę, ukazując niewiarygodny rząd stalowoszarych zębów, po czym wysunął język i zaryczał...

Cała grupa wpadła w panikę, bezceremonialnie upuszczając ciało swego martwego kapitana w głąb otworu w podłodze i na łeb na szyję pognęła w przeciwnym kierunku, aby jak najdalej od tego... czegoś!

Skręcili za załom korytarza i znaleźli się w ślepej uliczce.

Jemu właśnie o to chodziło, pomyślał Christie. Ten stwór znalazł sposób by zwabić Elgyna, a potem wykorzystał ciało i zwabił nas wszystkich w pułapkę. Cholera! Wziął głęboki oddech. Musiał pomyśleć, musiał się zastanowić... Jeśli choć w połowie nie byli tak sprytni jak to coś, mogli już pożegnać się z życiem. Christie przywarł plecami do ściany i ostrożnie zaczął się przechylać, aby wyjrzeć za załom korytarza. Musiał wiedzieć gdzie jest teraz to coś.

Johner był szary jak popiół, zwłaszcza w okolicach postrzępionej blizny. Grunt, że był trzeźwy! Co do tego Christie nie miał wątpliwości. Johner cały się trząsał. A Christie nigdy nie widział Johnera rozdygotanego. Nie sądził, że to w ogóle możliwe.

- Wszystko w porządku? – szepnął do niego Christie.

Johner zamrugał, wziął głęboki oddech.

- Tak, tak. W porządku.

To właśnie chciałem usłyszeć, pomyślał olbrzym.

Wysuwając głowę zza załomu korytarza, Christie spojrział na Obcego. Na drugim końcu tunelu stwór wygramolił się spod podłogi i podszedł do martwego Elgyna, którego dolna część tkwiła w ziejącej, wypalanej dziurze podłogi. Christie zamrugał, aby otrzeć pot spływający mu do oczu.

- Czy on tu idzie? – syknął Johner – Czy idzie?

- Nie wiem. Może chodzi mu o ciało kapitana.

Hillard stojąca nieopodal wydała cichy jęk.

Johner już się opanował, Christie czuł to wyraźnie. Też wyjrzał zza załomu korytarza.

- Czy on tu idzie? – spytał Christie

- Taa – rzekł niemal beznamiętnie Johner

- No to pięknie! – jęknęła Hillard.

- Też tak uważam ! – mruknął Johner unosząc broń.

- No to załatwmy to.

Christie spojrział na człowieka z blizną. Wymienili uśmiechy. Christie zmusił się, by również wytrzeźwieć, gdyż jak stwierdził- balansowali niebezpiecznie na granicy hysterii.

Christie wyjrzał ponownie. Stwór faktycznie szedł w ich stronę. Był wysoki na osiem do dziesięciu stóp, ale poruszał się zwinnie i z gracją jak pająk. Przesząpił nad zwłokami Elgyna i ruszył dalej, gdy wtem ciało Elgyna poruszyło się.

Christie spojrział z niedowierzaniem, ale widział wyraźnie leżące na pokładzie ciało kapitana, lekko tylko przesłonięte cienkimi, smukłymi kończynami monstrum. Skinął na

Johnera. Po chwili dołączyła do nich Hillard.

Elgyn nie żyje! Jak u licha...?

Niezwykłe poruszenie musiało zdziwić również potwora, ponieważ odwrócił się i nachylił nad trupem. Wydawało się, że go obwąchuje. Trup znów się poruszył – zwłoki mogą wyprawiać po śmierci różne rzeczy, ale coś takiego był naturalnie nie do przyjęcia.

Stwór zaczął obwąchiwać teraz dziurę w piersi Elgyna. Ciało zakołysało się lekko i nagle z otworu wysunęła się lufa karabinu! Christie zamrugał, a potem spojrzał na Johnera, który wydawał się równie mocno zaskoczony.

Obcy nie wiedział jak ma to rozumieć. Obwąchał lufę, po czym obnażył zęby w złowrogim grymasie. I wtedy lufa wysunęła się jeszcze bardziej, aż stuknęła w potężny łeb monstrem.

A potem padł strzał.

Łeb stwora rozpadł się na miliard kawałków, a załoga *BETTY* cofnęła się za załom aby uniknąć opryskania szczątkami. Christie jako pierwszy wychylił się ponownie. Stwór leżał na podłodze, a wszystko co miało styczność z jego krwią zaczęło się już topić. Christie wyszedł ostrożnie zza załomu korytarza. W dłoni trzymał gotowy do strzału pistolet. Johner szedł tuż za nim. Zaraz potem dołączyli do nich pozostali.

Lufa karabinu wystającego z ciała Elgyna na powrót zniknęła w otworze, a po chwili zwłoki zostały wypchnięte z dziury i znieruchomiały, przewróciwszy się na bok.

Na skraju otworu pojawiły się dwie szczupłe ręce i odłożyły broń na pokład, a potem spod podłogi wychylił się tajemniczy strzelec. Christie z niejakim zdumieniem stwierdził, że strzelcem okazała się kobieta, która wcześniej dała im nieźle popalić, kobieta, którą nazywano Ripley. Wydzwignęła się na pokład jednym płynnym ruchem, otrzepała się i zarzuciła broń na ramię, jakby karabin stanowił nieodłączną część jej wyposażenia.

Christie spojrzał na Johnera. Nie wyglądał na takiego, który chciałby ponownie

spróbować u niej szczęścia.

Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w bezruchu, aż wreszcie kobieta przyklęła nad ciałem Elgyna i zaczęła je przeszukiwać.

Na ten widok Hillard, nie bacząc na bezpieczeństwo, rzuciła się w jej stronę. Była wściekła, jakby to kobieta była winna ich wszystkich nieszczęść.

- Zostaw go ! – krzyknęła.

Christie drgnął, zastanawiając się ile tych istot mogło znajdować się na stacji i ile mogły przywabić ich głosy.

Ripley nie zwróciła na nią uwagi. Jak zawsze obojętna, wyjęła z kieszeni Elgyna garść amunicji i przełożyła do swojej. Następnie wyprostowała się i z wprawą przeładowała broń.

Wydawało się, że pozostali w ogóle nie istnieją.

Call nagle odzyskała mowę. Christie słyszał jak mamrocze:

- Dobra, a teraz powoli. Co się, kurwa, dzieje?

Ripley spojrzała na nich. Przyglądała im się przez dłuższą chwilę. Wreszcie bez słowa podeszła do trupa monstrowca. Pochyliła się nad nim i sięgnęła do paszczy. Szczęki stworza były rozchylone, wypływał spomiędzy nich gęsty, przezroczysty śluz, a bestia wciąż targała konwulsyjne skurcze.

Ripley energicznie chwyciła język stworza. Wydając donośny okrzyk bojowy szarpnęła z nieludzką siłą i wyrwała sztywny, uzębiony język z czaszki potwora!

Podczas gdy pozostali patrzyli w bezruchu, Ripley podeszła do Call i przekazała odrażający, ociekający śluzem organ do rąk niższej kobiety.

- Masz – powiedziała jakby mimochodem. – Będzie z niego świetny naszyjnik. – I oddaliła się na kilka kroków.

Call z przerażeniem spojrzała na „prezent” i upuściła go na podłogę. Wszyscy zadrżeli.

Christie zdał sobie sprawę, że Wren zawsze starał się trzymać pomiędzy ich całą grupą a Ripley, ale ona w ogóle nie zwracała na niego uwagi

- I co teraz zrobimy? – spytał Johner Christi'ego.

Murzyn wzruszył ramionami.

- To samo co wcześniej. Wypieprzamy stąd.

- A jeśli jest ich więcej? – spytał Johner. Jego rozszerzone oczy były niezdrowym blaskiem.

- Mo – mo – może zostaniemy tu i niech wojsko się z nimi rozprawi. Ktoś się zjawi... To znaczy... no właśnie, gdzie są żołnierze?

Christie'emu nie podobało się to, że Johner był tak roztrzęsiony.

Potrzebował go, jeśli mieli wydostać się stąd żywi.

- Nie żyją – rzekła Call.

Wydawała się pewna siebie, a Christie nie zamierzał się z nią spierać. Bądź co bądź odkąd opuścili mesę nie widzieli żadnych żołnierzy.

Naraz Johner skupił swą uwagę na Wrenie. Jego oblicze sposepniało. Podeszedł do naukowca z wyciągniętą bronią. Distephano, choć bezbronny, zastąpił mu drogę. Johner zignorował go kierując całą złość i strach przeciwko Wrenowi. Call powiedziała, że to on jest odpowiedzialny za stworzenie Obcych i Johner dobrze to zapamiętał.

- Ten dupek nie jest nam już potrzebny – warknął Johner – Rozwalmy go.

- Cofnij się – rozkazał Distephano, ale jego słowa nie wywołały najmniejszego efektu, ale Wren aż skulił się z przerażenia.

- Przestańcie! – rozkazała Call, przepychając się do przodu.

Johner odwrócił się do niej wściekły; był o włos od wybuchu.

- Nie możesz nikomu rozkazywać !

Niska szczupła kobieta nie zrejterowała. Rzuciła Johnerowi prosto w twarz:

- Nikogo nie będziemy zabijać, chyba że w samoobronie.

Christie z pewnym wahaniem uznał, że pora się wtrącić. Zwrócił się do Wrena.

- Doktorze. Ten stwór. Czy to wynik pańskiego „eksperymentu”?

- Tak – odrzekł cicho Wren.

- Jest ich więcej?

Wren pokiwał głową.

- Ile ?

Doktor rozejrzał się nerwowo, a Christie zdał sobie sprawę, że obawia się Ripley, która przykucnęła o kilka metrów dalej.

Ledwo słyszalnym głosem wymamrotał:

- Dwadzieścia.

Johner o mało nie wybuchnął.

- Dwadzieścia ! Jeśli tych skurwieli jest aż dwadzieścia, to możemy pocałować nasze zasrane tyłki na do widzenia!

Bliscy paniki wszyscy zaczęli mówić jedno przez drugie, dopóki nie rozległ się spokojny i beznamiętny głos Ripley.

- Będzie ich więcej. Dużo więcej.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę.

- Będą się mnożyć- wyjaśniła.

- Za parę godzin będzie ich dwa razy tyle. A może i więcej.

Wyprostowała się i podeszła do nich. Nie okazując gwałtowniejszych emocji niż

dotychczas, zapytała : - To jak, komu mam dać dupy żeby wydostać się z tego statku?

Nikt nie odpowiedział. Sprawiała, że stali się nerwowi, drażliwi. Mimo, że ocaliła ich

przed bestią, w jej obecności nikt nie czuł się swobodnie.

Nagle Call postąpiła naprzód, wskazując na Ripley.

- Chwileczkę. To ona była żywicielką tych potworów. Wren sklonował ją, bo miała w sobie jednego z nich.

- To sporo tłumaczy – wymamrotał Christie do Johnera.

- Jest zbyt niebezpieczna – upierała się Call. – Ryzyko jest za duże. Zostawmy ją tutaj.

Johner pokiwał głową.

- Zgadzam się z Call.

Kiepski pomysł. Uznał Christie. Potrzebujemy jej. Nie wiedział dlaczego, po prostu wiedział, a zwykł ufać swemu instynktowi, zwłaszcza gdy sytuacja stawała się poważna.

Śmierć Elgyna pozostawiła ich bez dowódcy. Ktoś musiał podejmować ważne decyzje.

Wszyscy spojrzeli na niego. Hej! Nie palił się do tej roboty!

Zmierzywszy wzrokiem całą grupę, Christie zdecydował:

- Ona idzie z nami.

Call, wstrząśnięta, spojrzała na niego.

- Ona nie jest człowiekiem! Jest częścią eksperymentu Wrena! W każdej chwili może zwrócić się przeciwko nam.

Christie przez cały ten czas nie spuszczał wzroku z Ripley. Wciąż ten sam beznamiętny spokój. I jej oczy... te oczy drapieżnika...

Kłócąc się tracili cenny czas. Dwadzieścia takich stworów ?

Zwrócił się do całej grupy.

- Nie obchodzi mnie, czy wam się to podoba, czy nie. Jeśli mamy wyjść z tego cało, musimy pracować razem. Ulotnimy się z tej łajby wszyscy. Potem każdy może zacząć martwić się tylko o siebie.

Odruchowo schylił się, podniósł karabin Elgyna i podał Distephano. Johner spiorunował go wzrokiem, ale Christie zignorował to. Żołnierz z wdzięczności skinął głową i sprawdził magazynek.

Call patrzyła na Ripley.

- Nie możesz jej ufać – ostrzegła Christiègo po raz ostatni.

Christie spojrział na Ripley, na Distephano i na Call.

- Ja nie ufam nikomu.

Hillard, która w czasie całego incydentu milczała, wpatrując się w ciało zabitego kochanka, przykryła ciało Elgyna swoją kurtką.

Nagle Johner uświadomił sobie, że pozostawiają ciało swego starego kumpla na obcym terenie i na jego obliczu pojawił się grymas smutku.

-Vaja con Dios, stary.

Hillard po raz ostatni dotknęła dłoni Elgyna po czym wstała i wyprostowała się. Call lekko musnęła palcami jej ramię w geście pocieszenia, ale Hillard odsunęła się od niej z wyrazem nieufności na twarzy.

Ripley, jak zauważył Christie, wołała zabezpieczać tyły, zajmując pozycję Elgyna.

Obserwowała ich z wyrazem absolutnej obojętności. Zauważył też, że Call raz po raz ogląda się przez ramię na Ripley, która odpowiada jej zimnym uśmiechem. Wyraz twarzy tej kobiety wywołał na jego plecach lodowate ciarki.

- Dobra ruszajmy ! – zarządził Christie, ponownie stając na czele ich małej grupki.

Pozostawili za sobą ciało kapitana i przyjaciela, i ruszyli dalej ku *Betty*.

To blok więzienny, pomyślał Christie, gdy weszli do środka. Sporo drzwi. Mnóstwo miejsc, gdzie skurwiele mogą się ukrywać. Odkąd zostawili za sobą korytarz, gdzie zginął Elgyn, nie ujrzeli nawet jednego Obcego. Wszystkie miejsca, które odwiedzili i sprawdzili,

okazały się opuszczone, kompletnie wyludnione, ale mimo to wszystkich trawiło niepokojące przeczucie, że coś stale podąża ich tropem.

Może źródłem tego była Ripley, która zamykała kolumnę. Christie nie potrafił tego wyjaśnić, ale zarówno on, jak i pozostali rozglądali się czujnie na wszystkie strony, wpatrując, nasłuchując, oczekując na cokolwiek.

Przynajmniej bardziej teraz przypominali zespół niż zbieraninę typów spod ciemnej gwiazdy. Wiedział, że idący za nim Johner, Hillard, Distephano, a nawet Call, mimo że była nieuzbrojona, sprawdzali każde drzwi i każdą przestrzeń między meblami.

Christie, minąwszy zamknięte drzwi i windy, zaczął wierzyć, że – mimo wszystko – jednak się im uda.

I nagle rozległ się przenikliwy brzęczyk.

Winda, pomyślał Christie, zastygając w bezruchu, podobnie jak pozostali.

Powoli unióśł broń, inni zrobili to samo. Szum jadącej w górę windy przybierał na sile.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły się powoli, Christie odwrócił się w ich stronę. Pozostali zajęli już pozycję do strzału, kierując broń w stronę kabiny. Nikt się nie poruszył. Wszyscy wstrzymali oddech.

Wewnątrz windy było ciemno, zbyt ciemno, by można cokolwiek dojrzeć.

Nagle z sufitu kabiny trysnęła kaskada iskier, aż wszyscy mimowolnie drgnęli, i zamigotały włączone światła awaryjne. W ich słabym blasku Christie dostrzegł coś, co kuliło się, przygarbione i ciemne pod tylną ścianą kabiny. Dokładnie w tej samej chwili wszyscy, którzy mieli broń, unieśli ją do strzału.

I wtedy włączyły się jarzeniówki, zalewając wnętrze kabiny oślepiającą bielą. W windzie siedział Vriess, ściskając w ramionach wymierzony i gotowy do strzału karabin. Oczy miał rozszerzone ze zgrozy i drżał na całym ciele, zlany zimnym potem.

Vriess i reszta załogi stali przez dłuższą chwilę, trzymając się wzajemnie na muszce.

Dopiero po kilku sekundach uświadomili sobie, do kogo mierzą i, odetchnąwszy z ulgą, opuścili broń.

- Rety stary- wyszeptał Johner.

- Vriess! – zawołała radośnie Call i podbiegła do niego.

Vriess uśmiechnął się pod nosem i rzucił bełkotliwie:

- Sie macie, chłopaki. Cześć Call.

Christie otarł pot z czoła.

- Byłem pewny, że cię załatwili.

Głos Vriessa powiedział im wszystko, co chcieliby wiedzieć o jego przejściach.

- Wi-widzieliście te pieprzone stwory ?

- Widzieliśmy – odrzekł ponuro Christie.

- Cholera – warknął Vriess – Myślałem, że rozwalilem wszystkie.

Christie pokręcił głową, zauważając ślady oparzeń na nodze i uchu Vriessa . Tak, jego przyjaciel musiał przeżyć wyjątkowo bliskie spotkanie.

Johner odwrócił się do Wrena i zapytał.

- Czy możemy jakoś wysledzić te istoty?

Wren pokręcił głową.

- Nie.

Mówisz prawdę doktoru, czy łżesz? Zastanawiał się Christie.

Johner, naprawdę zatroskany, spojrział na Christie'ego.

- Może się okazać, że gdy dotrzemy do *Betty* będzie ich tam całe mrowie. Na zewnątrz albo nawet w środku!

Wren postanowił okazać się pomocny.

- Wydaje się, że ich aktywność ogranicza się do sektora rufowego, przy kwaterach żołnierzy. Nie ma powodu przypuszczać, że się teraz przeniosą.

Christie spojrział z powątpiewaniem na lekarza.

- Nie przeniosą się - rzuciła Ripley.

W jej głosie brzmiało tak głębokie przekonanie, że Christie uwierzył jej. Reszta załogi wciąż popatrywała na nią z niepokojem i niepewnością.

- One się mnożą - oznajmiła Ripley typowym dla siebie beznamiętnym, martwym głosem

- Mają nowych żywicieli do wykorzystania. Trzymają się razem. Jeśli kogoś wyślą, to na pewno tutaj, gdzie jest mięso.

Jeśli kogoś wyślą. Christie zastanawiał się nad tym przez chwilę. Zupełnie jakby to byli ludzie, potrafiący myśleć, planować... Kto wie, może faktycznie potrafią?

- Mięso - rzekła Call - Jezu.

Christie chciał wiedzieć więcej. Nie zawracał sobie głowy tak drobnymi niuansami.

- Mnożą się. Jak długo to potrwa?

Nie zapytał się Wrena. Miał pewniejsze źródło.

- Kilka godzin- odparła Ripley.

- Albo i mniej - dodał Wren. Wszyscy spojrzeli na niego

- Proces uległ przyspieszeniu. To ma coś wspólnego ze ... - spojrział na przepaszająco na Ripley - sklonowanymi komórkami.

Jej wyraz twarzy zubożał jeszcze bardziej.

- Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej - uznał Christie. Dobra. Teraz już wiemy.

Johner odezwał się do niego.

- Jeśli mamy się sprężyć, to zostawmy półczłowieka i pryskajmy. Wskazał kciukiem na Vriessa, spojrział na niego i uśmiechnął się bezczelnie.

- Bez urazy, stary.

Vriess odpowiedział gorzkim uśmiechem i pokazał tamtemu wyprostowany środkowy palec.

- Naturalnie stary.

Zanim Christie zdołał uspokoić Johnera, Hillard postąpiła naprzód. Miała posępną minę.

Opłakiwała Elgyna i najwyraźniej winiła za jego śmierć Call i Ripley. Christie martwił się, że to mogło niekorzystnie na nią wpłynąć.

Kobieta uniosła głowę, odzyskując krztynę dawnego rezonu.

- Nikogo nie zostawimy - powiedziała - Nawet ciebie Johner. Głos miała pewny, choć cichy i przepełniony smutkiem. Nikt nie odważył się zaprotestować.

Christie zwrócił się do Distephano.

- Jaka jest najlepsza droga?

Żołnierz zastanowił się szybko.

- Windami. Biegną od szczytu stacji aż do poziomu maszynowni. Bez żadnych przystanków. Jeżeli jakoś dotrzemy do szybu windy, będziemy mogli przejść kanałem inżynierskim, biegnącym nad pokładem numer jeden. Stamtąd dostaniemy się bezpośrednio do doku.

Christie pokiwał głową.

Brzmi rozsądnie. Jak tam dojść?

Distephano wskazał korytarz.

- Tym korytarzem dojdziemy do laboratoriów. Stamtąd, przez pomieszczenia badawcze, dostaniemy się do wind.

- Świetnie - mruknął Christie- Zróbmy to.

Vriess zaczął nagle rzucać się na wózek, odłączając i odczepiając jego fragmenty. To

była broń. Złożył ją szybko i sprawnie. Trach, trach, trach. Wkrótce na wózku inwalidy zebrał się pokaźny stos zabójczej broni. Christie uśmiechnął się.

Vriess dostrzegł jego rozbawione spojrzenie.

- Mojego wózka w ogóle nie sprawdzili.

Distephano spojrzł na niego smutnym wzrokiem.

- Call - zawołał ostro Vriess.

Uniosła wzrok, a kule rzucił jej mały, ale idealny jak dla niej, zabójczy pistolecik.

- Dlaczego dałeś jej gnata? - warknął Johner.

Christie zignorował go.

- Jeśli możemy już ruszać, to chodźmy. Dwójkami.

W chwilę później stanęli, gdy Ripley monotonnym, beznamiętnym głosem oznajmiła.

- Ruszyliśmy.

- Co? - spytał Christie zdezorientowany.

- Statek jest w ruchu - oznajmiła Ripley - Czuję to.

Czy ona może coś takiego odczuwać? Zastanawiał się Christie. Wren pokręcił głową.

- Stacja ma specjalnie wytłumiane silniki. Nawet jeśli się przemieszcza, niemożliwe, żeby ona to czuła.

Spojrzała na niego i natychmiast się cofnęła.

Zanim Christie zdołał wziąć się w garść, Call z powagą wtrąciła:

- Ona ma rację.

- Statek zaczął przemieszczać się w chwili ataku - rzuciła z uporem Ripley, piorunując

Wrena wzrokiem.

Wzrok wszystkich skierował się na niego. Zaczął się pocić, aż w końcu przyznał.

- Eee no wydaje mi się, że to .. standardowa procedura.

Distephano, wyraźnie zmartwiony pokiwał głową.

- To prawda. W razie poważnych uszkodzeń statku autopilot kieruje go z powrotem do bazy wyjściowej.

- Zamierzałeś nas o tym powiadomić? - syknęła Call przez zaciśnięte zęby, patrząc Wrenowi prosto w oczy.

Cofnął się jeszcze bardziej zdenerwowany i wykrztusił:

- Zapomniałem!

Kto by w to uwierzył? Pomyślał Christie z odrazą.

- Co to za baza wyjściowa? - dopytywała się Hillard.

- Ziemia - odrzekł półgłosem Wren.

Call była tak wściekła, że prawie nad sobą nie panowała.

- Boże ty draniu!

Johner wydawał się zniesmaczony.

- Ziemia? Co za gówniane zadupie.

Call, tracąc nad sobą kontrolę, ryknęła:

- Jeśli te stwory dostaną się na ziemię... to będzie...

- Koniec - Dokończyła beznamiętnie Ripley.

Call pokiwała głową, jakby nie mogła się z tym pogodzić.

- Musimy wysadzić statek!

- Nic nie musimy - rzucił Christie - Trzeba tylko wydostać się stąd.

Zwrócił się do Distephano.

- Ile potrwa, nim dotrzemy na ziemię?

Żołnierz stał już przy konsolce i sprawdzał tę informację na monitorze.

- Trzy godziny. Niecałe.

Call zwróciła się do Christieego, wiedziała, że musi go przekonać.

- Nie rozumiesz? Ta stacja wylądowuje w samym środku silnie obsadzonej bazy. Nikt nie przeczuwa, co ma się wydarzyć. Przywitają nas z honorami, nas, którzy przyniosą ludzkości zagładę!

Hillard włączyła się do dyskusji.

- To nie nasza sprawa.

- Call, nie pozwolę ci na wysadzenie tej stacji. A przynajmniej dopóki my na niej się znajdujemy. Kiedy tylko wyjdziemy z tego gówna, możesz robić co ci się żywnie podoba. -

Zwrócił się do klona - Ty się nazywasz Ripley, prawda? Zechcesz poprowadzić?

Skinęła głową i zajęła miejsce na czele. Ruszyli w dalszą drogę.

Teraz Christie zamykał pochód. Słyszał, jak idący przed nim Johner mamrocze pod nosem.

- Ziemia, kurde Ale syf.

Po dłuższym namyśle Johner doszedł do wniosku, że są jednak gorsze rzeczy niż znalezienie się na Ziemi. Tak, na przykład skończyć jak Elgyn! Wzdrygnął się, usiłując nie wspominać tej upiornej, owadopodobnej istoty, zbliżającej się, by ich zabić.

Kiedy mijali kolejne korytarze, prowadzeni przez Ripley, Johner musiał, aczkolwiek z pewną niechęcią, przyznać, że podziwia tę wysoką kobietę. Musiała mieć w żyłach lód zamiast krwi, skoro odważyła się stawić czoło jednemu z tych potworów, oddzielona od niego tylko świeżymi zwłokami.

Była klonem, to fakt, ale nawet klony mają uczucia.

Dotarli do kolejnego przecięcia korytarzy. Ripley stanęła nasłuchując. Johner podszedł bliżej czujny i niespokojny.

W końcu oznajmiła:

- Droga wolna.

Johner spojrział jej w oczy.

- Miałaś już kiedyś do czynienia z tymi istotami? - spytał bez ogródek.

Była skupiona na prowadzeniu ich małej grupki.

- Tak - odparła krótko.

Nie doczekawszy się rozwinięcia, Johner spróbował pójść za ciosem.

- No i co zrobiłaś?

Odpowiedziała bezceremonialnie.

- Umarłam.

Pomaszerowała dalej, a Johner, wstrząśnięty, został nieco w tyle.

Spoglądając na Distephano wymamrotał:

- Niezupelnie to chciałem usłyszeć...

Żołnierz pokręcił tylko głową, uśmiechnął się i uspakajająco poklepał Johnera po ramieniu. Przeszli jeszcze kawałek, dopóki Distephano znów nie poklepał go, tym razem po rękę, wskazując drzwi.

- Tędy - rzekł żołnierz do całej grupy - To skrót.

Ripley cofnęła się, wprowadziła ich do środka.

To było jedno z laboratoriów. Johner po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy jakąkolwiek reakcję. Stało się to, gdy jej wzrok padł na wielki pojemnik z napisem INKUBATOR. Piękny mały żłobek, co? Albo wylęgarnia, pomyślał Johner.

Jej twarz znowu przybrała obojętny wyraz. Po chwili Ripley ruszyła dalej.

Ale zaraz spostrzegła coś jeszcze. Wraz z nią przystanęli pozostali, skupiając wzrok na tym samym co ona. W tylnej części pomieszczenia dostrzec można było nienaturalnie nieruchomą sylwetkę siedzącego mężczyzny. Ripley prowadziła dość wolno i ostrożnie uniosła karabinek

do twarzy. Inni zrobili to samo.

Wymierzywszy broń w nieruchomego mężczyznę załoga *Betty* otoczyła jego fotel. Facet nawet nie drgnął, siedział w bezruchu jak manekin. Distephano odnalazł włącznik światła i dotknął go. Słabe światło lampki do czytania oświetliło najbliższego mężczyznę wiszącego na ścianie.

Był to jeden z naukowców, wciąż miał na sobie kitel, a na klapie plaketkę z napisem KINLOCH. Był martwy, jego twarz wykrzywiał grymas potwornego cierpienia, oczy miał szeroko otwarte. Białe fartuch zbryzgany był krwią. Wyglądał tak, jakby coś w jego wnętrzu eksplodowało, rozrywając całą klatkę piersiową. Lub może raczej przegryzło się na zewnątrz, pomyślał Johner, czując narastające mdłości. Widać było wyraźnie wnętrzności i płuca trupa. Zebrani wokół ciała jęknęli lub głośno wstrzymali oddech, i nawet Johner, Który, jak mu się wydawało, widział już w swoim życiu wszystko, nawet po kilka razy, z obrzydzeniem odwrócił wzrok. Wiedział, że jeśli przeżyje, nie zapomni tej sceny do końca życia.

Ripley po prostu patrzyła na zwłoki, najwyraźniej nie poruszona, jakby oglądała podobne rzeczy wielokrotnie, i tak jej to spowszedniało, że taki widok nie robił już na niej najmniejszego wrażenia.

Nagle Johner spostrzegł komorę hibernacyjną, wewnątrz której znajdował się człowiek. To jedna z kapsuł, które porwaliśmy i dostarczyliśmy na stację. Podeszedł do niej i zauważył, że wieko zostało częściowo uchylone. Otworzył je do końca. Wewnątrz znajdowała się kobieta. Ona również miała rozsadaną klatkę piersiową i twarz wykrzywioną cierpieniem. - Ja chyba śnię - wymamrotał, ale wiedział, że przebudzenia nie będzie.

I wtedy Johner z przerażeniem odkrył, że odczuwa wyrzuty sumienia. Sprowadziłeś ją tu w tym celu. Porwałeś ją i pozostałych, nie pytając o nic. Ot, po prostu zrobić swoje, zgarnąć szmal i w nogi. I tym przypieczętowałaś swój los. Spójrz na jej twarz. To powinieneś być ty.

Wydawało ci się, że jesteś paskudny. Nagle zebrało mu się na mdłości. Zaczerpnął głęboko tchu, odwrócił się od komory i stłumił w sobie nudności.

I wtedy pojawił się przy nim Christie, milcząco oferując wsparcie. Johner cieszył się z jego obecności, cieszył się, bo tak dobrze było go mieć obok siebie.

- Idziemy - odezwał się Christie półgłosem.

Johner skinął głową. Odzyskał już panowanie nad sobą. Przechodząc przez laboratorium natknęli się na kolejne ciała badaczy którzy tu pracowali. Williamson, Clauss, Sprague ... To nie było by takie straszne, skonstatował Johner, gdyby nie mieli tych plakietek z nazwiskami. Gdyby byli bezimienni. Jego stopy na przemian przyklejały się do zalanej krwią podłogi, albo ślizgały na strzępach rozbryźniętych tkanek.

Dotarli do obszaru, gdzie panował półmrok i zwolnili tempo. Mrugająca neonówka jak lampa stroboskopowa to zapalała się, to gasła, nadając wnętrzu zniszczonego laboratorium upiorne wrażenie.

Vriess uniósł broń i wychylając się z fotela, stuknął parę razy w szwankującą lampę, ale ta zaczęła jeszcze gwałtowniej mrugać.

Było tu tyle sprzętu, tyle rozmaitych rzeczy, istny labirynt, pełen zakamarków i kryjówek, skąpanych na przemian w mroku i w białym, ostrym świetle. To mogło doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Ripley wciąż szła pierwsza, a pozostali wolno, acz nieustannie posuwali się naprzód.

Wszyscy przez cały czas rozglądali się dokoła. Johner wyęczał wzrok aż do bólu lustrując otoczenie. Jeden z tych wielkich czarnych robali, ze swymi sterczącymi wyrostkami grzbietowymi, z łatwością mógłby wtopić się w tą scenerię. Johner czekał na błysk światła i patrzył, patrzył... Rury, sprzęt, biurka, szafki, rury, twarz, znów rury. Johner zamrugał, czy wśród tego bałaganu rzeczywiście dostrzegł czyjąś twarz?

Ripley zauważyła ją pierwsza, zaraz po niej Johner i Christie. Znów błysnęło światło.

Była tam. Twarz. Błada, przerażona twarz, oczy rozszerzone paniką.

I nagle właściciel tej twarzy energicznie wyskoczył z kryjówki. W dłoni trzymał coś długiego, jakby rurkę. Z przeraźliwym wrzaskiem rzucił się ku najbliższemu celowi - Ripley - i zamachnął się. Po raz pierwszy nie przygotowana, przyjęła silne uderzenie i przewróciła się. Johner i Christie natychmiast znaleźli się przy niej i napompowani adrenaliną zaczęli strzelać do napastnika.

Mężczyzna śmignął na powrót do swojej kryjówki, skulony, mały i żałosny. Wokół niego z wizgiem rykoszetowały pociski krzesząc fontanny iskier. I jakimś cudem, jakby wibracje wywołane uderzeniami kul rozwiązały nagle ich problem, neonówki zapaliły się, by już nie zgasnąć.

Johner i Christie natychmiast przestali strzelać, ale wciąż mierzyli z karabinów do kulącego się pod ścianą mężczyzny. Ripley potrząsnęła głową, jakby po takim ciosie, aby dojść do siebie, wystarczyło tylko rozmasować uderzone miejsce.

Wstała.

- Rzuć tę rurę człowieku! - zawołał Christie do jęczącej postaci. Ciałem nieznajomego wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. - Zrób to!

Mężczyzna spojrział na nich, w jego rozszerzonych oczach malowała się czysta groza.

- Wynoście się! - rozkazał, ale głos za bardzo mu się łamał, żeby ktokolwiek mógł potraktować go poważnie. Najwyraźniej atak pochłonął cały zapas jego odwagi i brawury.

Rurka, którą trzymał w dłoni, z brzękiem wylądowała na podłodze. Mężczyzna powiódł zaleknionym wzrokiem po twarzach ludzi, których miał przed sobą, i słabym głosem zapytał:

- Co się dzieje?

Wolno niepewnie wypełzł z kryjówki.

Johner dostrzegł na kombinezonie tamtego naszywkę z napisem PURVIS. Cholera, jeszcze jeden śpioch, którego porwaliśmy.

Christie postąpił naprzód, wciąż napięty, wciąż gotów do działania...

- Jeśli chcesz wiedzieć, Purvis, dzieje się to, że spierdalamy z tego okrętu widma.

Purvis zamrugał, najwyraźniej kompletnie zdezorientowany. Obficie się pocił, smród strachu emanował zeń falami.

- Z jakiego okrętu? - zapytał - Gdzie ja jestem? Spałem na statku lecącym na Xarem, gdzie miałem pracować w rafinerii niklu ...

Christie i Johner wymienili spojrzenia, po czym odwrócili wzrok. Nawet Wren sprawiał wrażenie, jakby chciał w tej chwili znaleźć się gdzie indziej.

- Obudziłem się, nie rozumiem ... - mówił dalej Purvis.

- A potem... potem... zobaczyłem coś... potwornego... To mnie dusiło.

Wyglądał, jakby lada chwila miał się rozplakać.

Call podeszła do niego i Johner ucieszył się, widząc że przejęła za niego inicjatywę.

- Pójdiesz z nami, Purvis - powiedziała - Tu jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

Johner i Christie wymienili spojrzenia, po czym równocześnie wzruszyli ramionami.

Johner czuł, że mają wobec niego pewien dług, nawet jeśli żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że porwani przez nich ludzie mają stać się karmą dla Obcych.

Nagle Ripley stanęła obok Purvisa. Ten drgnął i lekko się cofnął, gdy zaczęła go ...

obwąchiwać? Johner czuł zapach tego faceta z odległości pięciu stóp i na pewno nie pachniał on różami.

- Zostawmy go - oznajmiła Ripley, jak zwykle beznamiętnie.

Call odwróciła się w jej stronę.

- Pieprzę cię! Nie zostawimy na tej stacji nikogo!

- On ma w sobie jednego z nich. Czuję to - Wyraz twarzy Ripley pozostał nie zmieniony.

Purvis zadygotał. Chyba znajdował się na granicy całkowitego załamania.

- Wewnątrz mnie? Co jest wewnątrz mnie?

Johner poczuł na plecach lodowate ciarki. Zwrócił się do Christieego.

- Cholera, nie chciałbym, żeby jeden z tych stworów uwolnił się w pobliżu mojego tyłka.

Vriess podjechał i stanął obok nich.

- Ryzyko jest zbyt duże.

Call była gotowa stawić czoło im wszystkim.

- Nie możemy go tak po prostu zostawić.

Do licha, czy ona nigdy nie ma dość? Zastanawiał się mocno znudzony Johner.

Vriess próbował przemówić jej do rozsądku. Świetny pomysł, stwierdził Johner, bo chyba nikt inny by tego nie potrafił.

- Wydawało mi się, że zjawiałaś się tu, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się tych stworów -
dodał Vriess.

Słowa Vriessa jakby obudziły Call.

Zwróciła się do Wrena.

- Nie można jakoś powstrzymać tego procesu?

Christie pokręcił głową.

- Nie mamy na to czasu!

Wren nawet nie spojrział na Purvisa

- Tu nie zdołał bym tego dokonać. Laboratorium zostało całkowicie zniszczone.

- Mógłbym go załatwić - Christie zwrócił się do Call.

- Szybko i bezboleśnie. Jeden strzał. W tył głowy. Może tak byłoby dla niego lepiej.

Stary mięczak, pomyślał Johner spoglądając na czarnego olbrzyma.

Call pokręciła głową z niezadowoleniem.

- Musi być jakiś inny sposób. A gdybyśmy go zamrozili?

Purvis wodził wzrokiem po ich twarzach i ogarniała go coraz silniejsza panika. Spojrzał na swoją klatkę piersiową.

- Co ja, kurwa, mam w sobie?

Spojrzenia wszystkich skierowały się ku niemu, a Johner stwierdził, że wszyscy, nawet Distephano, byli mocno zakłopotani. Bo wszyscy byli winni. Każdy z nich. Bez wyjątku.

I ruszyło ich sumienie.

W końcu Wren rzucił półgłosem.

- Pasożyta. Obcy element, który

Ripley, najwyraźniej zniecierpliwiona tym owijaniem w bawełnę, postąpiła naprzód i stwierdziła bez ogródek:

- Masz w klatce piersiowej potwora. - Rzuciła mu te słowa prosto w twarz. - Ci tutaj - wskazała kciukiem na załogę *Betty* uprowadzili twój statek sprzedali twój hibernator temu, tam - Skinieniem głowy pokazała mu Wrena.

- A on wpuścił do twojego organizmu Obcego. Za kilka godzin embrion przeżre się przez twoją klatkę piersiową i umrzesz. Jakies pytania?

Ależ z niej zimna suka, pomyślał Johner z podziwem.

Purvis, z rozszerzonymi zgrozą oczyma, wykrztusił tylko:

- K-k-kim jesteś?

Wciąż patrząc beznamiętnie prosto w oczy Purvisa, odparła:

- Jestem matką potwora. - To rzekłszy spiorunowała Wrena spojrzeniem przesywającym jak promień lasera i naukowiec mimowolnie skulił się w sobie.

Ripley, znów zajmując pozycję na przedzie, ruszyła dalej.

Tę sprawę uznała za zakończoną.

Najwyraźniej biorąc przykład z bezpośredniej aż do bólu Ripley, Call minęła Johnera, ujęła Purvisa za rękę i oznajmiła:

- On idzie z nami na *Betty*, będziemy mogli go zamrozić, a później zajmą się nim lekarze i usuną z niego to świństwo.

Wszyscy spojrzeli na Wrena. Ten pokiwał głową.

- W porządku.

Johner zamrugał. Nie mógł uwierzyć, że ot tak, po prostu na to przystali. Nachylił się nad zuchwałą kobietą.

- A niby od kiedy ty tu dowodzisz?

Spojrzała na niego z buńczuczną miną.

- Odkąd urodziłeś się bez jaj.

Zanim Johner zdołał się jej odszczeknąć, Vriess wjechał pomiędzy nich.

- Spoko, odpuście sobie.

Christie podszedł do Purvisa i pociągnąwszy go za rękę, zmusił do pójścia śladem Ripley.

- Idziesz z nami. Może nawet uda ci się przeżyć. Ale pamiętaj, jeden fałszywy ruch i osobiście cię rozwalę.

Johner burcząc coś pod nosem, powoli, z ociąganiem podążył z resztą grupy

10.

Magazyn klonów. Ripley przeczytała napis na tabliczce na ostatnim laboratorium, przez które mieli przejść, ale jakby nie rozumiała jego treści.

Wciąż szła na przedzie.

Distephano podszedł do jednej z konsol, jego dłonie wprawnie manipulowały

przyciskami.

- Minęliśmy księżyc Jowisza - oznajmił.

Ripley wiedziała, że powinna czuć dziwne, nagłe ożywienie nakłaniające ją do energicznego działania, ale obecnie kierowała nią tylko potrzeba ocalenia samej siebie.

Jak u każdego zwierzęcia, pomyślała z gorzką akceptacją. U nich. Odegnęła myśl o Obcych, jakby obawiała się, że te istoty mogłyby ją w ten sposób wyczuć. Jak długo będą zbyt zajęte, aby wyruszyć na jej poszukiwania?

Przeszli obok kolejnych, z całej, zdawałoby się nie mającej końca serii zamkniętych drzwi, napisy na których nie miały dla Ripley żadnego znaczenia. Ale przy następnych ...

Zamarła w bezruchu.

Coś tam było. Ktoś tam był.

Mimo bezdennej pustki, która trawiła Ripley od chwili narodzin, ogarnął ją nagle osobliwy lęk. Jej zmysły wyczuliły się jeszcze bardziej, gdy ponownie odwróciła się w stronę drzwi. Na ich przeszklonym fragmencie widniały numery: 1 - 7.

Powoli podeszła do drzwi, spojrzała na napis.

Spuściwszy wzrok podwinęła rękaw bluzy i spojrzała na numer 8.

Odejdź stąd, powiedziała sobie w duchu. Po prostu odejdź. Zamknęła oczy i całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Za tymi drzwiami było coś strasznego, coś, co miało jakiś związek z jej osobą.

Distephano cofnął się od konsoly i minął Ripley.

- Nie tędy - powiedział.

Christie podeszedł do niej, najwyraźniej zaniepokojony dziwnym zachowaniem.

- Ripley nie mamy czasu na zwiedzanie.

Nieważne, bez niej nie pójdą dalej. Wiedział, że musi wejść do środka.

I nagle stanął przy niej Wren. Nawet on wydawał się zakłopotany.

- Ripley ... nie.

Musiała. Otworzyła drzwi i stała przez chwilę w progu, przygotowując się psychicznie na to, co już wkrótce miała zobaczyć.

Przez cały ten czas martwiła się swoim brakiem uczuć, obojętnością, brakiem człowieczeństwa. I nagle uczucia napłynęły tak wielką falą, że omal w nich nie utonęła.

Ból. Zgroza. Odraza. Skrupuły. Rozdzierający smutek.

Pozostali stanęli przy drzwiach. Byli zdezorientowani i zakłopotani, ale najwyraźniej nie zamierzali iść dalej bez niej.

Oczom Ripley ukazało się pomieszczenie pełne inkubatorów. Nie, nie inkubatorów, już nie. Pojemników przetrwalnikowych. Słojów na okazy. Dla moich sióstr.

W pierwszym znajdował się organizm wielkości w pełni rozwiniętego ludzkiego płodu. Był zupełnie zdeformowany, ledwie rozpoznawalny, gdy tak pływał, zanurzony w płynie konserwującym.

Zgodnie z napisem, w pojemniku znajdował się Numer 1. Nie tylko „znajdował się”, co „znajdowała się”, powiedziała sobie Ripley. Dotknęła nabożnie ścianki słoja i ruszyła dalej.

Następny, oznaczony numerem 2, był wielkości małego dziecka. On również był mocno zniekształcony. Na wpół obcy, wpół ludzki.

Wydłużoną straszną głowę zdobiło oblicze Ellen Ripley. Z pleców sterczały długie wyrostki kostne. Ripley poruszyła ramionami, wyczuwając blizny po obu stronach swego kręgosłupa.

Numer 3 miał ogon, lecz brakowało mu twarzy. Okaz przypominał dwuletnie dziecko.

Numer 4 miał około czterech lat, egzozskielet i długi, sztywny, zakończony zębami język, wystający ze szczeliny ust w na wpół ludzkiej twarzy.

Coś wypłynęło z oczu Ripley. Dotknęła palcami policzka. Wilgoć... Łzy?. Potwór miałby płakać? O mało nie wybuchnęła śmiechem.

Numer 5 niemal osiągnął dojrzałość. Rurkowate wyrostki grzbietowe były prawie w zaniku. Głowa istoty była głową Królowej Obcych wyrastającą ze zdeformowanego ludzkiego, kobiecego ciała. Ripley nie próbowała już powstrzymać łez. Było nas osiem. Ile jednak setek, tysięcy, milionów komórek nigdy nie zdołało się rozwinąć?. Oznaczeni chyba tylko te z nas, które osiągnęły pewne graniczne stadium rozwoju. Pomyślała o wszystkich naukowcach pracujących na jej komórkach, męczących się nad nimi tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. I wszyscy oni byli teraz martwi, padli ofiarą swoich własnych machinacji.

Podeszła do numeru 6. Znów zatrzymała wzrok na niezwyklej, wydłużonej głowie prawie dorosłej istoty, tak bardzo podobnej do niej. Dłonie były identyczne jak jej, zdobiły je te same dziwne, długie paznokcie. Oczy były otwarte. Jej oczy. Widzące...

Ruszyła w głąb swego własnego koszmarnego świata.

Napis NUMER 7 zdobił nie pojemnik przetrwalnikowy, lecz ściankę sporej, prostokątnej, nieprzejrzystej komory. Ripley zauważyła przyłączone do niej przewody elektryczne. I wskaźniki, które coś rejestrowały.

Z narastającą zgrozą obeszła komorę dookoła!

To nie słoje konserwujący! To komora medyczna ITK, z całym potrzebnym oprzyrządowaniem i łóżkiem wodnym, aby...

Zadygotała gwałtownie, jej usta otworzyły się, oczy rozszerzyły z przerażenia ...

Na łóżku spoczywała żywa istota, jeśli stan, w którym znajdowało się to coś, można by nazwać życiem.

Monstrum miało zniekształconą głowę, której z czubka wyrastały rzadkie kępki

brązowych, falujących włosów. I miało twarz Ripley. Powykręcane kończyny unieruchamiały zadziergnięte pasy, a liczne rurki kroplówek dostarczających niezbędne środki odżywcze utrzymywały istotę przy życiu. Żywe, inteligentne, ludzkie oczy spojrzały na Ripley i dostrzegły ją.

Rozpoznały ją!

Moja siostra! Pomyślała z przerażeniem Ripley.

Usta otworzyły się, obnażając rząd srebrnych zębów. Potwór, rozpoznawszy Ripley, zadygotał. Z ust pociekły mu strużki gęstego, przezroczystego śluzu.

A potem istota wyszeptała błagalnie. „Zabij mnie !” Błagała o skrócenie cierpień jedyną w całym wszechświecie istotę, o której wiedziała, że spełni jej prośbę. Ludzkie oczy w twarzy Ripley roniły wielkie, lepkie łzy ściekające po obu policzkach. Monstrum zaczęło szarpać więzy, jakby domagając się spełnienia swej prośby.

Ripley przepelniona niepohamowaną odrazą cofnęła się. Z jej ust dobył się krótki cichy krzyk i nagle zaczęła głośno szlochać.

Po chwili znalazła się przy niej Call. Trzymała w dłoniach coś dużego, coś mgliście znajomego.

- To miotacz płomieni - rzekła półgłosem Call. - Distephano znalazł go w arsenale broni.

Ripley otarła łzy i spojrzała na miotacz. Tak, ten kształt wydał się jej znajomy.

Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na swoją siostrę. Potwór na łóżku wił się i szamotał, otwierając obsceniczne usta, z których ciekły nitki lepkiej śliny Oczy mówiły wszystko, czego nie był w stanie wyrazić udręczony umysł.

Ripley automatycznie przeładowała broń i naciskając spust zbryzgała smugą ognia komorę z uwięzioną wewnątrz istotą. Starła się nie słyszeć przeraźliwych, na wpół ludzkich, na wpół zwierzęcych wrzasków, gdy ściągając spust raz po raz topiła całą komorę, przewody,

urki kroplówek i unieruchamiające istotę pasy. Spaliła wszystko.

Zaczęła się wycofywać, ciężka broń w ręku dodawała jej otuchy. Dobrze było znów mieć w dłoniach miotacz. Uruchomiła spust ponownie; kolejne pojemniki przetrwalnikowe stanęły w ogniu.

Rozległ się jęk syreny alarmowej, stacja próbowała się bronić, ale najwyraźniej w tryskaczach sufitowych nie było wody i nikt z załogi nie zareagował na pożar. W tej sytuacji Ripley mogła spokojnie kontynuować swoje niszczycielskie dzieło. Słoje eksplodowały jeden po drugim, kaskadami plastiszkła i stali, a Ripley powoli wycofywała się w stronę drzwi. Przestała strzelać dopiero wtedy, gdy wewnątrz laboratorium było już tylko rozżarzona ruina, a wszystkie pojemniki, wraz z zawartością, zmieniły się w stopione, niemożliwe do rozpoznania bryły, jej broń zaś była już bezużyteczna.

Ripley przy drzwiach upuściła miotacz na podłogę, poczym wyszła zamykając za sobą drzwi, by ogień nie rozprzestrzenił się w głąb stacji. Już nie płakała. Smutek zastąpiło bardziej zabójcze uczucie.

Ruszyła w stronę Wrena.

Ten rozpaczliwie zaczął rozglądać się wokoło, licząc na to, że ktoś zechce stanąć w jego obronie. Inni jednak, przeczuwając, że lada moment rozpęta się piekło, odsunęli się, dając jasno do zrozumienia, że nie zamierzają mu pomóc. Tylko Call wtrąciła się, kiedy Ripley podeszła do naukowca.

- Ripley... nie rób tego - rzekła półgłosem Call.

Ripley znieruchomiała i nagle jakby ogarnęło ją dojmujące znużenie. Skuliła się w sobie.

- Czego mam nie robić? - wyszeptała pustym, martwym głosem.

Cała grupa momentalnie się rozluźniła. Wren głośno wypuścił powietrze, przez chwilę sprawiał nawet wrażenie zadowolonego z siebie.

Nagle Call odwróciła się i z całej siły trzasnęła go pięścią w szczękę.

Wrenowi głowa odskoczyła do tyłu i runął do stóp Ripley jak rzucony niedbale kłęb szmat.

Ripley napotkała spojrzenie niższej od siebie kobiety i między nimi zawiązała się jakaś więź. Nie sposób było jednak jej sprecyzować.

- Nie rób Tego - wyjaśniła Call, mając na myśli silny cios, po którym musiała rozmasować bolącą dłoń; wkrótce miał pojawić się na niej spory siniec. Call ruszyła w głąb korytarza; nie spojrzała nawet na powalonego naukowca.

Ripley spuściła wzrok, przypatrując się Wrenowi. Doktorek kręcił głową i pocierał obolałą szczękę. Christie pochylił się nad nim, jakby bojąc się, że Ripley teraz, gdy Wren leżał na ziemi, zechce dokończyć dzieła.

- Sam się o to prosiłeś, doktorku - mruknął Christie: Ripley o mało nie wybuchnęła śmiechem. Wzięła swój karabin i pomaszerowała za Call.

Usłyszała, jak Johner, który przypatrywał się zagłędzie laboratorium, zwraca się do Christie'ego.

- O co tyle hałasu? Pieprzone marnowanie amunicji.- Christie tylko wzruszył ramionami i pomógł Wrenowi wstać.

Call, która przeszła już dobrych kilkanaście metrów, zawołała:

- Ruszcie się, zanim coś zjawi się tu, by zbadać przyczynę tego hałasu.

Johner ponownie zwrócił się do Christie'ego.

- Ja tego po prostu nie kapuję. To jakieś babskie sprawy.

Kiedy Distephano otworzył właz, znaleźli się w niemal zupełnym mroku. W pionowym szybie było oświetlenie awaryjne, ale - jak stwierdził Christie - nie dość mocne, by mogli w nim ujrzeć dno tunelu.

- Schodzimy - rzekł zgoła niepotrzebnie Distephano. Christie odwrócił się do mężczyzny na wózku.

- Vriess, musimy zostawić twój wózek.

- Wiem - odparł mężczyzna ze znużeniem wyjmując zwój liny z jakiegoś schowka pod swoim fotelem.

Kiedy Call zaczęła schodzić w dół, za innymi, Christie zwrócił się do Vriessa.

- Manewr Kawlang, pamiętasz?

Vriess wybuchnął krótkim, gorzkim śmiechem. Jak za starych, dobrych czasów. Christie też się uśmiechnął. Wtedy wydawało się, że to już koniec. Sądziło, że nigdy więcej nie dane im będzie zetknąć się z gorszym koszmarem.

Teraz zaś, stojąc w korytarzu Aurigi, Christie uznał, że Kawlang było w porównaniu z tym horrorem jak wycieczka na wieś.

Dotarłszy na dno szybu, Call zeskoczyła z drabinki i znalazła się wewnątrz wieży chłodzenia. Miała wodę po kolana i zastanawiała się dlaczego. Distephano i Johner sporo ją wyprzedzili i stali teraz, przywierając do siebie plecami, z bronią gotową do strzału, rozglądając się bacznie dokoła. Bezgłośnie dali znak Call, żeby podeszła do nich. Tymczasem pozostali, jedno po drugim schodzili w dół po drabince.

Call podeszła do Ripley. Wysoka kobieta spoglądała na swoje dłonie, które po incydencie w laboratorium nadal mocno drżały. Jej twarz była naznaczona bólem. Oczy miała czerwone. Widząc ją w takim stanie, Call poczuła dziwną konsternację. Powtarzała sobie, że Ripley nie jest człowiekiem, że nie ma żadnych uczuć. A teraz musiała stawić czoło prawdzie. Ripley była w każdym calu równie ludzka jak Call. Miała uczucia, wrażliwość, odczuwała - może nawet zbyt wiele.

Call przystanęła obok niej; czuła się niezręcznie, a jednak musiała coś powiedzieć.

- Ja... nie wyobrażam sobie, co musisz teraz czuć. Ripley spojrzała na nią posepnie.

- Nie wyobrażasz sobie.

Call odwróciła wzrok, lustrując otoczenie. Ciemne, pełne rur pomieszczenie było zalane wodą, której poziom wciąż się podnosił. Woda spływała kaskadami z sufitu z rur chłodzących.

Cała grupa znów była w komplecie. Na znak Christie'ego ruszyli dalej, brodząc po kolana w wodzie.

Wszyscy byli spięci, wyjątkowo czujni. To wyczerpywało, owa konieczność stałej gotowości, brak odpoczynku. Call dostrzegała napięcie u Johnera, Hillard i nerwowego Purvisa. Christie dziarsko brnął przed siebie, mimo że dźwigał na plecach Vriessa. Kaleka był przypięty do Christie'ego pasami, które wyjął ze skrytki w swoim wózku. Przywierając do pleców olbrzyma, Vriess podobnie jak tamten penetrował wzrokiem sufit.

- To zbiorniki chłodziwa - rzekł Vriess. - Ktoś musiał odkręcić zawór.

- Paskudy raczej tego nie zrobiły - rzekł Johner i nagle się zawahał. - A może to one?

Hillard wydawała się zdziwiona. - Ale... po co?

Ruszyli dalej, brodząc przez coraz wyższą wodę.

Gdy dotarli do ściany, zatrzymali się. Był tam krótki tunel ze schodkami prowadzącymi na ostatni poziom. Luk był wciąż otwarty, ale prawie zupełnie zalany wodą.

- Jesteśmy na samym dnie stacji - powiedział Wren. Ten sektor jest odcięty. Musimy zejść po schodach, przedostać się przez kuchnię i wyjść z drugiej strony, to jakieś dwadzieścia pięć metrów.

Call zrozumiała, że oznacza to dwadzieścia pięć metrów pod wodą.

- Jesteś gotów się zamoczyć, stary? -- rzekł Christie odchyliwszy głowę do tyłu.

Vriess wybuchnął krótkim, ochryplym śmiechem. - Pewno że tak.

Johner rozejrzał się dokoła. - Do dupy to wszystko.

- Jesteś pewien co do odległości? - Hillard zwróciła się do Wrena.

Naukowiec skinął głową. Christie wyraźnie się wahał.

- Powinniśmy wysłać zwiadowcę. Ripley?

Call spojrzała na Christie'ego z wyrzutem. Ripley jednak podeszła do drzwi i obejrzała je uważnie.

- Nie podoba mi się to - rzekła półgłosem.

- Wcale nie ma ci się to podobać - mruknął Christie. Ripley wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- W porządku - rzuciła, zaczerpnęła głęboko powietrza i dała nurka do wody.

Zbiorniki musiały w końcu się opróżnić, bo kaskady wody przeszły w strugi, a potem w słabe strumyczki.

Nikt nie odezwał się słowem, nawet się nie poruszył, wszyscy patrzyli na zalane przejście, w którym zniknęła Ripley Jak długo człowiek może wstrzymać oddech?

Distephano stojący przy Call odpiął od pasa osłonę na broń i naciągnął ją na lufę. Christie przyglądał mu się w milczeniu. - Powinniście zrobić to co ja - rzucił pogodnie do olbrzyma i jego syjamskiego bliźniaka.

Christie pokazał mu broń.

- To specyficzna broń. Jednorazowy użytek. Woda jej nie zaszkodzi.

- Broń jednorazowego użytku. - Distephano wydawał się zaciekawiony. - Słyszałem o niej. Ile pocisków?

- Dwadzieścia - odrzekł Christie.

Nagle pirat i żołnierz zmienili się w dwóch facetów rozprawiających na interesujący ich temat.

- Nacinane czubki nawet przy mniejszym kalibrze robią wtedy całkiem spore dziury.

- Fajne. - Distephano z podziwem skinął głową. Christie mówił dalej, jakby rozmowa pomagała mu zabić potworne napięcie.

- To jej główny atut. A po wszystkim po prostu się ją wyrzuca. Nikt nie lubi rozstawać się z bronią, do której jest przywiązany Kapujesz?

I wtedy olbrzym musiał zorientować się, że nie, że Distephano nie jest w stanie go zrozumieć, a on sam posunął się za daleko. To był zawodowy żołnierz. Czujny, zwarty, gotowy Wierzący w słuszną sprawę i cały ten patriotyczny szajs.

Zapadła kłopotliwa cisza. Obaj mężczyźni nie mieli już sobie nic do powiedzenia.

Vriess, przypięty do pleców Christie'ego, zajął się podziwianiem sufitu.

Jedynym odgłosem, jaki teraz słyszała Call, było kapanie wody.

Zdenerwowana przedłużającą się nieobecnością Ripley, Call zanurzyła dłoń w chłodnej wodzie i spryskała sobie czoło.

Nagle z tyłu za nimi, na powierzchni wody, pojawiły się bąble powietrza.

Wszyscy odwrócili się i zamarli, wymierzywszy broń w to miejsce.

Mijały kolejne sekundy Pękł ostatni bąbel, ale nic się więcej nie wydarzyło.

Wszyscy znów odwrócili się w kierunku luku.

Wtedy, bez ostrzeżenia, tuż pod nimi z wody wyłoniła się Ripley

Zaskoczyła wszystkich. Z trudem łapała powietrze. Kiedy w końcu odzyskała głos, wysapała:

- Jakies dwadzieścia metrów dalej były zablokowane drzwi. Trochę potrwało, zanim je otworzyłam. Nie dotarłam dalej, ale wiem, że na powierzchnię stamtąd jest już blisko.

Call rozejrzała się, lustrując twarze pozostałych.

- Czy muszę komuś mówić, że trzeba wziąć naprawdę głęboki oddech?

Niektórzy uśmiechnęli się do niej.

- Christie - rzeki Vriess z przekąsem - zrób mi przysługę. Nie pływaj stylem grzbietowym, dobrze?

Olbrzym zachichotał, a po chwili wszyscy, nabrawszy głęboko powietrza, zeszli za Ripley pod wodę.

Hillard i Johner popłynęli ostatni. Pod wodą widoczność okazała się kiepska. Woda owszem była przejrzysta, ale w kuchni nie działały już światła, toteż wszystko spowijał posępny półmrok. Hillard to się nie spodobało, ale nie wiedziała, czy jaśniejsze oświetlenie cokolwiek mogłoby zmienić.

Obserwowała Wrena, który płynął tuż przed nią. Nie ufała mu, a on znając rozkład statku miał nad nią wyraźną przewagę.

Skręcili za róg. Wciąż mieli przed sobą kawał drogi. Hillard poczuła lekki ucisk w piersiach. Zapragnęła zaczerpnąć tchu, ale zwalczyła tę potrzebę. U jej boku Johner, płynąc pieskiem, rwał rażno do przodu. Nagle obejrzał się do tyłu raz i drugi. Zwolnił, zostając w tyle, a Hillard zerknęła przez ramię, by sprawdzić, co takiego zobaczył.

I o mało nie otworzyła ust w bezgłośnym krzyku przerażenia. Za nimi gnało jak burza dwóch Obcych, ich ogony falowały, a ciała wyginały się giętko. Wyglądali jak wielkie węgorze.

Oczy Johnera rozszerzyły się w przyływie paniki. Błyskawicznie przeładował broń i wypalił; siła odrzutu pchnęła go w tył.

Pocisk pomknął w stronę bestii, dosięgnął jednej z nich i rozerwał na strzępy. Odgłos, stłumiony przez wodę, zabrzmiał jak głuchy łoskot. Drugi Obcy nawet nie zwolnił, po prostu płynął dalej,

Johner był teraz nielecho przerażony, ciął wodę jak rakieta, mijając Hillard, a potem

Ripley. To sprawiło, że klon odwrócił się i dostrzegł potwora. Inni również się odwrócili i niemal natychmiast całą grupę ogarnęła panika. Całą grupę z wyjątkiem Ripley Ta dała znak Hillard, ponagłając ją, jakby popędzanie było w ogóle pilotce potrzebne.

Ona nie ma pod wodą najmniejszych problemów. Zupełnie jakby nie musiała oddychać! pomyślała Hillard, młócąc szaleńczo wodę; a szum pod jej czaszką brzmiał niczym rozpaczliwy krzyk: Powietrza! Powietrza! Chcę powietrza!

Hillard zorientowała się, że Purvis i Distephano nałykali się w panice wody, przerażeni sunącym za nimi i doganiającym ich potworem.

Ripley wciąż dawała znaki płynącym, przynagłując ich. Hillard uświadomiła sobie, że wszyscy sporo ich wyprzedzili, a ona z każdą chwilą coraz bardziej zostawała w tyle.

Nie uda mi się! Muszę odetchnąć! To coś mnie dopadnie! Starła się o tym nie myśleć, a całą swoją energię wkładała w młócenie wody, płynięcie, przyspieszanie tempa. Popełniła błąd, oglądając się za siebie.

Stwór był tak blisko! Jeszcze dwie długości ramion i ją pochwyci. Obcy wyszczerzył zęby, a Hillard odniosła wrażenie, że docierające do tego koszmarnego podwodnego świata słabe światło odbiło się w jego stalowych kłach z siłą gigantycznego reflektora. Zauważyła, że ogon smagał wodę znacznie szybciej.

Ogarnęła ją panika i nagle jej usta wypełniły się wodą. Nie! Spróbowała płynąć jeszcze szybciej.

Nagle silne, nieludzkie palce chwyciły ją za kostkę. Krzyknęła odruchowo, wypuszczając z płuc resztkę powietrza, a potem głęboko nabrała tchu, rozpaczliwie łaknąc powietrza, dzięki któremu mogłaby zacząć wzywać pomocy Ale do jej gardła zamiast powietrza wpłynęła woda. Wielkie, silne łapy chwyciły ją za nogi, ujęły w pasie, ścisnęły tors, zamykając w zabójczym uchwycie. Szamotała się, miotła i kopała bez powodzenia, patrząc, jak inni

oddalają się od niej i giną w mętnej wodzie, a potem odwróciła się, by stawić czoło swemu straszliwemu podwodnemu kochankowi.

Hillard zginęła! Nie ma jej! rozpaczła Call, przechodząc przez drzwi i widząc przywołujące ją światło szybu windy. Kogo jeszcze stracą przez tych skurwieli? Czy te stwory wyłapią ich jedno po drugim? A jeżeli ten statek faktycznie leci w kierunku Ziemi, czy było coś... cokolwiek... co mogliby uczynić?

Straciła nadzieję.

Wszystko po kolei. Najpierw wypłyn na powierzchnię. Potrzebujesz powietrza.

Kopnęła z całej siły obiema nogami, wystrzelając pionowo w górę, ku powierzchni wody. Zanim jednak wystawiła głowę ponad mroczną taflę, uderzyła ciemieniem w coś twardego, elastycznego i przezroczystego.

Co...? Napała na owo coś, poczuła, jak się ugina, ale nie zdołała

pokonać tej dziwnej przeszkody Od powietrza dzielił ją dystans zaledwie sześciu cali. To musiało być coś, co rozpięli Obcy... jakiś rodzaj przezroczystej sieci. Ale po co? Call, coraz bardziej łaknąc powietrza, napała na przezroczystą zaporę.

Tuż obok niej pojawili się pozostali; oni również zaczęli walczyć z pajęczyną, próbując ją rozerwać. Kilkoro z nich przywarło do pajęczyny resztkami sił.

Call spojrzała w górę, ponad powierzchnię wody. Jakieś dwadzieścia metrów wyżej znajdowała się winda, jej dno lśniło niczym lustro. I wtedy Call zobaczyła ich odbicia na błyszczącej tafli dna kabiny Tam, gdzie kończyła się woda, rozsiadły się rzędem jaja Obcych. Call nie myślała o tym, co czeka ich po wyjściu z wody, wiedziała tylko, że wszyscy umrą, jeżeli wkrótce nie zaczerpną powietrza. Wysunęła na wpół stopiony sztylet, który wciąż miała ukryty w rękawie. Klinga, choć skrócona, wciąż była ostra jak brzytwa. Call dźgnęła ostrzem pajęczynę i przebiwszy ją na wylot, zaczęła wycinać otwór, powiększając go

z trudem centymetr po centymetrze.

Johner i Christie wsunęli swe wielkie dłonie do powstałego otworu i usiłowali poszerzyć go jeszcze bardziej, ale z mizernym skutkiem.

Kątem oka dostrzegła, jak Distephano traci przytomność i wiotczeje w wodzie. A gdzieś z tyłu za nimi czaił się drugi stwór...

Nagle Ripley rozepchnęła ich na boki. Chwyając obiema dłońmi pajęczynę, szarpnęła i rozerwała ją z głośnym trzaskiem. Cała grupa po chwili znalazła się na powierzchni wody, otwierając szeroko usta, dysząc, krztusząc się i łykając potężne hausty upragnionego, cudownego powietrza. Ripley unosiła się na wodzie tuż przy niej i również oddychała głęboko, a Call z prawdziwym zadowoleniem przyjęła tę drobną oznakę prozaicznie ludzkich potrzeb.

Odzyskawszy ostrość widzenia, Call powiodła spojrzeniem w górę szybu. Jej oczy rozszerzyły się, gdy jedno z jaj otworzyło się powoli z wilgotnym, ohydny mlaśnięciem. A potem nastąpiła eksplozja ruchu i z wnętrza skórzastej osłony wyprysnął wielonogi, groteskowy kształt. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, czy choćby usunąć mu się z drogi, stwór z odrażającym plaśnięciem wylądował na twarzy Ripley. Purvis wrzasnął ochryple, kiedy Ripley zniknęła pod wodą. Call spróbowała popłynąć za nią, lecz już wkrótce straciła ją z oczu w panującym pod powierzchnią półmroku. Kiedy ostatni raz widziała Ripley, ta szamotała się z potworem, który przywarł jej do twarzy.

- Kurwa mać - syknął Johner patrząc w górę, na windę. W lustrzanym dnie kabiny widzieli wyraźnie, jak kolejne jaja otwierają się przy wtórze identycznych, mlaszczących odgłosów, a z mięsistego wnętrza wypływają pająkopodobne istoty.

- To pułapka! - zawołał Johner. - Zastawiły jeszcze jedną cholerną pułapkę! Zanurzać się, wszyscy! Pod wodę! Pod wodę!

I znikł pod powierzchnią.

Wszyscy bez namysłu zrobili to samo.

Co ma wisieć... pomyślała Call i nagle zrozumiała, na czym polegała diabelska przebiegłość tych istot. Albo pokonamy pajęczynę i wydostaniemy się na powierzchnię, by otwarłszy szeroko usta chwytać gorączkowo powietrze, albo potopimy się, a wtedy one pozbierają nas jak śnięte ryby. Tak czy inaczej dostaną nas.

Znalazłszy się ponownie pod wodą, grupka zaczęła desperacko rozglądać się dokoła, nie wiedzieli bowiem, w którą stronę powinni płynąć. Call już nie widziała Ripley, ale w oddali dostrzegła zbliżającego się Obcego, potwora, który zabił Hillard. Na ich widok stwór natychmiast przyspieszył.

Christie zauważył go również. A potem spojrział w górę, na kabinę windy i odbicie otwartych, czekających na nich jaj. Christie ścisnął w dłoniach granatnik. Wszystko rozegrało się w ciszy, nie było metalowego szczęku przeładowywanej broni, a jedynie daleki, stłumiony szum wzburzonej wody Christie ustawił właściwy zasięg, wycelował w górę i wymierzył w odbicie jaj. Ściągnął spust.

Granat wyprysnął z wody, odbił się rykoszetem od rury pod sufitem i z głośnym młaśnięciem spadł na jedno z jaj. Rozległ się cichy trzask, a potem huk eksplozji, która zakłócała masą wody.

Christie tymczasem wypalił ponownie i jeszcze raz, i jeszcze.

Jeden po drugim zabójcze granaty niszczyły czekające jaja, rozbryzgując dokoła pająkowate stwory i strzępki jaj. Wreszcie Christie dał im znak, że jest już bezpiecznie i mogą ponownie wypłynąć na powierzchnię.

Call wciąż widziała płynącego w ich kierunku Obcego. Wydawał się coś obserwować, ale co? I gdzie była Ripley?

Call stwierdziła, że nie zniosłaby myśli o utracie Ripley, zwłaszcza zaś perspektywy, że do jej śmierci mógł przyczynić się jeden z tych twarzościsków. Kiedy wynurzyła się i pomogła Johnerowi z Christiem wyciągnąć z sadzawki nieprzytomnego Distephano, odruchowo zawołała Ripley, ale Vriess natychmiast ją uciszył.

Przygryzła wargę i rozwścieczona skupiła się na wyduszaniu wody z płuc Distephano.

Oczy zaczęły zachodzić jej mgłą.

- Pospieszcie się - rzucił ostro Christie. -- Ten stwór zaraz się tu zjawi. Musimy wspiąć się na górę.

Call popatrzyła w górę szybu i ujrzała drabinkę biegnącą wzdłuż ściany, obok kabiny windy i dalej, aż na najwyższy poziom statku. Przeniosła wzrok za Distephano, który odzyskawszy przytomność zaczął krztusić się i kaszleć, i spojrzała na tafłę wody

Vriess, wciąż przypięty do pleców Christie'ego, dotknął jej ramienia. Spojrzała na niego, a na jej twarzy ukazała się cała gama odczuć, jakie żywiła wobec kobiety-klona.

- W porządku, Call - rzekł półgłosem: - Wystarczy. Żołnierz jest przytomny. Musimy iść.

Skinęła głową i spojrzawszy raz jeszcze za siebie, podążyła ich śladem.

Ripley szarpnęła potworka, który przywarł do jej twarzy i usiłował włożyć do ust rurkę implantacyjną. Stwór nie zdołał pokonać bariery zaciśniętych zębów, ale to nie powstrzymało jego wysiłków. Ta istota miała w życiu tylko jedno zadanie, jeden cel i nawet gdy Ripley pourywała jej wszystkie odnóża, rozpaczliwie usiłowała dopiąć swego.

Walcząc ze wszystkich sił, poczuła, że osiada na dnie sadzawki podczas walki z twarzościskiem. Ten co prawda nie miał już nóg, ale ogonem wciąż mocno opasywał szyję

Ripley

Zacisnąwszy zęby na włóknistym, karbowanym ogonie, wgryzła się weń i oderwała, tracąc przy tym płat skóry ze swojej szyi. Gdy oderwała już istotę od twarzy, w przyływie

niekontrolowanej wściekłości rozniosła kadłubek na strzępy. Kiedy przekonała samą siebie, że mały potworek jest z całą pewnością martwy, uniosła wzrok i stwierdziła, że Obcy, który ścigał ich pod wodą, ruszył właśnie ku niej, z wściekłością dorównującą jej furii.

Bez chwili zwłoki potężnym wybiciem nóg odbiła się od dna sadzawki i popłynęła tak szybko, jak tylko była w stanie. Kiedy się wynurzyła, silne dłonie schwyły ją bezceremonialnie i wywlokły na brzeg. Ripley sapnęła, nabrała tchu i ujrzała przed sobą zdumioną, pokrytą bliznami, szpetną twarz Johnera.

- Jest tuż za mną! - wykrztusiła. Popchnął ją w stronę drabinki.

- To zacznij się ruszać!

Odwróciła się, ujrzała wylaniające się monstrum i pędem pognała ku drabince. Żelazne szczeble miały kolisty kształt i przymocowane były do pionowego wspornika. Ripley i Johner zaczęli szybko pięć się w górę, by dołączyć do pozostałych.

Oglądając się za siebie stwierdziła, że Obcy na powrót zniknął pod wodą. W tej sytuacji to odrobinę poprawiło jej humor. Przyspieszyła. Zastanawiała się, co ją tak gnało i nagle zrozumiała, że chciała po prostu powiedzieć Call, iż nic jej nie jest.

Call nie zdziwiła się, że to Wren pierwszy dotarł do półki przy poziomym, wąskim tunelu. Distephano powiedział im, na który poziom muszą się dostać, a Wren zrobił wszystko, by znaleźć się tam pierwszy

Wtedy nie miało to dla Call żadnego znaczenia. Wszyscy jak najszybciej chcieli znaleźć się możliwie daleko od Obcego. Jeżeli wiedział, jak otwiera się tamte drzwi, to tym lepiej.

Wren balansował na wąskiej platformie obok stalowych drzwi i po chwili obok niego znalazła się Call. Naukowiec, spoglądając na kolejnych wspinających się, wstukiwiał popiesznie cyfry kodu na niewielkiej klawiaturze wmontowanej w ścianę nieopodal.

- Szybko! - ponagliła Call, nie wiedząc, czy Obcy również zaczął pięć się za nimi po

drabince.

- Zacięły się! - krzyknął Wren. W przypływie frustracji walnął w klawiaturę pięścią. -

Cholera! Daj mi broń! Wyciągnął do niej rękę nawet nie patrząc w jej stronę, jak chirurg do instrumentariuszki, który wierzy, że otrzyma właściwe narzędzie.

Call znowu spojrzała w dół, żalując, że nie jest w stanie zobaczyć więcej i automatycznie podała mu mały, otrzymany od Vriessa pistolecik. Nawet nie pomyślała, co uczyniła, aż do chwili kiedy uniósłszy wzrok zobaczyła wymierzoną w siebie lufę niewielkiej broni.

Jak mogłam być tak głupia? pomyślała z wyrzutem. Była zbyt poruszona zniknięciem Ripley i zagrożeniem w postaci zbliżającego się Obcego.

Wren uśmiechnął się ze złośliwym zadowoleniem, wymierzył i wypalił z przyłożenia.

Call dostała kulę prosto w pierś i odruchowo przykładając dłonie do rany, zaszokowana spojrziała na naukowca. Całe jej ciało ogarnęło odrętwienie, mózg przestał pracować, a wszystkie organy w jej wnętrzu rozpaczliwie walczyły o życie. Kiedy zaczęła tracić świadomość, zakoleysała się, przechyliła i runęła jak kamień w dół szybu windy.

Jak przez sen słyszała wrzask Vriessa: „Nieeee! kiedy spadając mijala jego, Christie'ego, Johnera, Ripley..

Ripley? Ripley? Ty żyjesz? Udało ci się? A potem plasnęła twardo w wodę i poszła na dno, by przepłynąć obok czyhającego monstrum, które co prawda patrzyło, jak je mijala, ale na jej widok nawet nie drgnęło.

Ostatnią świadomą myślą Call było: Ripley przeżyła. Udało się jej.

Ripley patrzyła, jak Call przelatuje obok niej i ogarnął ją szok tak dojmujący, że sparaliżował ją od stóp do głów.

Zdumiała się. Patrzyła, jak ciało Call uderza w wodę i zanurza się, jak idzie na dno i jak przepływa obok cienia Obcego, wciąż widocznego tuż pod powierzchnią sadzawki.

I wtedy w jej umyśle coś się obudziło. Coś... jakby wspomnienie.

Mała jasnowłosa dziewczynka, która brnie przez sięgającą do pasa wodę i woła ją po nazwisku. „Ripley! Ripley!” I ona sama biegnąca, by ocalić dziewczynkę, w wyścigu z czasem i potworami! „Już idę! Trzymaj się! Idę po ciebie!”

Ale gdy tam dotarła, kiedy zeszła do wody, małej nie było. Nie było nic, tylko głowa plastikowej laleczki tonąca w wodzie tak, jak teraz tonęła Call. Rozpłakała się wtedy i krzyczała: „Muszę ją ocalić. One jej nie zabiją! Musisz zrozumieć: one jej nie zabiją!...”

Przypomniała sobie, jak płakała, przypomniała sobie uczucia tak silne, że aż rozdzierające, uczucia jak te, które owładnęły nią w laboratorium na widok sióstr.

Patrzyła na znikające ciało Call, przypominała sobie plastikową główkę lalki znikająca wśród fal.

Ripley uniosła wzrok. Spojrzała na Wrena. Na Wrena, który ją stworzył dla swoich własnych celów. Na Wrena, który zabił Call z zimną krwią. Bardziej bezwzględnie niż Obcy. W jego żyłach nie płynęła krew ani kwas, lecz lód. Naukowiec ponownie wstukował kod za pomocą klawiatury przy drzwiach.

Ripley przestała analizować swe uczucia i zaczęła się wspinać coraz szybciej i szybciej mijając Johnera, Purvisa, Distephano, Christie’ego i Vriessa.

- Wren ! Ty draniu. Ty skurwysynu ! – rozwrzeszczał się histerycznie Vriess.

Oszalały z wściekłości kaleka przeładował broń i zaczął strzelać do naukowca, lecz wisząc Christie’emu na plecach nie mógł dobrze wycelować. Kule rykoszetowały obok doktora. Nagle otworzyły się drzwi a naukowiec natychmiast znalazł się za nimi. W tej samej chwili Ripley dotarła do szczytu drabinki.

Rzuciła się w stronę drzwi, lecz te zamknęły jej się przed nosem. Wsunęła dłonie pomiędzy panele, na ułamek sekundy zanim zdążyły się połączyć i usiłowała rozsunąć je na

siłę, ale koniec końców musiała cofnąć palce. Drzwi zatrzasnęły się głucho. Ripley zawyła, wydając ten sam pełen gniewu skowyt, jak nad ciałem zabitego Obcego.

Rozpaczliwie załomotała do drzwi pięściami.

W głębi duszy pytała samą siebie, czy nie byłoby lepiej gdyby była taka jak kiedyś, zanim odnalazła w sobie wszystkie te uczucia.

- Vriess – ryknął Christie do kaleki, którego dźwigał na grzbiecie. – Vriess ! Przestań strzelać, stary ! Jeszcze trafisz kogoś z naszych ! Przestań !

Jakimś cudem słowa te dotarły do kaleki. Vriess przestał strzelać. Kompletnie załamany odsunął się ciężko na Christie'ego.

- Cholera Christie – wykrztusił – ten skurwiel zabił Annalee, Małą Annalee ...

- Tak, stary – rzekł Christie, czując że coś go ściska w gardle.

- To była wojowniczką. Diabeł nie kobieta. Przykro mi. Stary.

Vriess drżał, przywierając do jego szerokich pleców, a Christie miał nadzieję, że tamten nie płacze.

Gdyby Vriess się teraz załamał, Christie obawiał się, że po tym wszystkim przysłaby kolej na niego, a do tego nie mógł dopuścić. Nie kiedy od niego zależał los ich obu.

- Cholera, Christie – Vriess zeszywniał nagle – Ruszaj się. Jazda ! Jazda ! Jazda !

Olbrzym spuścił wzrok i ujrzał Obcego który wypłynął z sadzawki i zaczął jak małpa piąć się po drabince. Jak pieprzona małpa! Do licha, ależ ten stwór się poruszał!

Christie wrzucił wyższy bieg, mimo obciążenia pokonując jak burza kolejne szczeble drabinki.

- Zrób coś, dobra ? – warknął do Vriessa.

Poczuł, że Vriess zmienia położenie, aby przygotować się do strzału i zaczyna mocować się z bronią.

- Zacięła mi się spluwa, niech to szlag !!

Christie, trzymając się szczebla jedną ręką, próbował sam zestrzelić potwora, ale z Vriessem na plecach nie był w stanie skierować broni pod właściwym kątem. Kule przelatowały nad głową Obcego, nie czyniąc mu najmniejszej szkody i rykoszetując od sąsiedniej ściany.

Obcy pokonał już kilka szczebli i nagle się zatrzymał.

Christie spojrzał na niego i ujrzał, jak monstrum rozdziawia błyszczące srebrzyście szczęki, a potem, niczym monstrualna kobra, spluwa w ich stronę jadovitą plwociną.

Obcy wymierzył idealnie - żrąca plwocina trafiła Christie'ego dokładnie w prawe oko.

Szok, zaskoczenie i palący żywym ogniem ból były tak nagłe i dojmujące, że Christie krzyknął przeraźliwie i odpadł od drabinki. Dwaj mężczyźni runęli w dół, gdzie czekała na nich mordercza istota, a Christie spadając mógł tylko wyc z bólu i rozdrapywać palcami rozpuszczaną kwasem twarz.

Zatrzymali się gwałtownie, co sprawiło, że Christie musiał skoncentrować się na czymś jeszcze oprócz rozdzierającego bólu. Jakimś cudem, kiedy spadali, Vriess zdołał uchwycić się drabinki. Górna część ciała kaleki była niewiarygodnie silna, o wiele silniejsza niż można by sądzić po jego niezbyt imponującej posturze, ale czy jego mięśnie i ścięgna zdołają utrzymać ich obu?

Usiłując skupić się na kwestii ich przetrwania, zamiast na kwasie wyżerającym mu skórę, tkanki i gałkę oczną, Christie uświadomił sobie, jak wielkim stał się dla Vriessa ciężarem. To była prawdziwa klęska.

Vriess zdołał uchwycić się szczebla drugą ręką, ale Christie zdrowym okiem widział, że ich stopy zwieszały się nader kusząco tuż ponad wydłużonym, płaskim łbem potwora. Stękając z wysiłku, Vriess zaczął podciągać ich w górę i w tej samej chwili łapa Obcego zacisnęła

się jak szczęki imadła na kostce Christie'ego. Olbrzym jęknął, przepełniony odrazą, jaką wywołał w nim ten straszny dotyk i wszystko, co się z nim kojarzyło.

Pomyślał o Elgynie. I Hillard.

Obcy szarpnął, z siłą pięciu, a może nawet dziesięciu ludzi. Christie usłyszał jęk Vriessa, poczuł, że kaleka daje z siebie wszystko, żeby tylko nie puścić metalowego szczebla drabinki.

Christie wspomniął nagle Kawlang...

...Ujrzał siebie, jak pochyła się nad Vriessem w jakimś upiornym, bagnistym miejscu i dostrzeżę odłamki szrapnela wystające z jego pleców na wysokości kręgosłupa. Przypomniął sobie, jak Vriess szlochał i krzychał: „Wynoś się stąd! Zostaw mnie! Wszyscy zginiecie, jeżeli mnie nie zostawicie!” A wtedy Elgyn warknął: „Vriess, zamkniesz się w końcu?” i skinął głową na Christie'ego. Przypomniął sobie, jak Hillard przypięła mu rannego na plecach, podczas gdy Johner przez cały czas sarkał. „Jeżeli tu wszyscy zdechniemy, ty draniu”, zapewnił, „będę cię nawiedzał jako duch i nigdy nie zaznasz spokoju!”

Niemal im się wtedy udało. Wpadli w zasadzkę, w ostatniej fazie odwrotu, i to wtedy Johner zarobił tę bliznę, szpecącą do dzisiaj jego twarz. Winił Vriessa za to, że ów „pozbawił go urody” i od tej pory stosunki między tymi dwoma zawsze były napięte.

Teraz Christie przypomniął sobie tylko, jak wyniósł Vriessa z tego piekła, jak czuł na grzbiecie jego martwy ciężar i powtarzał raz po raz, bez końca: „Tylko mi tu nie umrzyj, stary! Musisz pilnować moich pleców, partnerze. Pilnuj ich, stary! Pilnuj moich tyłów.”

To zabawne, że ludzki umysł jest w stanie pracować w takim tempie, kiedy nie ma ani chwili do stracenia.

Obcy szarpnął raz jeszcze, niemal od niechcienia, a Christie mógłby wręcz przysiąc, że bestia się uśmiechała, igrała z nimi. Vriess sapnął i stęknął, z całych sił trzymając się oburącz drabinki.

Teraz ty niesiesz mnie na plecach, pomyślał Christie, teraz moja kolej, aby pilnować twoich tyłów. Tylko że teraz, kolego, chyba nie mamy już możliwości wyboru. I wiesz co, stary, nigdy jeszcze mnie tak cholernie nie bolało. Nigdy nie było tak źle jak teraz. Ten ból...

Obcy pociągnął po raz trzeci, a Vriess jęknął. Christie poczuł, że jego partner zaczyna się ześlizgiwać, zupełnie jakby to jego dłonie zaciskały się na metalowym szczeblu.

Johner nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy ujrzał, jak Vriess spadając złapał się drabinki. To było zdumiewające, ale najwyraźniej kalece i Christie'emu przestało dopisywać szczęście. Widział, jak Obcy ściąga ich w dół, bawi się nimi.

Johner dostrzegł wyraz udręki na twarzy Vriessa, który wiedział, że od niego zależy nie tylko jego własne życie, ale i życie jego starego przyjaciela.

Bez chwili namysłu Johner energicznie rozłożył ręce i w jego dłoniach natychmiast pojawiły się pistolety. Zahaczając kolanami o metalowy szczebel, zawisł głową w dół jak akrobata, przywarł plecami do drabinki i opuścił obie ręce za głowę. Mierząc w wielki czarny łeb widoczny poniżej dwójki jego kolegów, ściągnął spusty obu pistoletów.

Kule pomknęły w dół, minęły dwóch szamoczących się mężczyzn i z impetem wryły się w masywny, podłużny łeb. Przez chwilę nie działo się nic...

I nagle bestia eksplodowała z głuchym „ba-bach!” rozbryzgując wokół krew i strzępy tkanek. Kilka z nich trafiło w drabinkę, i w tych miejscach metal natychmiast zaczął się topić przy wtórze głośnego skwierczenia, ale Vriess i Christie najwyraźniej przy tym nie ucierpieli.

- Dostałem cię, draniu! - zawołał Johner, po czym podciągnął się w górę, by podjąć przerwana wspinaczkę.

Ale gdy tylko powrócił do pozycji pionowej, znalazł się twarzą w twarz z czymś potwornym, co przywierało do drabinki. Jego twarz wykrzywił grymas strachu i odrazy, i o mało nie odpadł od drabinki, kiedy odkrył, że dwa szczeble pokrywa gruba lepka pajęczyna,

wewnątrz której siedzi ohydny, wielki, pająkowaty... stwór.

Z panicznym piskliwym wrzaskiem Johner uniósł pistolet i rozwalił przekłętego robala w drobny mak. Dopiero po chwili, kiedy uświadomił sobie, co przed chwilą uczynił, jak bardzo spanikował na widok małego pajęczka, przywarł z całej siły do wspornika, a jego ciałem wstrząsnęły silne dreszcze.

- Czy to nie żyje? - wysapał Vriess, wciąż przywierając do drabinki.

- O tak - zachrypiał Christie, który z bólu prawie nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. - Jest martwe na amen.

Ból był wszechogarniający, ale mimo to Christie czuł przez cały czas martwy ciężar monstrum zwieszającego się z jego kostki. Nie był w stanie uwolnić się od niego. Potwór, nawet martwy, nie rozluźnił uścisku wokół jego nogi. Vriess poczuł, że się ześlizguje. Zapas alternatyw wyczerpał się. Nie mieli już wyboru.

Vriess musiał spojrzeć w dół, zrozumiał, co zaszło. Mamrotał pod nosem: „O cholera, cholera, cholera, cholera...”

Święta racja, stary, pomyślał Christie na wpół przytomny z bólu. Poczował, że palce Vriessa ześlizgują się coraz bardziej. Nie mieli wyboru.

Inni, znajdujący się powyżej, musieli się zastanawiać, co się dzieje. Usłyszał płynące z oddali przekleństwa Distephano i wołania Ripley. Może ktoś zaczął schodzić, aby im pomóc, ale i tak pewno by nie zdążyli. Obaj nie mieli szans. Tamci nie zdołają zdążyć na czas.

Christie wiedział, co musi zrobić.

Sięgnął do kieszeni po scyzoryk.

Z góry dobyło się ochryple, rozkazujące wołanie Ripley.

- Christie, nie! Do cholery, nie rób tego!

Coś takiego! pomyślał ranny mężczyzna, wsuwając ostrze noża pod pasy upręży

łączącej go z Vriessem. Nawet nie sądziłem, że ona wie, jak się nazywam.

Vriess zrozumiał nagle, co zamierza uczynić jego przyjaciel.

- Co ty... stary... co ty, kurwa, kombinujesz? Christie! Nie! Nieeeee!

Nie drzyj się, stary. Oszczędzaj siły! pomyślał Christie z rozdrażnieniem. Był do tego stopnia osłabiony bólem i nie słabnącym naporem ciągnącego go w dół martwego cielska Obcego, że ledwie zdołał przeciąć pasy, którymi do jego pleców przytroczony był Vriess. Po prostu musiał to zrobić. W przeciwnym razie zginęliby obaj. Zamknął oczy i zmusił się do jeszcze jednego wysiłku.

Usłyszał, jak przyjaciele znajdujący się powyżej wykrzykują głośno jego nazwisko i poczuł, że pasy upręży poddają się jeden po drugim. Christie i Obcy runęli w dół szybu windy, objając się z głośnym łomotem o metalowe legary i krawędź sadzawki, zanim wreszcie obaj, na zawsze już połączeni, ześlizgnęli się pod wodę i zniknęli.

Kiedy znikł potworny połączony ciężar jego przyjaciela i potwora, Vriess resztką sił uchwycił się metalowego szczebla drabinki.

Christie umarł, aby go ocalić; nie mógł teraz przynieść ujmy przyjacielowi i poddać się.

Ale czy mógł iść dalej? Czy mógł dalej żyć? Elgyn. Hillard. Call... A teraz Christie?

Tyle że Christie umarł, by ocalić j e g o. Vriess musiał więc żyć. Musiał żyć, bo jego życie było hołdem złożonym poświęceniu przyjaciela.

Szczebel po szczeblu Vriess zaczął piąć się w górę. Wspinał się z mozołem, popychany płynącą z głębi duszy niezłomną siłą woli i łkał przez całą drogę, aż na sam szczyt.

11.

Ripley stała na wąskim podeście wewnątrz szybu i zastanawiała się, co można zrobić w obecnej sytuacji. Ofiara Christie'ego, która nastąpiła tak szybko po śmierci Call, mocno nią wstrząsnęła. Nie miała jednak czasu, żeby czuć tęsknotę, smutek, żal czy choćby przyznać się

do posiadania takich uczuć. Wyczuwała, że kolejny wojownik jest już w drodze, by zająć miejsce tego, którego zabił Johner. Zaczęła manipulować przy klawiaturze ze zdwojoną energią, usiłując otworzyć drzwi. Czy Wren w jakiś sposób uszkodził przejście?

Myśl o Wrenie, mimo że ulotna, podsyciała jej gniew. Bez wątpienia naukowiec był już w drodze na *Betty* i planował ucieczkę, pozostawiając ich wszystkich na łasce lub raczej na niełasce Obcych.

Distephano i Purvis obserwowali ją, oczekując jakichś decyzji. Westchnęła sfrustrowana, zastanawiając się, dlaczego to ona miałaby podejmować decyzje czy też udzielać jakichkolwiek odpowiedzi. I nagle zaczęła zastanawiać się, dlaczego w ogóle przejmowała się tym, co myśleli inni.

Kropkę, która przepełniła czarę, dolał Johner, stając na platformie i bezceremonialnie zwracając się do Ripley z zapytaniem: „I co teraz?” To ją dobiło.

Tylko nie on! Tego jeszcze brakowało!

Zanim zdążyła odpowiedzieć, że drzwi są zamknięte na głucho, a jej zabrakło pomysłów, od strony wejścia dobiegło głośne buczenie. Zaskoczona Ripley o mało nie straciła równowagi. Odwróciła się i stwierdziła, że klawiatura błyska, emitując jakiś przerywany sygnał i równocześnie nad zamkniętymi drzwiami szybu windy zaczęły mrugać lampki.

Wszyscy zamarli, po czym jednocześnie unieśli broń, mierząc w kierunku drzwi. Cały zespół wstrzymał oddech.

Czyżby Wren rozmyślił się i wrócił po nas? zastanawiała się Ripley, po czym uznała, że to raczej mało prawdopodobne. Zwłaszcza że w grę wchodziła jeszcze inna, bardziej realna ewentualność. Obcy nauczyli się otwierać drzwi, dokonali czegoś, czego ja nie potrafię.

Bezbronna, zastygła w bezruchu na wąskiej półce, przywierając do ściany i oczekując najgorszego. Cóż innego mogło wchodzić w grę?

W końcu drzwi otworzyły się ze świstem, a Ripley wybałuszyła oczy z niedowierzaniem.

Podobnie jak wszyscy inni.

Call? Nie, to niemożliwe...

Niska kobieta była przemoczona od stóp do głów, ociekała wodą, ale poza tym wyglądała kwitnąco. Nawet nie była zdyszana.

Spojrzała na nich, przycupniętych wewnątrz szybu, gapiących się na nią jak na zjawisko, i rzuciła oschle.

- Tędy

Ale nikt się nie poruszył. Wszyscy byli zbyt oszołomieni, nie pojmowali, co się stało.

Stali jak wrośnięci w ziemię, przez cały czas trzymając ją na muszkach swoich karabinów.

- Ruszcie się! - ponagliła, usiłując nakłonić ich do działania.

W końcu zareagowali jak grupa i jedno po drugim wyszli z szybu. Znaleźli się w korytarzu stacji.

Vriess dopiero teraz dotarł do szczytu drabinki. Purvis i Distephano chwycili go pod pachy i wynieśli na zewnątrz.

Vriess usiadł ciężko w korytarzu obok pozostałych, którzy przysiedli, przykucnęli lub oparli się o ścianę, aby choć przez chwilę odpocząć i odzyskać oddech.

Vriess spojrzał na Call z pełnym oszołomienia zdumieniem.

- Hej, maleńka, jak się cieszę, że cię widzę! Byłem pewien, że ten dupek cię dostał.

Jesteś ranna? - Wyciągnął do niej rękę i odczekał, aż ją przyjmie.

Ale ona odwróciła się do nich plecami, mamrocząc:

- Nic mi nie jest.

Ripley po kolei zmierzyła ich wzrokiem i w spojrzeniach każdego z nich, nawet Vriessa, dostrzegła to samo pytanie. Distephano zapytał półgłosem:

- Masz na sobie pancerz?

- Taa - rzuciła obojętnie Call. - Ruszajmy. Ripley jednak nie dała się przekonać. Widziała Call na dnie szybu. Dziewczyna miała rozpiętą kamizelkę. Jej cienki wilgotny podkoszulek przylegał do ciała i widać było wystające żebra; na pewno nie miała na sobie pancerza.

Podeszła do Call.

- Dostałaś prosto w pierś - rzekła półgłosem. - Widziałam.

Call rzuciła jej zuchwałe spojrzenie.

- Nic mi nie jest.

Ripley spojrzała przenikliwym wzrokiem w jej ciemne, gorejące oczy, szukając w nich prawdy, odpowiedzi. Call nie była w stanie wytrzymać tej próby sił. Podbródek zadrgał jej leciutko i nagle zupełnie się załamała. Po chwili płakała jak dziecko.

Jej łzy poruszyły w Ripley jakąś czułą strunę. Mimo to delikatnie rozpięła i rozchyliła poły kamizelki Call.

Dziewczyna rzeczywiście dostała postrzał w pierś, ale zamiast krwi, kości i płuc wielka, ziejąca, paskudna rana ukazywała chaotyczną gmatwaninę komponentów komputerowych, sztucznych organów, płytek pamięci i syntorganicznych rurek, kabli i przewodów.

- Robot - orzekła Ripley martwym głosem. Gdzieś w głębi jej umysłu pojawiło się wspomnienie. Wolę określenie „sztuczny człowiek”. Ze znużeniem zmrużyła powieki.

- Kurwa mać - wymamrotał Johner, nie kryjąc zdumienia. - Mała Annalee jest pełna niespodzianek.

Ripley opuściła ręce i mówiła teraz prawie do siebie.

- Powinnam była wiedzieć. Cały ten szajs o byciu l u d z k ą. Nikt nie pragnie tego tak bardzo jak Ponownie Narodzony.

Distephano podszedł bliżej i zaczął oglądać błękitno biały płyn, pełniący w ciele Call

rolę krwi. Płyn ten barwił jej ubranie i klatkę piersiową, ale Call najwyraźniej zatamowała jego upływ. Musiała. Bo przecież wciąż funkcjonowała.

- Sądziłem, że syntetyki miały być normalne, logiczne i w ogóle — rzucił Johner do całej grupy. - A przecież to kompletna świruska.

Ripley z trudem powstrzymała się od komentarza. Przygarnął kocioł garnkowi.

- Terrorystka? - rzucił nerwowo Purvis. - A więc zjawiałaś się tu, żeby nas bronić?

Ripley poszukiwała odpowiedzi w oczach i wyrazie twarzy Call, ale kobieta - robot - pozostawała beznamiętna.

- Jesteś z Drugiej Generacji, prawda? - Głos Vriessa wyraźnie się łamał.

Ripley przeszukiwała wspomnienia, lecz te słowa nic jej nie mówiły. Czyżby to określenie z czasu „po” niej i „przed” tym, co było teraz?

- Zostawcie mnie - burknęła ze znużeniem Call. Opanowała się i już nie płakała. Być może zapanowała nad łzami, ale nie nad głosem. Jej ścieżka dźwiękowa szwankowała, ujawniając skutki uszkodzenia. Wypowiadała słowa wolniej, z lekkim, mechanicznym pogłosem. To było dziwne.

- Call? - naciskał Vriess, oczekując odpowiedzi. Czuł, że na nią zasłużył.

- Tak - wyszeptała z rozgoryczeniem.

- Druga Generacja? - warknął rehotliwie Johner. - Kurwa, to sporo tłumaczy.

Ripley nie знаła tego określenia. O nic jednak nie pytała, tylko słuchała i czekała.

- Jesteś Autonomikiem, prawda? - dopytywał się Distephano. Nie potępiał jej, był tylko zadowolony. Z pewnością przypominał sobie, jak Call uratowała mu w mesie życie, gdy

Johner chciał go zastrzelić z zimną krwią.

Distephano musiał zauważyć zakłopotanie na twarzy Ripley i zorientował się, że nie rozumie, o czym mówią.

- To androidy zbudowane przez androidy. Posługujące się normami etycznymi i posiadające emocje. Miały ożywić przemysł syntetyków. Ale zamiast tego... pogrzebały go - wyjaśnił jej.

Ripley przesunęła wzrok na Call. Pomyślała o Bishopie. A potem o Ashu. I teraz zrozumiała.

- Były zbyt dobre. Distephano skinął głową.

- Nie lubiły, gdy mówiono im, co mają robić. Rząd nakazał ich wycofanie. - Zniżył głos.

- To była pieprzona masakra. Słyszałem, że niektóre z nich ocalały, ale kurde, nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek któregoś spotkam.

Ripley obserwowała Vriessa kątem oka. Wydawał się rozczarowany i zasmucony, nieomal przybity, jak ktoś, kto stracił dokładnie wszystko.

Purvis, zdenerwowany, wodził wzrokiem po ich twarzach.

- Świetnie. Po prostu świetnie. To chodzący i gadający toster. Czy moglibyśmy wreszcie się stąd wynieść?. Bezceremonialna uwaga była jak policzek, który pomógł wszystkim otrząsnąć się z niedawnego szoku.

- Ile czasu do lądowania? - Johner zwrócił się do żołnierza.

- Niecałe dwie godziny - odrzekł Distephano.

- Mamy mało czasu - mruknął Johner. - Powinniśmy ruszać. Stacja weszła już na tor schodzenia.

Call odwróciła się od grupy, najwyraźniej po to, by zająć się naprawą niektórych poważniejszych uszkodzeń klatki piersiowej. Wszyscy mężczyźni zaczęli nagle mówić jeden przez drugiego, przeszkadzając sobie wzajemnie. Ripley znów stanęła w pewnym oddaleniu, obserwując ich i czując, jak ponownie zmienia się dynamika grupy. Tyle że teraz Call, podobnie jak ona, sama znalazła się poza grupą. Była od niej odcięta. Na zawsze.

Przypomniała sobie, jak Call w laboratorium klonów podała jej miotacz płomieni.

Zauważyła, że w toku dyskusji Vriess raz po raz spogląda na Call. Wydawał się zasmucony i rozczarowany. Usłyszała, jak powtarza z przejęciem" i odrazą: „Jezu... o Jezu..."

- Taa - mruknął Johner - weź klucz nasadowy. Może przydałoby się trochę ją naoliwić.

Nie do wiary, przecież o mało nie przeleciałem tego czegoś.

- Tak jakbyś nigdy nie przerznął robota. - Vriess spojrział na niego z pogardą.

Zespół rozpadał się, każdy z nich zaczął myśleć indywidualnie, nie byli już drużyną.

Ripley nie chciała przejmować przywództwa, ale nie miała innego wyjścia. Christie nie żył.

Postępując naprzód, zapytała:

- Gdzie właściwie jesteśmy, Distephano?

- Na górnym pokładzie - odparł. - W magazynach... Na górze jest kaplica i prawie nic więcej.

- Czy dotrzemy stąd do statku?

- To tylko kilka poziomów w dół - odparł w zamyśleniu. - Da się to zrobić. Johner okazał się defetystą.

- A jeżeli nasz dobry doktorek dotrze do *Betty* pierwszy?

- Cholera! - zaklął Vriess.

- Jest jakaś inna droga? Szybsza? - Ripley spojrzała na żołnierza.

- Hmm... tak. - Zamyślił się. - Przez ścianę. Będziemy musieli odblokować drzwi. To trochę potrwa. — Zwrócił się do Vriessa: - Masz narzędzia?

Wszyscy przypomnieli sobie pozostawiony wózek.

- Narzędzia, tak. - Vriess pokręcił głową. - Ale nie mam palnika.

- Trzeba po prostu wysadzić drzwi i tyle! - rzucił krótko Johner.

Distephano wskazał na sufit.

- Znajdujemy się na samym szczycie szybu. To zewnętrzny kadłub.

- A jeśli Wren dostanie się do komputera - zauważyła Ripley - może naprawdę popsuć nam szyki. I zrobi to. Bez wahania.

- Musimy odnaleźć terminal - oznajmił Johner.

- Na tym poziomie nie ma konsol - wyjaśnił Distephano. - Musimy wracać.

Wracać? Ripley spojrzała na niego.

- Nie ma mowy.

- Poza tym nie mam kodów dostępu Wrena. - Żołnierz westchnął, zmartwiony.

Jeszcze coś? Jakies inne złe wieści? Ripley odruchowo powiodła dłonią po włosach, zastanawiając się, usiłując znaleźć sposób, żeby...

Odwróciła się i spojrzała na Call, która stała z boku i gmerała sobie w brzuchu. Podeszła do androida.

- Call,

Android nawet na nią nie spojrzał, nic nie wskazywało, że ją usłyszał. W końcu Call nieco pewniejszym i dźwięczniejszym głosem oznajmiła:

- Nie. Nie mogę.

- Gówno prawda! - Johner poszedł za ciosem. - Ona musi mieć dostęp do tej cholерnej maszynki!

- Cholera - burknął Vriess. - Masz rację! Jesteś nowym modelem androida. Masz zdalny dostęp do systemu.

- Nie mogę. - Call powoli pokręciła głową, ale wciąż patrzyła w przeciwną stronę. -

Spaliłam ścieżkę modemową. Wszyscy tak zrobiliśmy.

Vriess pochylił się w jej stronę.

- Ale wciąż możesz to zrobić normalnie. Przecież wiesz. - Jego głos znów stał się miękki

i łagodny.

Ten ton najwyraźniej poruszył coś w Call, bo w końcu uniosła wzrok i przyjrzała im się po kolei. Na jej ekspresyjnym obliczu malowały się jakże ludzkie uczucia: pogarda, gniew i odraza. Wiedziała, że nie ma wyboru. To była niepisana umowa.

Ripley czuła się okropnie, zmuszona do postawienia jej w takiej sytuacji. Ale czy ktokolwiek z nas ma w tych okolicznościach jakiś wybór?

- Wejścia są w kaplicy - powiedział bezbarwnym głosem Distephano.

Ripley delikatnie położyła dłoń na ramieniu androida.

- Chodźmy - rzuciła ponagląco. Zorientowawszy się, że wzrok wszystkich spoczywa na nich obu, obejrzała się przez ramię.— Nie gapcie się tak - zwróciła się do reszty grupy. -

Bierzcie się za rozwalanie tej ściany.

Zabrali się do roboty z takim entuzjazmem, jakby podłoga paliła się im pod stopami.

Kiedy Ripley i Call weszły do małej kaplicy, Call zastanowiła się nad zmianą zaszłą w Ripley i nad ewentualnymi zmianami w niej samej.

Nawet po zniszczeniu laboratorium klonów Ripley wciąż zachowywała ostrożny, chłodny dystans, a przynajmniej Call tak to właśnie odbierała. Najwyraźniej jednak trudy, przez jakie wspólnie przeszli, płynąc przez zatopioną kuchnię, i wspinaczka w górę szybu windy, wywarły na niej spore wrażenie. Poruszyły ją. Może te doświadczenia wskrzesiły w końcu prawdziwą Ripley. Może ten klon kobiety, która tak zażarcie walczyła o unicestwienie Obcych, był teraz w pełni człowiekiem.

Odrodziła się w porę, by ponownie ocalić swój gatunek.

Ona przynajmniej ma kogo ratować, pomyślała z rozgoryczeniem Call, przypominając sobie raz po raz wyraz twarzy Vriessa, kiedy ujrzał jej ranę i zorientował się, czym naprawdę jest. Jakby mimochodem zastanawiała się, co pomyślałby o niej Christie, gdyby żył. Biedny

Vriess, utracił wszystko i wszystkich, na których mu kiedykolwiek zależało, nawet mnie. Już nigdy nie spojrzy na mnie tak jak kiedyś... Utrata jego względów znaczyła dla niej o wiele więcej, niż przypuszczała.

Och, Ripley, pomyślała, na pewno było ci lżej, kiedy niczym się nie przejmowałaś!

Chciałabym znaleźć w sobie te obwody i odłączyć je. Ale to było niemożliwe — posiadała głęboko zakodowany układ ludzkich reakcji emocjonalno-współczulnych.

Wielkie słowa, które tłumili prawdziwe, rozdzierające serce uczucia androida.

Ripley rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Była to typowa kaplica, skrzętnie wysprzątana i maleńka. Znajdował się tu ołtarz, szereg symboli religijnych, wymiennych, w zależności od wyznania osób przychodzących tu, by oddać cześć swemu Bogu — gwiazda Dawida, prosty, srebrny krzyż, zielony sztandar ozdobiony półksiężycem, jarzębinowa laska i - jak na ironię - biały gołębek pokoju. Na widok tego ostatniego symbolu, zwłaszcza tu, na pokładzie wojskowej stacji badawczej, której jedynym celem było stworzenie najbardziej morderczej broni biologicznej, jaką można sobie wyobrazić, o mało nie wybuchnęła śmiechem.

Brakuje tu tylko mikroprocesora, z którego wypływają boskie promienie, dla ludzi pokroju Wrena i Pereza, którzy czczą tylko naukę i technologię...

Za małym ołtarzem znajdowało się sztuczne witrażowe okno, przyśrubowane do ściany i oświetlone lampami. Ostatnią mszę musiano odprawić tu dla katolików, ponieważ pod oknem na ołtarzu stał srebrzysty krzyż. Call przeżegnała się bez namysłu.

Ripley zamrugła zdumiona.

- Zaprogramowali cię na to?

- Nie. - Call spiorunowała ją wzrokiem. - Nie zostałam tak zaprogramowana. Mam mózg, który działa samodzielnie. Zainteresowałam się tym tematem. Tak się składa, że

wierzę. Ale nie widzę sensu rozmowy z tobą na ten temat. Nie żyjesz zbyt długo, by odkryć filozofię, klonie.

Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Kimże jest, by traktować w ten sposób p r a w d z i w ą istotę ludzką, kogoś, kto posiada p r a w d z i w ą duszę? Kiedy zostanie w końcu wycofana, zgaśnie jak spalona żarówka. Nie miała co marzyć o przejściu do lepszego świata.

Call rozejrzała się wokoło i znalazła Biblię. Zdjęła ją z półki i uruchomiła elektroniczne urządzenie. Pod okładką z imitacji skóry znajdował się mały ekranik.

Widniał na nim napis PISMO ŚWIĘTE. WCIŚNIJ START.

Call nabożnie dotknęła ekranu, zastanawiając się ileż pocieszenia przyniosły jej słowa tej księgi, gdy powiedziano jej o tej misji i gdy nie bacząc na ryzyko postanowiła wziąć w niej udział.

- Choćbym kroczył doliną cienia, zła się nie ulęknę. Twój kij i twoja laska mą pociechą...

Pochyliwszy się, Ripley wyciągnęła drut z otworu w Biblii i pokazała ją Call.

- Nie każ mi tego robić - wyszeptała Call.

- Nie każ mi cię zmuszać - odparła Ripley. Obie mówiły teraz znużonym, pełnym szacunku głosem. Bądź co bądź znalazły się w kościele.

Call odważyła się spojrzeć klonowi w oczy. Widniejące w nich współczucie omal jej nie rozkleiło. Mimo to zaprotestowała.

- Nie chcę tam wchodzić. Mam flaki w rozsypce. To nie jest tak jak z normalnymi...

Chciałam powiedzieć, że od tak dawna udawałam człowieka i akceptowano mnie jako człowieka, że nie pamiętam już, jak to jest być Autonomikiem! A to będzie dla mnie przypomnieniem! Znów uczyni mnie maszyną! Nie wiem, czy potrafię temu sprostać.

Ripley schwyciła ją za nadgarstek, jej oblicze sposepniało, stało się zimne i przepełnione determinacją.

Call z niemałym zdumieniem stwierdziła, że klon faktycznie w końcu wygląda jak człowiek. Wyglądał teraz jak prawdziwa Ellen Ripley, która zginęła dwieście lat temu.

- Zrób to wreszcie - rzekła łagodnie Ripley. I dodała coś, co jak sądziła, powinno przekonać Call, dotrzeć do niej mimo uszkodzeń, mimo jej strachu. - Możesz wysadzić ten statek. Zniszczyć go, zanim dotrze na Ziemię. Zabić Obcych. Zabić ich wszystkich. - Tego właśnie potrzebowała Call, przypomnienia po co w ogóle się tu znalazła. Przypomnienia jej celu. Jej misji.

- Tylko daj nam czas na wydostanie się stąd - dorzuciła Ripley jakby po namyśle.

- Więc dlatego, że to byłeś ty - stwierdziła Call. — Dlatego zawsze udawało ci się przeżyć. Dlatego zawsze je pokonywałaś. Twoje skupienie. Determinacja. Uwarunkowania genetyczne? Środowiskowe? Wrodzona dzielność? Nieważne. Jesteś Ripley. To ty.

Call pokiwała głową. Odniosła wrażenie, że część siły i człowieczeństwa Ripley znalazła się teraz w niej. Podwinęła rękaw, odnalazła na przedramieniu znamię i uniosła je jak klapkę. Pod spodem znajdowały się dwa wejścia.

Podłączyła przewód podany jej przez Ripley i odczekała, aż automatyczne łącza rozpoczną swój taniec. Początkowo nic się nie wydarzyło. Czyżby Obcy zniszczyli Główny Komputer? Nie, to niemożliwe. Przekrzywiła głowę, nasłuchując, czekając, wyczuwając.

- Niech to licho - wyszeptała.

- Co się stało? - spytała Ripley zaniepokojona.

- Chwileczkę...

Kiedy to nastąpiło, odbyło się błyskawicznie.

W jednej chwili była Annalee Call, z wyglądu istotą ludzką, mimo że uszkodzoną, a w następnej *Auriga*. Potężną. Przemieszczającą się. Zdobywaną. A mimo to w dziwny sposób niezdolną do przejmowania się czymkolwiek. Wszystko było teraz dla niej równie obojętne,

jak byłoby dla rdzenia pamięci Annalee Call wyprodukowanego w fabryce androidów.

Chociaż Call miała wszczepione uczucia i normy etyczne, musiała zostać nauczona jak z nich korzystać, tak jak każdy noworodek. Statek się takimi sprawami się nie zajmował, miał swoje własne problemy i sposoby ich rozwiązywania. Wszystkie sprawy były czarne lub białe, szare po prostu nie istniały. Inwazja była tylko problemem do rozwiązania. Oczekującym na rozwiązanie. Ale statek już nad tym pracował.

Jako *Auriga* Call wszystko wiedziała, wszystko widziała i wszystko słyszała. Widziała siebie jako Annalee, siedzącą przy Ripley w kaplicy. Call wyglądała jak porzucona lalka, miała wytrzeszczone, niewidzące oczy i powiększone źrenice. Ripley wydawała się zmartwiona, zatroskana.

To w dziwny sposób ją poruszyło, widok tej kobiety, tego człowieka, który martwił się o nią. Oczywiście Ripley nie była tak naprawdę istotą ludzką... nie, jej matryce odegnały czym prędzej tę myśl. Ripley była w pełni istotą ludzką. Na dłuższą metę jej krew, paznokcie, zdolność do przebywania pod wodą i siła nic nie znaczyły. Ripley była człowiekiem. I martwiła się o Call. To poruszyło statek w nowy, zdumiewający sposób. Statek musiał się nad tym zastanowić.

Tymczasem przepatrywał sam siebie w poszukiwaniu informacji, pragnąc, domagając się pełni informacyjnej.

- Call? - rzekła cicho Ripley. - Co się dzieje? Statek odpowiedział natychmiast. Ripley nie знаła żadnych kodów dostępu, ale Call obeszła zabezpieczenia. Zaczęła przekazywać jej informacje o wszystkim, najszybciej jak tylko mogła.

- Wyłom w sektorze siódmym i trzecim. Sektor trzeci zagrożony. Silniki pracują na 86% mocy. Czterdzieści sześć minut do lądowania na Ziemi. - Było tego więcej, dużo więcej i statek zaczął mówić szybciej, starając się dostarczyć możliwie najwięcej informacji.

W końcu Ripley dotknęła ramienia Call i ciepło tego ludzkiego kontaktu wstrząsnęło statkiem, zmieniło go.

- Spokojnie, Call. Czy możesz teraz wrócić? Android zamrugał, oddzielając się od systemu statku i znów stał się Call, mocno zużyta, lekko uszkodzoną Autonomiczką, która zamrugała i odezwała się do Ripley.

- Zużyliśmy zbyt wiele energii. Nie uda mi się doprowadzić do osiągnięcia masy krytycznej. Nie zdołam go wysadzić.

Znów odzyskała uczucia i wydawała się przybita i przygnębiona jak nigdy dotąd.

Ripley nadal ją obserwowała przenikliwym, pełnym napięcia spojrzeniem.

- Wobec tego rozbij go - zaproponowała stanowczo.

Kiedy wszyscy pracowali zawzięcie, usiłując otworzyć zablokowane drzwi - a dowodzenie nad całą operacją przejął Vriess, mimo że nie miał do niej serca - Larry Purvis starał się nie myśleć o dziwnych i niezbyt przyjemnych okolicznościach, które doprowadziły go w to miejsce. Gdyby zaczął się zastanawiać, nie zdołałby pohamować wściekłości skierowanej przeciwko ludziom, z którymi przyszło mu pracować. Jak na ironię jedyną szansę ocalenia ofiarowali mu ludzie, którym „zawdzięczał” to, co się stało, niemniej tak właśnie było. Nic nie mógł na to poradzić. Purvis był realistą.

Pracował ciężiej niż kiedykolwiek i starał się nie myśleć za dużo. Usiłując podważyć róg drzwi, wsunął w to miejsce stalowy pręt. Stęknął, opierając się na tej dźwigni, i czekał, aż jego ciężar przesunie z pozoru niemożliwe do otwarcia drzwi.

Ostry, kłujący ból w górnej części brzucha zaparł mu dech w piersiach. Purvis chwycił się za pierś. Wszyscy w okamgnieniu zamarli. Pomimo bólu Purvis zdał sobie sprawę, że Johner i Distephano wymierzili weń swoje karabinki.

Nie! Nie! To się nie może tak skończyć, tak głupio, tak bezsensownie! Nie!

Zacisnął zęby i przeczekał ból. Klucie ustało równie szybko, jak się pojawiło. Purvis wziął dwa szybkie oddechy. Przeszło. Może to nerwy. Stres? Tak, to na pewno stres.

Uśmiechnął się słabo do pozostałych, którzy bacznie go obserwowali.

- Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Naprawdę. Czuję się dobrze;

Pokiwał energicznie głową, jakby chciał ich przekonać fałszywym entuzjazmem i sztucznym uśmiechem. Broń została opuszczona i wszyscy na powrót zajęli się drzwiami.

Ale Purvis wiedział, że wszyscy obserwowali go kątem oka.

Ripley patrzyła na Call, która ponownie się wyłączyła - jej oczy nie mrugały, źrenice rozszerzyły się.

- Zmiana kursu... Nowe miejsce przeznaczenia 760403. Obszar nie zamieszkaany.

Wyłączyć silniki hamujące, włączyć główny ciąg. Czas do uderzenia 43 minuty 8 sekund.

- Spróbuj oczyścić nam drogę do *Betty* - zaproponowała Ripley. - I rozgrzej jej silniki.

Call zamrugała jeden raz, jakby potwierdzając, że przyjęła polecenie, po czym znowu zapadła w trans.

Auriga przebadła korytarze w sektorze wiodącym do pirackiego statku. Stacja otworzyła po kolei czworo drzwi w przejściach prowadzących do mniejszej jednostki. A potem przyłączyła się do *Betty* i uruchomiła ją. Na pokładzie *Betty* zapaliły się światła, ekrany i wskaźniki, zahuczały uruchamiane silniki, po czym pirat rozpoczął już samodzielnie procedurę ich rozgrzewania.

W kaplicy statek przekazał Ripley ustami Call:

- Procedury przygotowawcze jednostki uruchomione. Paliwo... pełne zbiorniki... - Statek umilkł. Coś się stało. - Na pokładzie *Aurigi* wykryto źródła ruchu: podpoziomy od 6 do 9.

Podgląd wideo wyłączony. Próba obejścia niewykonalna, stop, fragmentaryczna widoczność, w zbiorniku z odpadami wykryto obecność nieautoryzowanych czynników...

Ripley spytała głośno:

- Nieautoryzowanych czynników?

- Nieludzi - sprecyzował statek. Głos Ripley zmienił się.

- Ilu?

- Proszę chwilę zaczekać - powiedziała *Call/Auriga*. - Wprowadzono kod obejścia awaryjnego w konsolce 45v, poziom pierwszy... Identyfikacja linii papilarnych...

Call zamrugła i już z powrotem we własnej osobie spojrzała na Ripley.

- To Wren. Jest przy *Betty* - powiedziała własnym głosem.

Ripley uniosła brew. Naśladując protekcyjny ton i maniery Wrena, zwróciła się do Call.

- No i co ty na to?

Doktor Mason Wren dotarł do kolejnych zamkniętych drzwi. Pokonywanie ich mocno go spowalniało, ale ponieważ dysponował najściślej strzeżonymi kodami dostępu, żadne nie zdołały go zatrzymać. A obecnie od *Betty* oddzielało go zaledwie pięć stalowych grodzi.

Kiedy znajdzie się na pokładzie małej pirackiej jednostki, wykorzysta swoją wiedzę o *Auridze*, dzięki kodom dostanie się do komputera statku i będzie kontrolował wielką stację zdalnie. Zatrzyma okręt wojskowy i umieści go na bezpiecznej orbicie wokół najbliższej z planet.

Gdy się już z tym upora, skontaktuje się z szuchami z armii i dopilnuje, żeby na stację wysłano wszystko co konieczne do jej naprawienia, a także kontyngent wojska i zapas środka usypiającego, by zagazować cały statek i obezwładnić wszystkich Obcych na czas potrzebny do zamknięcia ich na powrót w klatkach. I wówczas wróci do pracy, mając do dyspozycji więcej okazji niż mu się kiedykolwiek śniło.

Ale wszystko po kolei. W tej chwili sprawą numer jeden jest dostać się na pokład *Betty* i

podporządkować ją sobie.

Wciąż żałował utraty klonów Ripley, ale przynajmniej miał okazję przez pewien czas nad nim popracować. Tyle że teraz będzie miał więcej Obcych, niż potrzebował i wątpliwe, żeby musiał jeszcze kiedyś uciekać się do klonowania. Nie żeby tego nie chciał. Mieli całkiem pokaźny zapas zamrożonych próbek. Sklonowanie setek Ripley, z Królową Obcych w środku, byłoby teraz błachostką.

Wren stanął przed zamkniętym włazem i wprowadził swój kod. Światelka na klawiaturze migotały przez chwilę, po czym zgasła czerwona lampka, a zapaliła się zielona. Przy wtórze głuchych szczeknięć rygle w drzwiach cofnęły się.

Głos Ojca oznajmił:

Procedura awaryjnego otwierania drzwi w toku.

Ogromne drzwi zaczęły się podnosić. Wren rozejrzał się nerwowo dokoła, przez cały czas wpatrując w Obcych. Był już tak blisko...

Ciężkie drzwi, które uniosły się na kilka cali, nagle znieruchomiały. Szczelina była zbyt wąska, żeby mógł przecisnąć się przez nią dorosły mężczyzna. Wren zasepił się i ponownie wstukał kod. Ale tym razem Ojciec nie odpowiedział.

Miał właśnie wprowadzić ponownie kody dostępu, kiedy w całym korytarzu pogasły światła. Stał teraz w półmroku, a jedyny blask bił z konsoly kontrolnej i lamp awaryjnych.

Wren czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Rozejrzał się nerwowo i przełknął wielką gulę, która zaległa mu w gardle.

Ojczy, uruchom ponownie system na 45v. Hasło: „Szpak”.

Odpowiedziała mu grobowa cisza. Wren oblał się zimnym potem, mimo że było mu chłodno. Czy mogli tego dokonać Obcy? Wywołać tak silny spadek mocy, albo uszkodzić komputery, że...?

-Ojciec zlokalizuj miejsce spadku mocy. Złóż raport. –Znowu cisza. – Ojciec?

Ojciec nie żyje, dupku – odpowiedział mu młody kobiecy głos z głośników komputera.

Rozpoznał go natychmiast. To był głos tej małej terrorystki, Call, którą wyśledził w celi Ripley. Rozejrzał się, usiłującą dojrzeć. Ale głos dobiegał zewsząd, jak wcześniej głos Ojca.

Drzwi, które próbował otworzyć, opadały nagle z hukiem; niemal cudem unikną zmiżdżenia palców stóp. Szczęknięty rygle, ostatecznie, nieodwracalnie.

Wren stał w kompletnym bezruchu, gapiąc się osłupiały na drzwi, na gródź statku, który stał się nagle jego zaprzysiężonym wrogiem.

Za jego plecami otwarły się inne drzwi. Widział światelko awaryjne migoczące jak wymierzona w jego stronę strzałka. Cholera, to nie były te drzwi. Nie te. Tym przejściem nie dostanie się na *Betty*.

Wewnątrz stacji rozbrzmiało echo głosu Call: Intruz na poziomie pierwszym. Wszystkich Obcych uprasza się o przejście na poziom pierwszy. Jest tam doktor Wren.

Wren gorączkowo przełknął ślinę i odwróciwszy się od drzwi, pognął co sił w głąb korytarza.

Ripley patrzyła, jak Call odłącza przewód od wejścia w przedramieniu.

Umiesz być wredna – rzekła mimochodem. – To mi się podoba.

Call unikała jej wzroku.

- Zrobione. To powinno wystarczyć...

Jej głos znów stał się bełkotliwy, bardziej metaliczny.

Cholera! – Sięgnęła do wnętrza klatki piersiowej, usiłując naprawić uszkodzenie.

Ripley nachyliła się w jej stronę, sądziła, że mogłaby jej pomóc.

- Niech spojrzę...

- Nie dotykaj mnie. – Call cofnęła się, wciąż odwracając wzrok.

Ripley odsunęła się zaskoczona. Odrzucenie sprawiło jej ból i wzbudziło gniew.

- Pewnie ci się to wydaje zabawne – burknęła Call tym samym, osobliwie brzmiącym, mechanicznym głosem. Uniosła twarz, odnalazła spojrzenie Ripley. Wzrok Call był zuchwały. Gniewny.

Ripley westchnęła i nagle posmutniała. Wygląd na bardzo zmęczoną.

- Tak. Ale ostatnio sporo rzeczy wydaje mi się zabawne. A wcale nie jestem pewna czy słusznie.

Call rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Dlaczego jeszcze żyjesz? Jak możesz to w ogóle znosić? Jak znosisz samą siebie?

Jej mechaniczny, coraz bardziej nieludzki głos brzmiał z każdą chwilą dziwniej.

- Nie miałam wielkiego wyboru. – Ripley wzruszyła ramionami. Nigdy nie miała wyboru, od chwili gdy przedwcześnie obudzono ją z hibernacyjnego snu na pokładzie transportowca *Nostramo*. Tak czy inaczej Call przez cały czas mówiła nie o Ripley, lecz o sobie.

Call znów zajęła się sobą, mocując się z jakimś wyjściami odpowiedzialnymi za jej urządzenia głosowe.

- Ty przynajmniej masz w sobie cząstkę człowieka! Ja jestem tylko... jestem tylko... kurwa. Spójrz na mnie...

Ripley spojrzała, wbiła w dziurę w jej piersi i białawą, cieknącą breję wypełnioną lepкими, poszarpanymi włóknami.

Było w tym coś znajomego, przypominała sobie Bishopa, jego odwagę, jego człowieczeństwo...

- Jestem odrażająca... – poskarżała się Call z goryczą. Jej głos, zwalniał, cichł, dziwacznie jak kiepskie nagranie. Ripley wiedziała, że problem jest czysto mechanicznej natury, ale mimo to wydawało jej się, że wychwytuje w głosie androida nutę rozpacz.

Czemu nie zniszczono cię wraz z innymi? – zapytała Ripley

Call spojrzała na nią spode łba.

- Bo miałam zabić c i e b i e, pamiętasz? – Przerwała na chwilę, po czym znów zajęła się naprawą swoich uszkodzeń.

- Przed „wycofaniem”, zanim dla nas wszystko dobiegło końca, zdołałam wejść do głównego systemu. Do głównego systemu Obrony. Była tam wszystkie brudne operacje rządowe, jakie kiedykolwiek podjęto i które bardziej lub mniej skutecznie starano się zatuszować. Nawet ta. Plany, wkład Pereza, Obcy, ty... Nawet plany wynajęcia załogi *Betty*. Wiedziałam, że jeśli się im powiesz, będzie to oznaczało ich koniec.- Jej głos znowu był czysty, tembr dźwięczny, prędkość właściwa.- Koniec ludzkości.

Ripley zaczęła się śmiać.

- Zaprogramowano cię, abyś była skończoną idiotką? Jesteś pewnie z nowej serii androidów idiotek?

Call uśmiechnęła się pod nosem. Po chwili śmiały się już

obie. I nagle Call znów sposepniała, a kiedy się odezwała ponownie, w jej głosie pobrzmiwała niewyczuwalna dotąd nuta troski i przejęcia.

- Po prostu nie mogłam do tego dopuścić – zwierzyła się Ripley. – Nie mogłam pozwolić, żeby sprowadzili na siebie zagładę. Czy to ma dla ciebie sens? Rozumiesz mnie?

- Kiedyś rozumiałam. – Ripley zamyśliła się. Rozejrzała się po ciasnym wnętrzu kaplicy, postrzegając ulotne przebłyski twarzy, nazwisk, wydarzeń, które w jej umyśle tworzyły bardziej bezładną, chaotyczną gmatwaninę niżeli bagaż wspomnień.

- Próbowałam... ocalić ludzi. Nie udało się. Była tam dziewczyna. Blondyneczka. Miała straszne koszmary. Próbowałam jej pomóc. Ale ona... umarła. Nawet nie pamiętam jak się nazywała.

Call poklepała ją po ręku, ale zaraz znowu się odsunęła.

W tej samej chwili pojawił się Distephano.

- Chyba zaraz skończymy.

- Świetnie - powiedziała Ripley.

Kiedy żołnierz opuścił kaplicę, dwie kobiety ruszyły za nim w stronę drzwi.

- Czy ty miewasz sny? – spytała Ripley z zaciekawieniem.

- Ja... my... – odparła z rezerwą Call – mamy procesory nerwowe przebiegające przez...–

Przerwała i zakończyła krótko. – Tak.

- Czy wiesz, że kiedy zasypiam – powiedziała Ripley, mrużąc powieki – śnię o nich. O Obcych. Każdej nocy. Zupełnie jakby były wszędzie wokół mnie. We mnie. – Przypomniała sobie małą dziewczynkę mówiącą: „Nie chcę spać. Mam straszne koszmary.” – Bałam się snów, ale tak było kiedyś, teraz już nie.

- Dlaczego? – spytała Call.

Ripley przez chwilę wpatrywała się w witrażowe okno.

- Bo nieważne jak okropne stają się te koszmary... Kiedy się budzę... zawsze jest jeszcze gorzej.

Ripley zastanawiała się, jaka wyższa istota mogłaby wysłuchać modlitwy robota i przez moment dumiała, czy owa istota nie zechciałaby wysłuchać nabożnej prośby pewnego kłona...

Po chwili obie wyszły z kaplicy. Niemal równocześnie z głośników dobieg spokojny głos komputera pokładowego, przeprogramowanego na stałe na głos Call.

Systemy wentylacyjne w normie. Poziom tlenu 43%.

- Czy to naprawdę mój głos? – Call wydawała się zdumiona.

Ripley pokiwała głową.

- Uważam, że statki powinny być zawsze rodzaju żeńskiego.

12.

Szli szybko acz ostrożnie kolejnymi korytarzami; Johner na szpicy, następnie Distephano i Call niosący Vriessa, za nimi Purvis i wreszcie Ripley osłaniająca tyły. Ripley usłyszała z przodu głos Distephano.

- Już niedaleko.

- Boże, jestem taki zmęczony... - westchnął Purvis. - Taa, pewno - uciał Johner - odpoczniemy po śmierci.

Nagle Ripley poczuła, jak coś mlasnęło jej pod stopą. Przystanęła, spuściła wzrok. Pod jej obutą stopą rozlany był przezroczysty, galaretowaty śluz. Inni również to odkryli, kiedy wdepnęli w gęstą lepłą substancję.

Niechętnie przykucnęła i dotknęła śluzu palcami. Chciała wiedzieć na pewno. Substancja ściekała, rozciągając się grubymi soplami z jej dłoni. Tak. To oni...

- Nie jest dobrze, prawda? - Purvis spojrzał na Ripley. Ripley obejrzała się w stronę, z której przyszli, po czym znów skierowała wzrok w głąb korytarza.

- Musimy być blisko gniazda. - Instynktownie wiedziała, że Obcy zgromadzili się właśnie tam, mimo że nie miała pojęcia, dlaczego ani skąd to wie.

- Cóż - rzucił ze zniecierpliwieniem Vriess. - Wobec tego pójdziemy inną drogą.

- Nie ma innej drogi. Tylko ta. - Distephano pozbawił go złudzeń.

- Nie! - Johner prawie widocznie dygotał ze strachu. - Dość tego, mam was gdzieś! Nie idę dalej!

- Żołnierz ma rację - rzekła Call, nieco wyciszona. - Dokonałam przeglądu statku.

Musimy pójść tędy... Albo wrócić skąd przyszliśmy.

- Dałbym radę - oznajmił Vriess. - Moglibyśmy zawrócić...

- Nie mamy dość czasu - rzuciła krótko Call, tym samym wyciszonym tonem. Spojrzała na Ripley.

- Mamy prawie dziewięćdziesiąt minut! - burknął Johner.

Call zamilkła, po czym pokiwała głową. - Już nie.

- O czym mówisz? - spytał Distephano. Johner wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej i wyraźnie był bliski wybuchu. - Co ty zrobiłaś, robocie? - Zapomnij! - rozkazała Johnerowi. Ale Johner jej nie słuchał. Postąpił groźnie naprzód, wskazując na Ripley.

- Słuchaj, jak chcesz tu zdechnąć ze swoimi młodszymi braćmi i siostrami, to proszę bardzo. Ale ja mam zamiar przeżyć dzisiejszy dzień i jeśli ten kawał złomu - tu wskazał na Call - zacznie coś kombinować, to ją rozwalę. - Następnie zwrócił się do Call. - Zabiję cię! Kapujesz, ty przerośnięte liczydło? A może chcesz, żebym...

Ripley dopadła go, zanim zdążył dokończyć, zanim zdołał wziąć kolejny oddech. Jej dłoń wyprysnęła naprzód i ścisnęła żuchwę Johnera. Ten znieruchomiał, nie był w stanie się poruszyć ani wykrztusić choćby jednego słowa. Ich nosy i niemal się stykały.

- Byłby z tego niezły naszyjnik - zamruczała i ostrzegawczo pociągnęła go za język. Po chwili cofnęła rękę. Johner z kłapnięciem zamknął usta i zamilkł. - Jak daleko do doków? -

Ripley odwróciła się do Distephano.

- Sto metrów - oszacował żołnierz. Wszyscy jak na komendę spojrzeli w głąb niebezpiecznego korytarza. Wydawał się pusty, ale...

- No to jaki mamy plan? - spytał zmęczonym głosem Vriess.

Popatrzyli po sobie nawzajem. Sprawa była prosta. Nie mieli wyboru. Ponownie.

Call i Distephano bez słowa podnieśli Vriessa, po czym wszyscy puścili się pędem w głąb

korytarza.

Ripley ubezpieczała tyły. Biegła wraz z pozostałymi, zerkając raz po raz przez ramię. I nagle zachwiała się jak pod uderzeniem. Oni. Za jej oczami. W jej mózgu. W jej duszy. Oni. Szli po nią. Próbowwała biec dalej, ale nie mogła. Upadła na jedno kolano.

Cali natychmiast przekazała Vriessa Purvisowi i podbiegła do Ripley. Potrząsała nią i powtarzała: - Ripley? Ripley? Co się stało?

Przeraźliwe owadzie buczenie w umyśle Ripley niemal zagłuszyło słowa Cali. Pokręciła głową, przykładając dłonie do uszu. Twarz miała wykrzywioną bólem. Usiłowała wykrztusić z siebie ostrzeżenie. - Pomyliłam się...! Pomyliłam się... - Ripley! – zawołała Call.

- Słyszę ich - wysapała Ripley. Była bliska płaczu. Ból i groza zawładnęły nią bez reszty.

Zatracała siebie, swoją tożsamość, człowieczeństwo. Pochłaniały ją. — Ul... jest niedaleko.

Jesteśmy tuż nad ulem. Obie były tak skoncentrowane na udręce Ripley, że żadna

z nich nie spostrzegła, jak tuż obok stopy klona wykręciła się z kratownicy podłogi jedna ze śrub.

- Słyszę ich... - wykrztusiła Ripley, każde słowo raniło jej gardło jak ostrze brzytwy. -

Tak blisko... Tak blisko.

- Jezu! - rzuciła Cali i pociągnęła ją energicznie. - Rusz się! - Ale Ripley była jak

przyklejona do pokładu, ból i zgroza kompletnie ją sparaliżowały. - Słyszę ich... Królową!

Druga śruba, także nie zauważona, wykręciła się z pokładu.

- Co...? - spytała Call.

Ripley zdała sobie sprawę, że Call nie ma zielonego pojęcia o rodzinnej strukturze

Obcych. I nie zamierzała wprowadzać ją w szczegóły. - Ona cierpi!

Uczucie zagrożenia niespodzianie sparaliżowało Ripley, kiedy usłyszała, że coś się pod

nią poruszyło. Spuszczając wzrok ujrzała łapę Obcego wyłaniającą się przez otwory

kratownicy, chwytającą panel podłogi i szarpnięciem ściągnającą go w dół.

Kiedy podłoga zapadła się pod nią, Ripley zachwiała się i zsunęła w dół. Próbowwała czegoś się uchwycić, wyciągnęła rękę ku krawędzi pokładu. Ujrzała, że Call rozpaczliwie usiłuje jej dosięgnąć, ale było już za późno. Ripley spadła.

Call zachwiała się na krawędzi otworu, który pojawił się nagle w podłodze, kiedy wyciągnęła rękę w stronę znikającej Ripley.

- Ripley! - wrzasnęła w ciemność poniżej. - Ripley!

- Co się, kurwa, dzieje? - warknął Johner podbiegając do niej.

- Nie wiem! Nie wiem! - Call była bliska paniki. - O Jezus! - jęknął Johner.

Vriess podczołgał się do otworu i chwycił nachylającą się Call za ramię. - Annalee, spadniesz! Cofnij się!

Nie zwróciła uwagi na zatroskanie w jego głosie. Była skoncentrowana tylko na Jednym, na czarnej dziurze, w której znikła Ripley.

- Masz! - Distephano wcisnął jej do ręki latarkę. Nachyliła się nad otworem, ale widziała tylko słabą, odległą poświatę.

Usłyszała jakieś skrzeczenie dobiegające z oddali, ale Ripley nie było słychać. Call zapaliła latarkę.

W jej świetle ujrzała najgłębsze czeluście pokładu. W pierwszej chwili sądziła, że patrzy w bezdenną otchłań, jamę węży, kłębowisko zmij, ale zaraz uświadomiła sobie, że to co widział, wszystkie te czarne, błyszczące, poruszające się części, należą do nich. Do Obcych. Było ich mrowie, pracowali ramię w ramię, bok w bok, plecy w plecy. Ogromna plątana ogonów, czaszek i łap, lśniących i miotających się niczym splecione węże.

A pośrodku tej wijącej się, lepkiej, żywej masy znajdowała się Ripley — uwięziona, unieruchomiona, leżąca na wznak z rozłożonymi szeroko rękami. Call obraz ten skojarzył się

z krzyżem w kaplicy i odruchowo zamruwała. Chciała zawołać do Ripley, widząc, że jej oczy wciąż są otwarte i wpatrzone w górę, ale nagle zdała sobie sprawę, że Ripley nie patrzy na nią. Widzi jedynie swoją przyszłość.

Kiedy Call i inni wpatrywali się z przeraźliwą fascynacją w głąb otworu, Ripley zaczęła zapadać się w ruchomą masę ciał Obcych, powoli, nieubłaganie, jak w lotnych piaskach... By zupełnie się w niej pogрузić, przytłoczona mrowiem ciał istot, które ją w końcu dopadły. Wojownik ruszył w stronę parującego ciepła wylęgami. W stronę siły i bezpieczeństwa, jakie daje grupa. Nie odczuwał już samotności, został uhonorowany przez Królową, wybrany dzięki swemu sprytowi. Był pierwszym, który uciekł, uwolnił innych, zdobył pierwsze łona i pierwsze pożywienie. I oto znów został wybrany, by służyć Królowej. Odbił Ripley ofiarom i obecnie niósł ją w stronę gniazda. Ci ludzie, ci żałośni delikatni ludzie będą już wkrótce karmą dla nowych młodych i żywicielami kolejnego miotu. To stanie się już wkrótce, już niebawem.

Ale wojownik niósł ze sobą także cały bagaż wspomnień nieoczekiwanego chaosu.

Wyjątych i umierających wojowników i ognia. A także Ripley, stojącej sztywno i trzymającej w ramionach ludzkie młode. Siejącej śmierć i zniszczenie w gnieździe.

Wszechogarniający ból straty... nieodwracalnej, przyprawiającej o mdłości straty zalał jego umysł i całe ciało. To nic nie znaczyło... i oznaczało wszystko. Spróbował nawiązać kontakt ze swoimi i odnalazł moc i bezpieczeństwo, jakie daje wylęgarnia.

To było inne gniazdo, w innym czasie. Nie wolno mu teraz o nim myśleć, nie wtedy, kiedy Królowa go potrzebuje. Musiał jej służyć.

Pomimo dysponowania bronią, mimo aparatów obezwładniających ludzie znów zostali pokonani. Stali się karmą i wydali na świat kolejne młode Królowej. Musieli zrobić to siłą. Zawsze tak było. I zawsze tak będzie. Bo ich atutem była dzikość i naturalność odruchów, które nimi kierowały.

Doskonałości naszej budowy dorównuje tylko nasza wrogość i zaciętość.

Wielki wojownik smagnął ogonem, przekazując wszystko co myślał, czuł i namierzał swoim braciom i Królowej. Jego Królowa, jego Matka odpowiedziała uczuciami miłości i aprobaty... Potrzebowała Ripley, którą niósł tak delikatnie w ramionach.

Królowa przestała wojownikowi uczucie miłości i aprobaty.

A ta powłoka. To naczynie, istota ludzka zwana Ripley. Była matką ich wszystkich.

Pierwszym łonem, pierwszą wojowniczką. I będzie żyć, żeby dowiedzieć się wszystkiego, żeby dzielić z nimi ich chwałę. Królowa tego pragnęła, a wojownik dopilnuje, gdyż Ripley była podstawą ula. Założycielką wylęgami. Fundamentem dla Noworodka.

Ripley drgnęła nerwowo prze sen, wydając ciche odgłosy protestu i bólu. Wojownik tchnął w jej twarz powietrzem i ciepłem. Opiekował się troskliwie tą, bez której nie byłoby ich wszystkich. Królowa przyjęła to z aprobatą.

Call zamarła nad dziurą w podłodze, nie mogąc pogodzić się z tym, co się stało.

Widziała, że inni popatrują na siebie nawzajem i zrozumiała, że to co się wydarzyło, zmieniło ich.

W jakiś sposób siła i odwaga Ripley zjednoczyła całą grupę... ale teraz Ripley zniknęła i cały zespół był bliski rozbitcia.

Nawet Johner stał w bezruchu, jego jabłko Adama poruszało się, jakby próbował przełknąć coś zbyt dużego.

Vriess patrzył na nią z takim smutkiem i współczuciem, że wiedział, iż odpowiedziawszy na jego spojrzenie, kompletnie by się załamała.

Distephano trzął się z wściekłości, kłykcie jego palców zaciśniętych na kolbie karabinu zbiegły.

I znów to Purvis wypowiedział słowa, które przerwały ów impas. Call uświadomiła

sobie, że robił to już nie po raz pierwszy. Jednak dobrze się stało, że zabrali go ze sobą.

- Musimy ruszać, panienko - rzekł półgłosem Purvis- - Najlepszym podarunkiem, jaki możesz jej teraz ofiarować, jest szybka śmierć.

I Ripley zginie właśnie taką śmiercią, kiedy *Auriga* uderzy w Ziemię. W końcu Ripley wróci do domu.

Call wciąż nie była w stanie się ruszyć, nie mogła opuścić miejsca, gdzie widziała ją po raz ostami.

- To nie w porządku... - Słowa uwięzły jej w gardle, mimo że jej aparat głosowy był już sprawny.

Purvis ujął ją pod ramię, popychając lekko do przodu. Pozostali już ruszyli w stronę *Betty*. Call i Purvis pomaszrowali za nimi.

- To nie w porządku... - mruknęła z naciskiem Call, kręcąc głową. - Powtarzam to dzisiaj cały dzień. - Purvis westchnął.

Obudź się. Bądź cicho. Mamy kłopoty. Znieruchomiała, nasłuchując, wyczuwając. Coś się działo. To nie był sen. To było coś realnego.

Ripley leżała w bezruchu w ramionach bestii. Oświetlenie było minimalne, ale nie przejmowała się tym. Oddychała cicho, przyjmując oddech istoty. Ciepła wilgoć wokół mówiła o bezpieczeństwie, ale chaotyczne senne wizje wciąż przeblyskiwały w jej umyśle.

Zimny kontrast hibernacyjnego snu. Potrzeba chronienia jej dziecka. Siła i towarzystwo istot jej gatunku. Moc jej własnego gniewu.

Ciepło i bezpieczeństwo wypełnionej parą wylęgami. Obrazy były zarazem sensowne jak i pozbawione znaczenia. Rozpoznawała je na poziomie nieświadomości, stanowiły część niej samej, część osoby, którą była, tego czyni była. A teraz były częścią tego, czym się stawała.

Pławiła się w parnym, kojącym cieple, pragnąc się ukryć. Słyszała odległe, mamroczące

dźwięki dochodzące spoza niej i z jej wnętrza. Pojawiały się i cichły. Dźwięki znaczące wszystko i nie oznaczające niczego. Jakby mimochodem wyczuwała Królową i jej monstrualną potrzebę.

A potem znów usłyszała te dźwięki wewnątrz. Jeden był silniejszy od poprzednich. Ten, któremu zawsze się przysłuchiwała. Który tak usilnie starała się zapamiętać. Szeptał...

„Moja mama zawsze mówiła, że tak naprawdę potworów wcale nie ma. Ale przecież one są.”

Ten dźwięk zmuszał ją do przebudzenia się. Ale gdyby się obudziła, wszystkie te sny przerodziłyby się w rzeczywistość. Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona. Ale kiedy zaśnie...

„Nie chcę spać...” rzekł cichutki głosik. „Mam straszne sny.”

We śnie ją dotykały. Wszystkie te potwory, prawdziwe potwory. Poruszały się, oddychały, skrzeczały... śniły... planowały... Wzdrygnęła się.

Były organizmem idealnym, posiadającym jeden tylko cel. Doskonałości jego budowy dorównuje tylko jego zaciętość i wrogość. Jęknęła cicho, ze smutkiem.

Była cieniem pełnej ideałów, młodej kobiety z przeszłości. Uczynił ją tym los. Ale czym właściwie teraz była? Czy była Ellen Ripley, czy odmieńcem, równie groteskowym jak... jak...

„Ty przynajmniej jesteś w jakiejś części człowiekiem!”

„Ja jestem tylko... jestem tylko...”

„Wolę określenie sztuczny człowiek.”

Powoli zaczęła odczuwać niewyraźne jeszcze wrażenie- Coś poza nią samą. Coś się z nią działo- Rozejrzała się wokoło, gromadząc informacje.

Jej potworne dzieci w końcu po nią przybyły. Były wszędzie, niosły ją, witały.

Ale tamtych nie było. Ludzi, tych, których tak bardzo starała się chronić i ocalić, dla których walczyła.

Zabrano ją od nich. Rozłączono ich. Po części czuła z tego powodu ogromną ulgę. Po części płonął w niej, właśnie dlatego, nienasycony płomień gniewu. Oscylowała między tymi uczuciami, leżąc bezwładnie w ramionach bestii.

W jej umyśle pojawiła się wizja narysowanej postaci dziewczynki, którą zaraz zastąpił obraz prawdziwego dziecka. Jej dziecka? Nie, nie jej... Tak, mojego!

W jej umyśle pojawiły się chaotyczne wspomnienia. Parne ciepło wylęgami. Siła i bezpieczeństwo gatunku. Samotność jednostki. I nagła potrzeba znalezienia... Małe, silne ramiona oplotły jej szyję, małe silne nogi chwyciły ją w pasie. Potem był chaos. Wojownicy wyli i ginęli. Był ogień. Pożar. „Wiedziałam, że przyjdiesz.”

Zamrugnęła zdezorientowana, a jej umysł zalała nagle fala fragmentów wspomnień, odczuć, których nie była w stanie uporządkować. Dojmujący ból straty... nieodwracalnej, rozdzierającej straty... zalał jej cały umysł i ciało. To nie znaczyło nic, a zarazem oznaczało wszystko.

„Mam na imię Newt, nikt nie mówi do mnie Rebecca.”

„Idę, Newt! Idę!”

„Mamo! Mamusiu!”

Ripley szukała połączenia z gatunkiem, usiłowała znaleźć siłę i bezpieczeństwo gniazda, lecz bezskutecznie- A w ich miejsce nie było niczego, tylko ów ból, poczucie dojmującej straty. Była pusta. Wydrążona. Popatrzyła nieprzytomnym wzrokiem na ogromnego, trzymającego ją w objęciach wojownika, pragnąc zadać mu to samo pytanie, które zadała ludziom- Pytanie, na które nikt jej nie odpowie. Dlaczego? Dlaczego?

A gdy wspomnienia głosu Newt zaczęły wędrować w jej umyśle, postanowiła, że pozna tę odpowiedź. Wydobędzie ją od nich. Mimo ich wielkości, siły, wrogości, drapieżności wyrwie im ją przemocą.

Niedobitki załogi nerwowo i szybko, lecz me na złamanie karku, pokonywały ostatni etap drogi do *Betty*. Nie dostrzegli już innych śladów Obcych, śluzu, śladów kwasu, niczego. Wszędzie panował nienaturalny spokój i cisza. Kiedy Vriess został wrzucony na pokład, poczuł gdzieś pod sercem bolesne ukłucie tęsknoty, a potem smutek, tak dojmujący, że zupełnie go to zaskoczyło. Kiedy Johner i Distephano przenieśli go na fotel drugiego pilota, wszędzie widział ślady pozostawione przez Hillard, podobnie jak ślady Elgyna przy fotelu pilota. Odegnął od siebie wspomnienia obiecując sobie, że upora się z nimi w innym, bardziej sprzyjającym czasie, kiedy tylko bezpiecznie się stąd wydostaną- Gdy Vriess został bezpiecznie przypięty pasami do fotela, Johner zapytał:

- Ile potrwa, zanim się stąd wydostaniemy? - Vriess wystukał coś na klawiaturze i wprowadził skrócony plan lotu, wpatrując się w obraz Ziemi na monitorach, który powiększał się z sekundy na sekundę.

- Call będzie musiała ponownie podłączyć się do statku, otworzyć śluzę, zwolnić magnesy i tak dalej.

- Za parę minut znajdziemy się w atmosferze - rzucił ponagłajaco Johner. - To tylko utrudni całą sprawę. Vriess skinął głową, jego palce śmigały po klawiaturze. Call stanęła obok niego. Mężczyzna znieruchomiał, odszukał jej spojrzenie. Od pierwszej chwili kiedy się spotkali, nigdy nie patrzyła na niego jak na kalekę. Nigdy nie patrzyła na jego nogi. Nie dostrzegała wózka. Widziała tylko jego, Vriessa, mężczyznę. Spojrzał na tę piękną, obdarowaną, czystymi rysami twarzyczkę i powiedział sobie, że przynajmniej tym jednym mógł się jej odwzajemnić. Ujrzeć Call. Nie dostrzegać strzępiastej dziury w jej piersi, skąd wyzierały końcówki pozrywanych przewodów. Ani komputerowego wejścia w jej przedramieniu.

- Potrzebujesz mojej pomocy? - Uśmiechnęła się do niego pod nosem.

- Jeżeli... - skinął głową - nie masz nic przeciwko temu... Analee...

Słyszając swoje imię dygnęła odruchowo, po czym potaknęła ruchem głowy.

- Jasne. Nie ma sprawy.- I zaczęła podłączać się do systemu, jakby zawsze to przy nim robiła.

Nie zwracał uwagi na to, co robiła. Patrzył na jej twarz. Na jej drobne, śliczne, ludzkie oblicze.

Ripley wolno dochodziła do siebie. Kręciło się jej w głowie, była oszołomiona. Nie mogła dojść do siebie. Zmrużyła na chwilę oczy. Usłyszała wilgotne dźwięki, plusk i kapanie. A także jęki, ludzkie Jęki. Usłyszała brzęczenie, owadzie odgłosy. I poczuła tę woń... woń krwi. Odchodów. Śmierci. Wilgotną, gorącą i parną jak tropikalne bagnisko.

Próbowała się poruszyć, sprawdziła pęta... pęta? Była unieruchomiona, przywierała do czegoś twardego i sztywnego. Wtem coś lepkiego kapnęło jej na twarz. Zasepiła się, zawroty głowy nie mijały. W końcu nieprzyjemne kapanie stało się dla niej nie do zniesienia i otworzyła oczy. To dlatego kręci mi się w głowie, stwierdziła natychmiast, przecież ja wiszę do góry nogami!

Substancja ściekająca po jej twarzy spłynęła na ścianę i natychmiast zaczęła twardnieć, unieruchamiając jej głowę. Jej ramiona, dłonie, nogi i stopy były unieruchomione w ten sam sposób, przyklejone nitkami wydzieliny do ścian wielkiego zbiornika na odpadki. Jak przez mgłę przypomniała sobie Call, jak mechanicznym głosem oznajmia o wykryciu Jakiejś aktywności w zbiorniku na odpady i pożałowała, że nie zwróciła na tę informację większej uwagi.

Rozejrzała się dokoła w półmroku. Nie była tu sama. Byli jeszcze inni ludzie, przynajmniej ośmioro, podobnie jak ona wiszący głową do dołu na ścianie okrągłego zbiornika.

Żołnierze, naukowcy, wszyscy bezbronni i uwięzieni Jak ona. Na wpół owinięci w kokony. Przypomniała sobie podobną scenę.

Wszyscy koloniści z Hadley's Hope owinięci w kokony i poprzyklejani do ścian. Z rozwijającymi się w ich ciałach embrionami. Większość potworków wykluła się. Ale tu wszyscy są jak na razie nietknięci.

Ona również nie została ponownie zainfekowana. Wiedziała, gdyby tak się stało.

Wyczułaby to. Czy trzymano ich tutaj, aby później zainfekować embrionem? Ta myśl przejęła ją trwogą, ale kiedy się rozejrzała, stwierdziła że w pobliżu nie ma jaj. Mimo to wciąż nasuwało się jej nieodparte skojarzenie, że wszyscy oni są jak te owady, uwiązane w sieci pajęczycy.

Ripley uniosła wzrok, nie, raczej go spuściła, i w końcu ich ujrzała. Obcych. Brodzili po dnie zbiornika jak aligatory na bagnach, tyle że to bagno przypominało raczej morze ludzkiej krwi, odchodów oraz ich własnych wydaliny. Wojownicy doglądali oplecionych kokonami ludzi. Ripley zmarszczyła brwi i ponownie się rozejrzała. A potem ją ujrzała. Królową.

Ogromna istota znajdowała się dokładnie naprzeciw niej, ale widok, jaki sobą przedstawiała, był tak oszałamiający, że Ripley potrzebowała sporej chwili, by się z nim oswoić.

Ripley pamiętała dokładnie spotkanie z Królową i oczyma wyobraźni wciąż widziała jej ogromne pokładełko. Wówczas gigantyczny organ rozrodczy był specjalnie unieruchomiony, aby utrzymać jego potworne rozmiary i ciężar, gdy Królowa składała jedno jaj po drugim. Ale to w niczym nie przypominało tego, co Ripley ujrzała obecnie.

Ta Królowa również była unieruchomiona, ale nie przez pokładełko, bo takowego nie miała. Najwyraźniej ta jej część została już odrzucona. Sama Królowa owinięta była do połowy kokonem przyklejonym do dna zbiornika, pośród morza krwi i odchodów. Albo w

tym miejscu było płycej, albo Obcy podtrzymywali Królową na niewidzialnych pasach, sporządzonych z tej samej substancji co podwodna sieć. Ripley uświadomiła sobie teraz, że Obcy – na wpół zanurzeni w chemicznej breji poniżej – zajmowali się Królową, opiekowali się nią. I kompletnie ignorowali umieszczone dla niej na ścianach ludzkie ofiary.

Ripley wciąż przyglądała się, próbowała zrozumieć, co właściwie widzi. Uwiązana Królowa leżała na plecach, jej nogi, ogon i ramiona były na wpół zanurzone. Targała łbem w przód i w tył, jej kończyny drżały nieznacznie. Czy cierpiała? I co ona miała w brzuchu? Nagle Ripley uświadomiła sobie prawdziwą grozę tego, na co patrzyła. Królowa miała wielki napięty brzuch, mięsisty, naprężony i upstrzony nitkami grubych, czerwonych żył. Ten brzuch poruszał się, jakby żył własnym życiem. Wielka paszcza Królowej otworzyła się, spomiędzy kłów dobiegło syczenie.

Ripley w zapatrzeniu wyszeptwała:

– Nie ma jaj. Tylko...

Dziwnie znajomy głos dokończył z wyraźnym podnieceniem:

– To nasze największe osiągnięcie!

Ripley bała się odwrócić, bała się ujrzeć człowieka, który wyrzekł te słowa, niemniej tak właśnie uczyniła. I ujrzała owiniętego niemi kokonu doktora Gedimana, przyklejonego do ściany tuż obok niej. Oczy miał rozszerzone, wzrok błędny. Najwyraźniej balansował na granicy obłądu... i palcami stóp był już po tamtej stronie.

– Wtórny cykl rozrodczy! – wybełkotał radośnie. – Bezpłciowy. Ssaczy. Bez żywicieli.

Ripley o mało nie jęknęła.

– To niemożliwe.

– Uważaliśmy – Gediman uśmiechnął się szeroko – że możemy zmienić ich cykl

reprodukcyjny. Obejść cykl jajorodny. Ale tej bestii nie dało się przemówić do rozumu. Ani

prośbą, ani groźbą. – Zachichotał. – Po prostu dodała drugi cykl.

Przeraźliwy wrzask Królowej wstrząsnął Ripley i klon ponownie przeniósł wzrok na ogromną istotę, która miotła się, najwyraźniej straszliwie cierpiąc. Zajmujący się nią Obcy cofnęli się odrobinę, szwargocząc między sobą, ich owadzie brzęczenie wydało się Ripley nieomal melodyjne.

– Ale jak...? – wymamrotała Ripley zdezorientowana.

– Krzyżówka genetyczna – pospieszył z wyjaśnieniem Gediman. A potem spojrzał na nią rozszerzonymi oczyma i wybuchnął obłąkańczym śmiechem. – Z DNA żywiciela!

– Nie! – Ripley nie mogła, nie chciała się z tym pogodzić.

– Spójrz na to – rzucił ochryple – To ty! To ty!

Ledwie mogła to znieść, ale, zwalczając łyzy goryczy i frustracji, które cisnęły się jej do oczu, zmusiła się, by spojrzeć na Królową. Zrozpaczona myślała jedynie o swoim potwornym dziecku, które miała przed sobą.

Wypukłość na brzuchu Królowej wyraźnie się powiększyła i nagle się poruszyła, lekko zafalowała.

Ripley odkryła w sobie motywację. Zaczęła mocować się z unieruchamiającymi ją pętlami, zaklinając się głośno.

– Wynoszą się stąd w cholere! Do diabła, wynoszę się stąd w cholere!

Gediman wciąż patrzył na nią i uśmiechał się. Ripley stwierdziła, że naukowiec do reszty stracił rozum, bowiem Gediman wesołym tonem zagadnął:

– Nie chcesz zobaczyć, co będzie dalej?

13.

Call odłączyła się od *Betty* i obserwowała, jak Vriess przeprowadza procedurę przygotowawczą do odłączenia od *Aurigi*. Z powodu tego, co się stało z Ripley, czuła się

wewnętrznie rozdarta, ale musiała przecież wy dostać ich wszystkich z tego piekła. Vriess uśmiechnął się do niej, kiedy skończył przygotowywać plan lotu, a ona odpowiedziała nieśmiałym skrzywieniem ust. Mieli jeszcze mnóstwo do zrobienia. Odsunęła się od konsoli i podeszła do Johnera i Purvisa. Spoglądając na człowieka z blizną powiedziała.

– Johner, zabierz Purvisa do zamrażarki.

Johner najwyraźniej pouczył się swobodnej, powróciwszy na pokład *Betty*. Poklepał przyjaźnie Purvisa po plecach i powiedział:

– W porządku. Pora na drzemkę, koleś.

Purvis, który był niesamowicie zmęczony, pokiwał głową i ruszył za nim.

Call wyprzedziła ich, aby pomóc Johnerowi przy sporządzeniu mieszanki kriogenicznej.

Zrobiłaby to szybciej, a Purvis i tak żył już na kredyt. Ruszyła w głąb ciemnego korytarza, czekając, aż zapalą się przed nią światła, ale nie włączyły się. Zmarszczyła brwi w zakłopotaniu. Podłączywszy się do statku nie zarejestrowała żadnych usterek mechanicznych, ale w gruncie rzeczy nie zwracała większej uwagi na drobiazgi. Niemniej światła powinny się były zapalić, kiedy weszli na statek. Odwróciła się do Johnera, zasepiona. Zanim zdążyła coś powiedzieć, z ciemności obok niej wyłoniła się ręka, światło odbiło się od lufy broni, która w niej tkwiła. Pistolet wypalił; w tak ograniczonej przestrzeni huk był ogłuszający. Purvis dostał postrzał w ramię. Krzyknął przeraźliwie i runął na pokład.

Kiedy Johner sięgnął po swoją broń, silne, szczupłe ramię zamknęło szyję Call w mocnym uścisku, a dymiący jeszcze wylot lufy wbił się jej w policzek. Zamarła.

Kto?... Co?... Jak?...

Gdy trzymający ją mężczyzna pchnął ją do przodu, do światła, usłyszała znajomy głos.

– Jeden ruch – rzucił mężczyzna do Johnera – i przewiercę jej kulą mózg!

Wren!

Call ujrzała, jak Vriess odwraca się w swoim fotelu, a na jego twarzy wykwitła wyraz gniewu i frustracji, kiedy siedział tam, uwięziony, niezdolny, by im pomóc.

Johner był spięty, skoncentrowany. Oto sytuacja, którą rozumiał, z takim wrogiem umiał i mógł sobie poradzić. Człowiek z blizną stał na lekko rozstawionych nogach, trzymając dłonie z dala od ciała, żeby ni sprawić wrażenia niebezpiecznego. Tylko że Call widziała Johnera w akcji. Gdyby Wren znał i rozumiał tamtych ludzi jak ona, zabiłby go bez chwili wahania. Call podejrzewała, że wiedza Wrena nie sięga tak daleko.

– Distephano! – warknął Wren do żołnierza. – Zabierz im broń.

Call spojrzała na żołnierza. Czy wykona polecenie? Ocaliła mu życie podczas przewrotu w mesie. Czy teraz zwróci się przeciwko nim?

Distephano stał prawie na baczność.

– Z całym szacunkiem sir, ale... pieprzę pana. – Nie opuścił swojego karabinu ani nie rozbroił Johnera.

Wren mocniej przyciągnął do siebie Call, wzmagając uścisk na jej szyi. Wbił lufę broni w policzek Call.

– Rzucić broń! – ryknął. – Rzucić broń albo wszyscy tu zdechniemy!

Nagły, przejmujący, ochrypły krzyk sprawił, że wszyscy się odwrócili. Purvis wyprężył się jak struna, oczy mu wyszły z orbit, palce obu dłoni zacisnęły się na piersi.

Nikt się nie poruszył, nawet Wren.

Ripley gorączkowo zaczęła rozrywać organiczne pęta przytwierdzające ją do ścianki zbiornika. Bardziej kruche nitki żywicy zaczęły pękać, te elastyczne rozciągały się. Szamotała się coraz zajadlej i w końcu zdołała uwolnić jedną rękę, a potem głowę i szyję.

Królowa miotła się bardziej dziko, jej wrzaski przybierały na sile. Innym Obcym wyraźnie udzieliło się zniecierpliwienie – wydając dziwne odgłosy nerwowo brodzili w

cuchnącej breji.

Kolejny krzyk Królowej był bardziej przerażający niż poprzednie, a Ripley zamarła w bezruchu. Brzuch Królowej zadygotał i zafalował, coś żywego, znajdującego się wewnątrz, zaczęło się wić.

Ripley zmartwiła się, gdy w jej umyśle pojawiło się kolejne wspomnienie.

To samo przydarzyło się mnie. Urodziłam. Byłam kiedyś matką, prawdziwą matką.

Leżałam w swoim łóżku, był przy mnie mąż. Pielęgniarka i lekarz. Krzyknęłam, kiedy dostałam skurczów.

Poczuła je znów, wspomnienie było niewiarygodnie silne.

Bardzo się pociłam, ale nie chciałam żadnych leków, choć mąż błagał, abym zgodziła się je przyjąć. Martwiłam się, że przez lata brałam za dużo kriośrodków i podczas porodu nie chciałam wziąć niczego. Chciałam urodzić normalnie. We własnym łóżku. We własnym domu.

Patrzyła, jak Królowa miota się i wyje w śluzie, błocku i ta obsceniczna parodia jej własnego doznania przyprawiła ją o mdłości.

Miałam dziecko, śliczną dziewczynkę. Miała w sobie coś z obojga rodziców.

Nazwaliśmy ją Amy.

Ellen Ripley zamrugła, przerażona zalewającą ją falą wspomnień.

Powiedziałaś Amy, że wrócisz na jej jedenaste urodziny, obiecałaś. Wtedy po raz pierwszy ich pokonałaś. Ale twoją kapsułę ratunkowo odnaleziono dopiero po pięćdziesięciu siedmiu latach. Amy umarła nie wiedząc, dlaczego nie wróciłaś na jej urodziny.

Ripley na chwilę zmrużyła oczy i ujrzała w myślach twarz swojej córki. Potem pojawiły się kolejne twarze.

Newt.

Hicks.

Nawet Jonesy...

Wszyscy oni odeszli, popłynęli z nurtem czasu...

Obok niej Gediman patrzył zdumiony, z wybałuszonymi oczami, zaśmiewając się jak szaleniec, a jego rechotliwe „he–he–he” było prawie jak tak samo odrażające, jak odgłosy wydawane przez Obcych. Królowa znowu zawyła i sięgnęła w stronę Ripley, jak gdyby klon, jej własna „matka”, mogła jakoś pomóc jej przetrwać to nowe doświadczenie, złagodzić ból.

Istota zaryczała, próbując uwolnić się z cuchnącego leża.

Przypominając sobie własny ból, Ripley jęczała wraz z nią, a mięśnie jej brzucha skurczyły się odruchowo.

A potem poczuła dogłębnie ból Królowej, doświadczyła go całym swoim jestestwem, każdą komórką ciała. Stało się to za sprawą telepatycznej więzi, która zmusiła Ripley, aby była Królową podczas jej potwornie bolesnego porodu. Buntujące się ciało siłą przymusiło ją do wykonania czynności, na które wcale nie ma ochoty. Ripley jęczała wraz z Królową, cierpiąc wraz z nią z wysiłku i współczucia.

Jednocześnie poczuła troskę i nerwowość wojowników, którzy zbliżyli się do bezradnej Królowej. Czuła ich lęk. Wszyscy oni – będący wspólnie jej małżonkami, pragnęli pomóc swojej Królowej, ale żaden nie wiedział, jak tego dokonać.

Wtem ze wstrząsanego gwałtownymi skurczami brzucha monstrum buchnęła struga krwi. Kiedy minęła pierwsza erupcja, krew poczęła spływać większymi i mniejszymi kwaśnymi strumyczkami w dół nabrzmiałego pagórka.

Ripley próbowała się odwrócić, nie chciała dłużej uczestniczyć w tej obrzydliwej parodii ludzkich narodzin.

I wtedy Królowa wrzasnęła raz jeszcze, unosząc głowę i spoglądając na Ripley jak na

akuszerkę. Jednocześnie Ripley zgięła się w pół, odrywając górną część ciała od ściany.

Złapała się z brzuch i wyła wspólnie z Królową.

Wijąca się Królowa ponownie runęła w cuchnącą breję, a otaczający ją wojownicy cofnęli się gwałtownie, jakby wyczuli jakieś niebezpieczeństwo.

Ripley zmęczona zamrugała powiekami, wpatrując się w pulsujący brzuch. Buchnęła kolejna struga krwi, a potem coś zaczęło napierać na coraz cieńszą warstwę tkanek brzucha Królowej. Coś pchało i pchało coraz silniej, napierając w górę, aż stawiająca opór powłoka przyjęła kształt atakującego ją zawzięcie obiektu.

Ripley zamrugała. To wyglądało jak czaszka... ludzka czaszka... która z wysiłkiem próbowała wydostać się z pękniętego brzucha Królowej.

Dziecko... pomyślała naraz Ripley. Rodzi się dziecko... Widzę główkę...

Rozległ się ostatni przejmujący wrzask, przeraźliwy odgłos darcia i z ciasnego wnętrza matczynego łona zaczął wydostawać się Noworodek. Stworzenie było blade, a nie czarne, jego skóra przypominała bardziej ludzką niż twarde, silikonowy egzozszkielet Obcych.

Czaszka była tradycyjnie spłaszczona i wydłużona, ale twarz... Ta twarz...

Obok niej Gediman bełkotał, szlochając w obłąkańczym zachwycie.

– Piękny! Cóż za piękny motyl...!

Oblicze Noworodka niewątpliwie miało w sobie coś ludzkiego, może nawet aż za wiele cech ludzkich. Wyglądało jak czaszka z wielkimi oczodołami, długimi, błyszczącymi, białymi zębami, ostro zarysowaną zuchwą i wgłębieniami w miejscu, gdzie u człowieka znajduje się nos. Twarz Noworodka przypominała oblicze samej Śmierci.

– Jaki piękny... – wymamrotał Gediman.

Ripley spojrzała na niego. Doktorek nie posiadał się z radości, pławił się w uniesieniu, jakby podarował wszechświatowi najwspanialszy prezent, jaki mogła spłodzić nauka.

Ripley była o krok od przyłączenia się do niego w oblężeniu. Odwróciła się od naukowca, ponawiając próby ucieczki.

Noworodek wydostał swe masywne cielsko z trzewi matki.

Królowa, nie trawiona już tak dojmującym bólem, pojękiwała teraz cichutko, prawie przestała się szamotać. Wyciągnęła drżącą łapę w kierunku dziecka. Ripley wyobraziła sobie, że wykonuje się identyczny gest, przypomniała sobie, jak mąż podał jej córeczkę i położył na piersi. A potem ona wybuchnęła płaczem, który zaraz przerodził się niemal w histeryczny śmiech, kiedy we dwoje cieszyli się cudem mokrego jeszcze, zdrowego i wydającego cichy odgłos maleństwa.

Gdy Królowa sięgnęła łapą po swoje dziecko, Noworodek odwrócił się od niej.

Nie osiągnął jeszcze pełnych rozmiarów, stwierdziła, nie wiadomo skąd o tym wiedząc Ripley. W ciągu jednego dnia stanie się dwa, a nawet trzy razy większy. A jego apetyt nie ma granic. Podobnie jak dzikość i wrogość. Organizm doskonały.

Kiedy Noworodek wydostał się z łoża, Ripley zwróciła uwagę na jego dłonie. Były silne i masywne jak łapy Obcych, ale miały tylko pięć palców. Długie paznokcie i blada skóra sprawiały, że dłonie stworza wyglądały...

...jak moje! Pomyślała Ripley, poruszona do żywego.

W powodzi czułości Noworodek poczołgał się po ciele matki ku jej głowie. Królowa wydawała łagodne, kojące dźwięki, typowe maczyne odgłosy, oglądała młode, najwyraźniej dumna ze swojego nowego potomka. Noworodek zbliżył się jeszcze bardziej i przez chwilę mogło się wydawać, że chce pocałować matkę.

I wtedy jednym gwałtownym, niewiarygodnie zamaszystym ruchem wielkiej łapy oderwał głowę Królowej. Krew rozbryznięła się na wszystkie strony.

Ripley, wciąż pozostająca z Królową w kontakcie telepatycznym, zawyła wraz z nią z

bólu i zgrozy.

Noworodek wciąż atakował wstrząsane konwulsjami ciało matki i zębami rozrywał je na strzępy, przelękając co chwilę odgryzione kawałki ciała. Uodporniony na żrącą krew Noworodek sycił się ciałem rodzicielki.

Ripley poczuła śmierć Królowej, kiedy więź telepatyczna między nimi została przerwana. Było to bolesne zerwanie, ostre jak złamana kość, której postrzępione końce wryły się z przeraźliwą siłą w jej mózg i duszę. Spróbowała nawiązać kontakt z wojownikami, potrzebowała tego.

Wojownicy miotali się rozpaczliwi, ogarnięci paniką i kompletnie zdezorientowani, kiedy Królowa, istota będąca dla nich wszystkim, została brutalnie uśmiercona.

Ripley miała wrażenie, że otaczają ją wyjące dusze piekieł, kiedy Obcy zanosili się przeciągłym ochryplym skrzeczeniem, a Noworodek w dalszym ciągu pożerał zwłoki matki.

Nagle Ripley zorientowała się, że nie tylko robotnicy wydają odrażające dźwięki. Odwróciła się. Gediman wciąż mamrotał do siebie, ale po jego drugiej stronie wisiał w kokonie ktoś jeszcze. Żołnierz.

Wojskowy właśnie odzyskał przytomność i próbował wychwycić sens koszmaru, jaki rozgrywał się na jego oczach, i swoją w nim rolę. Jego oczy rozszerzyły się i zaczął się miotać z coraz większą zawziętością, gwałtownością i zapamiętaniem. Z jego ust wydobył się histeryczny wrzask. Prawie udało się mu uwolnić jedną rękę i sięgnął w stronę czegoś, co znajdowało się tuż przy nim.

Ripley z wysiłkiem odwróciła głowę i stwierdziła, że żołnierz usiłuje dosięgnąć pistoletu, który tkwi w pajęczynie, i już niemal dotyka go koniuszkami palców. Minał dłonią lufę, sięgnął nieco dalej i pociągnął. Broń odpadła od pajęczyny. Zsunęła się w dół ściany zbiornika i z pluskiem wpadła do morza krwi.

Żołnierz patrzył na to początkowo z niedowierzaniem, później z rozpaczą. Znow zaczął krzyczeć i mocować się zawzięcie z krępującymi go żywicznymi pętami.

Ripley rozluźniła mięśnie, zbierając siły, by podjąć kolejną próbę swojego uwolnienia, ale czuła się zmęczona, tak bardzo zmęczona. Utrata telepatycznej więzi z Królową uczyniła ją zdezorientowaną i zagubioną.

Noworodek zbryzgany krwią matki zmarł nagle w bezruchu, po czym przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. Odwrócił ją powoli i Ripley po raz pierwszy miała możliwość tak naprawdę przyjrzeć się obliczu stwora. W głębi przepastnych, masywnych oczodołów ujrziała dwoje błyszczących oczu, takich same jak jej własne.

Przyjrzała się uważniej. Amy też miała moje oczy, pomyślała, czując, jak w jej piersi narasta histeryczny śmiech.

Żołnierz także spostrzegł oczy lśniące w przerażającej trupiej czasce Noworodka i wrzasnął jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej histerycznie.

Noworodek podniósł się niezdarnie.

Już urósł! Stwierdziła Ripley.

Stanąwszy na chudych, drżących, patykowatych nogach, dwumetrowe niemowlę zrobiło kilka pierwszych w życiu kroków, zbliżając się do żołnierza.

Mężczyzna tymczasem zdołał uwolnić się częściowo z więzów i walczył rozpaczliwie, by oswobodzić się do końca. Noworodek zbliżał się powolnym, niespiesznym krokiem.

Żołnierz wrócił do pionu i tylko jedna noga pozostawała przyklepiona do ściany.

Kiedy Noworodek podszedł bliżej, jego masywna, przerażająca sylwetka i upiorny wygląd kompletnie sparaliżowały żołnierza.

Noworodek obwąchał mężczyznę, a Ripley zauważyła, że jego potężne cielsko drży jak pod wpływem jakiegoś ataku.

I wtedy olbrzymie szczęki Noworodka rozwarły się i rozwierały się coraz szerzej i szerzej. Jak wąż szykujący się, by pożreć ofiarę, potężne szczęki rozchyliły się niewiarygodnie szeroko, jakby nie miały zawiasów i zawisły nad uwięzionym mężczyzną. Ripley nie dostrzegła u tej istoty sztywnego, zakończonego zębami języka, a jedynie owe masywne szczęki i upiornie długie, lśniące, białe zęby.

Z niesamowitą szybkością Noworodek uderzył, zatapiając długie kły w ciemieniu mężczyzny. Żołnierz odzyskał głos, wrzeszcząc jeszcze przeraźliwiej, kiedy strużki krwi ściekły mu z czoła, spływając do oczu, uszu i ust.

O Boże! O nie! Nie! pomyślała Ripley modląc się o kontakt z Noworodkiem, żeby go jakoś powstrzymać. Ale stwór zupełnie ją zignorował.

Przy wtórze przyprawiającego o mdłości mlaskaniu i chrzęstu miażdżonych kości Noworodek oderwał wierzchołek czaszki żołnierza z taką łatwością, jak człowiek ścina czubek jajka na twardo. Jego mózg został odsłonięty, błyszczący, różowy, pulsujący. Ripley Jęknęła ze zgrozy i odwróciła się. Słyszała dźwięk rozdzieranych miękkich tkanek, wilgotne odgłosy przeżuwania i połykania przeplatane jękami i gulgotaniem konającego żołnierza. Poczła metaliczną woń śmierci i krwi, gdy mężczyzna wreszcie zwiotczał, wisząc głową w dół. Żywica nadal unieruchamiała jego jedną nogę i rękę. Resztki krwi skapywały w gęstą breję poniżej. Ripley zamknęła oczy.

Gediman chichotał z zadowoleniem i mruczał: „Tak! Tak! Dobre maleństwo! Jakie piękne!” Nagle ucichł.

Ripley odwróciła się, by spojrzeć, co się stało.

Noworodek skupił uwagę na Gedimanie i przyglądał mu się z taką samą fascynacją jak on jemu. Ripley widziała długie, wąskie żyły przecinające czoło Noworodka, ich układ przypominał konfigurację czarnych rurek u Obcych.

Tyle, że te żyły, niewidzialne przy narodzinach, pulsowały teraz krwią zabitego żołnierza. Zupełnie, jakby Obcy został skrzyżowany z wampirem. Noworodek potrzebował gorącej, pożywnej krwi, by nasycić swe zimne żyły. Czerwone żyły nabrzmiały wyraźnie, wyglądały jak upiorna mapa topograficzna, na której trójwymiarowe czerwone linie wyznaczały drogi wodne.

Gediman całkowicie znieruchomiał, jakby odzyskał rozum na tyle, aby zorientować się, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Noworodek wciąż go obserwował i końcu naukowiec zachichotał nerwowo.

Noworodek przekrzywił łeb, spojrzał znacząco na Gedimana i oblizął okrwawione zębiska długim węzowym językiem...

Purvis cierpiał, cierpiał tak bardzo, że nie potrafił praktycznie stwierdzić, co boli go bardziej. Jego rany płonęły żywym ogniem, przerażający ból był dziełem kuli, która utkwiała w jego tkankach. Cierpiał tak straszliwie, że prawie nie był w stanie myśleć. Ale ten ból w brzuchu... Boże, ból w brzuchu wręcz go rozdzierał. Jakby coś się w nim szamotało, wilo jak wąż, szukało drogi wyjścia. Miał mdłości, kręciło mu się w głowie i do tego ten dojmujący ból...

Mimo cierpienia zdołał skoncentrować się na scenie, która rozgrywała się nieopodal.

Bliski paniki Wren zacisnął rękę na szyi Call tak mocno, że prawie zaczęła się dusić.

Rana w jej klatce piersiowej mrugała i migotała osobliwie. Wren z całej siły wbijał lufę w twarz androida. Purvis wiedział, że tamten sprawia jej ból. Call, która tak bardzo starała się wszystkich ich ocalić. Zawłaszcza Larry'ego Purvisa.

Wren krzyczał.

– Ta syntetyczna suka podłączy się ponownie do *Aurigi* i przeprowadzi manewr lądowania według standardowej procedury operacyjnej.

Call próbowała coś powiedzieć, ale głos jej się łamał.

– Nie, nie robi tego!

Distephano postąpił w stronę przełożonego.

– Pan oszalał! Nadal chce pan sprowadzić te istoty na Ziemię?

– Czy ty w ogóle dzisiaj uważałeś? – rzucił sarkastycznie Johner.

Purvis poczuł, że coś rozwinęło się w jego wnętrzu i jęknął, oplatając obiema rękami brzuch.

Widać było, że Wren jest bliski załamania.

– Obcy zostaną unieruchomieni przez drużyny kwarantannowe wojska stacjonującego w bazie. – Nagle Wren odsunął pistolet od głowy Call i skierował go w stronę pozostałych.

– Na jakieś pięć sekund – warknął android.

Naukowiec znów wkręcił jej lufę broni w policzek, z taką siłą, że się skrzywiła.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Powiedziałem, zamknij się!

W tym momencie Purvis poczuł przeraźliwe rwanie w samym środku klatki piersiowej, na wysokości splotu słonecznego. Spuścił wzrok. Na jego bluzie wykwitła plama krwi.

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem, nie pojmując co się dzieje.

Wszyscy inni również zamarli, nawet Wren.

I wtedy Purvis zrozumiał. To coś w jego wnętrzu. Nadeszła pora, aby się narodziło. Nie został na czas zamrożony, a teraz już było za późno. Stwór przeżarł się przez niego, zębami utorował sobie wyjście z jego ciała i zabijał go. A odpowiedzialny był za to Wren, ten pieprzony skurwysyn, naukowiec. Załoga *Betty* mogła dokonać porwania, mogła dostarczyć go tutaj, ale projekt zainfekowania żywych ludzi potworami z piekła rodem był dziełem tego człowieka.

Purvis poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość, silniejsza nawet niż Obcy, który go zabijał.

Wyprostował się i spojrzał gniewnie na Wrena.

Naukowiec musiał rozpoznać niektóre z odczuć malujących się na twarzy Purvisa, bo odsunął pistolet od głowy Call i wycelował w cywila. Ale Purvis wcale się tym nie przejął. To był tylko pistolet. Mógł jedynie przynieść mu szybszą śmierć, którą on przyjąłby ja serdeczny podarunek.

Ruszył przed siebie powoli, powłócząc nogami, jak żywy trup. Maszerował nieubłaganie w kierunku naukowca, który ze zgrozy zamarł w kompletnym bezruchu. Purvis z zadowoleniem powitał wyraz nieskrywanego przerażenia na twarzy tego wiecznie z siebie zadowolonego skurwiela. Targnął całym ciałem naprzód, walcząc z własnym cierpieniem jak opętaniec... tylko że on naprawdę miał w sobie coś... Przerażony Wren wypalił.

Kula trafiła Purvisa w drugie ramię, odrzucając go o krok, ale nie zatrzymując. Stwór w jego wnętrzu poruszał się teraz z szaleńczym pośpiechem, wygryzając sobie gwałtownie drogę ku wolności, i z takim zapamiętaniem, że Purvis nie czuł nic prócz tego, nawet kul przeszywających jego ciało.

Jak przez mgłę widział krew ściekającą mu po brzuchu, ramionach i plecach. Miał jednak tylko jeden cel i nie przejmował się niczym innym. Cały jego wszechświat zawęził się, teraz był tylko Wren...

Naukowiec strzelał raz po raz, każda kula dosięgła Purvisa. Wren rozluźnił nieco uścisk z szyi Call, a ta szybkim wprawnym ruchem wbiła mu łokieć w splot słoneczny i jednocześnie schwyciwszy mały palec unieruchamiającej ją dłoni, odgięła go tak, że pękł z niezbyt głośnym, acz słyszalnym chrupnięciem.

Wren krzyknął i puścił ją, a kiedy potoczył się po pokładzie, kolejny strzał naukowca chybił celu, przeszywając oparcie stojącego opodal fotela.

A w następnej chwili Purvis był już przy Wrenie i trzasnął go w twarz pięścią, tak

mocno, że poczuł jak pod jego kłykciami łamie się gruchotana chrząstka nosa. Pistolet wypadł doktorowi z ręki, a Purvis kątem oka dostrzegł, że Johner natychmiast schylił się by go podnieść.

Purvis jakimś cudem zebrał w sobie siły, by ponownie wyrznąć w tę znieawidzoną twarz i bił raz za razem, póki krew nie puściła się strumieniem z nosa, ust, rozbitych warg i poranionych dziąseł. A potem rąbnął go jeszcze kilka razy.

Usiłując umknąć przed gradem zajadłych ciosów, Wren upadł i przeturlawszy się na brzuch, próbował odpełznąć jak najdalej od Purvisa i jego niesłabnącej furii. Purvis usiadł ma na plecach niczym demonicznie– obsceniczny kochanek i schwyciwszy za włosy, odchylił mu głowę do tyłu.

– Nie! – krzyknął Wren. – Nie! Nie! Nie!

Purvis przytrzymując za włosy kilkakrotnie rąbnął jego głową o podłogę, raz, drugi, trzeci, czwarty, dopóki Wren nie zmienił się w rozdygotaną, szlochającą, jęczącą, bezradną galarete.

Nagle Vriess zawołał: „Call! Johner! Żołnierzu! Uwaga!” I cisnął obu mężczyznom dwa karabiny, które były ukryte pod konsolą dowodzenia.

Nie puszczać włosów Wrena i wciąż rozmazując jego twarz po podłodze, Purvis poczuł, że przeraźliwy ból w jego trzewiach narasta.

Chwytając naukowca za włosy, obiema rękami odchylił głowę coraz słabiej stawiającego opór doktorka z całej siły do tyłu, mocniej aniżeli Wren kiedykolwiek chwycił Call.

Krzyk zrodził się głęboko w trzewiach Purvisa, który zastanawiał się przez chwilę, czy słyszy wrzask potworka, wrzask narodzin, kiedy dźwięk powędrował w górę i wypłynął przez jego usta. Czuł, jak stwór się porusza, przegryza, jak małe, paskudne zęby wyzerają go od środka, rozszarpując organy wewnętrzne, przeponę, płuca, łamiąc żebra.

Jego klatka piersiowa wygięła się na zewnątrz, plama krwi na piersi powiększyła się, rozkwitła w gwałtownej erupcji posoki, pogruchotanych kości i porozrywanych organów. I wtedy jednym potężnym nadludzkim wysiłkiem niezmierzonej nienawiści i żądzy zemsty Purvis przyciągnął głowę Wrena do siebie, przytykając ją do broczącej krwią rany na swojej piersi. Teraz obaj, Purvis i Wren, krzyczeli na całe gardło.

Wren zamachał rękoma, usiłując uwolnić się od nieustępliwego prześladowcy, ale targany konwulsjami Purvis okazał się nieprzejednany i nieugięty.

Purvis poczuł, jak jego żebra, wyginane na zewnątrz, pękają jedno po drugim. Przysunął mocniej do siebie głowę Wrena, wiedząc, że jest już prawie po wszystkim. To skończy się tutaj. Ale tak, jak on tego pragnął. Przynajmniej jedno zrobi po swojemu.

Poczuł, jak rodzi się embrion. Gdy jego płuca zostały rozszarpane, przestał krzyczeć, ale głos Wrena wystarczał za dwóch. Embrion Obcego wyprysnął zeń, wbijając się w potylicę Wrena.

Ostatnim obrazem, jakim zarejestrowała świadomość Wrena, było coś małego i węzowatego, co przewierciwszy się na wylot przez mózg, wydostało się z drugiej strony jego czaszki, wrywając potężny fragment czoła. Wrzaski naukowca urosły do upiornego crescendo, na które, zdawać by się mogło, złożyły się połączone przedśmiertne okrzyki całej grupy uprowadzonych hibernatusów oraz żołnierzy ze stacji, którzy zostali schwytani przez Obcych.

Dla Purvisa krzyki Wrena brzmiały niczym słodka pieśń zemsty.

Obcy rodząc się zbryzgał wszystkich zebranych wokół krwią i strzępkami tkanek, toteż błyskawicznie cofnęli się o kilka kroków. Przezroczysta istota wiała się w głowie Wrena, usiłując uwolnić się z ciasnego więzienia jego czaszki. Stwór syczał zuchwale na uzbrojoną załogę. Wrzask Wrena stanowił przeraźliwe echo dla skrzeku wężopodobnej

istoty.

Zanim jego oczy zaćmił wieczny mrok, Purvis ujrzał, jak załoga *Betty* przeładowuje broń.

Kiedy zaczęli strzelać, bardzo żałował, że nie może powiedzieć im „dziękuję”.

Ocalała czwórka słała kulę za kulą w konających mężczyzn i skrzeczącego Obcego, impet pocisków sprawił, że ciała podrygiwały i tańczyły groteskowo, zabрызgując wnętrze *Betty* krwią, zarówno ludzi, jak i Obcego.

W końcu Wren i Purvis przestali podrygiwać, a z embriona uwięzionego w czaszce naukowca pozostały jedynie strzępy.

Call podeszła do zwłok. Płakała. Odkopnęła brutalnie ciało Wrena leżącego jej na drodze – miała ochotę posłać mu jeszcze parę kul, lecz zdołała się pohamować.

Jakby powiedział Johner, byłoby to pieprzone marnowanie amunicji.

Przyklękła przy Purvisie i delikatnie dotknęła jego twarzy.

– Wygląda... jakby był nam za to... wdzięczny... – zachlipała.

Wielka dłoń Johnera zacisnęła się jej na ramieniu.

– o był, Annalee, wiedział, że staramy się wyświadczyć mu przysługę. Wierzył, że to zrobimy. Liczył na to.

Spojrzała na twarz człowieka z blizną. W tej chwili wyraźnie złagodniała. Poklepała go po rękę i skinęła głową.

– Chodźcie – rzucił półgłosem Distephano. – Pora stąd spadać. Ciał będziemy się mogli pozbyć, kiedy już uwolnimy się od *Aurigi*.

Tak, pomyślała ponuro Call. Jeśli tylko się od niej uwolnimy.

14.

Spętany niemi kokonu Gediman kołysał się wolno w tył i w przód. Miał otwarte oczy, ale jedyne, co mógł nimi widzieć, to życie pozagrobowe, oczywiście jeżeli istniało dla takich jak

ona łajdaków. Bądź co bądź umarł w piekle.

Gediman wyglądał dziwnie i przerażająco za razem, wciąż roniąc resztki organicznych płynów w odrażającą krwawą breję poniżej. Brak wierzchołka czaszki i mózgu nadawał jego okrwawionemu obliczu nieludzkiego wyglądu.

Podczas gdy Noworodek pałaszował jego mózg niczym pudding, z klatki piersiowej naukowca wy dostał się niewielki embrion – kompletnie zlekceważony przez blade monstrum – i śmignął poprzez kałuże krwi, pozostawiając Gedimana wijącego się i miotającego w przedśmiertelnych konwulsjach.

Ripley nigdy nie zapomni tej sceny. Ani w tym, ani – stłumiła w sobie chęć wybuchnięcia histerycznym śmiechem – w następnym wcieleniu.

Wciąż wisiała głową w dół, przy ścianie zbiornika, do którego przyklejono ją pasami organicznej żywicy. Wisiała milcząco, w kompletnym bezruchu, podobnie jak pozostali uwięzieni załoganci, którzy na swoje szczęście byli wciąż nieprzytomni. Ripley zazdrościła im. Nawet nie zadrżała, bała się choćby mrugnąć czy głębiej odetchnąć. Wisiała nieruchomo, czekając, aż Noworodek zainteresuje się czymś innym zwłaszcza że skończył właśnie z trupem Gedimana.

Stwór rozejrzał się dokoła, zlustrował miotających się wewnątrz zbiornika Obcych, zerknął na trupa swojej matki, na resztki pozartego żołnierza i wciąż kołyszącego się martwego Gedimana. A potem masywna głowa odwróciła się wolno i uśmiechnęła odrażająco do Ripley.

Noworodek podszedł do niej powoli, acz z pajęczą zwinnością, sunąc po ścianie zbiornika i przytrzymując się chwytymi odnóżami żywicznych włókien.

Ripley usiłowała zapanować nad swoim strachem i oddechem. Im bardziej potwór się przybliżał, tym bardziej Ripley mogła mu się przyjrzeć, co z pewnością nie sprzyjało

realizacji postanowienia. Oblicze istoty było spryskane kropelkami krwi i różowej tkanki mózgowej, jej resztki tkwiły również między potężnymi zębiskami. Kiedy odetchnął prosto w twarz Ripley, kobieta poczuła wyraźnie woń świeżej krwi.

Potwór znajdował się teraz o wyciągnięcie ręki od jej twarzy. Ripley zadrżała, próbując pohamować swój strach, zapanować nad instynktownym pragnieniem poddania się panice i rzucenia się do ucieczki. Jakaś jej część nie chciała i nie mogła uwierzyć, że do tego doszło. Tyle wysiłku. Tyle trudu. Tak zajadle walczyła. Czy będzie musiała znów przez to przechodzić, w jakimś innym wcieleniu? Czy jakieś złośliwe bóstwo rządzące jej kolejnymi żywotami uparło się, że będzie się odradzać, by przeżywać wciąż ten sam, powtarzający się koszmar?

Usta Noworodka otworzyły się i wysunął się z nich długi, giętki, węzowaty język. Ripley napięła mięśnie, próbując nie myśleć, że lada moment ten stwór może zerwać jej wierzch czaszki i wyrzucić mózg.

Język delikatnie dotknął twarzy Ripley, zlizując znajdujące się na niej resztki żywicznego śluzu. Kobieta zamrugła, oczekując tego co nieuniknione. Stwór znowu ją polizał, niczym monstualny kot, sprawnie oczyszczając jej twarz, szyję i ramiona.

Noworodek troskliwie usunął lepłą żywicę, która przytwierdzała Ripley do ściany zbiornika. Stwór działał wolno i bardzo ostrożnie, starając się nie naruszyć cienkiej, wrażliwej skóry ani nie pociągnąć zbyt mocno jej gęstych, kręconych włosów. Chociaż zakończone pazurami, przerażające dłonie okazały się nagle delikatne, gdy Noworodek pasmo po paśmie uwalniał Ripley z organicznych więzów.

A kiedy monstrum już ją wyzwoliło, a wyrok śmierci przynajmniej na razie został odrzucony, Ripley spojrzała w głąb zapadniętych, brązowych oczu, o identycznym jak u niej odcieniu brązu, i coś w nich dostrzegła.

Właśnie wtedy został nawiązany kontakt telepatyczny, myślowa więź dotknęła jej umysłu, szepcząc o genetycznym pokrewieństwie, którego nie mogła się wyprzeć. A potem pojawiła się reszta. Tęsknota za parującym ciepłem gniazda-wylęgami, siłą i bezpieczeństwem, jakie daje bliskość istot jej gatunku. Zaledwie przed chwilą dręczyła ją samotność jednostki. Ale teraz dano jej — ponownie — szansę na przyłączenie się do nich, na powrót.

Znajdowała się w gnieździe. Mogła dołączyć do wojowników i służyć jako Królowa, matka Noworodka. Po to właśnie żyła.

Ponieważ ta powłoka, to ludzkie naczynie zwane Ripley było matką ich wszystkich.

Pierwszym łonem. Pierwszym wojownikiem. I żyła dość długo, by wszystko poznać, by dzielić z nimi chwałę. Ripley była sercem ula. Założycielką gniazda. Babką Noworodka.

To była odpowiedź, której poszukiwała. Dlaczego? Oto dlaczego. Spojrzała w wodniste, brązowe oczy, które mogły być jej własnymi, i wyciągnąwszy dłoń położyła ją na czaszce Noworodka. Powiodła po długiej, obcej czaszce, pocierając ją tak, jak robiła to z Amy, gładząc ją tak, jak kiedyś gładziła Newt. To było jej dziecko, tak jak one.

Noworodek wydał cichy pisk i spojrzał na nią, a Ripley poczuła, że kontakt telepatyczny pogłębia się, przybiera na sile. Jakże owa więź różniła się od tamtych, a równocześnie była taka sama. Tyle że w tym kontakcie było coś więcej, coś niezaprzeczalnie ludzkiego.

Zupełnie jakby połączyła się z częścią siebie, spaczoną, skrzywdzoną, częścią, z którą związana była cała jej brutalna determinacja i żądza przetrwania. Organizm idealny.

Ale idealny do czego?...

I nagle z nawały wspomnień wypłynął głos, który pochodził ze wspomnień podarowanych jej przypadkiem przez Obcych. Usłyszała głos Newt, zupełnie jak wtedy, po raz pierwszy w inkubatorze.

„Moja mamusia mówiła, że potworów wcale nie ma... że one tak naprawdę nie istnieją...

Ale przecież one są."

Ripley wzdrygnęła się, wciąż nękana intensywnością telepatycznego kontaktu

Noworodka, porażona przeraźliwą obcością istoty domagającej się jej posłuszeństwa.

Noworodek papugował słowa Newt: „Wiedziałam, że przyjdiesz."

Gdy usłyszała te słowa miłości z ust groteskowej trawestacji żywej istoty, zrobiło się jej niedobrze.

A potem usłyszała zniekształcony, mechaniczny głos.

„Czemu nadal żyjesz? Jak możesz to znosić? Jak jesteś w stanie znosić... samą siebie?"

„Nie miałam większego wyboru", odparła z przekonaniem. Nigdy nie miała większego wyboru, nie, odkąd wybudziła się z hibernacji na *Nostramo* w niewłaściwym zakątku kosmosu.

Ale teraz miała wybór. Po raz pierwszy naprawdę miała wybór.

„Dlaczego przejmujesz się tym, co się z nimi stanie?" zapytała Call, mając na myśli ludzi. Teraz Ripley zadała sobie to samo pytanie: Dlaczego się tym przejmowała? Co kiedykolwiek dla niej uczynili, że tak bardzo jej na nich zależało? Może Ripley była nowym modelem frajerki...

Zaczęła szukać kontaktu ze swoimi, usiłując zbadać kim i czym była, aby móc dokonać właściwego wyboru. Szukała siły i bezpieczeństwa gniazda. Zamiast tego czuła tylko ból i dojmującą stratę. Czuła się pusta. Wydrażona. Tak jak od czasu swoich narodzin.

Kiedy zaczęła sięgać telepatycznie w przestrzeń, głęboko w swoim wnętrzu usłyszała głosy dzieci, dwóch dziewczynek, ludzkich dzieci, wołających do niej z otchłani czasu.

„Mamo! Mamusiu!"

Ripley zajrzała w wodniste, gadzie oczy Noworodka i odsunęła rękę. Z przeciągłym

jękiem, dręczona uczuciem straty dokonała wyboru. Znała odpowiedź. Była zawarta w jej genach. Pomimo pokus ze strony Obcych, mimo ich siły i potęgi, naturalności działań i celów wiedziała, że musi przetrwać.

Aby ocalić ludzkość. To była naturalność jej celów i działań wzmocniona jeszcze manipulacją genetyczną.

Była Ripley. Zawsze nią była i zawsze będzie. Ripley. Zniszczy Obcych. Zrobi to za wszelką cenę.

Biorąc głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, Ripley ostrożnie dokończyła uwalnianie się z żywicznej pajęczyny. Starła się zachować jasność umysłu, obserwując Noworodka, kierując potok życzliwych myśli w jego stronę i pozbawionych przywódcy wojowników, usiłujących teraz, kiedy ich Królowa zginęła, wymyślić, co powinni zrobić dalej.

Noworodek cofnął się. Ripley zerwała ostatnie pasma przytwierdzające ją do zbiornika, po czym uchwyciła się kilku bardziej elastycznych nitek, by nie runąć do krwawego bajora poniżej. Nie spuszczała oczu z Noworodka, który przekrzywiwszy zniekształconą głowę starał się zrozumieć poczynania Ripley.

Kobieta spuściła wzrok, spoglądając na powierzchnię jeziora posoki i nieczystości.

Oblizwała wargi i w jej myślach pojawiło się kolejne wspomnienie... wielki kocioł wypełniony rozgrzanym do białości ołowiem. Cóż, trudno... Rzucała się w gorsze świństwa.

Owinąwszy pasma elastycznej żywicy wokół nadgarstków, Ripley wykorzystała je jak akrobatka do wykonania zgrabnego wymyku i zanurkowała w upiornej sadzawce. Zanurzyła się z głową, znikając pod cuchnącą zgnilizną, czerwoną powierzchnią, podczas gdy Noworodek przyglądał się z uwagą.

Stwór podszedł do miejsca, gdzie zniknęła Ripley. Towarzyszyło mu dwóch Obcych, którzy płynęli przez breję jak krokodyle, pomagając sobie ogonami.

Ripley pod wodą rozejrzała się dokoła; wiedziała, że Noworodek zagłębia w mroczne odmęty i szuka jej. Aby ich nie przestraszyć, Ripley wyłoniła się powoli z cuchnącego jeziora. Wystawiła głowę nad wodę, po jej włosach, twarzy i szyi spływała krew.

Dwaj wojownicy stanęli po jej bokach, gotowi dla zachowania gniazda wystąpić przeciw Noworodkowi.

Wreszcie Ripley wynurzyła się całkiem z nieprzejrzystej brei, sięgającej jej do kolan. W rękach trzymała pistolet, który wypadł uwięzionemu w pajęczynie żołnierzowi.

Spokojnie, z wprawą przeładowała broń i okręcając się w miejscu poczęstowała paroma kulami najpierw jednego, a potem drugiego Obcego. Dwa stwory zawyły, eksplodując pod gradem pocisków, a ich żrąca krew zbryzgała ściany zbiornika. Kwas przeżarł się przez metal, a przez dziury po nich, jak promienie lasera, wpadły strugi światła.

Ripley obróciła się energicznie, żeby rozprawić się z Noworodkiem, a pod czaszką czuła płynące z umysłu istoty wrażenia szoku i zdumienia, wywołane jej zdradą. Potwór wyprostował się, groźnie przeciągnął ramiona i zawył, rzucając wyzwanie zdrajczyni.

Rozjuszone monstrum rzuciło się na Ripley. Ta odskoczyła, unosząc broń, ale nie mogła nacisnąć spustu.

Zastrzel go! rozkazała sama sobie. Zastrzel to plugastwo! Zrób to!

Ale coś, jakiś genetyczny imperatyw, któremu nie mogła się oprzeć, powstrzymało ją.

Była wściekła sama na siebie, ale wiedziała, że nie zdoła strzelić.

Zdesperowana i sfrustrowana, obróciła się na pięcie i wypaliła w osłabione miejsce w ścianie zbiornika, powiększając znajdujące się tam już dziury. Następnie kilkoma szybkimi kopniakami rozszerzyła otwór wychodzący na jasno oświetlony korytarz, którego nie знаła i o którym nawet nie wiedziała. W ostatniej chwili przeczołgała się przez postrzępioną dziurę, spadła po drugiej stronie, niemal upuszczając broń, i wtedy łapa Noworodka wyprysnęła

przez otwór, żeby ją pochwycić i prawie dotknęła bluzy na plecach.

Posuwała się przed siebie na czworakach, ciągnąc za sobą broń; pragnęła znaleźć się możliwie jak najdalej od tego miejsca. Noworodek mocował się z jej prowizorycznym wyjściem awaryjnym, usiłując je powiększyć, ale tworzywo okazało się zbyt mocne, a otwór za mały, by pomieścić jego ogromne cielsko.

Ripley uniosła pistolet i wypaliła w rząd rur, dziurawiąc jedną, zanim zabrakło jej amunicji. Strugi pary buchnęły z wnętrza przewodu i wypełniły wnętrze korytarza.

Upuszczając bezużyteczną już broń, chwyciła rurę oburącz, ciągnąc ją i szarpiąc, aż ta wygięła się pod odpowiednim kątem.

Ripley skierowała ją ku zbiornikowi odpadów.

Para poparzyła delikatną, świeżą, niemal kruchą skórę Noworodka. Stwór zaryczał z bólu i wściekłości, ale wciąż jeszcze usiłował powiększyć niewielki otwór, podczas gdy Ripley odwróciła się i pobięła tak szybko, jak tylko mogła.

- Wydostaniemy się stąd kiedykolwiek? - rzucił Johner, a Call usłyszała w jego głosie nutkę paniki.

- Wydostaniemy się - odrzekł spokojnie Vriess, ale Call i u niego wyczuwała napięcie. - Tylko nie trać głowy.

Planeta Ziemia wypełniła całą powierzchnię ekranu. Był to wciąż w przeważającej mierze błękitny glob, którego powierzchnię tu i ówdzie skrywały kłęby chmur. Jednak w prawie dwóch trzecich przesłaniała ją znajdująca się na orbicie wielka metalowa kratownica stacji kosmicznej, gdzie realizowana była część operacji kosmicznych prowadzonych przez współpracujące ze sobą rządy i wielkie korporacje. Stacja była niczym fragmentaryczna skorupa Ziemi i obracała się nieco szybciej niż sama planeta. Call wiedziała, ilu żyje tam ludzi - a gdyby chciała, mogła w każdej chwili uaktualnić swoją informację, ale nie chciała o

nich myśleć. Nie chciała myśleć o ludziach, którzy żyli na Ziemi i którzy nie mieli pracy ani żadnych praw. Większość znaczących prac wykonywano obecnie w kosmosie lub w koloniach. Znalezienie niezamieszkanego miejsca na planecie, gdzie można by rozbić *Aurigę*, nie było trudne. Johner nie kłamał. Ziemia była jednym wielkim cuchnącym bagnem. Połączyła się z *Betty* przez wejście w przedramieniu, odliczając czas do odłączenia statku od *Aurigi*. Zaprogramowała już statek tak, by bezpiecznie ominął olbrzymią orbitalną stację i uderzył w powierzchnię planety w najbardziej odludnym zakątku Australii. Skrzydła *Betty* uniosły się w górę. Pirat przygotowywał się do odłączenia.

Już niedługo. Wkrótce rozstaną się ze stacją, pozostawiając cały ten koszmar za sobą. Call westchnęła. Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że pozostawiają tutaj także Ripley. Ripley najszybciej jak mogła pokonywała korytarze, niemal instynktownie obierając drogę do *Betty*. Głos Call - głos *Aurigi* - raz po raz nakazywał ewakuację i groził, że do zderzenia zostało już tylko kilkanaście minut. „Do licha, przecież już szybciej nie mogę!” odkrzyknęła komputerowi zdyszana i sfrustrowana.

Gdy minęła ostatni zakręt, ujrzała, że masywne drzwi do doku *Betty* zamykają się, a głos Call oznajmił: „Śluza się zamyka. Nie podchodzić.”

- Neeeeeee! - zawyła przeciągle, z impetem rzucając się naprzód. Drzwi zamknęły się przed nią, toteż wymierzyła skok w duże okno, znajdujące się w górnej ich części, okno z hartowanego tworzywa, dostatecznie silnego, by oprzeć się próżni kosmosu.

Rzuciwszy się z całej siły na prostokąt twardego szkła, przebiła go na wylot i wylądowała po drugiej stronie, pośród gradu odłamków.

Usłyszała dźwięczny, metaliczny szczęk oznaczający zwalnianie kolejnych magnesów cumowniczych.

- Nie! - zawołała, jakby ktokolwiek na pokładzie małego stateczku mógł ją usłyszeć.

Głuchy łomot za jej plecami sprawił, że obejrzała się przez ramię. I ujrzała Noworodka, łomoczącego do drzwi, usiłującego przedostać się przez wybitą szybę, choć trudno było stwierdzić, czy ciało istoty nie okaże się zbyt wielkie w porównaniu do rozmiarów otworu.

Ripley poderwała się z płyt pokładu i pobiegła przez dok w kierunku małego statku.

Kolejny magnes odłączył się z głośnym brzękiem. Biegąc przez platformę lądowiska Ripley przyspieszała i przyspieszała coraz bardziej, aż ujrzała statek i ostatni, wciąż jeszcze przyłączony doń magnes. Jeszcze pięć metrów... Trzy...

- Już nas prawie nie ma, maleńka - zagruchał Vriess. a Call uśmiechnęła się wiedząc, że zwracał się do statku.

Oboje monitorowali potok informacji na temat obecnego stanu *Betty*. Stabilizator w ładowni spisywał się jak należy. świadcząc, że naprawy dokonane przez Vriessa przed zacumowaniem przy *Auridze* okazały się skuteczne. Były pewne drobne problemy z hydrauliką śluzy, spowodowane niewielkim wyciekiem. Najwyraźniej coś się wydarzyło, kiedy rozwalali embrion, który wylął się z Purvisa, albo może kula uszkodziła przewód albo też przeżarła go krew Obcego. W statku tej wielkości nawet najmniejsza utrata ciśnienia mogła wpłynąć na resztę systemów w całej jednostce. Ale śluzy były zamknięte, toteż nie powinno ich to powstrzymać przed uwolnieniem się od *Aurigi*.

- Śluzy sprawdzone - oznajmiła Call, upewniając się, że Vriess ją usłyszał. -

Rozpaczam procedurę otwarcia zewnętrznych wrót doku.

Tworzyła ze statkiem jedność, była nim. Uczucie mogło wydawać się nieco dziwaczne, ale i przyjemne zarazem.

Wtem uwagę Call przykuło gwałtowne poruszenie na jednym z ekranów wideo.

Spojrzała i zobaczyła...

- O cholera! - krzyknęła, odłączając się od statku i podrywając z siedzenia, by nachylić

się ponad ramieniem Vriessa.

- To Ripley! Biegnie tu! Jest już blisko! Skinęła ręką, dotknęła urządzeń kontrolnych służy.

- Call, do licha! - warknął Vriess zdezorientowany. - Mieliśmy się stąd wynosić! Nie mamy czasu! Nie możemy czekać!

- Nie zostawimy jej! - odkrzyknęła Call, uderzając dłonią w przycisk otwierający główną służę.

Wyjść z wściekłości, porzucony, osamotniony Noworodek zdołał w końcu przecisnąć się przez postrzępioną, najeżoną ostrymi odłamkami dziurę w szybie drzwi doku. Bestia wylądowała na platformie ładowniczej i przeturlała się po niej, a żrąca krew spływała z nowych ran na jej ciele; spadające na pokład krople zaczęły błyskawicznie rozpuszczać metal. Z podłogi unosiły się w górę smugi szarego dymu. Rozległ się głośny syk przeżeranego metalu. To kwas pomógł Noworodkowi poszerzyć otwór w drzwiach na tyle, by zdołał przecisnąć przez siebie swe olbrzymie ciało.

Noworodek uniósł wzrok. Jego rany przestały już krwawić i zaczęły się goić. Istota ujrzała statek, widziała odłączane magnesy i Ripley wchodzącą do statku. Pragnąc za wszelką cenę zemścić się na tej, która ją porzuciła, zdradziła Królową, zdradziła cały Ul, Noworodek wydał gardłowy, gniewny warkot. Odczekawszy, aż kłęby pary spowiją go i umożliwią niepostrzeżenie zbliżyć się do *Betty*, Noworodek zaczął na czworakach pełznąć w stronę statku.

Ostami magnes jeszcze nie został odłączony, podczas gdy Ripley coraz bardziej zbliżała się do statku. Jednak platforma załadunkowa i schodnie zostały już wciągnięte, a statek, wiszący nad otchłanią kanału ładowniczego, oczekiwał na zwolnienie ostatniego zaczepu i możliwość wyjścia z doku. Zewnętrzne drzwi otworzą się natychmiast po odłączeniu

ostatniego magnesu.

Kiedy zaczęła już martwić się, jak dostanie się do środka, zewnętrzne drzwi ładowni otwarły się zapraszająco. Ripley bez wahania dobiegła do skraju platformy i skoczyła, wybijając się w powietrze jak zawodniczka w skokach do wody, która pragnie zdobyć złoto. Przecięła powietrze, pokonując trzy metry, pięć, siedem... po czym wylądowała na podłodze ładowni *Betty*. Twarde lądowanie wydusiło jej powietrze z płuc i Ripley padła na pokład, z trudem chwyając dech, i czekała, aż z tyłu za nią zaczną zamykać się drzwi.

- Mamy ją! - Vriess rzucił do Call, odłączywszy ostatni magnes. - Jest już w środku. A teraz wyośmy się stąd.

Betty zaczęła schodzić w dół kanału wylotowego. Kiedy znajdzie się w połowie jego wysokości, przy znaczniku, otworzą się drzwi zewnętrzne. *Auriga* była już w jonosferze. Call patrzyła na monitor, widziała, jak Ripley podnosi się powoli i odgarnia włosy z twarzy. Kobieta wpatrywała się w drzwi ładowni.

- Call - rzekł niemal szeptem Vriess, ale mimo to usłyszała nutkę niepokoju w jego głosie.

- Nie mogę zamknąć tych cholernych drzwi.

- Że co? - wykrzyknął Johner z fotela za nimi. - Nie możemy wejść w atmosferę z otwartymi drzwiami.

- Zrozumiałam - ucięła Call, wróciła na swoje miejsce i na powrót przyłączyła się do statku. Mamrocząc pod nosem zaczęła prosić statek: - Przemów do mnie, *Betty*, odezwij się.

Ripley odliczała w myślach, oczekując na zamknięcie drzwi śluzy. Nagle ogarnęło ją wrażenie paraliżującego *deja-vu*, że gdzieś, kiedyś czekała na zamknięcie się podobnych drzwi, za którymi miała być bezpieczna, ale wspomnienie okazało się zbyt ulotne, by mogła przypomnieć sobie coś konkretnego. Zmuszając się, by zacząć coś robić, reagować, podźwignęła się z pokładu. Statek zaczął już zbliżać się do wylotu kanału dokowego, a

Ripley dotarłszy do drzwi pod wpływem nagłego kołysania o mało nie straciła równowagi.

Zacisnąwszy dłonie na uchwytach, próbowała zamknąć drzwi ręcznie, ale mechanizm zaciął się na dobre. Nawet dysponująca nadludzką siłą Ripley nie była go w stanie uruchomić.

Rozejrzała się po ładowni, rozpoznając urządzenia niezbędne do funkcjonowania statku.

To miejsce nie miało być nigdy narażone na zetknięcie z kosmiczną próżnią.

Nie przeżyją schodzenia, jeżeli nie zamkną głównych drzwi. Czy załoga wiedziała? Czy monitorowali ten obszar? Rozejrzała się wokół, ale nie zdołała ustalić, czy w ładowni umieszczono minikamery.

Zrezygnowawszy z kolejnych prób ręcznego zamykania drzwi, Ripley pobiegła ku drzwiom prowadzącym do kokpitu.

W doku spaliny z dysz wylotowych statku sprawiły, że wewnątrz kanału ładowniczego zaczęła gromadzić się para. Opary wdarły się za Ripley do ładowni, płożąc się wokół najróżniejszych urządzeń i ładunku niczym wijąca się nisko nad ziemią mgła zalegająca na cmentarzach.

Gdy *Betty* miała opuścić dok, prądy powietrzne zmieniły się i mgła została wyciągnięta na zewnątrz. Nawet lepkie, uparte pasma szarych oparów płożące się wewnątrz ładowni zostały z niej brutalnie wysane. Pozostała tylko samotna postać, która ukrywała się pośród nich.

Na szarym, trupim obliczu Noworodka, który lustrował wnętrze swego nowego domu, wykwitł uśmiech. Nie wiedział, co to za miejsce, wiedział tylko, że doprowadziła go tu własna matka, wyrodna matka, która tak usilnie starała się pozbyć swego dziecka-sieroty.

Pozostałe cztery znajdujące się na pokładzie *Betty* osoby odwróciły się, gdy Ripley wtargnęła do kokpitu.

- Drzwi do ładowni zacięły się! - wysapała pomiędzy kolejnymi oddechami. Pospiesznie

zlustrowała wewnątrz kokpitu i jej wzrok padł na błyskający ekran, który potwierdzał to, co przed chwilą powiedziała. Vriess bez powodzenia manipulował urządzeniami kontrolnymi.

- To znów ten sam szajs! Siadła hydraulika!

Johner pochylił się nad ramieniem Vriessa, zerkając na odczyty. Wstał i odwrócił się ku ładowni.

- Może uda mi się zamknąć je ręcznie.

- Już próbowałam - rzekła Ripley.

Wyraz jego twarzy świadczył, że zdawał sobie sprawę, że nie mógłby poradzić sobie lepiej. Call wstała, odłączając się energicznie od komputera.

- Ja się tym zajmę! - Ruszyła spieszenie między fotelami w stronę ładowni, zatrzymując się tylko na ułamek sekundy by napotkać spojrzenie Ripley.

Oczywiście wiem, kto mnie tu wpuścił, pomyślała Ripley i miała nadzieję, że Call dostrzegła w jej oczach wyraz wdzięczności.

Android skinął lekko głową i pomaszerował dalej.

Ripley podeszła do monitora.

Kiedy minęła Distephano, ten uśmiechnął się do niej.

- Cieszę się, że ci się udało. Powiedziałbym, że miło cię znowu widzieć, ale na Boga, kobieto, wyglądasz i cuchniesz okropnie!

Ripley uśmiechnęła się do niego półgębkiem i skupiła uwagę na ekranie przed Vriessem, na którym widać było wewnątrz ładowni. Monitor po lewej ukazywał *Betty* powoli wychodzącą z doku. Call nie miała wiele czasu na zamknięcie drzwi ładowni, zanim otwarte zostaną zewnętrzne wrota śluzy. Ale była jedyną spośród nich, która mogłaby w niej przetrwać, kiedy to nastąpi.

Gdy za jej plecami zamknęły się drzwi kokpitu, Call poświęciła sekundę na zlustrowanie

wnętrza ładowni. Zewnętrzne drzwi były otwarte zaledwie przez minutę, ale te stwory poruszały się z niewiarygodną szybkością. Czy któryś z nich mógł wślizgnąć się tu, kiedy oni wszyscy biedzili się przy urządzeniach kontrolnych?

Na tę myśl ogarnęła ją trwoga, tak silna, że aż podniósł się jej krótkie włoski na karku.

Nie, nie było dość czasu, ujrzeliby to na monitorach.

Ostrożnie podeszła do panelu awaryjnej obsługi drzwi, obok urządzenia ręcznego, z którego bez powodzenia usiłowała skorzystać Ripley. Energicznie wprowadziła złożony kod, który zmusi statek do zamknięcia drzwi mimo uszkodzenia hydrauliki. Czerwone światelka zmieniły się na zielone, na znak, że statek przyjął nowe rozkazy i z niemal bolesną powolnością zewnętrzne drzwi ładowni w końcu się zatrzasnęły.

- Call? - dobiegający jak przez interkom głos Vriessa zaskoczył ją do tego stopnia, że gwałtownie drgnęła. - Call?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z tyłu za nią zamajaczył wielki cień. Zamarła w bezruchu.

Coś poruszyło się. Wyczuwając czyjąś obecność, Call odwróciła się powoli, gotowa stawić czoło czemuś, co znajdowało się z tyłu, za nią.

- Call? - zawołał Vriess przez interkom. - Call?

- Zamknęła drzwi, stary - rzucił Johner wskakując na fotel drugiego pilota. Przełączył monitor pokazujący wnętrze ładowni na widok *Betty* z zewnątrz. - I nie mamy już czasu.

Śluza zewnętrzna otwarta. Ruszajmy, bo jak będziemy zwlekać, pocałujemy glebę.

Ripley patrzyła, jak manipuluje urządzeniami statku; robił to, co - jak podejrzewała - Call przyszłoby znacznie łatwiej, ponieważ użyłaby swego własnego łącza.

- Schodzimy, silniki na pełny ciąg! - zawołał Vriess do Johnera.

- Wyrwiemy się! - Odwrócił się do Ripley stojącej tuż obok. - Ty i żołnierz lepiej usiądźcie i zapnijcie pasy. Będzie trochę kołysać.

Skinęła głową, choć niezbyt podobała się jej perspektywa odejścia od monitora.

Niemniej Call zamknęła zewnętrzne drzwi. Nic się nie stało. Ripley w niczym nie mogła już pomóc. A w gruncie rzeczy nie miała nic do roboty. Wybrała fotel obok Distephano i zapięła pas. Takie to wszystko znajome, pomyślała ze znużeniem, gdy gruby, mocny pas wpił się jej w brzuch i barki.

Wtem przez interkom *Betty* dobiegł głos *Aurigi*, czyli Call.

- Uwaga. Uwaga. Uwaga. Przerwanie czynności proceduralnych. Statek nie jest wypoziomowany do pionowego schodzenia. Systemy hamowania zostały odłączone.

Zderzenie jest nieuchronne.

- Co ty nie powiesz - warknął Johner. Ripley rozsiadła się wygodnie w fotelu i zamknęła oczy. Jak na miłej spokojnej wycieczce.

- Prawie, prawie - rzekł półgłosem Vriess.

Call odwróciła się powoli, ale z tyłu za nią nie było nic. Cień znów się zmienił i uniosła wzrok. Jedna z sufitowych lamp mrugała sporadycznie wskutek wibracji powstałych przy schodzeniu.

Odetchnąwszy z ulgą, zaczęła szukać czegoś, czym można by ją naprawić i jej wzrok padł na stertę metalowych prętów leżących tuż obok. Podniósłszy jeden z nich, sięgnęła do lampy, chcąc szturchnięciem poruszyć ją w obsadzie i przerwać denerwujące migotanie. Już i tak monitorowanie czegokolwiek było na *Betty* nie lada osiągnięciem. To mruganie świateł doprowadziłoby kamery do obłądu.

Przeklinając swój niewielki wzrost musiała się poddać, gdy stwierdziła, że nawet z prętem nie zdoła dosięgnąć lampy. Żarówka zaburczała i zaczęła trzeszczeć, ciągle opadanie statku nie wychodziło jej na dobre. Pokład pod jej stopami zadygotał potężnie. Call, zdezorientowana mrugającym światłem lampy, sięgnęła po omacku i zacisnęła dłoń na czymś

chłodnym i skórzastym.

Skórzastym?

Kiedy spojrzała w dół, szary pręt poruszył się nagle w jej dłoni, a potem ujrzała, jak rozprostowują się długie, zabójcze palce. Nie chwyciła metalowego pręta, tylko... tylko... Puściła Obcego i zaskoczona i przerażona zarazem, odskoczyła w tył tak gwałtownie, że runęła na pokład. A przed nią, wyłoniwszy się z kryjówki między najróżniejszymi sprzętami, stanął stwór jak z najgorszego nocnego koszmaru, a Call miewała ich wiele. Czymkolwiek był ten stwór, nie przypominał poprzednich, znanych jej Obcych. Wyglądał jak upiorna krzyżówka typowego Obcego i Anioła Śmierci. Trupiołowy szerzył do niej zębiska w przerażającej parodii uśmiechu. Był wielki, większy niż inne monstra, a drobne podobieństwo do człowieka czyniło go jeszcze bardziej groteskowym.

Nawet kiedy umykała przed oddziałami likwidującymi androidy, nie była tak przerażona. Nie mogła myśleć ani deliberować, mogła jedynie działać. Potwór znajdował się pomiędzy nią a drzwiami kokpitu. Ale to nie miało większego znaczenia, liczyła się tylko ucieczka. Dokądkolwiek. Jakkolwiek. Ucieczka.

Noworodek postąpił krok w jej stronę i Call ożywiła się gwałtownie. Na czworakach, najszybciej jak tylko mogła, zaczęła się wycofywać, byle dalej od tego monstrum.

Stwór był tuż za nią, nieomal deptał jej po piętach, jakby bawił się z nią, zanim ją zabije.

Stwór zaryczał i poczuła, że musnął szponami jej nogę. Skręcając ostro w prawo, w ostatniej chwili wpęzła pod stabilizator. Kiedy wielki Obcy uświadomił sobie, że ofiara mu się wymyka, zawył gniewnie i rzucił się w ślad za nią, ale Call zdążyła już zniknąć pod ogromną maszyną.

Skurczywszy się, jak tylko była w stanie, przeturlała się aż pod przeciwległą ścianę. Tam natychmiast zaczęła rozglądać się do przodu i na boki, skąd — jak przypuszczała — lada

chwila mógł nastąpić atak. Spodziewała się, że stwór będzie próbował wpłynąć tu za nią.

Ale on gdzieś zniknął!

Vriess nie martwił się teraz o Call. Miał dużo ważniejsze sprawy na głowie. Niektóre z systemów *Betty* szwankowały, innych, mimo że często to sobie obiecywał, nie zdołał nigdy naprawić, z braku czasu. Aby całkowicie odłączyć się od *Aurigi*, statek musiał reagować błyskawicznie, wykorzystać swoją pełną moc. Vriess wątpił szczerze, czy *Betty* jest do tego zdolna. Zwłaszcza że u steru zabrakło Hillard...

Wtem Johner zawołał:

- Teraz!

Vriess wcisnął klawisz na konsolce, wprowadzając polecenia do komputera. Spojrzał na monitor, na którym widać było...

...zewnątrzną powłokę *Aurigi*, miliardy światła migające na tle mroku nocnego, australijskiego nieba, podczas gdy statek mknął nieubłaganie w kierunku Ziemi. Nagle *Betty*, wyglądająca jak zabawka w porównaniu z ogromem stacji kosmicznej, wyprysnęła przez otwartą bramę śluzy, nieomal rozbijając się przy tym o kil wielkiego statku.

Vriess uznał, że można by to porównać do wyrzucenia kulki papieru z lecącego z ogromną szybkością samolotu.

- Uważaj! - ostrzegł Johner.

- Staram się - zapewnił go Vriess, szerokim łukiem wyprowadzając mały stateczek poza zasięg grożącego im zmiżdżeniem lewiatana. *Betty* weszła w skręt, lawirując, by uniknąć zderzenia z kolejnymi segmentami stacji, dopóki nie ominęła ostatniego.

Wyrównała lot i przyspieszyła, gdy *Auriga* pomknęła dalej ku zagładzie. Vriess ponownie sprawdził odczyty, wiedząc, że Call zrobiłaby to samo. I dlatego, że jej na tym zależało.

Niemniej jednak ta część australijskiego kontynentu była kompletnym odludziem, żadnych miast, żadnych ludzi, tylko sprażona słońcem surowa, wolna przestrzeń rozciągająca się na setki mil. Przez najbliższe parę lat wybity przez *Aurige* krater będzie najciekawszym elementem krajobrazu w tym rejonie.

Vriess i Johner woleliby odzyskać kontrolę nad przyspieszającą *Betty*, zmuszając mocno już podstarzały, coraz bardziej szwankujący stateczek, by dał z siebie wszystko.

Wojownik wyszedł za Noworodkiem z gniazda, aby być blisko niego. Królowa nie żyła i wojownik nie wiedział, co ma ze sobą począć. Sądził, że Noworodek wykorzysta Ripley, by skupić Obcych, dać im jakiś cel, ale on nie był w stanie jej utrzymać. Wojownik nie pojmował dlaczego. A teraz Noworodek zniknął, poprzysiągłszy, że zabije Ripley, że ją pozre. Wojownik podążył za młodym, bo musiał czymś się zająć. Nie zajął się jednak tym samym co Noworodek i wałęsał się bez celu. Ostatni embrion opuścił ciało żywiciela i zaczął rosnać. Gniazdo zostało ukończone. Może wśród młodych z ostatniego wylęgu była Królowa, ale nie miał co do tego pewności.

Bez Królowej, która by nimi pokierowała, nie miał żadnego celu, żadnych dążeń, żadnych ambicji. Może najlepiej by zrobił, zapadając teraz w stan uśpienia.

Na statku, na którym się znajdowali, nie było już potencjalnych ofiar, a jedynie wojownicy, młode i martwi żywicieli. Korytarze wydawały się dziwnie puste. To nie było już prawdziwe gniazdo. Nie mogło nim być, skoro brakowało w nim nowych żywicieli. Ale wojownik obawiał się, że bez Królowej, która mogłaby nimi pokierować, grozi im, że już nigdy nie znajdą nowych żywicieli.

Wewnątrz statku rozległ się nagle głos. Wojownik uniósł głowę, nasłuchując.

- Zderzenie za sześć sekund. Pięć... Cztery... Trzy... Dwa...

Noworodka nie było już na pokładzie. Tak, pomyślał wojownik, zwijając się w kłębek,

hibernacja to obecnie najlepszy pomysł.

Głos statku oznajmił łagodnie:

- ...Jeden... Dziękuję.

Na pokładzie *Betty* Distephano widział dostatecznie duży fragment monitora Vriessa, żeby wiedzieć, co się zdarzy. Spojrzał na pozornie śpiącą Ripley — usta miała otwarte. Oczy poruszały się pod powiekami. Chyba musisz mieć straszne koszmary, pomyślał ze współczuciem. Podziwiał ją za to, że potrafiła przespać ostatnie kilka chwil. Mimo iż przywykł do podróży kosmicznych, ta przejażdżka była dlań mordercza i co gorsza, jeszcze się nie skończyła.

Dotknął jej rękawa, a ona natychmiast otworzyła oczy.

- Pomyślałem, że zechcesz to zobaczyć - wskazał ręką monitor.

Spojrzała w jego stronę, przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć i przymrużywszy powieki potaknęła.

Głos Call z *Aurigi* oznajmił łagodnie:

- ...Dwa... Jeden... Dziękuję... - I wszyscy ujrzeli, jak ogromny statek niczym meteoryt uderza w Ziemię, wbija się w grunt i eksploduje potężną kulą ognia, która rozświetliła nocne niebo na przestrzeni wielu mil.

Betty znajdowała się w bezpiecznej odległości od roztrzaskującej się stacji i dyskretnie obserwowała jej „załogę”.

- Łał! - rzucił za nich wszystkich Johner, gdy gigantyczna eksplozja wypełniła niebo.

Distephano wiedział, że sejsmografy na całej planecie wychwycą powstały przy zderzeniu wstrząs. Niech się głowią, co mogło się wydarzyć. Grzmiąca ognista burza szalała nadal, pochłaniając *Aurigę* wraz z całą jej zawartością.

Szkoda, że wszyscy znajdujący się teraz na *Betty* byli zbyt zmęczeni, by się z tego

cieszyć.

Johner spojrział na Ripley. Wyraz jej twarzy zdradzał wiele - ulgę, zadowolenie, smutek i śmiertelne wyczerpanie. Znów ich pokonałaś. Jeszcze raz dałaś sobie z nimi radę.

Czuł się całkiem nieźle. Przygotowywali się do lądowania na Ziemi. *Auriga* została zniszczona. Byli bezpieczni.

I wtedy żołnierz coś sobie uświadomił.

- Miałem jeszcze tylko trzy tygodnie służby - rzekł ze smutkiem w głosie Distephano. -

Ciekawe, czy uwierzą w moją historię, czy może za opowiedzenie prawdy wsadzą mnie do pudła?

Ripley spojrzała na niego i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Ej, stary - zawołał wesoło Johner - Przecież możesz zostać z nami. Chętnie cię przyjmujemy. Nie jesteśmy może szczególnie zorganizowani, ale pomysłowy z ciebie facet.

Przydałbyś się nam.

Wybuchnęli niezbyt głośnym śmiechem, byli zbyt zmęczeni, by się cieszyć.

- Gdzie jest Call? - spytała Ripley. Nie doczekawszy się odpowiedzi, mimo że statkiem okropnie trzęsło, zaczęła podnosić się z fotela. Przez chwilę mocowała się z pasami bezpieczeństwa. Bez powodzenia.

Najwyraźniej zaczepę się zacięły, pomyślał Distephano, widząc, jak w nagłym przyływie zniecierpliwienia odpięła całą uprząż od fotela, zamiast próbować odblokować oporny zatrzask.

- Powinna już była do tej pory wrócić - rzekła z naciskiem Ripley. Stała za plecami Vriessa i manipulowała przy felernym zatrzasku.

- Masz rację - potaknął Vriess. - I bardzo by się nam teraz przydała. Mam pół tuzina podejrzanych odczytów. Gdyby podłączyła się znów do komputera, może udałoby się jej

opanować tę stertę złomu tak, byśmy nią mogli spokojnie wylądować. — Wcisnął przycisk interkomu i zawołał ze zniecierpliwieniem: — Call, gdzie jesteś, do cholery?

Jednocześnie przełączył monitor z dymiących szczątków *Aurigi* z powrotem na wnętrze ładowni.

Distephano nie widział ekranu, ponieważ zasłaniała go Ripley, toteż odpiął pas bezpieczeństwa, wstał z fotela i stanął obok klona. Zrozumiał, na co patrzy, w tej samej chwili, gdy Vriess wykrztusił:

- Co u licha?

Wewnątrz ładowni Call usłyszała charakterystyczny sygnał oznaczający, że opuścili dok *Aurigi*. Wiedziała, że Vriess w kokpicie będzie teraz pochłonięty zadaniem wyprowadzenia *Betty* możliwie jak najdalej od mknącego w dół wielkiego statku, aby nie porwał jej swoim pędem. Wciąż istniało poważne ryzyko zderzenia z mknącą kolizyjnym kursem stacją. Zastanawiała się, czy Vriess lub ktokolwiek inny zobaczył na monitorze Obcego, czy ktoś z załogi wie, że mają na pokładzie intruza.

Call leżała cicho, w kompletnym bezruchu pod stabilizatorem, zastanawiając się, gdzie zniknął trupiogłowy Obcy. Czy przyczaił się i czekał, aż ktoś przybędzie jej z pomocą? Głośnie metaliczne chrobotanie płynące z góry sprawiło, że cała zamarła, ale nawet nie drgnęła. Jest na stabilizatorze! skonstatowała. Po chwili chrobotanie ucichło. Call zastygła w bezruchu, nasłuchując.

I nagle stwór z głuchym łoskotem wylądował na podłodze, rozpląszczył się na niej i zaczął zawzięcie wciskać się w wąską niszę pod stabilizatorem. Wepchnąwszy pod maszynę jedną łapę i fragment ogromnej, płaskiej głowy, jął drapać pazurami pokład w rozpaczliwej próbie dosięgnięcia ofiary. Call przerażona przywarła do ściany, pragnąc wtopić się w nią, ale było to rzecz jasna niemożliwe. Szponiasta dłoń ryła głębokie bruzdy w tłumiącej wstrząsy

wykładzinie, która pokrywała pokład ładowni, zdzierając ją całymi, zwijającymi się w czarne spirale pasami. Obcy wył z wściekłości, bezsilnie orząc pazurami pokład tak daleko, jak tylko był w stanie dosięgnąć. Call przywarła plecami do ściany i wciągnęła brzuch. Wijąc się i chłoszcząc ogonem, drepcząc z boku na bok niczym krab, stwór podejmował kolejne próby dosięgnięcia jej i wciskał się coraz bardziej w wąski prześwit, aż długie, mordercze szpony znalazły się niebezpiecznie blisko twarzy Call. Obcy szalał z wściekłości, ale miał po prostu zbyt dużą głowę, nie dość elastyczną, żeby dała się wcisnąć pod maszynę. Mimo to wciąż nie dawał za wygraną, przekonany, że jeśli naprawdę mocno się postara, to w końcu dopnie swego.

Przy następnym zamachu czarne szpony nieomal dotknęły nosa Call.

W kokpicie Ripley stała jak zahipnotyzowana, obserwując Noworodka - jej ciało i krew - usiłującego szponami utorować sobie drogę do Call. Rozjuszona istota przypominała Ripley wściekłego psa, który gorączkowo próbuje dostać się do nory borsuka.

Zamiatając wściekle ogonem, stwór wdzierał się coraz głębiej pod maszynę, by schwytać skuloną pod ścianą drobną kobietę. Ripley z zatrważającą wyrazistością przypomniła sobie własny strach, gdy zmutowany Obcy zbliżył się do niej po raz pierwszy.

Czy zmiażdży Call czaszkę? Czy mógł to zrobić? Czy mógł ją zabić?

Ripley dzięki tym myślom skutecznie oderwała się od obrazu na ekranie, jakby wszystko, przez co przeszła w ostatnich dniach, przeciążyło w końcu jej umysł i ciało. Wiedziała, że powinna zareagować, zrobić coś, cokolwiek, by pomóc Call, ale nagle poczuła się zbyt oszołomiona, zbyt zdezorientowana, zbyt wyczerpana, żeby podejmować decyzje. Nie wiedziała, czy byłaby w stanie stanąć do powtórnej konfrontacji z tą istotą.

Zawstydziała się, a mimo to nie zrobiła nic. Po prostu stała w bezruchu przed monstrem.

Vriess wykrztusił zduszonym głosem imię Call, a Ripley poczuła, że jego oczy wilgotnieją i

wzrok zasnuwa mgła.

A potem, kiedy pozostali patrzyli w kompletnym oszołomieniu, ciężka dłoń sięgnęła w stronę monitora i pstryknąwszy przełącznikiem, wyłączyła ekran. Ripley jeszcze przez chwilę wbijała wzrok w ciemny ekran, na którym widać było tylko jej własne odbicie. Wyglądała na mocno sponiewieraną, brudną i wyczerpaną. A także odrobinę szaloną.

Zamrugnęła, usiłując zebrać myśli, podczas gdy Distephano i Vriess spojrzeli gniewnie na właściciela owej bezwzględnej dłoni, Johnera.

- Za kogo ty się, u licha, uważasz? - warknął wściekle Vriess.

- Co ci odbiło? - zawtórował Distephano. Johner zmierzył ich wzrokiem, jego prawie bezbarwne oczy były pełne lodowatej pogardy.

- Co się przejmujecie, przecież to tylko stary android!

Nikt nie zaproponował. Bo Johner poniekąd miał rację, stwierdziła Ripley. Call była tylko androidem. A do ich podstawowych zadań należało wykonywanie czynności w miejscach dla ludzi niebezpiecznych. Istniały tylko po to, by ratować życie prawdziwym ludziom.

Z otchłani czasu napłynęło wiele wspomnień.

„Wolę określenie sztuczny człowiek.”

„Nie będę was okłamywał co do waszych szans, ale... wam współczuję.”

Bishop i Ash... tylko androidy. Pierwszy nieomal poświęcił życie, by ocalić ją i dziecko.

Drugi z przyjemnością zabiłby ją, gdyż starała się pokrzyżować mu plany...

Ripley zamknęła oczy, gdy skłębione, sprzeczne wspomnienia zaczęły przekomarzać się w jej głowie tak głośno, że nie była w stanie myśleć.

Muszę coś zrobić...

Odwróciła się jak w transie w stronę drzwi kokpitu, ale na jej drodze stanął Distephano.

- Nie rób głupstw - rzucił żołnierz. - Padasz z nóg. W tym stanie jej nie pomożesz. -

Chciała zaoponować, ale nie miała nawet dość sił, by znaleźć odpowiednie słowa w sobie.

Delikatnie posadził ją w fotelu. - Zostań.

Kiedy Distephano sięgnął po swój karabin i zarzucił go na ramię, Johner warknął:

- Lepiej posłuchaj go, siostrze. Zbyt długo walczyłaś, żeby teraz zaprzepaścić to wszystko dla tej tam plastikowo-blaszanej lalki.

Żołnierz odwrócił się do Johnera. Na jego twarzy malowała się pogarda.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, prymitywie, ta „plastikowo-blaszana lalka”, jak ją nazwałeś, jest bardziej ludzka od ciebie. - To rzekłszy i, nie oglądając się za siebie, Distephano pobiegł w kierunku drzwi prowadzących do ładowni.

15.

Najdłuższy palec Obcego ponownie dotknął twarzy Call. Nie mogła oddychać z obawy, by nie znaleźć się w zasięgu monstrum i nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Stwór warczał przenikliwie. Ale to nie wydawane przez niego dźwięki były najstraszniejsze, lecz woń, na wpół zwierzęcy, na wpół ludzki odór.

Jak długo jeszcze wytrzyma, jak długo pozostanie poza jego zasięgiem? I jak długo potrwa, zanim ktoś w kokpicie zorientuje się, że nie wróciła? Nagle uwaga Call, dotąd skupiona wyłącznie na wyciągniętej ku niej łapie Obcego, znalazła sobie inny obiekt zainteresowania, parę obutych stóp, które pojawiły się w polu jej widzenia. Zamrugła. Wojskowe wysokie buty. Distephano! Od strony drzwi nie mógł ujrzeć Obcego, który przywarł do pokładu obok stabilizatora. Czy w ogóle wiedział o Obcym? Czy zobaczył go na monitorze? Trudno powiedzieć. Ten stwór umiał się dobrze maskować.

Wtem Obcy wychwycił obecność Distephano. Call zorientowała się, że tak się stało, gdyż orzące pokład szpony przestały się nagle poruszać, a całe ciało potwora znieruchomiało.

Distephano ostrożnie wszedł do ładowni, rozglądał się czujnie wokoło, obserwował,

szukał. Czy wiedział o potworze? Czy się go spodziewał? Może powinnam go ostrzec?

A jeśli to tylko skłoni Obcego do ataku, przymusi do szybszego działania?

Patrząc przed siebie Call ujrzała, jak monstrum powoli porusza głową, jakby zastanawiało się, czy powinno zrezygnować z tej trudno dostępnej ofiary, na rzecz innej, łatwiejszej?

Call spojrzała na Distephano. Ten poruszał się ostrożnie i miękko, metodycznie, jak na żołnierza przystało.

Jednocześnie Obcy równie bezszelestnie zaczął wysuwać dłoń spod stabilizatora.

Jakaś część Call przyjęła to z olbrzymią ulgą, którą natychmiast usunął w cień jej własny, wewnętrzny imperatyw. Obcy zaatakuje Distephano. A był od niego sto razy szybszy i tysiąc razy bardziej zabójczy.

Odruchowo Call wyjęła z kieszeni swój nadtopiony, ale wciąż sprawny nóż. Ostrze zostało skrócone żrącą krwią z dłoni Ripley, ale wciąż miało spiczastą, obosieczną klingę. Szybkim, brutalnym, zamaszystym ruchem wbiła nóż w łapę Obcego, przyszpilając ją do twardej wykładziny pokładu, do którego przykręcony był ciężki stabilizator.

Szok wywołany bólem okazał się dla Obcego nie do zniesienia, stwór poderwał się w górę, zawodząc ochryple przeciągłym, przeraźliwym owadziim skrzekiem.

Call ujrzała, jak dolna część ciała Distephano odwraca się w stronę istoty i błyskawicznie wyslizgnęła się spod maszyny, po drugiej stronie. Distephano schwycił ją brutalnie za rękę i jednym szybkim ruchem poderwał na nogi.

A potem oboje obiegli maszynę z drugiej strony, by lepiej przyjrzeć się obcemu mutantowi.

W kokpicie Vriess ponownie włączył monitor i patrzył, jak Distephano odnajduje potwora, a następnie pomaga podnieść się Call.

Przeniósł wzrok na Ripley i zauważył, że na widok odrażającego monstrum kobieta wyraźnie pobladła.

I wtedy statkiem mocniej zakołysało, a on ponownie skupił wzrok na przyrządach.

- Nie za nisko - ostrzegł Johnera Vriess. - Jezu, gdzie są silniki ciągu pionowego?

- Pracuję nad tym - zapewnił Johner nieco niepewnym tonem, zdradzającym

rozdrażnienie, bowiem Vriess pierwszy zwrócił uwagę na ten krytyczny szczegół.

Zaczął manipulować kolejnymi przełącznikami i przyrządami.

- Johner, sprawdź jeszcze raz i przełącz na bezpieczniki pomocnicze, dobra? - warknął

Vriess.

- Się robi - rzekł człowiek z blizną, wstając z fotela i wślizgując się pod konsolę. Niemal

natychmiast zaczął grzebać wśród jej mechanicznych trzewi. Tak jak Vriess martwił się o

Call, tak on musiał przede wszystkim zatroszczyć się o *Betty* - jeżeli ona zawiedzie, wszyscy

zginą.

Call ścisnęła w dłoni fragment bluzy Distephano, podczas gdy żołnierz obchodził z

drugiej strony masywną bryłę stabilizatora.

Pokład pod ich stopami zadygotał potężnie, a Call wyobraziła sobie, jak Vriess i Johner

musieli teraz mocować się z przyrządami, usiłując ręcznie zapanować nad opornym statkiem,

ponieważ nie było jej tam i nie było nikogo innego, kto mógłby podłączyć się do komputera.

W końcu Distephano zatrzymał się, patrząc z niedowierzaniem na przyszpiloną do

pokładu istotę. Na ich widok Obcy zareagował dzikim wybuchem, zaczął przeraźliwie

krzyczeć, wymachując gwałtownie drugą łapą, aby ich dosięgnąć. Na widok tej istoty Call

ogarnął niemal zwierzęcy lęk.

Czym do cholery jest to... coś? zastanawiała się. Jakąś odmianą Obcego, której dotąd nie

widzieliśmy? Może wynikiem eksperymentów genetycznych Wrena? Widać wyraźnie, że ten

stwór ma w sobie... o Boże... geny Ripley...

Musieli wynieść się stąd. Jak najdalej od... tego... czegoś.

Distephano spokojnie, niemal od niechcienia przeładował karabin. Szczęk zamka ożywił czujność potwora i monstrum kłapiąc paszczką rzuciło się na nich z impetem, ale wciąż było unieruchomione przez tkwiące w jego łapie ostrze.

Distephano postąpił jeszcze jeden krok w jego stronę, zatrzymując się tuż poza zasięgiem długich, tnących powietrze szponów. Z tą samą co wcześniej nonszalancją Distephano złożył się do strzału.

W końcu Call otrząsnęła się z wywołanego zgrozą odrętwienia.

- Co robisz?

Żołnierz spojrział przez muszkę i szczerbinę.

- Domyśl się. Możliwości są dwie. Pierwszą możesz odrzucić.

- Ty... nie... nie możesz zastrzelić tego czegoś! — zaprotestowała drżącym głosem.

- To coś... a także jego liczne rodzeństwo... wymordowało całą załogę mojego statku - rzucił lodowatym tonem Distephano. — Rozwalę tę paskudę na miliard kawałków.

Przynajmniej tyle jestem winien moim kolegom z załogi.

- Ale ten stwór jest za blisko stabilizatora! - syknęła Call. - To nie *Auriga*... tylko niewielka jednostka transportowa! W tej ładowni znajdują się urządzenia niezbędne do naszego przetrwania. Nie wolno ich uszkodzić, jeżeli mamy dolecieć na Ziemię w jednym kawałku. A ten stwór ma w swoich żyłach kwas!

Pojąwszy sens jej słów Distephano zawahał się.

I wtedy Call również go zrozumiała. Kwas zamiast krwi. Przypomniała sobie, jak jej nóż przebił dłoń Ripley i jak zaczął się topić. Nóż. Ostrze się topi. Nóż unieruchamiający tego stwora...

Odwróciła głowę i ujrzała przed sobą koszmarny, groteskowy, trupie oblicze. Na ustach stwora znów wykwitł przerażający uśmiech. Jak z oddali dobiegł Call głuchy brzęk czegoś metalicznego, a z wyszczerzonej paszczy Obcego spłynęła na pokład struzka gęstej, lepkiej śliny.

A potem istota zaatakowała.

Kiedy stopione ostrze przestało ją unieruchamiać, istota w mgnieniu oka rzuciła się naprzód, chwytając Distephano za nogę. Żołnierz krzyknął przeraźliwie i runął do tyłu na Call, przewracając ją. Karabin wypadł mu z rąk i poszorował z metalicznym chrzęstem po pokładzie.

Rozległo się rozdzierające uszy skrzeczenie, gdy Obcy smagnął zranioną łapą, zaciskając długie, szponiaste palce na głowie Distephano. Ogromna dłoń zakryła całą twarz żołnierza, ale to nie powstrzymało go przed wydaniem przeciągłego okrzyku gniewu, zaskoczenia i bezgranicznej zgrozy.

Kiedy gigantyczny stwór podźwignął się z pokładu pociągając za sobą żołnierza, Call usłyszała trzask pękającej czaszki Distephano i równocześnie w jego głosie pojawiła się rozdzierająca nuta bólu. Stwór wgrzył się w jego czaszkę, odłupując jej wierzchołek, jak skorupę małża, aby dostać się do mózgu i chłeptać świeżą płynącą z rany krew.

To celowe działanie! pomyślała ze zgrozą Call, celowe... i ludzkie!

I wtedy Obcy odwrócił się do niej, ogromne, nie przysłonięte wargami kły nadawały trupiemu obliczu jeszcze bardziej groteskowy wygląd. A potem istota zaśmiała się, krótko, ochryple, gardłowo, a Call, oszołomiona, znieruchomiała, jakby spojrzenie monstrum obróciło ją w kamień.

Ripley przytrzymała się oburącz fotela Vriess, gdy *Betty* jak kamień spadała w kierunku Ziemi.

- Sprawdziłem i przełączyłem na bezpieczniki pomocnicze — zawołał Johner,

wysuwając się spod konsoli i zerkając na monitory.

- Spróbuj teraz. - Ripley wydawało się, że Vriess ma pełne ręce roboty. Pilot pokręcił głową.

- Mam coś, ale to nie wystarczy. Potrzebujemy pełnej mocy ciągu pionowego albo...

Nagle na monitorze ukazującym wnętrze ładowni nastąpiło jakieś gwałtowne poruszenie i mimo kłopotów ze statkiem cała trójka przeniosła wzrok na migoczący ekran.

- Distephano! - wyszeptała Ripley, patrząc, jak monstrum rzuca się na żołnierza i zabija go. Miała wrażenie, że podłoga usuwa się jej spod stóp... ale uświadomiła sobie, że to tylko statkiem zatrzęsała kolejna nagła turbulencja.

Vriess usilnie starał się zapanować nad maszyną. Przeniósł wzrok na Johnera.

- A ty uważasz, że jestem tylko półczłowiekiem!

- Kurwa - warknął Johner, kiedy Distephano wydał ostatni, urwany jak nożem okrzyk i umarł. - Osobiście zajmę się tym skurwielem!

- Dokąd się wybierasz? - rzekł Vriess, który nagle został zmuszony walczyć ze statkiem w pojedynkę.

Johner przeniósł wzrok na ekran, na którym Noworodek spokojnie wyjadał mózg Distephano.

- Ja... jestem mu to winien, stary.

Ripley spojrzała na człowieka z blizną i wtedy statkiem ponownie zakołysało. Ripley czekała, aż potężny mężczyzna uświadomi sobie, że obecnie potrzebny jest bardziej tu, w kokpicie. W chwilę potem, mieląc w ustach przekleństwo, Johner osunął się z powrotem na fotel.

Teoretycznie było to niemożliwe, ale w tej szczególnej chwili mózg Call nie mógł

funkcjonować. Stała w cieniu mutanta, patrząc, jak monstrum pożera mózg Distephano i nie mogła się poruszyć, nie mogła myśleć, nie potrafiła uczynić nic, aby się ratować. Miała wrażenie, że ogromna bestia urosła jeszcze bardziej, ale nie miała pewności, patrzyła tylko na jej odrażające, budzące trwogę oblicze, na fragmenty tkanki mózgowej przyklejone do jej zębów i czuła dławiący, przesycony wonią krwi oddech.

Istota pochwyciła ją, zanim Call zdążyła zareagować, zanim zarejestrowała jej ruch; złapała ją za ramiona i podźwignęła w górę, ku swojej twarzy. Ogromne usta otwarły się, zęby przybliżyły.

Czy on może to zrobić? zastanawiała się odrętwiała z przerażenia. Czy może pożreć mikroprocesory i płytki układów scalonych? Możliwe, że nie, ale zniszczenie tych obwodów położyłoby kres jej życiu równie skutecznie jak wyżarcie prawdziwego mózgu.

Call zamknęła oczy i zmówiła szeptem ostatnią modlitwę. Jakby w odpowiedzi rozległ się strzał, głośny huk odbił się gromkim echem w ciasnym wnętrzu ładowni. Trzymający ją stwór zmartwiał i odwrócił się z gniewnym warkotem.

Ripley stała w progu, drzwi do kokpitu za jej plecami były zamknięte. Trzymała karabin jak zawodowy żołnierz, stojąc na lekko rozstawionych i ugiętych nogach, w miękkiej, swobodnej pozycji. Wydawała się spokojna i pewna siebie. Mimo to czujne oczy Call wychwyciły znużenie rysujące się na twarzy kobiety. Tak wiele przeszła. Widać było, że jest u kresu wytrzymałości. Warkot Obcego ucichł, kiedy stwór dostrzegł Ripley.

- Nie pozwolę ci na to - powiedziała Ripley do trupiogłowego monstrum.

Zniecierpliwiony stwór zakołysał ogonem i nagle się odwrócił, przez cały czas trzymając przed sobą Call. W ten sposób drobna, ciemnowłosa kobieta stała się dla Noworodka tarczą. Call zamrugnęła, usiłując zebrać w sobie resztki woli przetrwania i instynktu samozachowawczego. Działania tego stwora wydawały się tak bardzo ludzkie.

Musi być coś, co możesz zrobić, aby jej pomóc, pomyślała Call zmuszając swój mózg do działania.

Ripley pewną ręką trzymała wojskowy karabin i jej spojrzenie odnalazło wzrok Call.

Jesteśmy dostatecznie daleko od stabilizatora, pomyślała Call, ale mimo to jest tutaj tyle ważnych urządzeń... Co by się stało, gdyby Ripley rozwaliła tego stwora w drobny mak?

Drżenie statku zdradziło jej, że wchodzili w atmosferę i zbliżali się do lądowania. Czy zdołają посадzić maszynę, gdyby doznała poważniejszych uszkodzeń? Musiała nagle stwierdzić, że nie potrafi na to odpowiedzieć. Nic już nie wiedziała.

Ogon Obcego złowrogo ciął powietrze, stwór syczał gniewnie, jego gorący oddech omiatał ucho Call.

Ripley ponownie zlustrowała otoczenie i powróciła wzrokiem do twarzy Call.

Ona wie, pomyślał android. Jasne, przecież odbywała już wcześniej loty. Przypomina sobie. Może nawet rozpoznaje niektóre z urządzeń.

I wtedy wyższa kobieta z wyrazem powątpiewania na twarzy zaczęła opuszczać karabin.

Call nie wytrzymała. Popełniła ostatni błąd, kiedy powstrzymała Distephano przed zastrzeleniem potwora. Powinna była zaryzykować. Przecież znajdowali się w drodze na Ziemię, a w ładowni ich statku czaił się potwór. Czy to ważne, że zginą wszyscy, jeżeli tylko podczas katastrofy unicestwiony zostanie również Obcy?

Call energicznie wychyliła się do przodu. Musiała coś zrobić, znaleźć jakiś sposób, aby Ripley zrozumiała.

- Strzelaj! - zawołała gorączkowo. - No dalej, wal! Przywykłam już do tego! - Nie przejmowała się, że kule rozerwą ją na strzępy, ważne jest tylko to, żeby pociski zniszczyły koszmarnie monstrum. Ale Ripley, z wyrazem niewypowiedzianej udręki na twarzy, opuściła broń. Statek zatrzęsł się i znajdujący się w ładowni potwór oraz dwie kobiety z trudem zdołali

utrzymać równowagę.

Wtem spod stabilizatora wytoczyła się rękojeść stopionego noża Call i uderzyła Ripley w stopę. Spuściwszy wzrok, Ripley ujrzała nadzarty kwasem znajomy kształt i wyraz jej twarzy zmienił się. Raz jeszcze spojrzała na Call, a jej twarz przepełniła się smutkiem. Unosząc broń Ripley wymierzyła w Call.

Call stała w kompletnym bezruchu, przytrzymywana mocnym uściskiem łap Obcego i ze zdumiewającym spokojem czekała na strzał. Bądź co bądź to była jej misja, czyż nie? Taki był jej cel. Ocalić ludzkość przed Obcymi. To wspomnienie dodało jej otuchy. Huk wystrzału rozdarł panującą w ładowni ciszę. Przez ułamek sekundy Call miała wrażenie, że widzi mknący ku niej pocisk, ale kula minęła ją z łoskotem i trafiła Obcego w ramię. Żrąca krew spryskała ubranie Call i natychmiast zaczęła je roztopiać, docierając do skóry. Call odruchowo zaczęła poklepywać palące żywym ogniem ciało, jakby mogła w ten sposób powstrzymać działanie kwasu. Kiedy usiłowała ugasić niewidzialny ogień rozpuszczający jej tkanki, zranione monstrum jeszcze mocniej chwyciło ją za ramiona, wyjąc z bólu i wściekłości, a jego ogon zafalował płynnymi wężowymi ruchami.

Zdezorientowana Call czuła swąd palonego plastiku i topiącego się metalu. Co jeszcze zostało zbryzgane rozpryskującym się na wszystkie strony kwasem? Nie potrafiła tego stwierdzić, szamocząc się z potworem i nagle uświadomiła sobie, że w przyływie wściekłości powodowany bólem Obcy mógł po prostu rozerwać ją na strzępy.

W kokpicie Vriess gorączkowo manipulował przełącznikami, usiłując ochronić rozdygotaną *Betty* przed rozpadnięciem się w kawałki. Nie odrywał wzroku od konsoli, usiłując kontrolować wszystkie odczyty na raz. Nie odważył się nawet spojrzeć na monitor, na którym jedna z tych istot trzymała Call przed sobą jak zakładniczkę. Starał się nawet o tym nie myśleć.

Johner pracował równie zawzięcie, próbując zapanować ręcznie nad narowistym statkiem i wyrównać lot.

Znaleźli się nad półkulą, gdzie panował dzień; promienie słońca wdarły się do kokpitu.

- Nie zdążymy... - ostrzegł drugiego pilota Vriess.

- Już ją mam - zapewnił Johner.

- Dziesięć minut do zderzenia - oznajmił spokojny głos komputera. Dopiero teraz Vriess uświadomił sobie, że głos należy do Call.

Kiedy Noworodek ryczał, skrzeczał i przyciągał przerażoną Call do swego cielska, Ripley uświadomiła sobie, że można go było zabić tylko w jeden sposób, a mianowicie tak, jak chciała Call, to znaczy przeszywając kulami na wylot ciało androida. Ale Ripley nie mogła tego zrobić, podobnie jak nie mogłaby zrobić tego z Newt. Wokoło pojawiły się pewne oznaki uszkodzeń dokonanych przez krew istoty - skwierczały przewody elektryczne, kable strzelały iskrami, pokład wokół dwóch szepionych ze sobą postaci bulgotał i pokrył się syczącymi bąblami, a ramię Call zaczęło niebezpiecznie dymić. Nie, zastrzelenie tej bestii raczej nie wchodziło w rachubę, nie w tej maleńkiej ładowni.

Nagle karabin zaczął ciążyć jej w dłoniach, był zbyt ciężki, żeby mogła go utrzymać.

Wiedziała, że za jego pomocą nie rozwiąże tej szczególnej, patowej sytuacji.

Ripley spojrzała na istotę i wtedy zaczęło dawać jej znać o sobie własne udręczone ciało.

Bolało ją wszystko, dosłownie wszystko. Była zmęczona, wyczerpana, skonana tak, że chciała po prostu położyć się gdzieś i umrzeć. Boże, dlaczego nie mogła ot, tak, położyć się i zwyczajnie umrzeć? Może jestem androidem, przyszła jej do głowy obłądana myśl.

Androidem z wprowadzonym jednym tylko programem... Niezależnie od wszystkiego, rób swoje dalej. Nie zatrzymuj się. Boże, jak ja tego nie cierpię.

Noworodek zaskrzeczał wściekle, jego długie zęby musnęły wierzchołek czaszki Call...

ale nie zagłębiły się w nim. Czy wyczuł, że Call nie jest człowiekiem, że nie ma prawdziwego mózgu ani krwi? Czy zorientował się, że jest androidem?

Nagle Ripley ujrzała w myślach szokującą wizję, obraz Bishopa rozerwanego na dwoje przez rozgniewaną Królową i zrozumiała, że równie łatwo Noworodek może uszkodzić Call.

Musiała coś zrobić, czyż nie takie było jej przeznaczenie? Jęknąwszy z rozpacz, Ripley upuściła karabin. Unosząc obie ręce w górę, w geście poddania, ponownie próbowała nawiązać kontakt telepatyczny, szukała więzi, którą poczuła wcześniej w gnieździe.

Jest coś... Słabe... Silnie strzeżone... Ale jest... Czuję...

To było nieludzkie, odrażające, ale w pewnym sensie znajome. Ripley z trudem pohamowała drżenie. Zmusiła się, by odnaleźć wzrok potwora i utkwiała spojrzenie w jego oczach o barwie identycznej jak jej własna. Kontakt był lodowaty, zimny, ale i chłonny. Pełen gniewu i przepelnionej bólem tęsknoty.

Gniazdo zostało zniszczone. Pozostali nie żyją. Już ich nie ma. Noworodek był teraz całkiem sam. Był tylko on i drobna, stojąca przed nim istota ludzka, która usiłowała nawiązać z nim kontakt.

Ripley uświadomiła sobie, że w obecnej chwili może zagrać tylko jedną kartą.

Cóż, dziecino, pomyślała z ironią, jestem jedyną matką, jaką teraz masz!

Wyciągnęła obie ręce przed siebie w geście poddania i wypełniła umysł pocieszającymi myślami, wspominając kontakt, jaki kiedyś istniał między nimi. W myślach ujrzała obraz samej siebie, jak trzyma w ramionach Newt, małą, jasnowłosą, ufną Newt. Zobaczyła, jak dziecko oplata ją rękami i nogami, przywiera do niej, wiedząc, że Ripley jej nie puści, nie zawiedzie, nie porzuci. Newt, która z niezłomną, dziecięcą ufnością wierzyła, że Ripley po nią wróci. Zatrzymała ten obraz w myślach.

Noworodek powoli zaczął się uspokajać, nie chłostał już gniewnie ogonem i zaczął

rozluźniać uścisk na ramionach androida.

Ripley widziała, że Call się jej przygląda. Dostrzegła zakłopotanie na jej twarzy. Call trwała w bezruchu. Nie mogła się poruszyć. Nie była w stanie. Kiedy Noworodek wreszcie ją puścił, było to dla niej tak wielkim zaskoczeniem, że upadła na pokład. Ripley nie odważyła się odnaleźć jej spojrzenia ani odpowiedzieć na zawarte w nim pytanie. Patrzyła na Noworodka, kusząc go, zwodząc, nakłaniając, żeby porzucił Call i podszedł do niej. Kiedy ogromny stwór zaczął zbliżać się do Ripley, kątem oka dostrzegła, że Call ukradkiem zaczyna się wycofywać.

Tak! pomyślała Ripley. Tak! Wspomnienie, jak zasyczała do Newt: „Uciekaj! Ukryj się!” zdominowało niemal całkowicie jej myśli. Gdyby się odważyła, zawołałaby to samo do Call, ale android wciąż znajdował się zbyt blisko Noworodka.

Dwa kroki, trzy. Noworodek był już blisko niej; prawie mogła go dotknąć. Call przez cały czas się cofała. Ripley stała nieruchomo, z rozłożonymi rękami, otwartym umysłem, roztaczając przed Obcym ciepłą, matczyną wizję. Przypomniała sobie Królową, która próbowała dotknąć swoje dziecko na chwilę przed tym, jak mutant oderwał jej głowę. Czy ten stwór rozumiał takie pojęcia jak zaufanie, spokój, komfort? Koncentrując się w myślach na tym jednym obrazie, Ripley nie cofnęła się ani o krok, wyprężona, wyprostowana, w geście oddania i przychylności. Kiedy stwór znalazł się tuż przy niej, wstrzymała oddech. Noworodek wydał cichy odgłos, jęk bólu, cierpienia i jakiejś nie zaspokojonej potrzeby. Dźwięk ten zaskoczył Ripley, sprawił, że uniosła wzrok.

Przypominające trupa czaszkę oblicze nie pozostawiało wiele miejsca na emocje, ale odniosła wrażenie, że wyczuwa samotność tej istoty. Przypomniała sobie, jakim gestem powitała Noworodka w gnieździe, i łagodność okazaną wobec Call, androida, który przybył ją zabić, uniosła rękę i powoli, delikatnie pogładziła Noworodka po wydłużonej, spłaszczonej

czaszce.

W głębi duszy, gdzie wciąż tliła się iskierka istniejącego między nimi kontaktu, Ripley wyczuła gwałtowną zmianę nastawienia monstrum. Uczucie dziecięcej ufności i rozdzierającej samotności prysło. Jego miejsce zajęło jedno, jedyne wrażenie — ostatecznego triumfu!

Stwór wyprężył się nagle, wydając długi, jakby ostrzegawczy syk.

Noworodek ze zdumieniem obserwował poddańczy gest Ripley, teraz interesowała go tylko powolna, bolesna śmierć stojącej przed nim słabej istoty. Choć miejsce, gdzie stali, trzęsło się i dygotało i - jak podejrzewał Noworodek - groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo, nie przejął się tym ani trochę. Nie da się zwieść.

Zastygł przed swoją ofiarą, rozmyślając, z jaką rozkoszą wgryzie się w jej czaszkę. Pożre mózg powoli, smakując i rozkoszując się nim. Zastanawiał się, czy zdoła dzięki temu przejąć Ripley. To cudowne, że krew Ripley choć trochę uciszy jego płonący, niezaspokojony głód. Powoli, jakby radując się tą chwilą. Noworodek wysunął język.

Ripley zamarła, starając się nie okazywać strachu, kiedy śliski, długi język, ten sam, którym istota tak delikatnie uwolniła Ripley z żywicznych pęt w wylęgami, i jednocześnie tak różny od języka Królowej, wysunął się i zadrgał obscenicznie. Ripley patrzyła z narastającą zgrozą, jak język sztywnieje i wypręża się jak u innych Obcych. Na jego końcu pojawiły się nagle małe, ostre zęby i zakłapały, jakby wypróbując swoją nową funkcję.

Ripley jęknęła. Noworodek nachylił się nad nią, gotów zatopić złowieszcze narzędzie w jej czole. Kobieta nawet nie mogła zamknąć oczu, obserwując z przerażającą fascynacją obrzydliwą przemianę.

Pomóż mi Boże, pomyślała Ripley, uświadamiając sobie, że jest to pierwsza w jej życiu modlitwa.

Małe białe zęby zgrzytnęły, zamykając się, a z trzonu języka wypłynęły nitki

srebrzystego śluzu. Język wysunął się i zbliżył do jej twarzy.

Ripley odruchowo drgnęła, ale nie cofnęła się, wiedząc, że to spowodowałoby natychmiastowy atak.

Naraz Ripley dostrzegła Call, która, przemykając bezszelestnie, dopadła karabinu, który upuścił Distephano. Uniosła wzrok...

I dokładnie za plecami Noworodka ujrzała bulaj. Pośrodku szyby pojawiły się skwierczące, bulgoczące pęcherze — to kropla krwi Obcego, która wylądowała na szkle, rozpuszczała je, wypełniając pomieszczenie wonią topionego plastyku. Jak oszacowała, znajdowali się w stratosferze. Prawie byli już w domu.

Ripley z fascynacją spojrzała na bulaj; wiedziała, że widok przeżeranego kwasem okna oderwie ją od przenikliwej wizji kłapiących szczęk i języka, które coraz bardziej zbliżały się ku jej twarzy.

Nagle widniejący w jej umyśle obraz niej samej, trzymającej w ramionach Newt, zmienił się.

Pojawiły się inne wspomnienia. Niespodziewanego chaosu. Wyjących i ginących wojowników. I niej samej, Ripley, stojącej sztywno, z dzieckiem w ramionach. Siejącej w gnieździe śmierć i zniszczenie.

Noworodek nachylił się do ostatniego pocałunku... I nagle zdziwił się gwałtowną zmianą mentalnego kontaktu. Ripley nie odczuwała już chęci poddania, strachu czy wyrzutów sumienia. Była w niej tylko nieposkromiona zuchwałość! Wspomnienie zagłady gniazda rozjuszyło stwora. Drwiło zeń.

Noworodek warknął przed ostatecznym uderzeniem i... Rozległ się głośny dźwięk, a potem coś mocno nim szarpnęło, jakby chwyciła go jakaś niewidzialna siła. Napór narastał,

aż Noworodek zaczął powoli, lecz nieubłaganie oddalać się od swojej ofiary. Nie pojmował, co się dzieje! Jak to możliwe?

Noworodek zaryczał gniewnie, podczas gdy Ripley coraz bardziej się od niego oddalała. Bestia runęła w tył, szybko, coraz szybciej, przeleciała kilka stóp w powietrzu i uderzyła z impetem w coś twardego. Wyjść z wściekłości, zaczęła wymachiwać łapami, usiłując dosięgnąć Ripley pazurami. Noworodek nie wierzył, że wpadł w pułapkę, zwłaszcza że ofiara znajdowała się tak blisko niego.

Kiedy kwas przeżarł się przez całą grubość wzmocnionej szyby, rozległo się głośne „bum!” - a zaraz potem dym i drobne przedmioty zostały wysane na zewnątrz z potężną siłą powietrznego ciągu.

Ripley błyskawicznie chwyciła wolny pas uprząży, którą wciąż miała na sobie, i przypięła do metalowego, wkręconego w ścianę uchwytu.

Kolejne małe przedmioty zostały wysane na zewnątrz, a kwas Noworodka przez cały czas roztopiał brzegi otworu. Dziura w szybie powiększyła się i nastąpiła gwałtowna dekompresja.

Noworodek, sięgający szponiastymi łapami w stronę Ripley, został szarpnięty w tył i pociągnięty z potworną siłą w stronę bulaju.

Wyrznął weń z głuchym łomotem i zawył z bólu oraz wściekłości, kiedy siła zasysanego powietrza unieruchomiła go przy oknie.

Nagły spadek dekompresji pozwolił Call podnieść się z podłogi. Ripley wyciągnęła rękę i krzyknęła: „Pospiesz się!” a android natychmiast wykonał polecenie.

Noworodek szarpał się i szamotał, miał tak wielką siłę, że zdołał nawet nieznacznie odwrócić się od okna, powodując kolejny wzrost dekompresji, który omal nie wyrwał Call z ramion Ripley. Klon zatrzymał jednak androida, a gdy Call objęła mocno ramionami tors

Ripley, ta opłotła ją dłuższym pasem uprząży i przypięła do siebie. I tak wisały obie, na jednym, metalowym zaczepie pasa bezpieczeństwa. Ogłuszające skrzeczenie Noworodka przybrało na sile, gdy stwór rozpaczliwie starał się dopaść wymykającej mu się najwyraźniej ofiary. Ripley czuła, jak rośnie jego zmęczenie i dezorientacja, i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w swoim krótkim, przerażającym życiu Noworodek naprawdę się boi.

Boisz się śmierci? pomyślała Ripley. Lepiej pogódź się z nią! Wybuchnęła śmiechem i zaczęła się zastanawiać, kiedy takie dziwne *rzeczy* przestaną wydawać się jej zabawne.

Wreszcie Noworodek przegrał rozpaczliwą walkę z siłą dekompresji i z głuchym „puff!” został na powrót przyciągnięty do powiększającego się otworu w szybie. Impet uderzenia był tak silny, że skóra na plecach stwora pękła, a Ripley ujrzała, jak żrąca krew istoty bryzga na zewnątrz silnym, gęstym strumieniem.

Owadzi skrzek potwora przeniknął Ripley do szpiku kości. Ona również zawyła z bólu, tuląc do siebie Call, jakby w jej osobie rozpaczliwie chroniła resztki swego człowieczeństwa. Wrzaski stawały się głośniejsze i bardziej ochryple... coraz wyraźniej pobrzmiwała w nich nuta hysterii i paniki.

Stwór zaczął wymachiwać na oślep łapami, rozpaczliwie chłostał szponami powietrze, a w jego oczach malował się niewiarygodny, potworny ból. Ripley chciała się odwrócić, niezdolna obojętnie się temu przysłuchiwać. Noworodek spojrzał wprost na nią, rycząc i popiskując. Cierpiał straszliwie. Pokręciła głową. Jej ostatnie, potworne dziecko. Tak właśnie być powinno, powinna być tu, przy jego śmierci. Potrzebowała świadka. Ot tak, dla pewności.

Nie mogła już teraz oderwać wzroku od miotającego się, wyjącego, machającego łapami stwora, który bądź co bądź był z nią genetycznie powiązany. Ripley zapłakała widząc, jak Noworodek błagalnym gestem wyciąga ku niej rękę, a wzrokiem wciąż prosi o pomoc.

To zakończy się tu i teraz, pomyślała do Noworodka Ripley. Wszystko. Raz na zawsze.

Nie będzie kolejnych wcieleń.

Noworodek wił się w potwornych bólach, pojękiwał.

W porządku, pomyślała Ripley, jakby chciała złagodzić jego ból. To już nie potrwa długo. Uspokój się.

Wtem, wyciągnięte ramię Noworodka zostało brutalnie i niewiarygodnie szybko wciągnięte do jego ciała, przez otwór w plecach wypłynęły na zewnątrz kości. Noworodek zawył w agonii, zwijając się przy dziurawym bulaju, który unieruchomił go równie skutecznie, jak lep czyni to z muchami. Nagle brzuch skurczył mu się i wciągnął, a za okno pofrunęły kłęby wnętrzności.

Przeraźliwy, dojmujący wrzask przeszył mózg Ripley, porażając ją jak prąd. Osunęła się na ścianę i przytykając obie dłonie do uszu, usiłowała zagłuszyć straszliwy, przedśmiertny skowyt swego dziecka. Zawyla wraz z nim, a wrzask Noworodka rozplątał jej duszę niewidzialnymi ostrzami. Ripley poczuła ciepłą lepkość przesączającą się między jej plecami. Krwawiły jej uszy. Osunęła się na kolana, wyjąc na całe gardło, a Call tuliła się do niej z całej siły, tak mocno, jak tylko potrafiła, jakby próbowała ocalić Ripley przed tym ostatnim atakiem.

Teraz wszystko potoczyło się szybciej, ciało Obcego zostało wprawnie i bezlitośnie obdarte ze skóry, której płaty pofrunęły w stratosferę. Ripley odjęła dłonie od oczu i ujęła nimi głowę Call, niczym w geście oszczędzenia temu „dziecku” wyjątkowo okrutnego widoku. Ale patrzyły na wszystko obie, nie mogąc oderwać wzroku.

Noworodek nie stracił jeszcze głosu, i kiedy wydał ostatni, ochrypły wrzask, Ripley poczuła, że raz jeszcze usiłuje nawiązać z nią, niezwykle już słaby, w ramach zadziegniętego raportu, kontakt telepatyczny. Zadrzała, poruszona obcością Noworodka, a

jednocześnie czuła przejmujący smutek i żal. Ta istota była wszak częścią niej i właśnie umierała. Ale nie mogła pozwolić, by ten stwór zabrał ją ze sobą.

Podczas gdy statek wokół nich kolebał się i dygotał, nieuchronny i niepohamowany proces zagłady monstrum trwał nieprzerwanie, niszcząc Obcego kawałek po kawałku, aż w końcu eksplodowała potylicą Noworodka i ostatnie resztki jego mózgu zostały wysrane przez puste już oczodoły.

Kiedy została rozłupana czaszka i życie istoty dobiegło kresu, Ripley poczuła że ulotny raport mentalny rozplywa się, by zniknąć zupełnie, a potem rozplakała się, na poły ze smutku, na poły z niewysłowionej ulgi. Nie było jednak czasu na oplakiwanie umarłych, bowiem proces dekompresji postępował, zasysający prąd powietrza ściągał wszystko, co nie było przybite, przykręcone bądź w inny sposób umocowane do pokładu, w stronę odrażającej, wyszczerzonej czaszki martwego Noworodka.

Dwie kobiety przytuliły się jeszcze mocniej do siebie, stawiając opór nieposkromionemu żywiołowi.

- Nie damy rady! - rzucił wściekle Johner, mocując się z przyrządami. Dekompresja ładowni sprawiła, że stracili sterowność.

- Uda się na pewno! - warknął Vriess, tocząc swoją własną walkę.

Głos Call, który zachowywał osobliwy, zważywszy na sytuację, spokój, odliczał sekundy do uderzenia w Ziemię.

Podczas gdy cały statek wibrował i dygotał, a wokół nich fruwały zasysane mocą dekompresji wszystkie mniejsze przedmioty, Ripley i Call obejmowały się mocno nawzajem. Jednak mimo całego chaosu, jaki szalał dokoła, mimo że najprawdopodobniej lada chwila czekała ją śmierć, gdy *Betty* roztrzaska się o ziemię, Ripley była w głębi duszy odprężona i uspokojona. Zdumiewające uczucie. Przypomniała sobie prom z Sulaco i szaleńczy lot do

Hadley's Hope. Przypomniała sobie Hicksa, który spał przez całą drogę, jak podczas milej, banalnej wycieczki i to wspomnienie wywołało na jej twarzy uśmiech. Przytuliła do siebie Call, pragnąc, by dziewczyna mogła dzielić z nią ten obraz, tę wizję, ten spokój. Nic się już nie liczyło. Nic nie było ważne. Ziemia będzie bezpieczna. Obcy zginęli. Co do jednego. A ona przeżyła ich wszystkich, choćby tylko o tych parę chwil. Grunt, że ich przeżyła.

- Właśnie tak, stary, tak trzymaj! - zawołał Johner.

- Przecież mówiłem, że się uda - odparł stanowczym tonem Vriess, przez cały czas walcząc z opornymi sterami.

Nagle bez ostrzeżenia statek zadrżał gwałtownie po raz ostatni i niespodziewanie się uspokoił.

Ripley poczuła chłodny podmuch powietrza omiatający wnętrze ładowni, ciskający na wszystkie strony papiery, drobne przedmioty i śmieci, i nagle uświadomiła sobie, że to szalejące mini tornado nie zasysa już wszystkiego na zewnątrz, lecz rozrzuca najróżniejsze szczątki i rzeczy wewnątrz pomieszczenia.

Zamrugła powiekami, wypełniając płuca chłodnym, rześkim powietrzem i wyrzuciła przez pusty już bulaj na zewnątrz. W wytopionym otworze w szybie nie pozostał żaden ślad tkwiących tam jeszcze do niedawna upiornych zwłok Noworodka. Przez szybę widziała tylko błękitne niebo, po którym przesuwały się kłębiaste chmury.

Nastąpiła chwila nieskalanego spokoju i ciszy, a Ripley poczuła się nagle tak, jakby lada chwila miała się roztopić. Śmierć Noworodka pozbawiła ją resztek sił. Wyssała do cna. Była śmiertelnie zmęczona. Ledwie trzymała się na nogach.

Call podtrzymała ją.

- Zrobiłaś to - wyszeptała. - Udało ci się. Zabiłaś tego stwora.

- Naprawdę? - zapytała Ripley. Była wyraźnie oszołomiona.

- Tak. Dokonałaś tego. Ten stwór nie żyje. Przeszedł do historii.

- Świetnie - mruknęła Ripley bełkotliwym ze zmęczenia głosem. - Naprawdę świetnie.

Wspaniale.

Call, podtrzymując wyższą kobietę, uniosła lekko wzrok, żeby na nią spojrzeć.

- Może od teraz nie będą nas już gnębiły koszmary, jak ci się wydaje?

Ripley spróbowała się uśmiechnąć.

- Udało się nam. I obie żyjemy.

- Taak - rzekła Call z niejakim zdumieniem w głosie. - Żyjemy.

Rozległ się trzask włączanego interkomu i wewnątrz ładowni wypełniły triumfalne pohukiwania świętującego ich ocalenie Johnera, podczas gdy Vriess, najwyraźniej zachłystując się śmiechem, ogarnięty nieprzewartą ulgą i radością zawołał:

- Call, Ripley? Nic wam nie jest? Co prawda widzimy was obie, ale...

- N-n-nic nam nie jest - odchrząknęła Call łamiącym się głosem. Spojrzała na Ripley i po raz pierwszy uśmiechnęła się szeroko. - Naprawdę nic nam nie jest. Wszystko w porządku.

Tym razem, już na pewno, wszystko w porządku.

Ripley pokiwała głową i czując przemożne zmęczenie, oparła policzek o głowę Call.

EPILOG

Call obserwowała Vriessa, który jak zawsze ostrożnie zakładał syntetyczną skórę na nową metalową płytkę przyspawaną na ranie w jej brzuchu.

- Nie wiedziałam, że posiadasz tak wiele rozmaitych uzdolnień - wyszeptała błogo.

Vriess uśmiechnął się życzliwie, łącząc brzegi synteskóry z brzegami oryginalnej skóry

Call. Zanurzył wacik z wyśmienicie zaopatrzonej apteczki *Betty* w gorącej wodzie, która grzała się na małym ogniu, roznieconym w starej puszcze z obciętym wieczkiem, po czym przetarł nim synteskórę. Call jeszcze nic w tym miejscu nie czuła, ale będzie, kiedy jej

organiczne zakończenia nerwowe zespolą się z nowym ciałem.

- O czym ty mówisz? - rzucił Vriess. - Przecież wiedziałaś, że umiem spawać.

Pracowałaś ze mną...

- Pewno, że wiedziałam o spawaniu - mruknęła Call. Powiodła palcem po lśniącej płytce, którą Vriess zaczął właśnie zasłaniać.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz się na komponentach androidów. To dość skomplikowana dziedzina. Wzruszył ramionami.

- Nie miewałem z nimi wiele do czynienia, ale jeżeli chodzi o androidy, w dużej mierze chodzi o naprawy czysto mechaniczne. Chyba, że w grę wchodzi uszkodzone systemy myślowo-emocjonalne, a te nie doznały uszczerbku.

Pracował nad nakładaniem skóry, łącząc ją powoli i tak skrupulatnie, że po całej operacji nie pozostanie najmniejsza nawet blizna.

- Mamy szczęście, że znaleźliśmy tak czystą płytkę, żadnych zadrapań, wgnieceń czy rdzy. Myślę, że powinna służyć równie dobrze, jak twoje oryginalne komponenty.

Call rozejrzała się po złomowisku, gdzie wylądowała *Betty*. To było doskonałe miejsce do spenetrowania. Mogli tam nieźle pobuszować. Kilka dni tutaj i zdołają doprowadzić statek niemal do tak dobrego stanu, jak się to udało Vriessowi z pewnym mocno pokancerowanym androidem.

- Wciąż nie mogę nadziwić się, że zdołałeś przedestylować dość krwi, aby zastąpić tę, którą straciłam - rzuciła, obserwując go przy pracy.

- To było dość łatwe, zwłaszcza że dysponowałem całym tym sprzętem. Najtrudniejsze było jej oczyszczenie... Dobrze się czujesz, prawda? Trochę się martwiłem, czy bez przeszkód zdoła zmieszać się z twoimi oryginalnymi płynami.

- Czuję się wyśmienicie - zapewniła. Poruszyła ręką. Najpierw zajęli się właśnie nią, w

obawie że skomplikowany staw barkowy mógł zostać poważnie uszkodzony, ale żrąca krew Obcego spowodowała w sumie lekkie i powierzchowne szkody. Po nałożeniu synteskóry prawie nie było widać blizn. - Cieszę się, że nie mam już dziury w brzuchu - powiedziała Call.

- Nie ty jedna - rzekł Johner, podając Call butelkę z bursztynowym płynem.

- Widok tych wiszących drutów i mrugających światełek na zawsze może odebrać facetowi ochotę na seks. - Dodał.

Sporunowała go wzrokiem, podczas gdy Vriess dokończył łątanie dziury. Kiedy skończył przemywać synteskórę czystą wodą, spuściła wzrok, by przyjrzeć się jego dziełu. Dotknęła nieśmiało swego nowego brzucha, ale Vriess natychmiast odsunął jej dłonie.

- Niech się zagoi, dobrze? Chryste, Annalee.

Pociągnęła łyk z butelki Johnera i podała flaszkę Vriessowi, który również hojnie przepłukał gardło.

- Nareszcie wyglądasz normalnie, Call - rzucił półgłosem Johner. - Jak zwykła kobieta.

Po prostu świetnie. - Pokiwał głową, jakby powiedział właśnie najważniejszą filozoficzną prawdę, jaka kiedykolwiek została sformułowana.

Uśmiechnęła się do szorstkiego, cynicznego mężczyzny z blizną.

- Hej, Johner - Vriess usiadł, pakując apteczkę - powiedz no, gdzie trzymałeś markowe trunki przez cały ten czas, gdy byliśmy zmuszeni pić twój paskudny biber? - Wskazał na butelkę, którą oddał Johnerowi.

Johner westchnął.

- Należała do Elgyna. - Uniósł butelkę w milczącym toaście. - Za żołnierzy, co padli w boju.

- Amen - rzekł nabożnie Vriess, a Johner pociągnął z butelki.

- Jeżeli na tej planecie są jeszcze jacyś gliniarze, prędzej czy później zlecą się tu i zaczną węszyć - mruknął Vriess. - Zwłaszcza po tym wielkim „bum” *Aurigi*. Nie wspomniał o ciałach, które pogrzebali na złomowisku... ciałach Wrena, Purvisa i Distephano.

Cała trójka pokiwała głowami, wzdychając niemal równocześnie.

- Taa - burknął lakonicznie Johner. - Powinniśmy się stąd zbierać.

Upił jeszcze jeden łyk, po czym cisnął butelkę Call, która złapała ją zranioną ręką, chcąc mu pokazać, że ramię znów ma sprawne. Pociągnęła z butelki.

- Ty chyba również nie palisz się do odpowiadania na jakiegokolwiek pytania - zwrócił się do niej Johner. Pokręciła głową.

- Nie za bardzo.

Cała trójka jeszcze przez chwilę siedziała w kompletnym milczeniu, przekazując sobie butelkę z rąk do rąk. Call ucieszyła się, że znów odprawiają ten stary, dobry rytuał i mimowolnie przypomniała sobie ów ostatni raz, gdy siedziała tak z Johnerem... i Christiem.

- Powinniśmy wyruszyć na wschód - postanowił Vriess. - Do Ruskich. Byłem tam.

Wciąż mam pewne kontakty.

Pokiwali zgodnie głowami. Któż wiedział, dokąd ostatecznie dotrą i co będą robić?

- Wiesz, co by się teraz nam przydało? - rzucił po chwili Johner.

Ogień trzaskał wesoło. Ciepło było przyjemne, uspokajające, odprężające. Vriess i Call spojrzeli na potężnego mężczyznę i czekali.

- Dziwki - oznajmił Johner i rozejrzał się, jakby właśnie w tej chwili na złomowisku miał pojawić się tuzin roztańczonych chłopców i dziewcząt, spragnionych mocnych wrażeń.

Vriess i Call zamrugali, patrząc na Johnera jak na wariata.

- Nie sądzicie, że to byłoby świetne? - zapytał z powagą, jakby rozmawiali o polityce, religii czy innych równie ważnych sprawach.

- Kilka fajnych, zręcznych dziwek. To dopiero byłaby zabawa...

Call wybuchnęła śmiechem i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy jej śmiech zaczął brzmieć histerycznie.

Nie mówiąc więcej ani słowa, cała trójka spojrzała na jedno ze wzgórz kosmicznego złomu, na szczycie którego stała Ripley, wpatrując się w miasto zwane Paryżem. Nie wydawała się już sponiewierana. Do jutra w ogóle nie będzie po niej widać, że ma za sobą poważne przejścia. Johner podał Call butelkę.

- Ona nic nie piła. Zanieś jej butelkę, dobrze? Niech przepłucze gardło.

Call skinęła głową i zapięła guziki bluzy.

- Zapytaj, co sądzi o wyprawie na wschód - dodał Vriess.

Call znów potaknęła i wstała.

- I zapytaj ją o dziwki - rzucił Johner. - Może byłaby zainteresowana.

Vriess i Call spojrzeli na niego bez słowa.

- Cóż, nigdy nic nie wiadomo. Czasem warto zapytać! - mruknął z naciskiem Johner. I

burknął pod nosem: - Chociaż jeżeli o nią chodzi... kto wie, czy facet zdołałby to przeżyć!

Kiedy Ripley opuściła *Betty*, nie była w stanie ukryć swego zdumienia. Nigdy dotąd nie oddychała powietrzem, które nie byłoby wytworzone sztucznie, nie czuła naturalnego przyciągania, nie widziała błękitnego, czystego nieba. A przynajmniej nie w tym wcieleniu.

Naturalnie w samym środku złomowiska powietrze trochę cuchnęło, siła ciężenia dawała się we znaki, a niebo było bardziej szare niż modre... Niemniej to wszystko było dla niej nowe i cieszyła się urzekającą niezwykłością miejsca, do którego trafiła.

Rozluźniła ramiona, by stwierdzić, że po niedawnych bolących sińcach i zadrapaniach nie pozostał żaden ślad. Pokręciła głową. Oglądała Paryż od dobrych paru godzin, ale z tym miastem nie wiązało się żadne z jej wspomnień, toteż podejrzewała, że nigdy wcześniej w

nim nie była. Przyglądała mu się tak długo, ponieważ było piękne. Sądziła, że z bliska okaże się jeszcze jednym, nadgryzionym zębem czasu, ciasnym, bezludnym miastem, ale stąd metropolia skrzyła się i błyszczała w przyćmionym świetle. Została zbudowana wyłącznie przez ludzi. I tej nocy pograży się we śnie, nieświadoma losu, jaki o mało jej nie spotkał. Wyczuła Call, zanim android zdołał wspiąć się na szczyt pagórka. „Wiedziałam, że przyjdiesz”, powiedziała cicho, a w jej głosie pojawiło się echo wspomnienia, sprzed lat. Wspomnienia Newt, Amy, Hicksa, Bishopa i innych, ludzi i androidów, z którymi się zetknęła, nie raniły już jej wnętrza dojmującym, palącym bólem. Teraz wypełniły je kojącym ciepłem. Sprawiały, że czuła się człowiekiem, kochała i była kochana. Walczyła, starała się chronić tych, których kochała, i umarła, by ich ocalić. I znów postąpiłaby tak samo, gdyby zaszła taka potrzeba. I jeszcze raz. I jeszcze. Taki los był jej przeznaczony i takim go akceptowała.

Wizje senne, które od tak dawna przebłyskiwały w jej umyśle, przestały być chaotyczne. Chłodny komfort hibernacyjnego snu. Dogłębna potrzeba chronienia młodych. Wrażenie siły i spokoju, które wywołuje bliskość istot tego samego gatunku. Moc jej własnego gniewu, uczucie ciepła i bezpieczeństwa, jaką daje towarzystwo przyjaciół. Obrazy były sensowne, zadowalające. Rozpoznawała je na poziomie wykraczającym poza świadomość czy możliwość, jaką daje uczenie się.

Były częścią niej samej, częścią tego, kim była i czym była. A teraz stanowiły część tego, czym się stała.

Odwróciła się, by uśmiechnąć się do mniejszej kobiety, wspinającej się po stoku góry złomu. Call podała jej butelkę bursztynowego płynu. Ripley przyjęła ją i zajrzała do wnętrza, radując się barwą zawartości i tym, jak migocze w świetle.

Dziś wszystko wydawało się jej nowe i zdumiewające. Zastanawiała się, jak długo

potrwa ten stan.

- To alkohol - powiedziała Call, wskazując na butelkę. - To się pije. Spróbuj.

Najwyraźniej Call również ostatnio nie wylewała za kołnierz.

Ripley uśmiechnęła się.

- Pamiętam. - Pociągnęła spory łyk, napawając się do woli słodko-kwaśnym smakiem i uczuciem przyjemnego pieczenia w gardle.

- Popatrz - rzuciła Call, ciesząc się jak dziecko. Rozchyliła poły bluzy, pokazując świeżo nałożoną „łatę” na piersiach. - Dzieło Vriessa.

Ripley uniosła brwi:

- Vriessa? Niezła robota... Wiesz naprawdę jestem pod wrażeniem.

Call opuściła poły bluzy i powoli skierowała wzrok ku horyzontowi.

- Ziemia - powiedziała, jakby dopiero teraz to sobie uświadomiła.

Ripley zaczerpnęła głęboko powietrza:

- Ziemia.

- Jestem tu po raz pierwszy - powiedziała półgłosem Call. - Powinno tu być sporo miejsc, w których można by „zniknąć”. A przynajmniej tak mi się wydaje... - Przerwała, jakby miała jeszcze mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Roześmiała się i znów zajrzała do butelki.

- Co myślisz? - zapytała Call.

- O czym? - rzuciła Ripley nieco zbity z tropu.

- Jak sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić? Vriess uważa, że najlepiej będzie, jak ruszymy na wschód, ale ja wciąż się waham... Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Dokąd się udać? - Call patrzyła na nią, jakby Ripley znała odpowiedź na wszystkie pytania.

Ripley, nie odrywając wzroku od ogromnego miasta, tylko pokręciła głową.

- Ja... ja nie wiem! - Wzięła głęboki oddech, a jej nozdrza wychwyciły niezwykle mieszaninę woni przesycających ziemskie powietrze, które czyniły je tak różnym od surowego, przetwarzanego na okrągło powietrza w zamkniętym obiegu statku kosmicznego.

Pokręciła głową i znów pociągnęła z butelki.

- Naprawdę nie wiem, Call. Ja również jestem tu obca.

Dwie kobiety stały ramię w ramię, w milczeniu, przekazując sobie butelkę z rąk do rąk i wpatrując się w światła odległego miasta. Miały mnóstwo czasu na podjęcie decyzji.

KONIEC